JACEK BARTOSIAK
PIOTR ZYCHOWICZ

NADCHODZI III WOJNA ŚWIATOWA

Czy Ameryka porzuci Polskę na pastwę Rosji?

JACEK BARTOSIAK
PIOTR ZYCHOWICZ

NADCHODZI III WOJNA ŚWIATOWA

Czy Ameryka porzuci Polskę na pastwę Rosji?

REBIS

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Spis treści
Motto
Rozmowa 1. Kiedy wybuchnie III wojna światowa?
Rozmowa 2. Czy Ameryka idzie na zderzenie?
Rozmowa 3. Czy Chiny zdominują świat?
Rozmowa 4. W co gra Władimir Putin?
Rozmowa 5. Czy klęska wrześniowa może się powtórzyć?
Rozmowa 6. Czy Polska może odeprzeć atak Rosji?
Rozmowa 7. Jakiej armii potrzebuje Polska, by wygrać wojnę?
Rozmowa 8. Czy Stany Zjednoczone nas porzucą?
Rozmowa 9. Czy mocarstwa będą walczyć w kosmosie?
Rozmowa 10. Czy Izrael przetrwa na Bliskim Wschodzie?
Rozmowa 11. Jakie wnioski należy wyciągnąć z II wojny światowej?
Rozmowa 12. Czy Rzeczpospolita będzie trwała wiecznie?
Fotografie
Nota edytorska
O autorach
Polecamy
Strona redakcyjna

Optymizm nie zastąpi nam Polski.

Józef Mackiewicz

Rozmowa 1

Kiedy wybuchnie III wojna światowa?

Piotr Zychowicz: Kiedy i gdzie wybuchnie III wojna światowa?

Jacek Bartosiak: Ona już wybuchła. Choć słowo „wybuchła” nie do końca jest precyzyjne. Zastanówmy się, kiedy wybuchła II wojna światowa. W Polsce w roku 1939 czy może znacznie wcześniej w Mandżurii?

PZ: Właśnie, Japończycy i Chińczycy uważają, że zaczęła się 18 września 1931 roku, gdy doszło do incydentu mukdeńskiego – prowokacji będącej wstępem do aneksji Mandżurii przez Japonię.

JB: Sowieci z kolei utrzymują, że ta wojna wybuchła w czerwcu 1941 roku.

PZ: Czesi – że w 1938 roku.

JB: Amerykanie – że w grudniu 1941 roku.

PZ: Tak, różne narody – różne perspektywy.

JB: Rewizjonistyczne mocarstwa – w szczególności Japonia i Niemcy – postanowiły w latach trzydziestych zmienić panujący ład małymi kroczkami. Oczywiście dla Chińczyków, Austriaków czy ludności Czechosłowacji to były dość duże kroki. A Polska postanowiła sprawdzić ten blef Hitlera. I tu na symetrycznym polu walki rozegrało się prawdziwe zderzenie między dwiema armiami i ich państwami. Wcześniej Hitler osiągał swoje cele metodami asymetrycznymi, czyli – jak bym powiedział współczesnym językiem – metodami wojny nowej generacji. Poprzez wymuszenie siłowe.

PZ: Tak, nasz minister spraw zagranicznych, Józef Beck, postanowił sprawdzić, czy Hitler rzeczywiście blefuje. Niestety okazało się, że nie.

JB: III wojna światowa już więc trwa. Stany Zjednoczone do niedawna gwarantowały ład światowy. Ich rola w Eurazji jest teraz jednak kwestionowana przez Chiny i przez Rosję.

PZ: Wydaje się, że III wojna światowa, przynajmniej w pierwszej fazie, będzie się toczyła daleko od naszych granic. Punktem zapalnym będzie Azja, rejon Pacyfiku. Amerykańska opinia publiczna – bo oczywiście nie ludzie, którzy decydują w Waszyngtonie o polityce – wierzy, że międzynarodowa gra to starcie dobra ze złem. Polacy, nawiasem mówiąc, również w to wierzą. W rzeczywistości jednak chodzi o współzawodnictwo mocarstw. Kluczem jest równowaga sił, której Ameryka stara się być strażnikiem. Za każdym razem, gdy pojawia się mocarstwo, które pretenduje do roli lokalnego hegemona, czyli zagraża równowadze sił w Eurazji, Ameryka to mocarstwo próbuje powstrzymać, a potem je niszczy. Cztery przykłady: Wilhelmińskie Niemcy podczas I wojny światowej, III Rzesza, Cesarstwo Japonii i Związek Sowiecki. W tym ostatnim wypadku zimna wojna nie przeszła w gorącą, ale doprowadziła do upadku sowieckiej gospodarki i państwo, które rzuciło wyzwanie Stanom Zjednoczonym, zostało wyeliminowane. Teraz pretendentem do lokalnej, a być może globalnej, hegemonii są Chiny. Czy są one silniejsze, czy słabsze niż poprzednicy? Jak twardy jest orzech, który musi zgryźć nowy prezydent Stanów Zjednoczonych?

JB: Chiny są najsilniejszym w dziejach państwem aspirującym do obalenia hegemonii Ameryki. Zaraz o tym powiem, ale chciałem dodać, że wcześniej było cztery i pół takich prób. W latach osiemdziesiątych Japonia gospodarczo, mimo że w zakresie bezpieczeństwa była zależna od Stanów Zjednoczonych, też znalazła się na takiej trajektorii. Amerykanie poważnie się obawiali, że zdominuje ona rejon Pacyfiku, przejmie kontrolę nad cyklami technologicznymi, innowacyjnymi i kapitałowymi. I tym samym gospodarka Stanów Zjednoczonych straci konkurencyjność. Wówczas Amerykanie bezwzględnie wykorzystali swój status eksportera bezpieczeństwa i właściwie pana lennego Japonii. Zmusili Tokio w porozumieniu podpisanym w 1985 roku w nowojorskim hotelu Plaza do zmiany parametrów makroekonomicznych gospodarki. Od tej pory datuje się stagnacja japońskiej gospodarki. Na tym właśnie polega władza w systemie międzynarodowym, którą Amerykanie dzierżą, a Chińczycy starają się im odebrać. Wojna

już się toczy. Jest to wojna o przepływy strategiczne. Chiny są największym konkurentem, najpotężniejszym, z jakim Amerykanie musieli się kiedykolwiek zmierzyć.

PZ: Dlaczego?

JB: Wojna to w dużej mierze starcie potencjałów gospodarczych. Chiny pod względem siły nabywczej PKB mają większą gospodarkę od amerykańskiej i bardzo szybko odjeżdżają Amerykanom. Niedługo, a pandemia covidu na razie to przyspiesza, będą mieli większą gospodarkę pod względem wartości nominalnej. Amerykanie nigdy nie mieli takiego przeciwnika. Przeciwnika, który produkuje znacznie więcej niż oni. Przeciwnika, który ma większą liczbę obywateli. W dotychczasowych starciach to Amerykanie byli silniejsi demograficznie, produkowali więcej, mieli więcej kapitału, mieli większą bazę przemysłową. A Chiny na wszystkich tych polach górują nad USA.

PZ: Czyli są znacznie silniejsze, niż niegdyś były państwa Osi?

JB: PKB Niemiec hitlerowskich i Japonii imperialnej na początku lat czterdziestych XX wieku wynosiło łącznie mniej niż 40 procent amerykańskiego.

PZ: No tak, to mówi wszystko.

JB: A Amerykanie mieli jeszcze po swojej stronie imperium brytyjskie i Związek Sowiecki. Mieli potężnych sojuszników.

PZ: Te dwie pary rywali: Stany Zjednoczone i Japonia w roku 1941 oraz Stany Zjednoczone i Chiny w roku 2021, to narzucająca się analogia. Władysław Studnicki powtarzał, że każdy kraj ma „czynniki siły” i to one – a nie same armie na polach bitew – decydują o tym, kto zwycięży w nowoczesnej wojnie totalnej. Chodziło oczywiście o wskaźniki gospodarcze: produkcję stali i aluminium, możliwości wytwórcze fabryk, maszyny, potencjał ludnościowy. Admirał Yamamoto, geniusz wojny oceanicznej, który poprowadził Japończyków do triumfu pod Pearl Harbor, również zdawał sobie z tego sprawę. Na jedną z narad poprzedzających decyzję o ataku na Stany Zjednoczone przyszedł z neseserem. Położył go na stole, wyciągnął z niego

zestawienia statystyczne i zaczął czytać: przemysł chemiczny – przewaga amerykańska tyle a tyle procent. Surowce – przewaga amerykańska tyle a tyle procent. Przemysł mechaniczny – przewaga amerykańska tyle a tyle procent. Potem to podsumował: Ameryka ma dziesięciokrotnie większy potencjał niż Japonia. Panowie – powiedział – jeśli pójdziemy na to zderzenie, to oni nas zmiażdżą. Ani duch walki, ani element zaskoczenia nic nam nie dadzą. Tę wojnę musimy przegrać. Gdyby teraz zrobić takie porównanie między potencjałem Chin i Stanów Zjednoczonych, to nie wyglądałoby ono dla Amerykanów już tak różowo.

JB: Tak, ale czasy się jednak zmieniły. Japończycy mieli swój plan zwycięstwa na Pacyfiku. Wynikało to ze specyfiki wojny morskiej. Otóż wojna taka ma to do siebie, że łatwo można zablokować przeciwnika, wykorzystując wąskie cieśniny i przesmyki. Można go pozbawić portów. Plan Japończyków był taki, że zniszczą amerykańską flotę stacjonującą w Pearl Harbor, a potem pozostałe bazy i okręty aż do Kanału Panamskiego i Kalifornii. W ten sposób zablokujemy zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych – planowali – zablokujemy Kanał Panamski, sparaliżujemy przeciwnika i Amerykanie będą musieli się poddać. Mimo że mają taki wielki przemysł i potężną flotę.

Jest taka słynna książka oficera japońskiego wywiadu o planie, zgodnie z którym Japonia miała zamiar wojować. Znalazłem ją kiedyś w starym antykwariacie w Stanach Zjednoczonych i napisałem jej recenzję, którą zamieściłem na moim portalu Strategy&Future. Książkę tę w 1941 roku, jeszcze przed atakiem na Pearl Harbor, wykradł koreański ruch oporu. Dostarczono ją Amerykanom, którzy przetłumaczyli ją w grudniu 1941 roku. Wszystko zostało w niej opisane.

PZ: Hmm, plany snuje się różne. Nawet bardzo nierealne, oderwane od rzeczywistości.

JB: To prawda, Japończykom nie wyszło. Ale to była ich jedyna nadzieja – to, że bardzo szybko zadadzą decydujący cios Amerykanom w wojnie morskiej, wypchną ich z Pacyfiku i zamkną na Atlantyku. A wtedy Amerykanie poproszą o pokój. Oczywiście Japończycy się przeliczyli.

PZ: Bo za każde pięć zatopionych amerykańskich okrętów stocznie w USA wodowały dziesięć nowych. Za każde pięć strąconych samolotów z fabryk wyjeżdżało piętnaście nowych. Japońska gospodarka nie miała takich możliwości produkcyjnych. Różnica potencjałów – jak ostrzegał Yamamoto – była zbyt duża.

JB: Lata czterdzieste to były czasy industrialne, wojna miała charakter przemysłowy. W związku z tym moce produkcyjne, ilość wytwarzanej stali, aluminium to były decydujące czynniki zwycięstwa. Amerykanie mieli większy przemysł niż Japonia. I wygrali wojnę na wyczerpanie. Ostrzegam jednak przed prostą analogią z obecnym konfliktem amerykańsko-chińskim. Nie żyjemy już w epoce przemysłowej, lecz postprzemysłowej. Nie chodzi o to, że państwa mają mniejsze moce produkcyjne – bo na niektórych polach są one nawet większe. Po prostu powszechna informatyzacja doprowadziła do tego, że na okrętach są miliony, setki milionów kilometrów kabli. Nie można już tak szybko wodować nowych okrętów jak w czasie II wojny światowej, bo trzeba je wyposażyć w całą niezbędną elektronikę, zgrać software… W związku z tym III wojna światowa będzie toczona w inny sposób niż II wojna światowa. Nie da się produkować w trakcie wojny tyle sprzętu co kiedyś. Wojna będzie prowadzona raczej tym, co już jest w arsenałach i bazach wojskowych. To osłabia Amerykę. Chiny wodują bowiem dużo więcej okrętów. Mają dużo większy przemysł stoczniowy niż USA. Czyli czas w tym wypadku pracuje dla nich. To pierwsza zmiana.

Po drugie – obecnie istotą wojny jest obezwładnienie dalekosiężnego systemu świadomości sytuacyjnej przeciwnika. Oślepienie go. Gdy uda się to zrobić – natychmiast osiąga się gigantyczną przewagę. Amerykanie mówią o tym od wielu lat.

PZ: Czyli w przemyśle stoczniowym Chiny są górą. A jakie atuty mają Amerykanie?

JB: Generalnie Chińczycy mają większy przemysł niż Amerykanie, nie tylko morski. I rzeczywiście budują znacznie większą flotę. Mogą być nie do zatrzymania. To poprzedni prezydent USA podjął działania zmierzające do zatrzymania szalonego rozwoju Chin. Gdyby nie on, Chińczycy produkowaliby jeszcze więcej i mieliby jeszcze większe stocznie. Oczywiście Cesarstwo Japonii nigdy nie zdołałoby tego osiągnąć. Słabe strony Pekinu?

Otóż Chiny – podobnie jak Japonia w latach czterdziestych – są uzależnione od importu surowców z zagranicy. W przeciwieństwie do Amerykanów.

Chiny, jak niegdyś Japonia, mają swój pomysł na wojnę z USA, koncepcję tak zwanej buławy zabójcy, w której stawiają głównie na lądowe systemy rakietowe, minowanie i okręty podwodne. Amerykanie z kolei mają koncepcję wojny powietrzno-morskiej na zachodnim Pacyfiku. Obie strony szykują się do konfrontacji. Celem Chin będzie pozbawienie amerykańskiej floty zdolności do dominacji na wodach zachodniego Pacyfiku. Z kolei Amerykanie muszą nałożyć blokadę morską na Chiny, żeby pozbawić je dostępu do surowców. Ta wojna wisi w powietrzu. Dobrze, żeby nasi czytelnicy zdawali sobie z tego sprawę, nie byli zaskoczeni. To tak jak z covidem. Jego też się nie spodziewaliśmy, a żyjemy z nim od wielu miesięcy. Z III wojną światową może być tak samo.

PZ: Tak, ten scenariusz to nie jest science fiction, to realna możliwość. Wcale nie żyjemy w epoce końca historii. Wielu ludzi na początku XX wieku uważało, że ze względu na nowoczesne środki masowego zadawania śmierci wojna między mocarstwami jest niemożliwością. A potem przyszły dwa światowe konflikty. Profesor John Mearsheimer w książce *Tragizm polityki mocarstw* dokładnie przeanalizował rywalizację chińsko-amerykańską i doszedł do wniosku, że ryzyko wojny na Pacyfiku jest obecnie znacznie większe niż wojny sowiecko-amerykańskiej w czasie zimnej wojny. Przewiduje on, że Ameryka zbuduje antychińską koalicję. Jej celem będzie otoczenie i zablokowanie Chin.

Spójrzmy na mapę przyszłego teatru działań wojennych.

Wyraźnie widać, że Chiny od strony morza są otoczone półkolem amerykańskich państw sojuszniczych. Japonia, Korea Południowa, Tajwan, Filipiny…

JB: …Australia, Wietnam.

Azja Wschodnia

PZ: Wszystkim tym mniejszym graczom zależy oczywiście na powstrzymaniu Chin przed narzuceniem swej hegemonii w rejonie Pacyfiku. Trudno jednak nie zauważyć, że aby domknąć to okrążenie od północy, należy pozyskać Rosję. Amerykańskim strategom bez wątpienia bardzo zależy na tym, żeby wciągnąć Rosję do koalicji antychińskiej. Po pierwsze, to kwestia geografii. Po drugie – surowców. Gdyby Moskwa w III wojnie światowej wystąpiła jednak po stronie Pekinu, Chiny mogłyby drogą lądową, przez

Syberię, czerpać z Rosji nieograniczone ilości surowców strategicznych. I Amerykanom nie udałoby się nałożyć na nie blokady. Cała koncepcja wojny ległaby w gruzach. Wygląda na to, że bez wciągnięcia Rosji do koalicji antychińskiej Stany Zjednoczone nie mają szansy wygrać wojny z Chinami.

JB: To jak wojna Behemota z Lewiatanem. Lewiatanem jest potęga morska USA, blokująca usta i nos, przez które oddychają Chiny. Przecinająca główne arterie morskie, którymi obecnie do Chin płyną surowce. To starcie słonia z wielorybem, jak ujął to kanclerz Bismarck w rozmowie z królem Wielkiej Brytanii. Niemcy są słoniem, potęgą lądową, a Wielka Brytania wielorybem – potęgą morską. Wieloryb może zablokować morskie przepływy strategiczne.

PZ: Ale na powodzenie inwazji lądowej nie ma większych szans.

JB: Racja, nie da się okupować Chin.

PZ: À propos Bismarcka. Kiedyś zapytano go: „Co by pan zrobił, panie kanclerzu, gdyby brytyjscy żołnierze wylądowali na plażach Niemiec?”. „Jak to co? – odpowiedział. – Wezwałbym najbliższego policjanta i kazał ich aresztować”.

JB: Ta anegdota dobrze oddaje słabość mocarstw morskich w wojnach lądowych. Ale nowoczesnej wojny nie wygrywa się przez podbój terytorium rywala i okupację. Wygrywa się, łamiąc jego wolę walki. Kajzerowskie Niemcy zostały przecież pokonane za pomocą blokady morskiej, którą nałożyła na nie Wielka Brytania. Anglosasi doskonale stosują tę strategię.

PZ: To stara tradycja. Już na początku XIX wieku Anglia próbowała w ten sposób rzucić na kolana Napoleona.

JB: Na co Napoleon odpowiedział blokadą kontynentalną. A państwa morskie są w tym bardzo dobre.

PZ: Żeby daleko nie szukać. Również poprzednia wojna na Pacyfiku – z Cesarstwem Japonii – została wygrana za sprawą blokady morskiej. To blokada pozbawiła Tokio możliwości dalszej walki.

JB: Z Chinami jest inaczej, bo Chińczycy to wytrawni gracze, którzy doskonale rozumieją, na czym polega rywalizacja o światową dominację. Dlatego chiński przywódca Xi Jinping ogłosił w Astanie – stolicy najbardziej oddalonego od oceanu światowego Kazachstanu – koncepcję Pasa i Szlaku. Chodzi o zbudowanie potęgi kontynentalnej, o jakiej marzył słynny niemiecki geopolityk Karl Haushofer. Tylko że teraz nie budują jej Niemcy, lecz Chińczycy. Potęga gospodarcza, finansowa i demograficzna dużo większa niż Niemcy. Chodzi o zbudowanie infrastruktury transportowej poprzez masy lądowe Eurazji, żeby ominąć panujących na morzach i oceanach Amerykanów. Nie chodzi tylko o Rosję, o dostęp do jej surowców energetycznych. Gra toczy się o większą stawkę. Chodzi o połączenie z Pakistanem, Iranem, Azją Środkową. Chińczycy budują korytarze transportowe do wszystkich tych krajów. To jest istota ich ekspansji. Mao Zedong mawiał, że budzi się w nocy i myśli o Malakce. Spędzała mu ona sen z powiek. Malakka to cieśnina nieopodal Singapuru, wąskie gardło, którym wychodzi w świat – do Europy, Afryki, Bliskiego Wschodu i innych miejsc na świecie – cała produkcja Chin. Z kolei w drugą stronę płyną surowce energetyczne. Zablokowanie tej cieśniny to dla Chińczyków koszmar. Amerykanie, korzystając z pierwszego łańcucha wysp – Japonii, Tajwanu, Filipin – mogą nałożyć na Chiny blokadę. Odciąć im tlen. Odpowiedzią Chińczyków na taką ewentualność jest właśnie koncepcja Pasa i Szlaku. Bo tylko ona może spowodować, że blokada ich nie zadusi. Amerykanie – jak już wspomnieliśmy – szykują się właśnie do tej blokady. Do wojny morskiej. Nie mają planów inwazji i okupacji Chin. To nierealne.

PZ: Musieliby oszaleć, żeby tego próbować.

JB: Sytuacja Zachodu, Stanów Zjednoczonych, jest dużo trudniejsza niż podczas II wojny światowej i zimnej wojny. Ani hitlerowskie Niemcy, ani imperialna Japonia, ani Włochy, a szczególnie Sowiety, nie znajdowały się w systemie globalnego łańcucha dostaw, w zglobalizowanej gospodarce. Chiny tymczasem są centrum, sercem całego systemu światowego. I podczas III wojny światowej trzeba będzie wyrwać to serce. Przyczyną wojen są zmiany. Tak, to zmiany, a nie bieda, prowadzą do wybuchu wielkich konfliktów zbrojnych. Zmiany w układzie sił. Gdy Sowieci w 1945 roku zatrzymali się na Łabie, w Jałcie ustalono strefy wpływów. Zarówno

w Azji, jak i w Europie Sowieci zostali zatrzymani na określonym perymetrze. Nie doszło do tak zwanego rollbacku, czyli Amerykanie nie próbowali wypierać Stalina z zajętych przez niego terenów. Gdy w 1956 roku doszło do powstania w Budapeszcie, Amerykanie zareagowali zachowawczo, to samo było w 1968 roku, kiedy wybuchła rewolucja w Pradze. A potem w 1981 roku, gdy generał Jaruzelski wprowadził w PRL-u stan wojenny. „Spokojnie, panowie, to sowiecka strefa wpływów i nie będziemy tam interweniować". Ustalenia z Jałty obowiązywały. Obie strony ich przestrzegały. Jedyne nieporozumienie było wtedy, gdy w roku 1950 ówczesny sekretarz stanu USA Dean Acheson zapomniał w przemówieniu zaznaczyć, że Korea znajduje się w amerykańskiej strefie wpływów. Nie wymienił tego kraju, bo po prostu o nim zapomniał. Wtedy Stalin dał sygnał komunistom z Korei Północnej, że mogą atakować. Efektem była wojna i destabilizacja. Później natomiast oba mocarstwa bardzo pilnowały tej sprawy i respektowały swoje domeny. Sowiety, odcięte żelazną kurtyną, mające gospodarkę socjalistyczną, nie należały do globalnego systemu gospodarczego. Obecnie jest zupełnie inaczej. Teraz – tak jak mówiłem – Chiny są w centrum systemu i Amerykanie muszą zrobić bardzo agresywny „rollback". Blokowanie ekspansji chińskich technologii, takich jak 5G. Sankcje na eksport mikroprocesorów, odcięcie dostępu do dolara, odbieranie rynków Chińczykom. To wszystko zostanie zapewne wprowadzone, jeśli Amerykanie chcą marzyć o zachowaniu swojej globalnej hegemonii. Dla Chińczyków jest to oczywiście nie do zaakceptowania. I to jest punkt zapalny.

PZ: Blokada na chińskie produkty? To przecież niewykonalne. Dobre parę lat temu widziałem – chyba w „New Yorkerze" – świetną karykaturę. Dwóch Amerykanów siedzi w biurze. „Musimy wprowadzić sankcje na chińskie produkty" – postanawiają. I na kolejnym obrazku wszystko, co zostało wyprodukowane w Chinach, znika z tego biura. Widzimy puste ściany, a obaj panowie stoją w samych gaciach. Przecież obecnie niemal wszystko jest Made in China. Sprawy zaszły chyba zbyt daleko, żeby uruchomić na Zachodzie produkcję wszystkich rzeczy, które produkują Chińczycy.

JB: O tym właśnie mówiłem. To jest ta różnica między Chinami a dotychczasowymi rywalami Ameryki. To czyni próbę powstrzymania dalszego

rozwoju Chin tak bardzo trudną.

PZ: Wróćmy do Rosji, bo uciekła nam ta sprawa. Jeżeli Ameryka chce założyć podwójnego nelsona na kark Chińczyków – czyli wprowadzić skuteczną blokadę morską – będzie się musiała porozumieć z Rosją. Z Waszyngtonu docierają sygnały, że wielu tamtejszych analityków to rozumie. Wygląda więc na to, że Rosja będzie kluczem do sytuacji. Od tego, po czyjej stronie się opowie, może zależeć wynik konfrontacji między USA a Chinami. Co mogliby Moskwie zaproponować Amerykanie, a co Chińczycy? Jaką decyzję podejmie Putin lub jego następca? Po czyjej stronie Rosja przystąpi do III wojny światowej?

JB: Już przystąpiła – na razie po stronie Chin. Rosja zajmuje w globalnej rywalizacji stanowisko rewizjonistyczne.

PZ: Czyli złe wiadomości dla Białego Domu.

JB: Sytuacja przypomina rok 1939, gdy doszło do porozumienia Związku Sowieckiego z Niemcami. Porozumienie to, jak wiadomo, doprowadziło do wybuchu II wojny światowej.

PZ: Ta analogia ma określony podtekst. Rozumiem, że sytuacja jest dynamiczna i w dalszej fazie wojny może dojść do spektakularnego odwrócenia sojuszy. Jak w czerwcu roku 1941.

JB: Oczywiście. Na szczęście wygląda na to, że punkt zapalny znajduje się na kierunku azjatyckim, a nie naszym. Aczkolwiek Europejczycy, zwłaszcza Francuzi, rozumieją tę grę. I dlatego prezydent Emmanuel Macron tak pielgrzymuje do Moskwy. On chce przekonać Rosjan, żeby połączyli siły z Europą. Oczywiście z tą nową Europą Macrona, czyli francuską, bez Amerykanów. Zabiegając o to, oczywiście nie liczy się z państwami Europy Środkowo-Wschodniej, traktuje je jako przedmioty w grze mocarstw. Jego propozycja sprowadza się do tego, że Rosjanie staną się quasi-ekspedycyjną siłą wojskową Europy w nowej Eurazji. Razem stworzymy obszar, który będzie równoważył potężne Chiny. Ludziom na Kremlu oczywiście bardzo się to podoba. Ale ten plan, nazwijmy go scenariuszem małej Jałty, nie jest planem amerykańskim. Nie chcą go też Niemcy, które niedawno jakby opowiedziały się po stronie Amerykanów. Mam oczywiście na myśli propozy-

cję, którą Stanom Zjednoczonym złożyła w październiku 2020 roku minister obrony Annegret Kramp-Karrenbauer: Niemcy ściśle związane z Ameryką, inwestujące więcej w wojsko i biorące na siebie funkcję policjanta Europy. Dzięki temu Ameryka zostałaby odciążona w tej części globu i mogłaby się skupić na innych wyzwaniach.

PZ: To potwierdza, że sytuacja jest dynamiczna. Bo wcześniej wydawało się, że Niemcy ciążą raczej ku Chinom.

JB: Myślę, że Niemcy zrobili kilka analiz polityczno-wojskowych i zobaczyli, w jakim stoją miejscu. To jest zresztą bardzo dobra wiadomość dla Polski, bo można będzie połączyć opcję kontynentalną (czyli politykę proeuropejską) z opcją atlantycką (czyli polityką proamerykańską).

PZ: Jeżeli rzeczywiście dojdzie do nowego otwarcia między Niemcami a Stanami Zjednoczonymi, te dwa kierunki naszej polityki nie będą ze sobą sprzeczne. Gdyby jednak drogi Niemiec i Stanów Zjednoczonych zaczęły się na poważnie rozchodzić, Polska stanęłaby przed bardzo poważnym dylematem: Za kim się opowiedzieć?

JB: Amerykanie też sondują rozmaite możliwości. Problem polega na tym, że rozpiera ich pycha, narcyzm strategiczny. Uważają, że cokolwiek by się działo, i tak dadzą radę. Damy radę! Bo zawsze dawaliśmy.

PZ: Czyli Ameryka gotowa byłaby zaryzykować konflikt na dwa fronty? Jednoczesną konfrontację z Chinami i Rosją? Obawiam się, że to byłaby prosta droga do klęski.

JB: Są ludzie w Waszyngtonie, którzy wierzą, że poradziliby sobie z oboma tymi mocarstwami naraz. Ale życie szybko by to zweryfikowało. Gdyby jeden z tych przeciwników zadał Stanom Zjednoczonym jakiś bolesny cios, zapewne postarałyby się zamknąć któryś z tych frontów. Amerykanie są bardzo elastyczni.

PZ: Jak kalkuje Putin?

JB: Stoi przed poważnym dylematem. Generalnie Rosjanie uważają, że Chiny zwyciężą. W związku z tym nie chcą być po stronie Zachodu, po

stronie przyszłych przegranych. Ale z drugiej strony wiedzą, że jeśli Chińczycy wygrają, to potem dobiorą się do nich.

PZ: No tak, Syberia, kość niezgody… Łakomy kąsek dla Chin.

JB: Rosjanie mają więc twardy orzech do zgryzienia. To trochę jak z Adolfem Hitlerem. Wygrał wojnę w Europie. Zajął Czechosłowację, Polskę, Francję, Danię, Norwegię, Holandię, Belgię, Luksemburg i Bałkany. Ale z uwagi na zagrożenie własnego kraju zaatakował jeszcze dotychczasowego sojusznika – Związek Sowiecki, bo on nie dał mu się zwasalizować. A Hitler bardzo potrzebował sowieckich surowców i bał się sojuszu Stalina z Brytyjczykami.

PZ: Aby zrozumieć sprzeczność interesów Rosji i Chin, wystarczy sprawdzić, jaka jest gęstość zaludnienia Syberii. Te dzikie, słabo zasiedlone pustkowia obfitujące w surowce strategiczne. Tymczasem Chiny mają obecnie ponad 1,4 miliarda obywateli, głód surowców i apetyt na ekspansję. Wiktor Suworow powiedział mi kiedyś, że Rosjanki na Syberii marzą o chińskim mężu. Bo Chińczycy nie piją, nie biją, żyją dłużej niż czterdzieści lat i ciężko harują na rodzinę. Oczywiście przykład ten podaję półżartem, ale chińskie parcie na Syberię bez wątpienia przyprawia Kreml o silny ból głowy.

Teraz jednak chciałbym przejść do sprawy najważniejszej dla wielu naszych czytelników. Czyli – słoń a sprawa polska. O tym jeszcze nie mówiliśmy. Choć Pacyfik jest od nas daleko, widzę dwa zagrożenia dla Polski wynikające z wybuchu wojny między Chinami a USA. Pierwsze: Amerykanie zrozumieją, że aby pokonać tak potężnego przeciwnika, muszą skupić wszystkie swoje siły i opuścić Europę. Porzucą ją wojskowo i politycznie. Przestaną się interesować tym, co się tu dzieje, a już na pewno przestaną się interesować Europą Środkowo-Wschodnią. Wówczas w próżnię, która pojawi się po ich wyjściu, zapewne będzie próbowała wejść Rosja. Drugie zagrożenie to widmo nowej Jałty. W lutym 1945 roku na konferencji jałtańskiej prezydent Franklin Delano Roosevelt robił wszystko, by skłonić Stalina do zaatakowania Japonii. Stalin się zgodził i obiecał, że w trzy miesiące po zwycięstwie nad Niemcami Armia Czerwona wejdzie do akcji na Pacyfiku. I rzeczywiście 9 sierpnia 1945 roku Sowieci zaatakowali japoń-

ską Armię Kwantuńską w Mandżurii, dokonali desantu na Kuryle, uderzyli na południowy Sachalin, ruszyli na Koreę.

JB: To był spektakularny sukces.

PZ: Tak, Armia Kwantuńska się po prostu rozsypała. Amerykanie powtarzają, że to bomby atomowe skłoniły Japonię do kapitulacji. Tymczasem cesarstwo zdecydowało się poddać, kiedy w Tokio dowiedziano się, że do akcji wkroczyły Sowiety.

W 1945 roku Ameryka za udział w wojnie z Japonią zapłaciła Moskwie Polską i całą Europą Środkowo-Wschodnią. Czy jest możliwe, że teraz – w zamian za udział w koalicji antychińskiej – zapłaci jej tę samą cenę? Czy taki scenariusz jest w orbicie twoich analiz?

JB: Myślę o tym codziennie.

PZ: Kolejna rzecz, która nas łączy.

JB: Na to jest tylko jedna odpowiedź: należy mieć siłę, być podmiotem, a nie przedmiotem polityki. Dzięki tej sile można samemu wypełnić próżnię, która powstanie, jeśli Amerykanie opuszczą Europę. Musimy być na tyle silni, żeby nasi sąsiedzi musieli się z nami liczyć, żebyśmy byli brani pod uwagę w układzie sił. Innymi słowy: musimy być przy każdym stole, czyli inaczej niż w roku 1944 czy 1945.

PZ: No tak, ale wielu ludzi uważa, że – w razie poważnego zagrożenia ze Wschodu – bez Amerykanów sobie nie poradzimy.

JB: Wręcz przeciwnie. Jestem zdania, że moglibyśmy sobie poradzić. Wiem, że to brzmi rewolucyjnie. Ale należy zmienić mapę mentalną Polaków. Rosja jest państwem upadającym, o tragicznej demografii. Ma PKB naprawdę nie tak znacząco większy od PKB Rzeczypospolitej. A my mamy regionalny potencjał sojuszniczy: Szwecję, Ukrainę, Rumunię. Pas państw rozciągający się na zachodnim pograniczu Rosji jest znacznie od niej potężniejszy. Problem jest tylko z bronią jądrową. Ale w drabinie eskalacyjnej nie trzeba mieć broni jądrowej, żeby podnieść przeciwnikowi poprzeczkę wystarczająco wysoko. Pokazuje to choćby Turcja w Syrii, Libii czy Górnym Karabachu. Turcja, mimo że nie ma głowic jądrowych, potrafi być

górą w konfrontacji z Rosją. Już obecnie wydajemy na wojsko niewiele mniej niż Turcja. PKB mamy znacznie większe od Izraela, który ma świetną armię. Stać nas na to, żebyśmy na zbrojenia wydawali jeszcze więcej. Jesteśmy już krajem stosunkowo zamożnym. Problemem są nasze mapy mentalne, które mówią, że Rosjanie mają po 100 metrów wzrostu i są ich setki milionów. Nakryją nas czapkami. To nieprawda. Rosja ma problem z nasyceniem żołnierzem wszystkich kierunków operacyjnych. Ma archaiczną gospodarkę. Innymi słowy, możemy wystawić siły zbrojne – nowoczesne, mobilne, kompetentne – które obronią Rzeczpospolitą. Trzeba w to tylko uwierzyć.

PZ: To rzeczywiście brzmi rewolucyjnie. Proponuję ten pasjonujący wątek podjąć w kolejnej rozmowie. A tymczasem wróćmy do naszego tematu przewodniego, III wojny światowej. Gdybyś musiał teraz obstawić u bukmachera, kto ją wygra – Ameryka czy Chiny – kogo byś wybrał?

JB: Czy odpowiedź może być trochę dłuższa?

PZ: Oczywiście.

JB: Gdy w latach 2015–2016 pisałem swoją pierwszą książkę, *Pacyfik i Eurazja. O wojnie*, byłem przekonany, że Amerykanie przegrają. W czasach rządów Baracka Obamy byłem pewny, że w ogóle nie podejmą rękawicy rzuconej przez Pekin. Że wyzwanie jest tak ogromne, że odpuszczą. Gdy Donald Trump został prezydentem i pisałem moją drugą książkę, *Rzeczpospolita między lądem a morzem*, Amerykanie okazali chęć do podjęcia wyzwania. Uważałem jednak, że nie dadzą rady i szybko zrezygnują. Dlatego byłem w ogromnym szoku, że Trump na poważnie zabrał się do powstrzymywania Chin. Stworzenie sił kosmicznych, próba reformy marynarki wojennej, zakończenie wojny na Bliskim Wschodzie, próba blokady Chińczyków w kluczowych sektorach (ropa, układy scalone)… Wszystko to skłoniło mnie do zmiany zdania. Oczywiście wciąż uważam, że Amerykanie nie zdają sobie sprawy, z czym się mierzą. Ale tak jak trzy lata temu myślałem, że przegrają z Chińczykami, to teraz nie jestem już tego taki pewien. Problem polega na tym, że nie wiem, jak zamierzają pokonać Chiny. Obawiam się, że strategia, którą przyjęli, nie jest wystarczająca.

PZ: Co mogliby zrobić więcej?

JB: Na miejscu Amerykanów odpuściłbym wojnę handlową. Nie można w ten sposób złamać Chin. Chiny wygrywają wojnę handlową już teraz, o czym w Polsce się zupełnie nie mówi. Odpuściłbym to. Skoncentrowałbym się na odbudowie kompleksu przemysłowo-zbrojeniowego w Stanach Zjednoczonych, stworzył ogromne ośrodki badawcze i włożył w to bardzo dużo pieniędzy z prywatnej kapitalizacji. Bo w Stanach Zjednoczonych jest naprawdę bardzo dużo kapitału. Poza tym rozwijałbym siły kosmiczne, skróciłbym front zobowiązań w Eurazji, starał się wyprzedzić Chiny innowacyjnością. I nie odwlekałbym konfrontacji wojskowej.

PZ: Kiedy obecna rywalizacja amerykańsko-chińska może się zamienić w gorącą, prawdziwą wojnę?

JB: Obawiam się, że do roku 2030. W ciągu niecałej dekady możemy mieć kolejną wojnę.

PZ: Brzmi szokująco.

JB: Być może nawet wcześniej. W sierpniu 2020 roku były premier Australii Kevin Rudd wyraził obawę, że wojna z Chinami może wybuchnąć przed amerykańskimi wyborami prezydenckimi. Przypomnę: te wybory odbyły się w listopadzie zeszłego roku. Tak więc sytuacja jest napięta.

PZ: To już nie będzie wojna, jakie oglądaliśmy w telewizji. Taka jak interwencje w Iraku czy Afganistanie. Czyli starcie przeciwników o całkowicie innych siłach i możliwościach.

JB: Tak, to będzie wojna symetryczna.

PZ: Zewrą się ze sobą dwa wielkie światowe mocarstwa posiadające olbrzymie zasoby, wielkie armie, nowoczesne technologie militarne. Dwa giganty. Olbrzymi będzie również teatr działań, rozmiary zaangażowanych sił i środków. Do konfliktu zostaną wciągnięte inne państwa. Czegoś takiego świat nie oglądał od II wojny światowej. A więc od blisko ośmiu dekad. Czy można przewidzieć, jak konkretnie będzie przebiegał ten konflikt?

JB: Chińczycy odniosą spektakularne sukcesy w pierwszym tygodniu. Tak jak Japończycy po zbombardowaniu Pearl Harbor. Potem wszystko będzie

zależało od woli Amerykanów co do powrotu na Pacyfik.

PZ: A gdzie taka wojna mogłaby się zacząć? Co byłoby pretekstem? Na ogół mówi się, że Gdańskiem III wojny światowej może się okazać Tajwan.

JB: Pekin może ogłosić strefę zakazu lotów nad Tajwanem i selektywną chińską blokadę na komunikację morską na wyspę i z niej. Chińczycy mogą przepuszczać na przykład Japończyków, Koreańczyków i Niemców, ale nie Amerykanów. Wtedy Amerykanie muszą się zastanowić, czy przełamywać blokadę i rozpocząć wojnę, na co apetytu może nie mieć z kolei świat i sojusznicy, którzy będą błagali o negocjacje. Solidarność świata z Tajwanem legnie wtedy w gruzach.

PZ: Tajwan zbroi się na potęgę. Jego przyszłoroczny budżet wojskowy wynosi… 17 miliardów dolarów. Wyspa zamienia się w najeżonego lufami i rakietami obronnego jeża. Czy bez wsparcia USA Tajwan mógłby odeprzeć inwazję komunistycznych Chin?

JB: Mógłby, gdyby mądrze wydawał te pieniądze, lecz wydaje je teraz źle. Nie na te systemy walki i nie na taką organizację walki, jak powinien. Myśląc, że kupi sobie bezpieczeństwo w Stanach Zjednoczonych, kupując drogi amerykański sprzęt, popełnia błąd. Tak więc można wydawać pieniądze dobrze lub źle.

PZ: Wszystko to brzmi bardzo groźnie. Mam tylko dwie nadzieje. Po pierwsze, że w III wojnie światowej nie zostanie użyta broń jądrowa przeciwko celom cywilnym. A po drugie, że tym razem wichry wielkiej wojny ominą naszą udręczoną ojczyznę. Nie stać nas na powtórkę z koszmarnego XX wieku.

JB: Wszystko zależy od Rosjan. Gdyby zdecydowali się pójść na wojnę u boku Chińczyków, to stalibyśmy się wysuniętą kasztelanią, ostatnim bastionem Zachodu sięgającym pod Bug. A za Bugiem kolosalne rosyjsko-chińskie imperium lądowe rozciągające się na wielkich przestrzeniach Eurazji, od Brześcia po Szanghaj. Imperium, które jest głównym producentem dóbr na świecie i największym posiadaczem surowców energetycznych. Rosja jest bardzo blisko nas, a Stany Zjednoczone – bardzo daleko. To byłby dla nas koszmarny scenariusz.

PZ: Ja chciałem zakończyć tę rozmowę optymistycznie, a ty zdecydowałeś się na puentę pesymistyczną.

JB: Musimy się na to szykować. Nie możemy chować głowy w piasek.

PZ: Oczywiście. Zawsze należy się szykować na najgorszy scenariusz.

Źródło: „Historia Realna” 10 listopada 2020

Rozmowa 2

Czy Ameryka idzie na zderzenie?

PZ: W Waszyngtonie nowe rozdanie. W Białym Domu zamieszkał nowy prezydent, demokrata Joe Biden. Czego możemy się w najbliższych latach spodziewać w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych? Kontynuacji tego, co było za Donalda Trumpa, czy zwrotu o 180 stopni?

JB: To już widać. Nowe słowa, nowe szaty, nowe akcenty. Ale rdzeń wielkiej strategii Stanów Zjednoczonych zawsze jest ten sam.

PZ: Kurs na powstrzymywanie Chin zostanie utrzymany?

JB: Wypowiedzi sekretarza stanu Anthony'ego Blinkena, sekretarza obrony Lloyda J. Austina i samego Bidena świadczą, że na Pacyfiku będzie kontynuowana linia polityczna Donalda Trumpa. Oczywiście z pewnymi modyfikacjami. I to słusznymi. Chodzi o to, żeby bardziej przekonywać sojuszników w Europie i w Azji do przeciwstawiania się działaniom Pekinu. Trump uważał, że Amerykanie samodzielnie są w stanie wszystkich rozgrywać. Nie są w stanie. Biden to rozumie i to jest bardzo mądra konstatacja.

PZ: A co w nowym prezydencie ci się nie podoba?

JB: Mowa-trawa. Słowa, słowa, słowa i puste hasła, za którymi nie idą czyny. Jeżeli wielkie supermocarstwo mówi: „Proszę natychmiast uwolnić Aleksieja Nawalnego" i Rosjanie tego nie robią, to wielkie mocarstwo traci wiarygodność. Groźby i ostrzeżenia powinny być spełniane. Innymi słowy – jeżeli bierzesz pistolet do ręki, bądź gotowy nacisnąć spust.

PZ: Skoro już jesteśmy przy Rosji i Stanach Zjednoczonych, to musimy wspomnieć o sprawie bardzo nas interesującej. Donald Trump – co bardzo podobało się Polakom – starał się zablokować projekt rosyjsko-niemiec-

kiego rurociągu Nord Stream 2, grożąc sankcjami. Co zrobi w tej sprawie Biden?

JB: Tego jeszcze nie wiem. Chociaż przykładam ucho do ziemi i sprawdzam, czy słychać tętent koni. Nie ukrywam, że pojawiają się pogłoski, że Biden negocjuje w sprawie Nord Stream 2 z Niemcami. „Okej, Niemcy – powie. – Miejcie już ten swój gazociąg. Tylko załagodźcie jakoś obawy państw Europy Środkowo-Wschodniej. Jeżeli pójdziecie z nami, a nie z Chińczykami, to przymkniemy oko na Nord Stream 2". Takie są pogłoski.

PZ: Użyłeś określenia „wielka strategia Stanów Zjednoczonych". Na czym ona polega?

JB: Świat to wielka plansza, szachownica. Państwa to figury. Ta plansza jest odwiecznie ta sama. Jeżeli jest dziesięć przykazań wielkiej strategii Stanów Zjednoczonych, to pierwsze z nich brzmi: Ameryka jest potęgą morską. Jej bezpieczeństwo, pomyślność i bogactwo zależą od kontroli dostępu do Pacyfiku i Atlantyku. I dlatego toczyła wojny z Japonią, z Hiszpanią, a swego czasu szykowała się do wojny z Wielką Brytanią. Drugie przykazanie brzmi: Historia świata dzieje się w Eurazji. Na świecie bowiem tak naprawdę jest jeden kontynent, właśnie Eurazja. Reszta lądów to wyspy. Ameryka, największa z wysp, nie może pozwolić, aby w Eurazji znalazło się mocarstwo, które zdominuje politycznie ten kontynent, będzie kontrolowało przepływy strategiczne. To jest właśnie strategia potęgi morskiej, globalnej. Stany Zjednoczone po 1991 roku stały się globalnym hegemonem, który kontrolował zasady światowej gry.

PZ: Amerykanie chcą kontrolować oceaniczne linie komunikacyjne. Atlantyk, Pacyfik. Tak jak niegdyś Wielka Brytania, która „władała morzami". W książce *Rzeczpospolita między lądem a morzem* napisałeś, że walutą w stosunkach międzynarodowych jest potęga. To bez wątpienia słuszna konstatacja. Żeby utrzymać swój globalny prymat – który sprawowały przez trzy dekady – Stany Zjednoczone muszą mieć tej waluty więcej niż inni gracze. Pytanie, czy w nowych warunkach, niesamowitego wzrostu Chin, ostrego wejścia do gry przez Rosję, Amerykanie mają jej wystarczającą ilość. Czy nadal mogą realizować swoją wielką strategię? Wygląda na to, że świat jednobiegunowy – rezultat globalnego *pax Americana* – się

skończył. Wracamy do dziewiętnasto- czy dwudziestowiecznego koncertu mocarstw.

JB: Nad Potomakiem mają jeszcze dużo tej waluty. Wokół wysp Bahama mają jej olbrzymią ilość, ale czy nad Wisłą? Czy Amerykanie zdolni są do projekcji siły w Europie Środkowo-Wschodniej? Tego nie wiem. Geografia, olbrzymie światowe przestrzenie, powoduje jednak rozcieńczenie sił. Nie można wszędzie być potężnym. I na Pacyfiku, i w Europie. Bo amerykański prymat nie polega przecież na pięknych hasłach o demokracji i wolności. Opiera się on na tym, że Amerykanie mają globalną siłę manewrową i dają gwarancje bezpieczeństwa swoim sojusznikom. Dzięki tym gwarancjom powstaje infrastruktura umożliwiająca wymianę towarową na zasadach, które ustalili Amerykanie poprzez system Bretton Woods. Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy – wszystko to podlega amerykańskim regulacjom. Problem polega na tym, że Amerykanie nie są już najsilniejsi wszędzie. Na pewno nie w Azji, a w Europie – prawdopodobnie. Państwa, które chcą rozmontować obecny ład światowy – Rosja, Iran, Chiny – mówią: „Nie podoba nam się to". „Ale nam się podoba" – odpowiadają Amerykanie.

PZ: Jak rozstrzygnąć taki spór?

JB: Oczywiście potęgą. Silniejszy narzuca swoją wolę słabszym. Nie chodzi tu tylko o wojnę. O tysiące czołgów, samolotów i rakiet. Chodzi o służby, o cyberwojnę, ale również o pieniądze, kontrakty, surowce, potęgę gospodarczą. Wszystko to, co powoduje, że robisz, Piotrze, to, co ja ci mówię, albo ja robię to, co mówisz mi ty. To jest właśnie istota rzeczy.

PZ: Wspomniana przez nas „waluta". Czyli po prostu potęga.

JB: Weźmy przykład z naszego, polskiego podwórka. Amerykanie mówią: „Polacy, nie podoba nam się to, że chcecie nałożyć podatek cyfrowy na nasze wielkie firmy działające na waszym rynku". „Ale wiecie co, drodzy Amerykanie – odpowiadają Polacy – potrzebujemy tych pieniędzy. Dlaczego one mają nie płacić podatków?" Amerykanie na to: „Hmm… Jak myślicie, pomożemy wam czy nie pomożemy w wypadku wojny?".

Na samą myśl o tym, że Amerykanie mogliby nam nie pomóc, naszym decydentom miękną nogi. W efekcie podatek cyfrowy nie zostaje wprowa-

dzony. To się jednak może zmienić, jeśli wyczujemy, że Amerykanie tracą wiarygodność.

Doprawdy na świecie nic się nie zmieniło, odkąd człowiek jako narzędzia perswazji wobec bliźnich zaczął używać maczugi. Ten, kto ma większą maczugę, dyktuje warunki.

PZ: Skoro już jesteśmy przy Polsce, to dobrą ilustracją tego, co mówisz, są stosunki polsko-brytyjskie podczas II wojny światowej. Polakom wydawało się, że to jest sojusz, a to były relacje senior–wasal. Trochę się podczas wojny nasi politycy pomiotali, złożyli kilka patetycznych protestów, ale premier Stanisław Mikołajczyk na koniec i tak zrobił to, co mu kazał Winston Churchill. Rozmowy między nimi odbywały się mniej więcej tak, jak to przedstawiłeś. Rzeczywiście – nic się nie zmienia.

JB: Tak, mechanizmy, którymi rządzi się ten świat, są zawsze takie same.

PZ: Wróćmy do Stanów Zjednoczonych. W tym okresie, kiedy Stany Zjednoczone wygrały zimną wojnę i zaprowadziły na świecie *pax Americana*, miały przytłaczającą przewagę nad innymi mocarstwami. W latach dziewięćdziesiątych Amerykanie wyrabiali jedną czwartą światowego PKB, a po ataku na World Trade Center w 2001 roku 42 procent wydatków wojskowych całego świata to były wydatki amerykańskie. Kolosalna przepaść! Teraz, gdy w Azji wyrósł Amerykanom potężny rywal, te proporcje drastycznie się zmieniły. A co za tym idzie, pauza geostrategiczna, jak się to określa fachowo, dobiegła końca. Z perspektywy Polski najważniejsze pytanie jednak brzmi: Czy Amerykanie są na tyle potężni, że mogą jednocześnie być obecni na Pacyfiku i w Europie?

JB: Kiedyś zadałem to pytanie jednemu z naszych bardzo znanych polityków; był on wtedy ministrem obrony narodowej. Odpowiedział mi, że Amerykanie są tak potężni, że mogą być wszędzie. Ja mu oczywiście odpowiedziałem, że jest w błędzie. Amerykanie nie mogą być wszędzie. W czasie II wojny światowej alianci przyjęli zasadę *Europe first*. Oznaczało to, że najpierw rozprawią się z Hitlerem, a potem rzucą wszystkie środki i zasoby do walki na Pacyfiku, żeby pokonać Japonię. Nawet największe mocarstwa, które mają – wydawałoby się – nieograniczone zasoby, muszą wyznaczać sobie priorytety. Możliwości są zawsze ograniczone.

PZ: Nie mam wątpliwości, że obecnie w Waszyngtonie obowiązuje zasada *Asia first*. To przecież Chiny, a nie słaba gospodarczo Rosja, są najpoważniejszym rywalem Amerykanów w grze o globalną dominację.

JB: Punkt ciężkości świata, przepływów strategicznych, produkcji i przepływu kapitału bez wątpienia przesunął się do Azji. Europejczycy muszą się z tym pogodzić. Europa powoli staje się muzeum. Świadomość tego przeorze mapy mentalne w Polsce i w Europie Zachodniej. Amerykanie już to wiedzą. Problem jednak polega na tym, że Stany Zjednoczone muszą dokonywać projekcji siły przez oceany. Tak więc, jeśli dojdzie do wojny, będą walczyć z daleka od swoich macierzystych, najważniejszych baz. Będą walczyć w Eurazji.

PZ: No, Amerykanom już się to zdarzało i na ogół byli dość skuteczni. Walczyli w Europie podczas obu wojen światowych. Walczyli na Pacyfiku. Udawało im się przerzucić kolosalne siły przez oceany. Nie tylko okręty, ale i masy ciężkiego sprzętu – armat, samolotów, czołgów – i miliony żołnierzy. Pokazali już, że to możliwe.

JB: Czasy się zmieniły! Obecnie nie można by już było zgromadzić w Anglii tak potężnych sił praktycznie bez niemieckiego przeciwdziałania i później dokonać lądowania w Normandii. Gdyby Amerykanie próbowali to zrobić teraz, Anglia byłaby bombardowana, niszczona rakietami dalekiego zasięgu. Ale przecież, powtórzmy to, tu nie chodzi tylko o wojnę. Chodzi również o potencjały. Amerykanie w latach dziewięćdziesiątych mieli nawet większą przewagę, niż wspomniałeś. Bo przecież do ich potencjału należy doliczyć potencjał innych państw Zachodu, które były w obozie amerykańskim. Mowa o państwach, które akceptowały dziesięć przykazań amerykańskiej wielkiej strategii i posługiwały się dolarem w handlu międzynarodowym. To dawało Stanom Zjednoczonym miażdżącą siłę. Tak ogromną, że nikt nie próbował się opierać potędze Zachodu. Wydawało się wówczas, że zachodni model społeczno-gospodarczy jest najlepszy. Że jest modelem modernizacji organizacyjno-technologicznej. Tylko w demokracji liberalnej – uznano – mogą się rodzić nowe wynalazki, może się rozwijać Internet, dokonywać globalizacja. Ludziom żyje się wspaniale, podróżują, robią pieniądze. To pozwalało Amerykanom robić na świecie to, co im się podoba. Interwencja w Somalii w 1993 roku – proszę bardzo. Interwencja

w Kosowie w 1999 roku – proszę bardzo, interwencje w Iraku w 2003 – proszę bardzo. Uderzamy, gdzie chcemy i kiedy chcemy. W sumie Stany Zjednoczone od 1991 roku prowadziły kilkanaście wojen, a co najmniej siedem dość dużych!

PZ: Znów przypomina mi się to, co pisał profesor John Mearsheimer. W książce *Wielkie złudzenie. Liberalne marzenia a stosunki międzynarodowe* dowodził, że ta globalna dominacja przywiodła Amerykę do punktu, w którym zaczęła prowadzić politykę całkowicie nieracjonalną. Politykę, która zakładała, że cały świat należy uszczęśliwić liberalną demokracją. Przenieść ten „wspaniały, optymalny model" na wszystkie państwa na globie. To było szaleństwo. Dwoma dobrymi przykładami są Irak i Afganistan, gdzie Amerykanie wywołali całkowitą katastrofę. Ofiary tej romantycznej polityki idą w setki tysięcy ludzi.

JB: To efekt tego, że świat był jednobiegunowy. Wydawało się, że skoro Ameryka stała się taką potęgą, to zasady, na jakich funkcjonuje, są uniwersalne, idealne dla całej ludzkości. Oczywiście my, Polacy, wolimy wartości amerykańskie niż rosyjskie czy chińskie. Nie dotyczy to jednak wszystkich narodów. W innych kręgach cywilizacyjnych żyją one według własnych zasad. Ameryka ma supernowoczesne technologie, amerykańskie pojazdy latają w kosmos, amerykańskie rakiety trafiają w cel z olbrzymich odległości, ale na końcu to ludzie decydują. A w Iraku ludzie są szyitami, sunnitami…

PZ: Kurdami.

JB: Właśnie. Pomysł, żeby państwo podzielone sekciarsko i geograficznie między te trzy grupy urządzić na sposób demokratyczny, był przejawem amerykańskiego narcyzmu strategicznego.

PZ: Każdy, kto znał irackie realia, przewidywał, że wybory wygrają szyici, którzy stanowią blisko 60 procent społeczeństwa. I z miejsca zaczną gnębić Kurdów oraz sunnitów, którzy z kolei mieli dominującą pozycję za czasów Saddama Husajna. To musiało doprowadzić sunnitów do wściekłości i wojny religijnej. I tak się stało. Irak w wyniku amerykańskiej interwencji zapłonął. Na całe lata zamienił się w strefę śmierci i chaosu.

JB: Amerykanie rozwiązali rządową partię Baas, odebrali jej członkom broń i środki do życia. To się musiało skończyć fatalnie. Amerykanie naprawdę uznali, że są „wielkim miastem na wzgórzu" predestynowanym przez Najwyższego do przewodzenia światu.

PZ: Ta naiwna mesjanistyczna ideologia była w dużej mierze wytworem umysłów neokonserwatystów. To właśnie ci intelektualiści nakłonili prezydenta George'a W. Busha, aby zaatakował Irak. Obalał kolejne paskudne reżimy skupione w „Osi Zła" i wprowadzał w ich miejsce liberalną demokrację. Co ciekawe, spora część neokonserwatystów była wcześniej radykalnymi trockistami. Ludzie ci zmienili ideologię, ale pozostała im wiara w utopię. Skutkiem ich działań było morze krwi rozlane na Bliskim Wschodzie, ocean cierpienia mieszkańców tego regionu. Tragiczny los irackich chrześcijan, którzy za czasów Saddama Husajna żyli we względnym spokoju, jest chyba tego najlepszym przykładem. Społeczność ta, po amerykańskiej interwencji, niemal przestała istnieć. Trudno zresztą nie wspomnieć również o amerykańskich stratach w tej bezsensownej wojnie – zginęło w niej i zostało rannych około 4 tysięcy żołnierzy.

JB: Nieważne, czy to lewica, czy prawica – ludzie skłonni są uważać, że jeśli raz odnieśli sukces, to będą zawsze i wszędzie odnosić kolejne sukcesy. W Stanach Zjednoczonych jest stronnictwo Wszechimperium, którego członkowie uważają, że Ameryka musi prowadzić politykę opartą na wartościach. Na demokracji, prawach człowieka, wolnym rynku. Ostatecznym celem ma być przyjęcie tych wartości przez całą ludzkość. Tymczasem to tak nie działa. Bo – jak już mówiłem – siła jest ograniczona, potęga ma swoje granice. Nawet potęga Stanów Zjednoczonych.

Cofnijmy się o dwie dekady. Jest rok 2001. Rozpoczyna się wojna z terroryzmem po zamachach na World Trade Center i Pentagon. Ale jesteśmy również świeżo po powstaniu raportu komisji Donalda Rumsfelda, która ostrzegała o groźbie kosmicznego Pearl Harbor – potężnego ciosu wymierzonego w cały system kosmiczny Stanów Zjednoczonych, między innymi satelity. I Amerykanie co? Zamiast zrozumieć, że wypuścili dżinna z butelki, czyli pozwolili przystąpić Chińczykom do Światowej Organizacji Handlu, a co za tym idzie, dopuścili do globalnego łańcucha dostaw kilkaset milionów wolnych rąk do pracy, to zajęli się peryferyjnym problemem

na Bliskim Wschodzie. To jest przełomowy moment w dziejach świata. To wówczas do globalnej gry przystąpili Chińczycy, najstarsza cywilizacja świata, która nieprzerwanie istnieje do dziś.

PZ: O Chinach porozmawiajmy może w kolejnym rozdziale. To następny temat rzeka.

JB: Wróćmy zatem do Stanów Zjednoczonych. Amerykanie stracili kilkanaście lat, angażując się w peryferyjny konflikt, który kosztował masę pieniędzy. Tymczasem prawdziwe zagrożenie wyrastało w Azji, w rejonie Pacyfiku. Nasi czytelnicy powinni wiedzieć, że wszystko, o czym mówimy, sprowadza się do podziału pracy. Wszystko to można podsumować jednym zdaniem: Kto na kogo pracuje. Reszta to dodatek. Wojny są tylko instrumentem osiągania tych celów. Amerykanie myśleli, że zawsze będą na szczycie globalnego podziału pracy, będą kontrolować cykle kapitałowe i technologiczne, a amerykańskie siły zbrojne w Eurazji zadbają o stabilność tego nieproporcjonalnego systemu. I przez to nie przygotowali się do prawdziwego wyzwania, jakim stał się marsz Chin do gospodarczej dominacji nad światem.

PZ: Przegapili, przespali ten moment. Oczywiście kierowali się poczuciem, że po ataku na World Trade Center muszą zrobić coś spektakularnego. Jesteśmy silni, potężni, musimy pokazać światu, że nie damy się atakować bezkarnie. Stąd totalna demolka Afganistanu i Bliskiego Wschodu. Powodem interwencji w Iraku była broń masowego rażenia, którą rzekomo miał Saddam. Od ataku minęło blisko dwadzieścia lat, a żadnej takiej broni tam nie znaleziono. Do tamtych czasów nie ma jednak powrotu. Donald Trump był pierwszym amerykańskim prezydentem od wielu lat, który nie wywołał żadnej wojny. To chyba świadczy o tym, że w Waszyngtonie zdano sobie wreszcie sprawę, że są ważniejsze rzeczy, którymi trzeba się zająć.

JB: Amerykanie w czasach swej największej potęgi mieli standard możliwości prowadzenia dwóch wojen jednocześnie. Później przyjęli standard jeden i trzy czwarte wojny. Nikt nie wiedział, co to tak naprawdę znaczy. Co oznacza te 75 procent. Czyli na jednym froncie zwyciężamy, a na drugim trochę powstrzymujemy, trochę przegrywamy, ale ostatecznie jakoś dajemy radę? To ostatnie założenie przyjął Barack Obama. Teraz wyraźnie

już widać, że jest jeden priorytet. Tym priorytetem jest Pacyfik. Nie ma co do tego żadnej wątpliwości, widać to po tym, jak wygląda struktura budżetu Stanów Zjednoczonych. Amerykanie, owszem, przygotowują się do wojny lądowej w Europie, ale przede wszystkim do wojny z Chinami. W Waszyngtonie pojawiają się coraz poważniejsze głosy, że w budżecie nie ma pieniędzy na to, by jednocześnie trwać w Europie i powstrzymywać Chiny. Amerykańscy przywódcy zdają sobie sprawę z powagi wyzwania, z ogromu pieniędzy, które mają Chińczycy. Ale przede wszystkim z tyranii dystansu, z geografii wojskowej Pacyfiku. Moim zdaniem decyzja o chińskim priorytecie została podjęta, tylko nie powiedziano tego jeszcze europejskim sojusznikom. Drobny przykład: piechota morska właśnie zrezygnowała z czołgów. To jest wyraźny krok pod teatr wojny na Dalekim Wschodzie. Teatr ten wymusza bowiem wprowadzenie kompletnie innego uzbrojenia niż teatr europejski. Tam są zupełnie inne przestrzenie, nie ma masy lądu, walki będą się odbywać w powietrzu i na morzu, z dodatkiem kosmicznego rozpoznania. Europejscy sojusznicy będą więc musieli radzić sobie sami. Może Ameryka od czasu do czasu przekaże im trochę sprzętu i technologii, o poważniejszej pomocy nie będzie jednak mowy.

PZ: To, co teraz powiedziałeś, może być szokujące dla wielu czytelników. Obecny obóz rządzący oparł bowiem całą swoją strategię, całe bezpieczeństwo Rzeczypospolitej Polskiej, na założeniu odwrotnym – na świętej wierze w to, że Stany Zjednoczone będą w naszym regionie zawsze, że zawsze będą nam pomagać i ratować. Dlaczego? Bo nas kochają, bo Polacy i Amerykanie mają wspólne wartości. Nie będę powtarzał tych wszystkich pustych frazesów, doskonale znanych z mediów rządowych. Jeżeli stanie się tak, jak mówisz – może to oznaczać dla Polski katastrofę. Nasi politycy wszystko bowiem postawili na jednego konia. A ten koń może zawieść.

JB: A może Polska po prostu wydorośleje.

PZ: Czyli zmieni swoją jednobiegunową politykę?

JB: W polityce wszystko jest przedstawieniem, teatrem. To gra między wiarygodnością, pustymi obietnicami, kłamstwem. Celem jest oczywiście utrzymanie wpływów, by mieć sprawczość służącą własnym interesom. Amerykanie nas oczywiście pięknie oszukują. Robią to naprawdę wspa-

niale. Raz na jakiś czas przylecą do nas nowoczesne amerykańskie samoloty, przyleci polityk, który powie coś miłego i zapewni o trwałości naszego przymierza. Co pewien czas coś nam sprzedadzą. Bo im chodzi o równowagę, o to, by przekonać sojuszników o swojej sile i wiarygodności. Na pewno pamiętasz, że Adolf Hitler, siedząc w 1945 roku w swoim bunkrze, przesuwał na mapie nieistniejące armie.

PZ: Oczywiście. Co ciekawe, zostało to uwiecznione w słynnej – przerabianej na tysiące sposobów na YouTubie – scenie ze znakomitego filmu *Upadek*.

JB: Takich rzeczy nie robi się dlatego, że się w to wierzy. Po prostu, gdy się przegrywa, jest się w defensywie, raptem „tworzą się" papierowe armie. W realnej rzeczywistości nieistniejące. W ten sposób uzasadnia się swoją wiarygodność wobec podwładnych, sojuszników itp. Chodzi o wywołanie przekonania, że wciąż jesteśmy potężni i wciąż mamy szansę. Pytanie, jak Amerykanie będą mnożyć teraz swoje siły w Europie. Pewnie dwa samoloty będą robiły za całą eskadrę, pół brygady przebywającej rotacyjnie na terenie Polski będzie przedstawiane jako niesamowita siła. Polscy politycy będą to oczywiście powtarzać, będą mówili o stałej obecności US Army w naszym kraju. Wiarygodność w polityce jest wszystkim. Nie chodzi o realną potęgę, ale o jej percepcję przez innych. Przecież nikt nie wsadza termometru w czołg, potencjalni rywale oglądają się i szacują swoje siły z dystansu. Oceniają możliwości przeciwnika i swoje szanse.

Amerykanie zrobią wszystko, żeby ich oceniać sto na sto. 100 procent szynki w szynce. Do czego im to potrzebne? Bo skoro nad Wisłą są tak oceniani, to mogą zadzwonić do polskiego premiera i powiedzieć: „Panie premierze, skoro my was wspomagamy i zapewniamy wam bezpieczeństwo, to wy musicie się nam odwdzięczyć i zrobić to i to". Polski premier na to odpowiada: „No, skoro wy jesteście 100 procent szynki w szynce, to rzeczywiście musimy robić, co chcecie".

PZ: (*śmiech*) No tak. Gorzej będzie, jeśli się okaże, że ta szynka jest poważnie rozwodniona i prawdziwego mięsa jest w niej znacznie mniej.

JB: Oczywiście Amerykanie nigdy nam tego nie powiedzą. Nie powiedzą: „Panowie, w rzeczywistości jest tylko 10 procent, mamy na głowie inne

sprawy niż wasze bezpieczeństwo, jesteście sami”.

PZ: Oczywiście. Bo wtedy Polacy nie będą chcieli się odwdzięczyć.

JB: W tym kontekście pojawia się pytanie, do jakiej wojny mogliby nas wykorzystać Amerykanie. Jaki jest scenariusz naszego ewentualnego udziału w wojnie w kontekście wielkiej strategii amerykańskiej? Jak sobie to wyobrażają w Waszyngtonie? Czy mamy być dodatkową siłą ekspedycyjną użytą w odległych wojnach, tak jak w Afganistanie i Iraku? No chyba nie. Czasy Bronisława Komorowskiego już chyba minęły.

PZ: Na Pacyfik nas chyba nie wyślą?

JB: Uważałbym z takimi stwierdzeniami. Były takie pomysły za wczesnego Trumpa, tylko że Amerykanie zobaczyli, że Europejczycy nie bardzo mają na to ochotę.

PZ: Nie wyobrażam sobie polskiego rządu, który na coś tak szalonego by się zgodził. Chociaż z drugiej strony…

JB: Obyśmy tego w złej godzinie nie powiedzieli, Piotrze. Dlatego, że pierwszy łańcuch wysp pacyficznych stwarza idealne warunki do udziału naszych sił specjalnych w operacjach powstrzymywania swobody przepływów strategicznych Chin. Do blokady morskiej, systemu rozpoznania. Gdyby Amerykanie naprawdę poszli na konfrontację z Pekinem, być może mogliby wysunąć pod naszym adresem takie żądania. Wywierać presję na wysłanie naszych sił na Pacyfik.

PZ: Oby nasz rząd znalazł dość siły, by tej presji się oprzeć. Nasi żołnierze – w imię amerykańskich interesów – ginęli już na pustyniach Iraku i bezdrożach Afganistanu. Teraz mieliby tonąć w Pacyfiku. Jeszcze tego brakowało!

JB: Pocieszające jest to, że wyraźnie słabną wewnętrznie. Nie wiadomo, czy prezydent Biden znajdzie dość siły, żeby się zmierzyć z Chinami. To, co mówię, może być oczywiście zaskakujące. Bo przecież w Polsce – jak się słucha wiadomości telewizyjnych – można odnieść wrażenie, że skoro Amerykanie rywalizują z Chinami, to znaczy, że już wygrali. Możemy zatem otwierać szampana. To jest tymczasem długa droga.

PZ: A sukces niepewny.

JB: Chińczycy są przekonani, że wygrają, że to tylko kwestia czasu.

PZ: Gdy rozmawiam ze zwolennikami oparcia się tylko na Stanach Zjednoczonych, widzę, że Ameryka jest dla nich nadzieją na wyrwanie się z zaciskających się wokół Polski kleszczy – jak ujął to Adolf Bocheński w swojej słynnej książce *Między Niemcami a Rosją*. Moim zdaniem od tego dylematu ucieczki jednak nie ma. Z jednym z tych sąsiadów musimy żyć w zgodzie, co oczywiście nie oznacza, że musimy mu się całkowicie podporządkować. A jaki jest twój pogląd? Czy Polska może rozegrać swoją własną partię, czy też na końcu i tak będzie musiała wybierać między Moskwą a Berlinem?

JB: Polska może rozegrać własną partię oraz wciąż może do niej zaprosić Stany Zjednoczone. Wcześniej parametry, o których mówiliśmy – czyli słabnięcie USA, słabnięcie Rosji, wzrost Chin oraz niemoc Niemiec – dają bardzo duże pole manewru dla mądrej polityki polskiej. Polityki, która musi przełamać naszą historię. Przełamać paradygmat myślenia cierpiętniczego.

PZ: Na czym miałoby polegać wciągnięcie Stanów Zjednoczonych do polskiej strategii?

JB: Otóż Amerykanie czują, że słabną i muszą wyjść na Pacyfik. W tej sytuacji muszą pozostawić jakiegoś policjanta w Europie. Wiedzą przecież, że gdy wyszli z Bliskiego Wschodu, to w Iraku i w Syrii wybuchły wojny domowe. Gdy wyjdą z Europy, to nie wiadomo, co się stanie. Rosjanie mogą wejść w próżnię, o której mówiłeś, bo Europa de facto nie ma sił zbrojnych.

PZ: Polska miałaby odegrać rolę takiego – uzbrojonego przez Amerykanów – policjanta? Policjanta, który miałby powstrzymać Rosję niejako w imieniu Stanów Zjednoczonych?

JB: Być może. Być może do spółki z Niemcami.

PZ: Z Niemcami?

JB: Niemcy nie chcą podjąć ostatecznej decyzji. Chcą handlować ze wszystkimi i chcą ze wszystkimi dobrze żyć. Ale oczywiście będą musieli zdecydować, po której stronie się opowiedzieć. Niemcy mogą rzecz jasna nie zrobić nic i dalej skupiać się na zarabianiu pieniędzy, ale wtedy doprowadzą do atrofii relacji transatlantyckich. Amerykanie stracą wiarę w Europę, co skończy się podziałem naszego kontynentu. Rosjanie zajmą zapewne część Ukrainy, złamią gwarancje bezpieczeństwa państw bałtyckich.

PZ: Jaką inną opcję ma Berlin?

JB: Niemcy mogą podjąć kolejną próbę budowy imperium europejskiego na niemieckim fundamencie. Chodzi o projekt, który był realizowany za Wilhelma II i Adolfa Hitlera. Tylko oczywiście bez tych wszystkich okropności, ludobójstwa dokonanego przez III Rzeszę. Tym razem chodzi o system gospodarczy. Oczywiście Francuzi będą przeciwni tej opcji. Bo Francuzi też chcą rządzić Unią. Niemcy będą więc musieli wziąć ich za twarz i tym bardziej będą potrzebowali Polski. Chodzi o tanią pracę, bliskość geograficzną, bufor bezpieczeństwa oddzielający Niemcy od Wschodu. A także o równoważenie pozycji Francji.

PZ: Czyli układ przypominający polsko-niemiecką deklarację o niestosowaniu przemocy z 26 stycznia 1934 roku?

JB: Niemcy nie mają broni jądrowej i również będą się bali zostać sami bez Amerykanów. To otwiera przestrzeń do gry dla Polski. Jeżeli Niemcy będą realizowali opcję imperialną, to myślę, że zaproponują Amerykanom układ. Ostatecznym arbitrem lennym, suwerenem, który będzie wydawał wyroki, pozostaną Stany Zjednoczone. Niemcy będą zaś przewodzić Europie, a Polacy będą partnerem Niemiec. I to jest bardzo dobra opcja dla Polski.

PZ: Też tak myślę.

JB: Problem polega na tym, że polscy politycy uważają, że niepodległość jest kwestią absolutną, i nie będą chcieli rozmawiać z Niemcami na ten temat. Zresztą Niemcy też się nie spodziewają, że moglibyśmy im zaproponować podobny – korzystny dla obu stron – układ. Przez ostatnie trzydzie-

ści lat nie pokazaliśmy im bowiem, że moglibyśmy samodzielnie podejmować takie inicjatywy.

PZ: Niemcy stoją więc przed poważnym dylematem. Mają potężną gospodarkę, rozległe interesy na świecie, żyje im się bardzo dobrze. Ale to nie może przecież trwać wiecznie. Nadchodzi czas wielkich zmian i rozstrzygających decyzji. Powiedziałeś o dwóch opcjach, które ma do wyboru Berlin. Obie te opcje mają w Niemczech zwolenników i przeciwników. Jak rozkładają się te siły?

JB: Wspominałem już, że minister obrony Niemiec Annegret Kramp-Karrenbauer zaproponowała Amerykanom opcję drugą. Krążą pogłoski, że spora część strategów politycznych w Niemczech tak właśnie myśli. Problem polega na tym, że nie chce tego niezwykle potężny i wpływowy niemiecki biznes. Bo on chce dalej robić interesy z Pekinem. Chiny – a nie Stany Zjednoczone – stały się największym partnerem handlowym Niemiec. Podobnie jest z innymi krajami Europy. Niemieccy przemysłowcy, bankowcy myślą krótkoterminowo, oni chcą zarabiać pieniądze, strategiczne, dalekosiężne plany mało ich interesują. Chiny? To są jakieś amerykańskie problemy. Projekt imperialny wywołuje zresztą obawy również w klasie politycznej Niemiec. Bo przecież możliwy jest także trzeci scenariusz. Projekt imperialny się nie powiedzie, Niemcy śmiertelnie skłócą się z Francją i cała Europa rozklekocze się tak jak Chiny w XIX wieku. Wypadnie z gry.

PZ: To byłaby katastrofa również dla Polski. Rozbita, podzielona Europa to idealny scenariusz dla Rosji. Nie mówiąc już o kolosalnych stratach finansowych i gospodarczych, jakie by on spowodował. Mam na myśli odcięcie od unijnych funduszy, wstrzymanie modernizacji, ale również to, że głęboka recesja w Niemczech pociągnęłaby za sobą recesję w Polsce. Niemcy są naszym partnerem handlowym numer jeden, nasze gospodarki są powiązane tysiącami nici. Niektórzy uważają nawet, że powoli zespalają się w jedną.

JB: Polska łódka jest oczywiście w tej chwili ściśle związana z losem Niemiec. Masz rację, że znajdujemy się między Niemcami a Rosją i musimy wybierać między nimi.

PZ: Mam wrażenie, że ten wybór został dawno dokonany. Mniej więcej trzydzieści lat temu. Spotkanie w Krzyżowej, traktat polsko-niemiecki o dobrym sąsiedztwie z 1991 roku, wejście Polski do Unii Europejskiej „przez Bramę Brandenburską". Polska mogła przecież pójść drogą Białorusi, a wybrała Europę Zachodnią. A to tak naprawdę – choć wielu nie dopuszcza tego do świadomości – jest opcja niemiecka. Polityka obecnego rządu nie zdoła zmienić tego procesu. Polsko-niemieckie zbliżenie, chociażby w sprawach gospodarczych, zaszło zbyt daleko, żeby można je było odwrócić.

JB: Ale Rosja też chce wziąć udział w grze o wpływy w systemie europejskim. Została z niej wypchnięta za czasów prezydentury Borisa Jelcyna, po rozpadzie Związku Sowieckiego. W latach dziewięćdziesiątych nikt się z nią nie liczył. Dzięki temu wstąpiliśmy do NATO, powstały Białoruś, Ukraina, Gruzja. Rosja Putina przeszła do kontrofensywy. Zatrzymała ekspansję NATO w Gruzji i Donbasie, a teraz oczekuje, że silne państwa Europy – Francja i Niemcy – będą ją traktować jako partnera w nowym koncercie mocarstw. A Polska i inne „państwa sezonowe" Europy Środkowo-Wschodniej mają być obezwładnione w swojej sprawczości.

PZ: Mają być przedmiotami, a nie podmiotami gry.

JB: Właśnie. Na Kremlu uważają, że Rzeczpospolita może być w amerykańskiej, niemieckiej albo rosyjskiej strefie wpływów. To jest właśnie ta gra o Polskę. To, czy decydujemy sami o sobie, jest ściśle związane z naszym potencjałem. Tu chodzi o konkrety: o to, czy mamy Świnoujście, elektrownię atomową, czy Azoty w Puławach, nowoczesne autostrady. Bo wyobraźmy sobie taki scenariusz: Amerykanów w Europie nie ma. Niemcy nie mają wojska i nie podejmą decyzji o budowie imperium, które silna Polska zabezpieczałaby od wschodu. I wówczas Rosjanie mogą wykorzystać swoją szansę. Przeprowadzić jakieś demonstracje wojskowe w obwodzie kaliningradzkim, gdzie znajdują się pociski balistyczne *Iskander*. Niemcy uznają, że coś może spaść na Berlin, i postanowią się nie mieszać. Rosjanie zażądają wówczas od nas na przykład, żebyśmy zburzyli gazoport w Świnoujściu. My odpowiemy: „Rosjanie, chyba żartujecie, spadajcie". „Skoro tak, to wojna" – odpowiedzą Rosjanie.

Do tego to się sprowadza. Jak z Wolnym Miastem Gdańsk w 1939 roku. Wtedy żądania wysunął Hitler. Polacy – ufni w swoją armię, w gwarancje i pomoc sojuszników – się postawili i rzeczywiście doszło do wojny.

Tym razem może być tak, że Niemcy zadzwonią do naszych przywódców i powiedzą: „Po co eskalujecie sytuację? Czy naprawdę tego potrzebujecie?". „Potrzebujemy" – potwierdzą Polacy. „Ale my nie potrzebujemy – odpowiedzą Niemcy – bo się boimy wojny. My chcemy handlować i mieć spokój". „Co z tego? – powiedzą Polacy. – Co nas to interesuje? Nie zrezygnujemy ze Świnoujścia". Wówczas Niemcy zmienią ton: „Ale dotacje albo pomoc finansową z Unii chcecie? Wiecie, że to my o nich decydujemy?". „No tak…"

PZ: To jest ta odwieczna gra o sprawczość, o której mówiłeś. Ostatecznie decyduje potężniejszy – ten, który ma w ręku więcej „waluty siły" i może wywrzeć presję na słabszego. A więc będą za nas decydować Amerykanie lub Niemcy. Smutne to bardzo.

JB: Tak działa świat. Czy się to komuś podoba, czy nie. Zawsze tak działał i będzie działał. Liczą się tylko mocarstwa, a mniejsi gracze muszą manewrować w ramach swoich ograniczonych możliwości. Nie ma jednak wątpliwości, że dla Stanów Zjednoczonych propozycja Annegret Kramp-Karrenbauer byłaby jakimś wyjściem z problemu. Skoro musimy wszystko przerzucić na Pacyfik, to jak utrzymać Europę? Ktoś to musi zrobić w naszym imieniu. Wariant niemiecki byłby wówczas sensowny i wówczas Polska mogłaby w takim układzie znaleźć dla siebie miejsce.

PZ: W tej rozmowie cały czas zakładamy, że Stany Zjednoczone będą w przeciwnym obozie niż Rosja. Ale przecież – jak uczy nas historia świata – sojusze są zmienne. Sowieci na początku wojny byli w sojuszu z Niemcami, a na końcu zajęli Berlin. Amerykanie podczas wojny bili się z Niemcami w sojuszu z Sowietami, a po wojnie Niemcy stali się ich bliskim sojusznikiem przeciwko Sowietom. To samo dotyczy Japonii. Przykłady takie można mnożyć. Wyobraźmy więc sobie zupełnie inną konstelację. Scenariusz, o którym mówiliśmy w poprzedniej rozmowie. Czyli nie Ameryka i Niemcy kontra Rosja i Chiny, ale Ameryka i Rosja razem przeciw Chinom. W Niemczech zwycięża wówczas biznesowa opcja handlu z Chinami i oba te państwa zawierają sojusz. Wtedy, jeśli dalej będziemy się

trzymać spódnicy amerykańskiej, wylądujemy w sojuszu z Rosją. A jeśli będziemy się mocniej trzymać spódnicy niemieckiej – w sojuszu z Chinami.

JB: Wszystkie opcje należy brać pod uwagę. To, co mówisz, jest o tyle trafne, że – wbrew wyobrażeniu naszych amerykanofilów – świat transatlantycki ma naprawdę bardzo krótką historię. Paradoks rzeczywiście polegał na tym, że należało pokonać Niemcy, żeby stworzyć świat transatlantycki razem z Niemcami.

PZ: Ameryka zawsze konkurowała z europejskimi mocarstwami. Dopiero gdy zdobyła pozycję globalnego hegemona, wzięła je wszystkie pod swoje skrzydła. Takie są realia, choć oczywiście dumni Francuzi się na to zżymają.

JB: Rzeczywiście jest tak, że Amerykanie będą się starali zwrócić Rosję przeciwko Chinom. Amerykańska administracja, wbrew temu, co mówił Biden, już to powoli robi. Trump zbudował mocną pozycję negocjacyjną, ale demokraci właściwie przed Putinem skapitulowali. To jest oczywiście niekorzystne dla nas, bo w razie wojny z Rosją to nie Amerykanie będą atakowani taktyczną bronią jądrową, lecz my. Trump obsługiwał więc nasz interes, próbując twardo negocjować z Rosją. Biden odpuścił, wyraźnie nie liczy się z interesami Europy Środkowo-Wschodniej. Stąd układ z Rosją jest bardzo prawdopodobny. Powiem więcej, rozmawiałem z Chińczykami i oni doskonale rozumieli to wszystko, o czym tu mówimy. To było szokujące. Byłem w Szanghaju, w Hongkongu, Pekinie i spotykałem się z nimi. To mądrzy, wykształceni ludzie, o szerokich horyzontach. Zresztą co tu dużo mówić – człowiek, za którym stoi zaledwie tysiąc lat historii jego państwa, rozmawiał z ludźmi, którzy mieli imperium od kilku tysiącleci. To ma swoje znaczenie. Mówię to z przekąsem, bo Polacy mają wrażenie, że Chińczycy blefują.

PZ: Niedocenianie Chin to głupota. Bez wątpienia możemy się jednak zgodzić z chińskim przywódcą Xi Jinpingiem, który zaraz po rozmowie z Bidenem powiedział, że konfrontacja między Stanami Zjednoczonymi a Chinami byłaby katastrofą dla świata. Koszta ludzkie i gospodarcze takiej

wojny byłyby kolosalne. Gdyby te dwa giganty się starły, cały świat zatrząsłby się w posadach.

JB: Biden też pewnie zgodziłby się w tej sprawie z Xi Jinpingiem. Ale to jest silniejsze od woli ludzkiej. Wojny wybuchają jak burza, jak trzęsienie ziemi. To działa jak prawo grawitacji. Gdy interesy są nie do pogodzenia i nie da się osiągnąć kompromisu, mocarstwa idą na wojnę. Amerykanie nie potrafią zaakceptować tego, że świat mógłby być teraz dualistyczny, że rządziliby nim Amerykanie i Chińczycy. Amerykanie przywykli do swojego prymatu, globalnej supremacji. Trudno im byłoby z tego zrezygnować.

PZ: No, całkiem niedawno jakoś w takim układzie nieźle funkcjonowali. I to blisko pół wieku. Ostatnie trzydzieści lat to rzeczywiście prymat USA. Ale w czasach zimnej wojny świat był dwubiegunowy. I rywalizacja ze Związkiem Sowieckim jakoś nie przerodziła się w wojnę gorącą. Może więc po prostu wrócimy do tamtych czasów?

JB: Muszę się z tobą nie zgodzić. To był zupełnie inny świat. Sowieci nie byli równorzędnym rywalem Stanów Zjednoczonych. Nie byli wprzęgnięci w globalny kapitalistyczny podział pracy. Nie produkowali, nie handlowali na rynkach światowych. Amerykanie powstrzymywali sowieckie przepływy strategiczne. W krajach bloku wschodniego niemal nie można było podróżować. Tymczasem ponad 100 milionów Chińczyków co roku wyjeżdża za granicę i wraca do ojczyzny – Chiny nie tylko produkują na rynki całego świata. Sowieci zaś byli obecni tylko tam, gdzie były ich wpływy polityczno-wojskowe. Kuba, Libia, zresztą inżynierowie z PRL-u też wyjeżdżali do pracy do tych krajów. My nie mogliśmy wyjeżdżać, przesyłać towarów, informacji, danych, nie było wolności strategicznej przepływu. Dlaczego? Amerykanie uznali, że Sowieci mają tak olbrzymie kłopoty wewnętrzne, systemowo-gospodarcze, że prędzej czy później się zapadną. Wystarczy nie dać im wyjść w świat. I Amerykanie to zrobili za pomocą strategii powstrzymywania. Nie dali Sowietom wyjść na światowe rynki, na oceany. W efekcie Związek Sowiecki ze swoją niewielką gospodarką się załamał. Tymczasem Chińczycy są centrum współczesnego świata. Nie można ich powstrzymać przed wejściem na rynki, bo oni dawno już je zdominowali.

PZ: Tak, zdecydowanie nie widać, żeby chińska gospodarka miała się zapaść. Przeciwnie, wskaźniki świadczą, że rozkręca się na skalę wręcz niewyobrażalną.

JB: To chciwość kapitału amerykańskiego, krótkowzroczność oraz brak etyki pracy doprowadziły do tej sytuacji. Jeśli zapominamy, że praca ma wymiar etyczny i sprowadza się nie tylko do obsługi kapitału, kończy się to katastrofą. Kapitał amerykański pofrunął radośnie do Chin, bo tam były tanie koszty pracy. Tam została przeniesiona lwia część produkcji. Bo taniej. No, ale jeżeli Amerykanie wyeksportowali miejsca produkcji, stanowiska pracy, to czego się właściwie spodziewali? Że patentów, technologii będą pilnowali zbrojnie? Tylko wojskiem i statusem dolara, nic przy tym nie produkując? Przecież było oczywiste, że producent prędzej czy później się zbuntuje.

Źródło: „Historia Realna” 26 lutego 2021

Rozmowa 3

Czy Chiny zdominują świat?

PZ: Za mojego życia Chiny przeszły niebywałą metamorfozę. Obraz Chin z czasów mojej młodości to wielkie pola ryżowe, na których zabiedzeni bosonodzy rolnicy brodzą po kolana w wodzie. Potem – wielka światowa montownia, rezerwuar taniej siły roboczej, w którym produkowane są rzeczy wymyślone na Zachodzie. A wreszcie – Chiny jako dostawca tanich plastikowych produktów niskiej jakości. „Made in China" było synonimem tandety. A teraz? Całkowite przeciwieństwo! Potęga gospodarcza, kraj nowoczesnych marek i innowacji. Azjatyckie mocarstwo, które rzuciło wyzwanie Stanom Zjednoczonym. Co się stało?

JB: To temat wielki jak ocean. Państwo Środka ma własną cywilizację. A właściwie to nie państwo, tylko cywilizacja. Spójrz na mapę – Azja to właściwie Chiny, reszta to jedynie przybudówki. Tak mówią Chińczycy o sobie. Chiny to serce Azji, najbardziej zaludnionego kontynentu na świecie. Historycznie najbardziej produktywnego z wyjątkiem ostatnich 200 lat, krótkiego okresu po rewolucji przemysłowej. Chińczycy mówią jednak wprost: „Spokojnie, panowie i panie z Zachodu, my wracamy na swoje miejsce. To nie żadna rewolucja, po prostu wszystko wraca do normy. Sięgamy po miejsce, które nam jest należne".

PZ: Europejczycy i Amerykanie przyzwyczaili się do świata zdominowanego przez białego człowieka. Jego cywilizację, gospodarkę, wartości.

JB: Z perspektywy człowieka Zachodu obecny wzrost Chin jest największym i najbardziej spektakularnym zdarzeniem w najnowszych dziejach świata. Nigdy nie wydarzyło się nic na taką skalę. Nieporównywalny z tym jest wzrost Kraju Kwitnącej Wiśni po rewolucji Meiji. Nieporównywalny

z tym jest wzrost kajzerowskich Niemiec, a nawet Stanów Zjednoczonych po wojnie secesyjnej. Zarówno co do parametrów gospodarczych – takich jak przyrost PKB – ale przede wszystkim skali, liczby ludzi, których to dotyczy.

PZ: Mówimy w końcu o najludniejszym państwie świata, liczącym 1,4 miliarda obywateli.

JB: Ale także o długości okresu, w którym to się dzieje.

PZ: Długości? Ja mam wrażenie, że wzrost Chin nastąpił błyskawicznie.

JB: No, to jednak trwa już prawie czterdzieści lat.

PZ: Cóż to jest w dziejach? Jedna chwila.

JB: (*śmiech*) Bez wątpienia. W Polsce Chiny są niedoszacowane. Widać to wyraźnie w debacie publicznej. Z jednej strony wynika to z podejścia ideologicznego – bo to komuniści, a więc nie możemy chwalić ani doceniać ich osiągnięć. Tymczasem Komunistyczna Partia Chin to tylko nazwa. Tak naprawdę to jest partia mandarynów, partia cesarska, która sprawuje władzę tak samo jak 2 tysiące lat temu. Wszystko ewoluuje – jak to w życiu. W Państwie Środka nie ma już marksizmu i leninizmu w praktyce. Byłem w Chinach i widziałem na własne oczy kapitalizm w najczystszej postaci. Taki, o którym Amerykanie już zapomnieli.

PZ: Domyślam się, że drugą – po ideologii – przyczyną lekceważenia Chin jest poczucie wyższości wobec żółtego człowieka. Azjaty.

JB: Był taki mały człowieczek. Bardzo niski. Na spotkaniach z innymi dyplomatami i liderami pluł do spluwaczek i strasznie palił – jak zresztą większość Chińczyków. Nazywał się Deng Xiaoping. To właśnie on ograł Amerykę. Uznał, że nieważne, czy kot jest biały, czy czarny – ważne, żeby łapał myszy. I uwolnił najpierw pracę chińskiego chłopa. Setek milionów chłopów. Już to był niesamowity skok. Potem uwalniał inne rzeczy: pracę w pozostałych gałęziach gospodarki, jej koszty, migrację ze wsi do miast. Chińczycy w końcu złożyli propozycję Amerykanom: „Akceptujemy waszą dominację i prymat w Azji, ale pozwólcie nam wejść na rynki światowe z naszą pracą”. Amerykanie odpowiedzieli: „Okej. Wy zostaniecie demo-

kratami, a my na tym zarobimy. Wzbogacimy się dzięki waszej taniej – wręcz darmowej, niewolniczej – pracy. Będziemy u was produkować wytwory naszej myśli technicznej". Chińczycy pozornie to zaakceptowali, ale przez cały czas kradli technologie, przejmowali wiedzę. Na tej kradzieży budowali własną innowacyjność. Bo Chińczycy nie są tylko mistrzami w kopiowaniu cudzych wynalazków. Oni sami wynaleźli wiele rzeczy w historii świata. Choćby proch, druk czy 5G.

PZ: Zdumiewająca jest przy tym naiwność i brak przewidywania Zachodu. Całkowite lekceważenie Chińczyków. Przenosząc olbrzymią część produkcji do chińskich fabryk, Zachód przez całe lata dawał Chińczykom na tacy wszystkie swoje technologie. Jak można było oczekiwać, że Chińczycy wiecznie będą się godzić na odgrywanie roli wielkiej światowej montowni? Że nie zaczną sami projektować i produkować taniej i lepiej? Czy Zachód zaślepiła żądza łatwych zysków?

JB: No, akurat Polacy nie mieli tego dosyć i nie mają.

PZ: Jak to?

JB: Przecież otwarcie naszego rynku za czasów Leszka Balcerowicza było tym samym. *Deal* był niemal identyczny. Polacy włączyli się do światowego systemu kapitalistycznego, wnosząc do niego tanią pracę. A Zachód wpuścił do nas kapitał. My to zaakceptowaliśmy. A Chińczycy nie.

PZ: Koncepcja Pasa i Szlaku, Nowy Jedwabny Szlak. Brzmi to orientalnie, tajemniczo. Co się za tym kryje? Na czym polega wielka chińska strategia?

JB: Chińczycy uważają, że jest pięć kierunków świata, a nie cztery. Jest północ, południe, wschód i zachód, ale jest również środek. Ten środek to oczywiście oni. W związku z tym jasne jest, że szlak musi iść do nich i od nich wychodzić. Chiny muszą być jego rdzeniem, centrum. A nitki wychodzące z tego rdzenia muszą prowadzić do odległych rynków, surowców, produkcji żywności i kontrahentów. Zresztą czy jest inaczej z Brukselą, Berlinem czy Waszyngtonem? Imperialny *design* jest zjawiskiem naturalnym, bo potężny rynek ściąga i przyciąga. Zarabia ten, kto jest wyżej w podziale pracy. No bo przecież my, Polacy, akceptujemy, że Niemcy zara-

biają więcej od nas. A dlaczego? Bo uważamy, że przy takim podziale pracy jest to naturalne…

PZ: No cóż, niewiele możemy na to poradzić.

JB: Właściwie dlaczego? Chińczycy ten hierarchiczny system postanowili właśnie złamać. Na oceanie światowym po czasach Kolumba i Vasco da Gamy w kolejnych wojnach o dominację zapanowali Brytyjczycy. W XX wieku rolę globalnego hegemona przejęli od nich Amerykanie. Kontrolujesz szlaki komunikacyjne – jesteś panem sytuacji. Kontrolujesz bowiem ruch ludzi, towarów, danych, technologii. Wszystko, co powoduje, że codziennie kręci się świat. Dziś to wszystko jest w rękach Amerykanów, za którymi stoją ich siły zbrojne.

PZ: To są tradycyjne szlaki morskie. I tu trudno się spodziewać, żeby Chińczycy mogli zagrozić Amerykanom. Jak rozumiem, Pekin ma pomysł polegający na obejściu tego systemu, a raczej stworzeniu nowego. Pekin chce pójść inną drogą – lądową, przez kontynent eurazjatycki.

JB: Chińczycy uznali, że słynny niemiecki geopolityk z pierwszej połowy XX wieku Karl Haushofer miał rację. Zakładał on, że jeżeli połączy się świat drogami i szlakami kolejowymi, można się uniezależnić od handlu morskiego. Bo przecież handel morski jest bardzo niepewny – mocarstwo morskie, Stany Zjednoczone czy Wielka Brytania, zawsze może nałożyć blokadę. Lewiatan zawsze może zadusić Behemota. Nie pozwolić mu oddychać i jeść. Mówiliśmy już o tym – tak wykończono kajzerowskie Niemcy.

PZ: I Japonię. Im bardziej prawdopodobna jest amerykańska blokada na Pacyfiku, tym szybciej Chiny tworzą nowe szlaki lądowe przez kontynent.

JB: Chcą mieć alternatywę. Ale nie tylko, bo Chińczycy wytyczają jednocześnie swój szlak morski. Chcą być pierwszym w dziejach świata imperium hybrydowym, które kontroluje przepływy przez wszystkie domeny. Morską, lądową, powietrzną. Ale również cybernetyczną i kosmiczną. W dawnych czasach głównym towarem i kapitałem była ziemia. Ludzie produkowali żywność, budowali zamki. Potem, w czasach zamorskiego handlu, a następnie przemysłu, najważniejsze stały się punkty strategiczne, takie jak cieśnina Malakka. Kluczowa jest kontrola miejsc, przez które

przechodzą przepływy strategiczne. W czasach współczesnych najcenniejszym towarem staje się informacja. Zbieranie informacji, ich przekaz, sprzedaż, obracanie nimi, dedukcja za pomocą sztucznej inteligencji. 5G, 4G, smartfony, kable podmorskie, chmury, komunikacja w przestrzeni kosmicznej. Kanały na YouTubie, portale społecznościowe, a nawet platformy streamingowe z serialami. Chińczycy chcą nad tym wszystkim zapanować. Nad łańcuchami dostaw nowej generacji. Dlatego inwestują w kosmos. To rywalizacja o kolejne domeny, których używa człowiek po to, żeby mu się lepiej żyło, miał większą władzę, więcej pieniędzy i większe plany rozwojowe.

PZ: Północna, przebiegająca głównie przez Rosję trasa Nowego Jedwabnego Szlaku już dotarła z Chin do Europy. Południowa jest w budowie. Ważne jest, którędy będzie ona przebiegała. Między Chinami a Europą leżą państwa położone daleko od wielkich szlaków morskich, o których mówiliśmy. Kazachstan, Tadżykistan, Kirgizja i inne. Kawał świata i kawał ludzkości. Te państwa też chciałyby się modernizować, handlować i zarabiać pieniądze. Mam wrażenie, że w Stanach Zjednoczonych dużego zainteresowania nie wywołują, a w Chinach jak najbardziej.

JB: We wczesnym średniowieczu największe na świecie miasto – Merw – leżało właśnie na tych terenach. Dziś to jest pustynia, ale w dawnych wiekach w tym miejscu splatały się szlaki handlowe, kumulowały się tam przepływy strategiczne. Tak wyglądał świat sprzed odkryć geograficznych, gdy ludzie musieli na wielbłądach, mułach czy na własnych plecach przenosić towary. Przenosić je drogą lądową. Kolumb i Vasco da Gama „opłynęli” system kontynentalny i wytyczyli morskie linie komunikacyjne. Nagle w różnych miejscach świata pojawili się biali ludzie z brodami, którzy zeszli z okrętów i podporządkowali sobie Azję, Afrykę i Ameryki. Los ten spotkał także Chiny w czasie wojen opiumowych w XIX wieku. Człowiek z Europy to marynarz, człowiek oceanu, który z wiatrem we włosach przemierza dalekie wody i podbija cały świat. Z perspektywy demograficznej – w zestawieniu z ludami innych kontynentów – jesteśmy jednak niczym. Europa jest niczym. To, że Europejczykom udało się zdobyć i tak długo zachować dominację – wynikało tylko i wyłącznie z przewagi technologicznej.

PZ: Rozumiem, że właśnie – na naszych oczach – ta kilkusetletnia przewaga technologiczna znika.

JB: Co może umożliwić Chińczykom realizację ich celu. Oni uważają, że stare linie strategiczne są dla nich za wąskie, jak zwapniałe tętnice. To już bowiem nie jest tak, jak było w czasie II wojny światowej, gdy arterie te utrzymywały przy życiu kilkaset milionów białych ludzi na Zachodzie. Teraz dostępu do nich potrzebują *miliardy* ludzi na całym globie. Ludzie w Pakistanie i Bangladeszu chcą mieć telefony, autostrady, drogi, dostęp do edukacji i szybkiego Internetu. Prąd na terenach odległych od dużych miast. Ambasador Pakistanu mówił mi, że dzięki chińskiemu programowi Pasa i Szlaku wszystko to dostali. Inne państwa Azji też mają podobne potrzeby i Chiny gotowe są je zaspokoić.

PZ: Czyli ten program jest wielką szansą nie tylko dla Chin, ale też dla narodów i państw, które mogły się do tej pory czuć wykluczone.

JB: Interes jest obopólny. Jedwabny Szlak przede wszystkim ma generować ruch. Dzięki niemu miliony ludzi na całym świecie mogą się realizować, tworzyć powiązania, awansować, uczyć się, handlować, produkować, budować. Zakładać firmy, znaleźć fajną dziewczynę czy chłopaka, poznać świat.

PZ: Wspominałeś, że kiedyś Jedwabny Szlak superkontynentu eurazjatyckiego obsługiwały wielbłądy i ludzie dźwigający towary na własnych barkach. Jaki będzie Nowy Jedwabny Szlak?

JB: Pociągi, samoloty, tiry, samochody osobowe. Ropociągi i gazociągi. Kable światłowodowe. Wszystko, co służy do transportu ludzi, informacji i towarów. Nawet wyciągi narciarskie, bo przecież tam po drodze są góry (*śmiech*). Wszystko, co się opłaca, co generuje ruch: ludzi i kapitału. Tu nie chodzi tylko o to, żeby Chińczycy mogli we wspomnianych krajach sprzedawać swoje produkty. Chodzi o to, żeby uruchomić setki milionów – do tej pory „uśpionych” – ludzi. Żeby nie siedzieli bezczynnie, niepiśmienni i nie grali całe dnie w karty przed swoją chatką z gliny. Oni muszą zostać zaktywizowani, wrzuceni w tę globalną rzekę, podłączeni do systemu. Mają pracować, budować, generować zyski.

PZ: W książce *Rzeczpospolita między lądem a morzem* piszesz o hyperloopie. To niesamowity, futurystyczny projekt. Kolej próżniowa, która ma pędzić z prędkością 4 tysięcy kilometrów na godzinę. Jak miałaby wyglądać taka próżniowa podróż?

JB: Podobnie jak Scramjet (Supersonic Combustion Ramjet), silnik do lotów kosmicznych, również kolej próżniowa ma pewne problemy konstrukcyjne. Nie tak prosto ją zrobić, ale prace trwają. Chińczycy twierdzą, że mogliby rozpędzić taki pociąg nawet do 4 tysięcy kilometrów na godzinę. Oznacza to, że z Warszawy do Pekinu jechałoby się… dwie godziny. Nawiasem mówiąc, nasi czytelnicy powinni wiedzieć, że z Warszawy do Pekinu jest o 200 kilometrów bliżej niż do Waszyngtonu. I można dotrzeć tam pieszo (*śmiech*).

To jest też ciekawa sprawa. Chińczycy dobrze znają historię Rzeczypospolitej, doskonale zdają sobie sprawę z naszego pomostowego położenia między Morzem Bałtyckim a Morzem Czarnym. Nie czytali może Eugeniusza Romera, ale potrafią czytać mapę i rozumieją, jak ważną rolę odgrywa Polska na Nizinie Środkowoeuropejskiej. Gdy byłem prezesem Centralnego Portu Komunikacyjnego, rozmawiałem z Chińczykami, którzy sami mi to mówili, myśląc, że mnie tego uczą. Tak się kształci elity w Chinach! Mają naprawdę rozległą wiedzę. W Chinach dzieci uczą się na poważnie. Jak napisał kiedyś David Goldman, Xi Jinping może być cesarzem, może wsadzać za kraty i karać śmiercią swoich przeciwników politycznych, ale jego dziecko i tak musi zdać egzaminy państwowe, żeby dostać się na elitarny uniwersytet w Pekinie. W Chinach od 2,5 tysiąca lat jest kultura egzaminów mandaryńskich i pozycji nie zdobywa się tam dzięki pochodzeniu, ale dzięki wiedzy. To zawsze była merytokracja.

PZ: No, ambicje młodych ludzi są chyba w Chinach zupełnie inne niż w Ameryce czy Europie. Jest takie znane badanie. Zapytano młodych Chińczyków, kim chcieliby zostać. Padały odpowiedzi w stylu: inżynierem, profesorem, naukowcem, astronautą. Zapytano o to samo nastolatków z Zachodu i odpowiedzi były zupełnie inne: youtuberem, szafiarką, influencerem. To nie wróży najlepiej na przyszłość. Ale wracając do kwestii Chiny a Polska. Świętej pamięci profesor Paweł Wieczorkiewicz opowiadał mi, jak był na bankiecie dyplomatycznym, na którym bawił przedstawiciel

Chin. Dyplomata ten powiedział mu, że Polska jest dla Chin bardzo ważnym państwem świata. Profesor Wieczorkiewicz odpowiedział: „Dziękuję za tę kurtuazję". „To nie żadna kurtuazja – odpowiedział Chińczyk. – Wystarczy spojrzeć na mapę".

JB: Sam, na żywo, słyszałem, jak Chińczycy powiedzieli, że Polska jest imperium po okresie krótkotrwałego upadku. Bo przecież z chińskiej perspektywy 200 ostatnich lat to jest nic. Oni mieli przecież to samo. My mieliśmy zabory, a oni dominację zjednoczonych przeciw nim mocarstw: Japonii, Rosji i państw zachodnich. Oczywiście oni są znacznie więksi niż my, więc tam mocarstwa podzieliły się głównie miastami portowymi i terenami przybrzeżnymi, żeby kontrolować przepływy strategiczne. A tradycyjne życie chińskie mogło się toczyć dalej na prowincji, jednak bez odpowiedniej siły witalnej i gospodarczej. Analogia z Polską sama się narzuca.

PZ: Co projekt Nowego Jedwabnego Szlaku oznacza dla Starego Kontynentu? Skoro pas ma się kończyć w Europie, to oczywiście Europa też na nim zarobi.

JB: Z perspektywy chińskiej stworzenie takiego projektu to szansa na wyrwanie Europy spod hegemonii Stanów Zjednoczonych. I tu nie można nie zauważyć bardzo dużej aktywności między Pekinem a Berlinem. Tak jak mówiliśmy, Berlin ma dwie opcje: chińską i amerykańską. W którą stronę to pójdzie, jeszcze nie wiadomo. Zawarcie umowy handlowej (Comprehensive Agreement on Investment) w grudniu 2020 roku między Unią a Chinami pokazuje, że Europejczycy wcale tak się nie palą do opowiedzenia po stronie Stanów Zjednoczonych. Niestety wynika to w dużej mierze z niskiej jakości przywództwa strategicznego Stanów Zjednoczonych. Ale Europejczycy po prostu boją się, że to wszystko skończy się wojną. To nie żarty. Wojna to śmierć i zniszczenie, degradacja społeczna, bieda, kryzys. Nikt przytomny nie chce się na to narażać.

PZ: A Polska?

JB: Polska jest między młotem a kowadłem.

PZ: My też, o czym mówiliśmy już wielokrotnie, stoimy przed tym samym wyborem: Niemcy lub Ameryka.

JB: Wielu ludzi uważa, że skoro obsługujemy łańcuch dostaw niemieckich, nie będziemy mieli wyboru. Będziemy musieli podążać za Niemcami. Myśli tak zwłaszcza opozycja, chociaż nie posługuje się takimi kategoriami. Ubiera to w inne słowa. Wówczas rozstrzygnięcia w walce między Chinami a Stanami Zjednoczonymi będą dotyczyć bezpośrednio nas i to jest główny powód, dla którego napisałem *Rzeczpospolitą między lądem a morzem*. Są dwie opcje. Albo Europa zamieni się w imperium i Polska – jako sojusznik Niemiec – będzie jego częścią. Albo Polska nie pomaga Niemcom w realizacji tego projektu. Torpedują go również Francja, Włochy i inni gracze. I Europa wraca do średniowiecza. Każde małe państwo prowadzi swoją politykę. Wtedy wielkie mocarstwa będą sobie hasały na Starym Kontynencie, robiły tu, co im się żywnie podoba. Chiny, Ameryka, Rosja. Ta ostatnia będzie też penetrować nas wojskowo i destabilizować naszą przestrzeń.

PZ: Wielkie europejskie rozbicie dzielnicowe.

JB: To by miało poważne konsekwencje. Zostałaby złamana umowa społeczna, bo Europa też potrzebuje wysiłku modernizacji, pieniędzy na emerytury, ubezpieczenia, szpitale. Może się stać z nią tak jak z Chinami w XIX wieku. One też nie miały pieniędzy na rozwój, bo to wielkie mocarstwa świata czerpały z nich korzyści. Gdyby doszło do tego, co nazwałeś europejskim rozbiciem dzielnicowym, to wówczas na Wschodzie zostalibyśmy jeden na jeden z Rosją. Sami. To byłoby fatalne, ale musimy się szykować również na taki scenariusz. Bardzo się o to martwię.

PZ: Co wtedy robić?

JB: Musimy połączyć koncepcję piastowską i jagiellońską. Zbudować wielką moc Rzeczypospolitej na Wschodzie, zgodnie z myślą Giedroycia czy Piłsudskiego. Być może próbować nawet jakiejś formy projektu federacyjnego, zbudować siły zbrojne, które w ramach nowoczesnej wojny będą zdolne sięgać głęboko na Wschód środkami rozpoznania i dominacji informacyjnej. Po to, żeby być liczącym się uczestnikiem gry o jak najlepsze miejsce w układzie sił. Musimy ustalać reguły gry w przestrzeni Europy Wschodniej. Ale zarazem nie możemy odwracać się od Zachodu. Tymczasem nasza polityka ostatnich trzydziestu lat jest fatalna. Sami się ubezwła-

snowolniliśmy. Teraz wszystko się zmienia, cały system światowy się chwieje. Dokonały tego odległe Chiny. Słoń wpadł do wanny, a woda rozchodzi się kręgami.

PZ: Te kręgi bez wątpienia dojdą do krańców wanny, odległych zakątków świata, takich jak Polska. Jak się rozmawiało z polskimi politykami, powiedzmy, dwadzieścia lat temu i zadawało pytanie: „Jaka jest wizja, jaki cel istnienia Polski?", to odpowiedzi zawsze były takie same: „Wstąpienie do Unii Europejskiej i NATO". No to jesteśmy w tej Unii i NATO i co dalej? Jakie są nasze dalekosiężne cele? Nie słyszałem żadnej satysfakcjonującej odpowiedzi na to pytanie. Do niedawna wszystko było poukładane, byliśmy elementem systemu amerykańsko-europejskiego, który wydawał się wieczny. Ktoś myślał za nas. Teraz pojawia się problem, bo system wcale nie okazał się taki trwały i będziemy musieli myśleć sami. To oczywiście pytanie w kontekście Nowego Jedwabnego Szlaku. Bo jeśli rzeczywiście myślenie o polityce należy zacząć od spojrzenia na mapę, to Polska ma położenie fantastyczne. Jeżeli Nowy Jedwabny Szlak ma na celu umożliwienie zarabiania pieniędzy nie tylko Chińczykom, ale też krajom, które są po drodze, to nasze położenie geograficzne aż prosi się o to, żeby włączyć się do tego wielkiego projektu. Czy Rzeczpospolita może się stać elementem chińskiej układanki? Czy Amerykanie na to pozwolą? Czy taka opcja jest w ogóle brana w Polsce pod uwagę?

JB: Nie, nie jest brana pod uwagę. A to błąd, bo należy mieć jak najwięcej punktów podparcia, żeby móc oddziaływać na system. Żeby wzmocnić sojusz z Amerykanami, trzeba też rozmawiać z Chińczykami. Aby zyskać mocniejszą pozycję przetargową. Pokazać Amerykanom, że mamy wybór. Amerykanie mają tymczasem tak silne wpływy w Polsce, że Polacy z tego rezygnują. Amerykanie wchodzą w ostrą fazę konfrontacji z Pekinem, a my niestety całkowicie się od nich uzależniliśmy. Polscy politycy nie zaryzykują podjęcia gry z Chinami. No, chyba że Amerykanie będą padać na deski. Wtedy nasi politycy pewnie powiedzą, że od zawsze chcieli iść z Chińczykami. Że zawsze byli po ich stronie (*śmiech*).

PZ: To akurat nie byłoby wcale takie złe. Bardziej pragmatyczne niż skakanie do jakiejś amerykańskiej Elstery. Pytanie tylko, czy dołączenie do

całego systemu Nowego Jedwabnego Szlaku rzeczywiście byłoby dla Polski korzystne? Czy nie pozostalibyśmy krajem li tylko tranzytowym?

JB: Byłoby korzystne w określonym momencie. Problem polega na tym, że nie jesteśmy Czechami. Polska znajduje się w zbyt ważnym miejscu na świecie i w związku z tym wielkie mocarstwa nie pozostawiają nam takich wyborów. Chińczycy chcą odwrócić koncepcje peryferii i półperyferii Immanuela Wallersteina. Obszary obecnie peryferyjne mogłyby się stać obszarami centralnymi. Gdyby tak się stało, moglibyśmy na tym bardzo dużo zyskać.

PZ: Co konkretnie?

JB: Należy przekonać Chińczyków, żeby u nas inwestowali. Bo tu nie chodzi o to, żeby przepuszczać przez nasze terytoria chińskie towary jadące do Niemiec. Chodzi o to, by wokół Jedwabnego Szlaku powstawała nowa infrastruktura. Drogi, koleje, magazyny, firmy. By polskie firmy współpracowały z chińskimi. Chodzi o napędzanie gospodarki.

PZ: Ale Szlak przechodzi również przez Rosję. To oznacza, że dzięki niemu będzie rosła Polska, ale będzie również Rosja. Może skóra nie jest warta wyprawki?

JB: Trasy mogą być różne. Towary mogą napływać przez Iran, przez Gruzję, przez Turcję, przez porty Morza Czarnego. W ramach Szlaku można by zbudować szybką kolej z Gdańska, przez Lwów, do rumuńskiego portu Konstanca. Zbudować szybkie połączenie północ–południe, które spięłoby Bałtyk z Morzem Czarnym. Jeszcze niedawno wszystkie opcje były na stole. Rozmach tego projektu może być naprawdę olbrzymi. Chińczycy świetnie budują, mogą inwestować, modernizować. Polska mogłaby uczestniczyć w nowym globalnym impecie, stworzyć nowy łańcuch, który nie byłby kontrolowany przez Niemcy, Francję, Wielką Brytanię czy Amerykę. Weźmy jeden przykład – wszyscy wiemy, jak się jeździ koleją w Polsce, jak wyglądają i ile trwają remonty. Przecież to jest granda. A Chińczycy przeznaczają właśnie olbrzymie pieniądze na linie kolejowe. Robią najlepszą kolej na świecie. Może warto byłoby wpuścić trochę chińskiej technologii na nasz rynek infrastruktury. Niestety nasi politycy tego nie chcieli i nie chcą.

PZ: Mieszkam w pobliżu starej linii kolejowej numer 12. Wschód–Zachód, Skierniewice–Łuków. Przez kilkanaście lat linia była niemal martwa, ale kilka lat temu zaczął się nagle ruch. Na Zachód szły potwornie długie składy towarowe z kontenerami „China Trade”. Niemal jeden za drugim. Chińczycy zaproponowali, że rozbudują tę linię, do linii towarowej dodadzą nowoczesne połączenia pasażerskie z Warszawą. Zbudują dworce, parkingi. To byłaby wielka szansa rozwojowa dla regionu. Trwały negocjacje z lokalnymi władzami. Nagle jednak cała sprawa zawisła w próżni. Chińskie kontenery zniknęły, kwestia rozbudowy linii kolejowej ucichła. Rozumiem, że amerykańskie wpływy działają.

JB: To doskonały przykład. Bo przecież nie mówimy tylko o kontenerach, lecz i o tym, żeby Chińczycy wchodzili do Polski z kapitałem i technologią na warunkach ustalonych przez nas. I w zamian za to zabierali nas Jedwabnym Szlakiem do Azji, Afryki, na nowe rynki, na których nas nie ma. Bo przecież Jedwabny Szlak może działać w obie strony. Nie tylko ze Wschodu na Zachód, ale również odwrotnie. Taki projekt otwiera przed państwami, które się do niego podłączą, naprawdę olbrzymie możliwości. Niestety Zachód nie chce nam na to pozwolić. Zachód krytykuje nas, że rozmawialiśmy z Chińczykami, a jednocześnie sam z nimi w najlepsze handluje. Mało tego, żyje z Chin. Nie rozumiem, jak nasi politycy to znoszą.

PZ: Są równi i równiejsi. Sam powtarzasz, że w polityce większym wolno więcej. Że międzynarodowa gra to de facto rozgrywka mocarstw.

JB: Ale są jakieś granice! Minister spraw zagranicznych malutkich Węgier nie miał problemu, by wygarnąć sekretarzowi stanu USA Mike’owi Pompeo. Gdy Amerykanin zaczął krytykować Węgrów, że pozwalają Chińczykom wejść na swój rynek, że to nieetyczne, Węgier spokojnie powiedział: „Panowie, jak to jest? Jak wy to robicie, to można, a jak my to robimy, nie można?”.

PZ: Dodajmy, że Amerykanom przez długie lata nie przeszkadzała kwestia prześladowania przez chińskie władze Ujgurów czy Tybetańczyków. Na wszystko przymykali oko, póki Chińczycy grzecznie montowali za grosze produkty amerykańskich koncernów.

JB: Teraz Amerykanie mówią już, że im to przeszkadza.

PZ: Co za nieoczekiwana zmiana! Jednak jest moralność w polityce (*śmiech*).

JB: Niemal zerowe koszta pracy przez lata były ważniejsze niż prawa człowieka. Notabene warto postawić pytanie: Po co właściwie Amerykanie powstrzymują Nowy Jedwabny Szlak? Może powinni do niego dołączyć i też na nim zarabiać?

PZ: Bardzo rozsądny pomysł.

JB: Sławny profesor zajmujący się stosunkami międzynarodowymi Joseph Nye – naukowiec, który wymyślił pojęcie *soft power* – proponował to już kilka lat temu. Amerykanie mogliby powiedzieć: „Nie boimy się bliskości, współpracy z Chinami. Jesteśmy lepsi, mocniejsi, to my skorzystamy na takiej kooperacji. To my zdominujemy Chińczyków, bo nasz model ekonomiczno-cywilizacyjny jest bardziej atrakcyjny. Wchodzimy w to na pełnym gazie". To by było wzięcie byka za rogi. Zamiast tego mamy jakieś pitu-pitu, gadanie, utyskiwanie. Ja, szczerze powiedziawszy, widzę w tym słabość Ameryki. Strach przed Chinami. Amerykanie cały czas jadą na tym samym paliwie, którego już brakuje. Dlaczego nie zbudują fabryk nowej generacji? Dlaczego nie dadzą Elonowi Muskowi biliona dolarów? Niech buduje statki kosmiczne, niech eksploruje wszechświat! Tymczasem Ameryka nie robi niczego do przodu. Sama defensywa.

PZ: Nie zapowiada się, żeby to się zmieniło za prezydentury Bidena, który energią nie grzeszy.

JB: Pamiętam, jak Donald Trump ustępował ze stanowiska i na wiecu zorganizowanym na lotnisku dziękował swoim zwolennikom. Wzmocniliśmy siły zbrojne USA – wyliczał swoje sukcesy – i stworzyliśmy Space Force. Siły Kosmiczne. To jest rzeczywiście przełomowe, historyczne osiągnięcie. Żeby nie było wątpliwości – nie idealizuję Trumpa. Ani Napoleon, ani Juliusz Cezar nie byli miłymi ludźmi. Byli kompletnymi egoistami. Mieli podobne problemy jak Trump, który wygląda mi na takiego faceta, który gdy w wieku trzech lat przegrywał z babcią w warcaby, to ze złości niszczył planszę. Ale Siły Kosmiczne utworzył i one pozostaną. Tego nikt mu nie odbierze. Trzeba mu również przyznać, że przywrócił gotowość bojową US Army.

PZ: Ja też nie jestem bezkrytycznym zwolennikiem Trumpa. Podobało mi się jednak to, że był zwolennikiem wolnego rynku i twardym zawodnikiem. Bez wątpienia miał więcej ikry niż jego następca.

JB: Zgoda. Wycofanie się z New START za Bidena było – moim zdaniem – z punktu widzenia polskich interesów skandaliczne. Nie wiem, dlaczego nasz rząd przełknął tę gorzką żabę w taki bierny sposób.

PZ: Wyjaśnijmy czytelnikom, o co chodzi.

JB: New START – czyli New Strategic Arms Reduction Treaty – to traktat rozbrojeniowy dotyczący ograniczenia liczby głowic nuklearnych do rakiet międzykontynentalnych. Ameryka podpisała go z Federacją Rosyjską w 2010 roku. Układ ten miał dużo luk, na przykład w sprawie efektywnych metod sprawdzania liczby głowic. Przede wszystkim jednak nie uwzględniał taktycznych głowic nuklearnych, czyli tych mniejszych. W ogóle nie zawierał definicji, co jest głowicą taktyczną. W związku z tym Rosjanie uzyskali ogromną przewagę nad Ameryką w liczbie taktycznych głowic nuklearnych i w środkach ich przenoszenia. A przecież – ze względu na ograniczony zasięg tych pocisków – nie będą strzelać taktycznymi głowicami w Amerykanów, tylko w nas. Wskutek tego powstał inny status bezpieczeństwa dla Polski i inny dla Amerykanów czy Niemców, którzy przecież są cywilizowanymi ludźmi i można z nimi negocjować. Trump próbował zmienić New START, wymusić na Rosjanach, żeby obejmował również głowice taktyczne. Biden po przejęciu władzy powiedział tymczasem, że bez żadnych negocjacji przedłuża stary układ, i spetryfikował tym rosyjską przewagę. To ważny sygnał dla Rosjan, którzy mogą pomyśleć: „O, to może znaczyć, że Amerykanie jednak nie gwarantują bezpieczeństwa Polsce i państwom bałtyckim. Może to sprawdzimy?”.

PZ: Czyli zachęta do agresji?

JB: Właśnie. Putin może powiedzieć swoim generałom: „Sprawdźcie to”. „Ale jak to sprawdzić, panie prezydencie?” „Przerzućcie tam ze trzy plutony specnazu i zobaczymy, co się stanie”.

PZ: To raczej – na razie – scenariusz bardziej prawdopodobny na Łotwie niż w Polsce.

JB: To wszystko jest ze sobą połączone. Polska też jest gwarantem bezpieczeństwa. Jest największym państwem Sojuszu Północnoatlantyckiego na wschodzie Europy. Poplecznikiem USA, który – przynajmniej werbalnie – popiera wszystko, co robią Amerykanie. Rosjanie mogą chcieć pokazać, że ta architektura bezpieczeństwa nie działa. Przeprowadzą jakąś demonstrację, Amerykanie nie kiwną palcem. To będzie wielki sukces Moskwy i sygnał dla innych państw sojuszu. „No i gdzie są wasze gwarancje, panowie? – będą mogli zapytać Rosjanie. – My was bijemy, a gdzie jest wasz amerykański szef? Dlaczego nic nie robi?”

PZ: Mieliśmy rozmawiać o Chinach, a skończyło się jak zwykle: na Rosji i Polsce. Wróćmy do głównego wątku. Mówiliśmy, że walutą w stosunkach międzynarodowych jest potęga. Kto ma jej więcej? Wskaźniki gospodarcze Chin są rzeczywiście zawrotne. W czym Chińczycy Amerykanów biją? W jakich obszarach Stany Zjednoczone utrzymują swój prymat?

JB: Amerykanie wciąż mają przewagę w wielu obszarach. Mają na przykład naprawdę niesamowity przemysł zbrojeniowy, który wciąż wynajduje nowe rozwiązania. A wojskowe wynalazki mają też przecież często zastosowania cywilne. Amerykanie mają przewagę w kosmosie. Może nie na Księżycu, nie w przestrzeni okołoksiężycowej, ale na niskich orbitach Ziemi – na pewno. To ma coraz większe znaczenie dla światowej gospodarki. Amerykanie na pewno mają też ciągle przewagę w szeroko pojętej informatyce. Rozmaite aplikacje, Google, Apple – to cały czas domena USA. Chociaż oczywiście Chińczycy ich gonią.

PZ: Jakie są z kolei najsilniejsze strony Chin?

JB: Amerykanie wciąż jeszcze produkują więcej układów scalonych, chociaż ich udział w światowym rynku sukcesywnie maleje. Wystarczy powiedzieć, że stanowią one jedną czwartą całego importu USA! Układy scalone to ropa naftowa współczesnego świata. Są wszędzie: w telefonach, komputerach i wszelkich innych nowoczesnych maszynach. Chińczycy jeszcze nie potrafią robić tak dokładnych i szybkich jak firmy tajwańskie i amerykańskie. Ale to się zmieni. W komunikacji kwantowej Chińczycy są co najmniej tak dobrzy jak Amerykanie, a ponoć nawet lepsi. Wyprzedzają ich w pracy nad sztuczną inteligencją. Mają bardziej zaawansowany FinTech,

czyli indywidualne technologie finansowe. Chińczycy kupują, sprzedają, biorą kredyty w banku jednym kliknięciem. W Chinach dosłownie wszystko załatwia się teraz smartfonem. Infrastruktura telefoniczna jest znacznie bardziej rozwinięta.

PZ: A co z tradycyjnymi czynnikami, którymi mierzy się potęgę państwa? Ze stalą, aluminium, surowcami, tonażem floty, liczbą czołgów?

JB: Jeżeli chodzi o potencjał materiałowy, to chiński jest wielokrotnie większy. Produkcja stali i aluminium jest kilkadziesiąt razy większa niż w Stanach. A Amerykanie produkują znacznie więcej niż w roku 1945, gdy na potrzeby wojny totalnej produkowali naprawdę bardzo dużo. W ciągu trzech lat Chińczycy zużyli więcej betonu niż Amerykanie w całym XX wieku! W ciągu jednego roku Chińczycy budują mieszkania o powierzchni równej powierzchni mieszkaniowej całego Rzymu. W ciągu dekady zbudowali półtora raza więcej, niż jest w całych Stanach Zjednoczonych. W ciągu dziesięciu lat zbudowali system szybkiej kolei, który jest większy niż wszystkie systemy szybkiej kolei na świecie razem wzięte.

PZ: Czasami, przeglądając tabele statystyczne, aż trudno w to uwierzyć. Ale różnica skali robi swoje. Amerykanów jest obecnie 330 milionów. Ponad cztery razy mniej niż Chińczyków. W Chinach mieszka trzy razy więcej ludzi niż w całej Unii Europejskiej.

JB: Rzeczywiście, skala Chin, ich potencjał gospodarczy są gigantyczne. Wystarczy tam pojechać, żeby to zrozumieć. Ten rozmach zapiera dech w piersiach. Chińczycy w zeszłym roku zbudowali więcej okrętów wojennych, niż mają wszystkie floty wojenne świata razem wzięte (poza USA). Tylko – żeby nie było wątpliwości – nie są to kolosalne lotniskowce, lecz mniejsze jednostki. Stocznie chińskie produkują okręty jak piekarnia bułeczki. To kwestia boomu gospodarczego, ale również niezmiernie licznych świetnie wykształconych kadr. Jeden z szefów Google’a powiedział kiedyś, że gdy w Chinach umieści ogłoszenie, że poszukuje inżyniera materiałowego, który umie skalibrować maszynę w fabryce, żeby produkowała precyzyjne urządzenia, to przyjdzie cały stadion chętnych. A w Stanach Zjednoczonych ani jeden.

PZ: Jeśli konfrontacja chińsko-amerykańska zamieni się w wojnę, to handicapem Chińczyków będzie na pewno to, że będą walczyć blisko swoich granic. Dla Amerykanów Pacyfik to jednak teatr odległy od głównej bazy zaopatrzeniowej. Ich linie transportowe będą dłuższe. W ostatecznym rozrachunku, żeby wygrać wojnę, nie wystarczy jednak gigantyczna produkcja betonu, stali czy smartfonów. Trzeba mieć po prostu lepszą armię. Trzeba mieć flotę, lotnictwo, rakiety, dobrze wyszkolonych, uzbrojonych i zdeterminowanych żołnierzy. Jak oceniasz armię chińską? Czy ona robi równie błyskawiczne postępy i rozwija się w takim tempie jak chińska gospodarka? To jest chyba wielka niewiadoma.

JB: Szczerze mówiąc, trudno powiedzieć. Porównanie jest niełatwe, bo chińska armia nie walczy. A Amerykanie są na stopie wojennej praktycznie non stop. Dysponują największą siłą manewrową świata. Na pewno jeśli chodzi o dojrzałość organizacyjną, to są górą. Problem polega na tym, że są rozcieńczeni geografią i rozmaitymi globalnymi zadaniami, a Chińczycy – tak jak mówiłeś – mają symetryczną przewagę własnego podwórka. Potencjału wojennego nie mierzy się liczbą żołnierzy, okrętów czy samolotów. Mierzy się ją zdolnościami. III wojna światowa nie będzie przypominała II wojny światowej ani wojny wietnamskiej. Pole walki zmieniło się wraz z digitalizacją. Chińczycy zdają sobie z tego sprawę i od dawna szykują się właśnie do wojny przyszłości. Amerykanie robią to dopiero od kilku lat. Kto lepiej odrobi lekcję – wyjdzie w praniu. O sukcesie w wojnie zdecyduje nie tyle kaliber dział, ile dominacja informacyjna, w spektrum cyberelektromagnetycznym, kosmicznym. To wszystko musi być połączone w sprawny system, działać w dobrym rytmie. Sztaby, logistyka, sensory, szybkie podejmowanie decyzji. To będzie ważniejsze niż liczba czołgów i żołnierzy.

Gdyby dzisiaj wybuchła wojna i zaproszono by mnie do telewizji, i musiałbym coś powiedzieć widzom, którzy są zdezorientowani tym, że nagle na Pacyfiku lecą rakiety – to powiedziałbym, dlaczego i gdzie lecą. Powiedziałbym też: „Nie zdziwcie się państwo, jak w pierwszym dniu wygrają Chińczycy. Oni po prostu nie mogą przegrać w pierwszym dniu. Amerykanie przychodzą z daleka, mają na Pacyfiku bazy statyczne i one zostaną szybko zniszczone rakietami”.

PZ: Mówiliśmy już o analogii z Pearl Harbor. Amerykanie w kolejnych dniach wojny będą musieli odrabiać straty. Pytanie, czy im się to uda.

JB: Oczywiście klęska w pierwszym dniu wojny jeszcze nie przesądza o jej ostatecznym wyniku. Bez wątpienia jednak Amerykanom będzie trudno się po niej pozbierać. Nie zdziwiłbym się, gdyby nas też to dotknęło. Pewnie przestaną nam działać komórki, nie będzie Internetu. To, co zależy od kosmosu, zostanie sparaliżowane, bo Chińczycy będą musieli błyskawicznie zniszczyć systemy amerykańskie na niskich i średnich orbitach. GPS może nie działać. Więc w dniu wybuchu wojny na Pacyfiku – drodzy czytelnicy – jadąc samochodem, lepiej nie korzystajcie z GPS-u.

PZ: Na wszelki wypadek lepiej zaopatrzyć się w tradycyjne, papierowe mapy. Czy Amerykanie mają szansę się obronić przed takim atakiem?

JB: Zobaczymy. Amerykanie, skupieni na wojnie z islamskim terroryzmem, przez ostatnie dwadzieścia lat zaniedbali sprawy bezpieczeństwa kosmicznego. Zobaczymy, czy szybko uda się im zbudować Space Force, którego zadaniem będzie właśnie obrona infrastruktury kosmicznej przed chińskim atakiem.

PZ: Dla Amerykanów źle by było, gdyby zlekceważyli Chińczyków, tak jak zlekceważyli Japończyków w 1941 roku. Wtedy przez pierwsze miesiące wojny na Pacyfiku dostawali straszliwe lanie. Oczywiście w końcu wygrali, ale wtedy przewaga Ameryki była znacznie większa. Teraz stoją naprzeciw siebie przeciwnicy równorzędni. Wynik takiej konfrontacji jest więc sprawą otwartą. Na pewno świat się zatrzęsie w posadach. Jedyne pocieszenie – wojna będzie toczyła się 9 tysięcy kilometrów od Polski.

JB: Wszystko zależy od tego, po czyjej stronie opowie się Rosja. Jeżeli po stronie Chin – staniemy się krajem frontowym. Bo w końcu może przyjść ten dzień, gdy o godzinie 23.35 na odległym Morzu Południowochińskim zostanie zatopiony amerykański niszczyciel. Uruchomi się łańcuch wydarzeń i decyzji. Po kilku minutach na wschodnim i zachodnim Pacyfiku rozgorzeje wielka wojna. Gdy my obudzimy się rano w Warszawie, Polska będzie w stanie wojny z Federacją Rosyjską. Bo przeciwnikiem Zachodu będzie kolosalny sojusz Eurazji rozciągający się od Szanghaju po Brześć. To jest właśnie zmora senna Stanów Zjednoczonych. Bo jak jednocześnie

walczyć z Rosją w Europie i z Chinami na Pacyfiku? Taki scenariusz powinien być również koszmarem sennym Rzeczypospolitej.

Źródło: „Historia Realna” 19 marca 2021

Rozmowa 4

W co gra Władimir Putin?

PZ: Od wielu miesięcy w Rosji trwa serial pod tytułem „Aleksiej Nawalny”. Rosyjskiemu opozycjoniście podano truciznę na pokładzie samolotu. Potem trafił do Niemiec, gdzie został wyleczony. Wrócił do Rosji, tam go aresztowano i zamknięto w kolonii karnej, gdzie podjął strajk głodowy. Cały wolny świat oczywiście solidaryzuje się z dzielnym opozycjonistą, który dobrowolnie wsadził głowę w paszczę lwa. Nieśmiało odzywają się jednak głosy, że należy być ostrożnym, bo to może być gra operacyjna rosyjskich służb, które próbują uwiarygodnić Nawalnego. Które spojrzenie jest ci bliższe?

JB: Do całej sprawy podchodzę ostrożnie. Sprawa Nawalnego jest równie tajemnicza, jak tajemnicza jest Rosja. Wydaje nam się, że to jakiś wieczny *bardak*, cywilizacyjna zapaść. Ale jednocześnie mamy szacunek dla rosyjskiej siły zbrojnej i wytrawnej dyplomacji Siergieja Ławrowa. Minister spraw zagranicznych Rosji, który od kilkunastu lat prowadzi jej politykę zewnętrzną, jawi się jako niezniszczalna wieża na dyplomatycznej szachownicy. Dla Polaków Rosja to kolos, który nas w przeszłości okupował. Wygrał wojnę światową, rzucił na kolana Napoleona i Hitlera. Ale jednocześnie Rosja to wspomniany *bardak*, brud, suszone ryby w Kaliningradzie. Rozpad imperium sowieckiego. Brak toalet, stara, zardzewiała infrastuktura. Nawalny to taka sama zagadka.

Geopolitycy mówią, że Rosja na przemian przeżywa okresy białego i czarnego jeźdźca. Okresy wzrostu potęgi i upadku. Rosja ma bardzo trudną geografię. Wystarczy zobaczyć, jak wygląda życie w Norylsku na dalekiej północy, najbardziej zabrudzonym przez przemysł mieście świata. Długość życia jest tam znacznie krótsza niż przeciętna w Rosji.

PZ: A ta nie jest najwyższa. Mężczyźni żyją średnio sześćdziesiąt cztery lata, podczas gdy w Unii Europejskiej i Stanach Zjednoczonych – siedemdziesiąt siedem. To też ważny wskaźnik.

JB: Tak, Rosja ma wielkie kłopoty. Ośrodek władzy w Moskwie nie jest w stanie spinać tak wielkich przestrzeni. Za Uralem Rosja wygląda trochę jak wyspy na Pacyfiku – między miastami rozrzuconymi wśród bezkresnych pustkowi trzeba latać samolotem. Trudno tam egzekwować władzę, brakuje pieniędzy na inwestycje publiczne. Nie ma też prywatnego kapitału. Co pewien czas w Rosji pojawia się więc rozprężenie. Bo ludzie – jak wszędzie na świecie – pragną wolności, podróży, godnego życia, pieniędzy, radości. Wtedy to rosyjskie sukno się rozłazi i widać, jak jest słabe. Nastaje okres białego jeźdźca – epoka Jelcyna, epoka siedemnastowiecznej Wielkiej Smuty, gdy nasze wojsko było na Kremlu, epoka rewolucji bolszewickiej czy wojny domowej. W Rosji jednak zawsze jest tak, że wtedy na scenę wjeżdża czarny jeździec, który to wszystko na powrót bierze do kupy. Putin, Stalin, Iwan Groźny, Michał I Romanow, Piotr Wielki. Oczywiście tacy silni przywódcy monopolizują wielką władzę, odbierając ją guberniom i innym lokalnym jednostkom administracyjnym. Gdy Rosja się wzmacnia wewnętrznie, staje się ważna dla sił zewnętrznych.

PZ: To wyraźnie widać w obecnych czasach. Wiemy, jak „liczono się” z Rosją Borisa Jelcyna, a jaki respekt wywołuje obecnie Putin.

JB: Teraz Nawalny. Otóż Rosja jest potrzebna światu zewnętrznemu, w planie pozytywnym, nie negatywnym. Pozytywnym, bo czasami Anglikom bardzo zależy na tym, żeby pokonać jakiegoś Napoleona. Potrzebują wtedy rekruta i siły żywej, którą można czerpać z nieprzebranych zasobów ludzkich rosyjskiej wsi. Przecież własnymi rękami Anglicy nie będą tego robić.

PZ: Napoleona albo Hitlera.

JB: Albo Hitlera. Francuzi również potrzebują Rosji, żeby pokonać Niemców. Nawet teraz prezydent Emmanuel Macron chciałby używać rosyjskich sił jako elementu w równoważeniu wpływów w Turcji. Albo w Rwandzie czy na Bliskim Wschodzie.

PZ: Z kolei Ameryka, jak mówiliśmy, chętnie wykorzystałaby Rosję do okrążenia Chin od północy. Z perspektywy USA lepiej chyba jednak zawierać sojusze z demokratami niż autokratami. Czy możliwa jest w Rosji jakaś kolorowa rewolucja, która odmieniłaby to państwo? Wyniosła do władzy Nawalnego i jego ekipę?

JB: Na razie nie widzę podstaw do takiego scenariusza. Putin jawi się jako „siła centrum", która spina ten ogromny kraj. Natomiast oczywiście nie można tego wykluczyć w przyszłości. Rosja utraciła moment rozwojowy, nie ma amunicji, napędu, z którego mogłaby czerpać. Obecny świat jej nie sprzyja. Ale oczywiście Rosja miała wiele takich kryzysów i w ten czy w inny sposób wychodziła z tego obronną ręką.

PZ: No, ale rzeczywiście świat się bardzo zmienia. Ludzie coraz więcej zarabiają, żyją coraz wygodniej. Mają coraz większe aspiracje. Tak jak mówiłeś – natura ludzka jest wszędzie taka sama. Rosjanie jeżdżą na Zachód, widzą, jak jest zorganizowany. Widzą, jaki postęp zrobiły inne państwa byłego bloku wschodniego: Polska, Estonia, Czechy czy Węgry. A potem wracają do swojego – przepraszam za wyrażenie – bajzlu. Bo poza dużymi miastami Rosja to w dużej mierze Trzeci Świat. Rosjanie mają tego dość, chcą zmian. Czy Nawalny nie stanowi dla nich nadziei?

JB: Rosjanie od czasu wielkich reform Piotra Wielkiego próbują wynegocjować udział w systemie zachodnim. Pozyskać stamtąd technologie, wiedzę, ludzi, kapitały. Czerpią stamtąd wzorce. W Rosji prężnie działało stronnictwo zapadników, którzy chcieli przeobrazić Rosję w nowoczesne zamożne państwo na wzór zachodnioeuropejski.

PZ: Symbolem polityki reform Piotra Wielkiego był słynny ukaz nakazujący bojarom, żeby obcięli brody. W ten sposób jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki z dzikich Azjatów mieli się przeistoczyć w cywilizowanych Europejczyków.

JB: Podobnie działał również Stalin. Wielka industrializacja Związku Sowieckiego w latach trzydziestych dokonała się za pomocą importowanych z Ameryki technologii i kapitałów. Bez wątpienia są Rosjanie, którzy chcieliby to powtórzyć. Zamiast iść na konfrontację z Zachodem, porozumieć się z Europą czy ze Stanami Zjednoczonymi. Bez wątpienia na

Kremlu są różne, ścierające się ze sobą frakcje. Pytanie brzmi, czy Nawalny jest symptomem tych walk frakcyjnych.

PZ: Czyli może mieć możnych protektorów na szczytach władzy. Kolejny reset z Zachodem byłby łatwiejszy do osiągnięcia, gdyby za stołem zasiadł Nawalny, a nie Putin.

JB: Już teraz widać wyraźnie, że Rosja wpada w orbitę Chin. A więc Wschodu, Azji. Być może więc na szczytach władzy w Rosji są jacyś współcześni zapadnicy, którym się to nie podoba, bo nadal chcą dzierżyć w kraju niepodzielną władzę. Ludzie ci woleliby dogadać się z Zachodem i wymienić Putina na kogoś w stylu Nawalnego. Byłoby to wielkie, emocjonujące, nowe otwarcie. Nawalny jest przystojny, szczupły. Do tego demokrata.

PZ: Demokrata chodzący w aurze męczennika i bohatera. W końcu był represjonowany przez Putina. Truto go, głodzono w łagrach.

JB: Oczywiście Zachód rzuci mu się w ramiona. Do Rosji znowu zaczną płynąć kapitały. To jednak będzie tradycyjna rosyjska gra, w którą Zachód uwierzy. Macron uwierzy, Niemcy uwierzą, Amerykanie też może uwierzą. Oto mamy nową, inną Rosję. W takim scenariuszu Nawalny jawiłby się jako Miedwiediew 2.0. Tylko lepszy, bardziej uprawdopodobniony przez swą opozycyjną przeszłość.

PZ: Przypomnijmy, że w 2008 roku Putin na jedną kadencję opuścił stanowisko prezydenta i zamienił je na stanowisko premiera. Prezydentem zrobił zaś Miedwiediewa. On też świetnie wypadał piarowsko. Szczupły, młody, zachodni. Wyglądał zupełnie inaczej niż typowy rosyjski aparatczyk z byczym karkiem, świńskimi oczkami i łapami jak kotlety. Zachód bez wątpienia chciał takiego człowieka na czele Rosji. A co z Polską? Gdy aresztowano Nawalnego, szef naszej dyplomacji Zbigniew Rau pisał na Twitterze: „Mocno potępiam zatrzymanie Nawalnego i liczę na jego błyskawiczne zwolnienie. Wyrażam swoją solidarność ze wszystkimi Rosjanami, którzy podzielają idee zatrzymanego przywódcy rosyjskich opozycjonistów”. Oczywiście serce podpowiada takie reakcje.

JB: W polityce nie wolno kierować się sercem. Tutaj będę brutalny.

PZ: No właśnie, bo rozum podpowiada coś zupełnie innego. Gdyby rzeczywiście Nawalny przejął władzę w Rosji, Zachód zapiałby z zachwytu. Francuzi, Niemcy i Amerykanie tylko czekają na to, żeby Rosja miała znowu ludzką twarz i można by się z nią układać. Nawalny na Kremlu to nowy reset z Rosją, tylko na większą skalę. I pytanie brzmi: Czy dla Polski rzeczywiście byłoby to takie korzystne? Bo co naprawdę dzieli Polskę z Rosją? To, że Putin jest złym facetem i łamie prawa człowieka? Czy też może sprzeczne interesy, geopolityka? Gdy Nawalny przejmie władzę, te rozdźwięki nagle przecież nie wyparują. Dziś Zachód jest po naszej stronie, ale co by było w wypadku nowej, „pięknej" Rosji?

JB: Otóż to. Napięcie między Polską a Rosją jest strukturalne, właściwie nie do usunięcia. Chyba że Rosja przestałaby być imperium i stałaby się skromnym państwem, niestabilnym, odepchniętym poza bramy Smoleńska. Czyli gdyby znowu nastała epoka białego jeźdźca. Spór polsko-rosyjski o przestrzeń między Bałtykiem a Morzem Czarnym trwa od 500 lat.

PZ: Niezależnie od tego, kto w tej Rosji rządzi.

JB: To jest pierwsze przykazanie w dekalogu wielkiej strategii Rzeczypospolitej. Naszym podstawowym zadaniem jest nie dopuścić Rosji do gry o wpływy w Europie. Ona nie może znajdować się w systemie europejskim. Pamiętajmy, że ona do tego systemu weszła dopiero wraz z rozbiorami Polski. I trwała w nim wtedy, gdy Polski nie było. Kiedy Rosja po klęsce w I wojnie światowej i rewolucji przeżywała kryzys i została wypchnięta z europejskiej gry – odzyskaliśmy niepodległość.

PZ: To samo powtórzyło się w latach 1989–1991, gdy upadł Związek Sowiecki. Rosyjska bessa to nasza hossa. I odwrotnie. Tak jak wspomniałeś, w okresie Wielkiej Smuty Polacy nie tylko wypchnęli Rosję za bramę smoleńską. Zajęli wówczas Kreml i mało brakowało, żeby na dłużej podporządkowali sobie Moskowię.

JB: Z kolei gdy Rosja jest zapraszana przez mocarstwa europejskie do gry o wpływy, mamy poważne kłopoty. Prowadzi to do uprzedmiotowienia Polski i krajów całego regionu. Można sobie wyobrazić taki scenariusz: Nawalny zostaje prezydentem. Jest nowe otwarcie, ludzie oczywiście wychodzą na ulice, Zachód w euforii. To jednak rzecz jasna rewolucja kon-

trolowana. Taka *pieriedyszka*, czyli moment przejściowy. Bo przecież Nawalny również będzie realizował interesy imperialne Rosji, bo każdy władca realizuje interes swojego państwa.

PZ: Oczywiście politykę determinuje geografia, a nie ustrój. Ani to, czy przywódca jest sympatyczny, czy niesympatyczny.

JB: Weźmy Aleksandra Kierenskiego, premiera Rządu Tymczasowego, który przejął władzę po rewolucji lutowej w 1917 roku. On też musiał dalej prowadzić wojnę z państwami centralnymi. Zresztą czy car Mikołaj II tak naprawdę chciał przystąpić do I wojny światowej? Został do niej wepchnięty przez Brytyjczyków. To są sprawy silniejsze niż wola czy intencje człowieka. Spójrzmy więc jeszcze raz na nasz alternatywny scenariusz. Nawalny zostaje prezydentem i Rosjanie mówią: „Teraz jesteśmy już fajni i sympatyczni. Mamy nowe otwarcie. Jesteśmy przyjaciółmi Europy i Ameryki. Po co więc to polskie połączenie energetyczne północ–południe, po co Polakom gazoport i inna infrastruktura zmierzająca do uniezależnienia się od naszych dostaw surowców? Przecież my już nikomu nie zagrażamy”.

Wtedy okaże się nagle, że czynnikiem destabilizującym stali się Polacy. To oni jątrzą i psują dobry nastrój w czasie miesiąca miodowego Zachodu z Rosją. Dojdzie do eskalacji napięcia, Rosjanie zagrożą, że polecą na nas iskandery. Wtedy Niemcy i Francuzi się przestraszą i powiedzą: „Polacy! Przestańcie jątrzyć i prowokować! Zróbcie to, czego chce Rosja”.

Znowu to, o czym mówiliśmy – gra o sprawczość.

PZ: Putin ma bardzo grubą kartotekę. Wojny w Czeczenii, wysadzanie bloków mieszkalnych, represje wobec opozycji, agresja na Krymie i w Gruzji. Sporo się tego nazbierało, odkąd w 2000 roku został prezydentem. To jednak człowiek KGB, dyktator. Choćby z estetycznych powodów kiepsko się z nim rozmawia, przywódcy Zachodu muszą się przecież liczyć z opinią publiczną. Tymczasem Nawalny to jego całkowite przeciwieństwo. Mimo że otwarcie deklaruje, że jest rosyjskim nacjonalistą. Intelektualiści Zachodu są jednak nim tak zachwyceni, że ten nacjonalizm, który zwalczają we własnych krajach, u Nawalnego im zupełnie nie przeszkadza. Kilka lat temu Nawalny udzielił wywiadu Adamowi Michnikowi. Wywiad został opublikowany w „Gazecie Wyborczej” 10 września 2016 roku pod tytułem *Nacjonalizm z obywatelską twarzą*. Nawalny zadeklarował, że jest

rosyjskim nacjonalistą. Michnikowi tak się to spodobało, że powiedział: „Nie uważam, by słowo «nacjonalista» miało wyłącznie negatywne konotacje. Dla mnie nacjonalista to człowiek, który w pierwszej kolejności szanuje wartości narodowe. I w tym rozumieniu ja również mogę być postrzegany jako nacjonalista”. Nawalny tymczasem zapowiada, że nie odda Krymu Ukrainie, nie zapowiada jakiejś superliberalizacji.

JB: Ale jest szczupły i przystojny.

PZ: (*śmiech*) Cała sprawa do złudzenia przypomina słynną operację dezinformacyjną „Trust” z lat dwudziestych, gdy bolszewickie służby przekonały Zachód, że w Związku Sowieckim działa potężna opozycyjna organizacja podziemna. Tymczasem była to grupa agentów GPU. Problem tylko z tym nowiczokiem, który znaleźli w jego organizmie niemieccy lekarze. Trudno mi sobie wyobrazić kogoś tak zdesperowanego, kto by się dobrowolnie zgodził na przyjęcie tak potężnej trucizny. Może więc jesteśmy zbyt podejrzliwi, może Nawalny jest autentyczny?

JB: To nieważne, czy jest autentyczny, czy nie. Być może jest tylko używany do spraw, których może nie rozumieć. Oczywiście pochylam się z empatią nad losem tego człowieka, jego cierpieniami. Ale przede wszystkim obchodzi mnie interes Rzeczypospolitej. Dość już tego moralizowania. To polityka, tutaj nie ma miejsca na oceny moralne. W tym kontekście naszemu ministrowi spraw zagranicznych, w kontekście zacytowanego przez ciebie tweeta, polecałbym dogłębne przemyślenie polityki państwa polskiego w latach 1919–1921. Zachód wówczas również pchał nas do tego, żebyśmy pomogli białym Rosjanom – czyli właśnie takim jak Nawalny – pokonać czerwonych. Wiem, że pewnie mogę cię teraz zbiesić, ale ja akurat uważam, że Józef Piłsudski miał rację, że tego nie zrobił. Piłsudski był prawdziwym synem wielkiej strategii Rzeczypospolitej ostatnich 500 lat. Rozumiał to, co powiedziałem przed chwilą. Jego koncepcja federacyjna była na to najlepszym dowodem. Odmówił Brytyjczykom udzielenia pomocy białym, bo byli oni faworyzowani przez Zachód. Świadczyła o tym choćby interwencja zachodnich sił podczas wojny domowej. Zachód potrzebował bowiem Rosji jako przeciwwagi Niemiec. Nas Zachód miał w nosie, a Piłsudski miał w sercu interes Rzeczypospolitej.

PZ: Rzeczywiście nie zgadzam się w sprawie odmowy pomocy białym. Bo – jak się okazało w 1939 roku – czerwoni Rosjanie byli znacznie, znacznie groźniejsi niż biali. A Anglosasi bez mrugnięcia okiem dogadali się również z bolszewikami. Zgadzam się natomiast w sprawie koncepcji federacyjnej Piłsudskiego. To był dobry kierunek. Szkoda, że nie wyszło.

JB: Piłsudski dążył do odbudowy dawnej Rzeczypospolitej z Wielkim Księstwem Litewskim i Rusią. Niestety zabrakło jeszcze jednej, ostatniej bitwy, którą należało stoczyć po bitwie niemeńskiej. Bitwa ta powinna była się rozegrać gdzieś na bramie smoleńskiej. Wtedy udałoby się wypchnąć Rosję poza linię wielkich rzek. Za Dźwinę, Berezynę i Dniepr. Wypchnąć ją z systemu europejskiego raz a dobrze. Gdy to się nie udało i w 1921 roku podpisano traktat ryski, Józef Piłsudski bardzo się zmienił. Już nie wierzył wtedy, że Polska będzie istnieć długo. Po traktacie ryskim i zabójstwie prezydenta Gabriela Narutowicza Piłsudski z człowieka bardzo towarzyskiego przeistoczył się w zamkniętego w sobie samotnika. Uznał, że można tylko odraczać wyrok. Że niepodległa Polska jest za słaba, by na dłuższą metę opierać się Związkowi Sowieckiemu. Wracając do Nawalnego i oświadczenia ministra Zbigniewa Raua: nie mylmy interesu światowego z interesem Polski. Bo one nie zawsze są tożsame. Po 1991 roku, po rozpadzie Sowietów, uwierzyliśmy, że cały świat stanie się wielką demokracją liberalną i należy jedynie rozsiewać ten system. Tymczasem interes Rzeczypospolitej jest wieczny, jej dzieje liczą setki lat i nakrywa czapką, rozmachem oraz doświadczeniem te śmieszne trzydzieści lat demokracji liberalnej.

PZ: To ciekawy paradoks. Być może w interesie Zachodu leży to, żeby w Rosji rządził Nawalny, ale w interesie Polski – żeby rządził izolowany przez społeczność międzynarodową Putin. Stanisław Cat-Mackiewicz, Władysław Studnicki i Adolf Bocheński dowodzili, że los Polski jest funkcją relacji niemiecko-rosyjskich. Im te relacje są lepsze, tym gorzej dla nas. Bo gdy Rosjanie dogadują się z Niemcami, prędzej czy później następuje rozbiór Polski. Z kolei gdy relacje Niemiec z Rosją są fatalne – dla nas jest to korzystne, bo oddala to wizję rozbioru. Ja jestem zwolennikiem takiego myślenia, ale być może jest ono anachroniczne. Może powinniśmy się podłączyć pod przyszły reset z Rosją. Zawrzeć sojusz z Moskwą, znowu sprzedawać na rosyjski rynek jabłka i kupować jeszcze więcej taniego rosyj-

skiego węgla. Zaprośmy do siebie na serię występów Chór Aleksandrowa i pojednajmy się wreszcie z naszymi słowiańskimi braćmi. Skoro mogliśmy się pojednać z Niemcami, to dlaczego nie z Rosją?

JB: Nie da się. Tego po prostu nie da się zrobić. Być może powiodłoby się to półtora wieku temu, podczas powstania listopadowego. Ale teraz nie. Powtarzam: mamy po prostu zbyt wiele sprzecznych interesów. Rosjanie mają tylko dwie opcje – muszą być imperium albo się rozpadną. A my musimy mieć strefę buforową, poczucie bezpieczeństwa. W efekcie, jak zawsze, rywalizujemy o przestrzeń ULB. Rosjanie budują swoje imperium z poczucia słabości i strachu. A my stoimy im na drodze. Niestety ten konflikt jest strukturalny, jest nie do uniknięcia. To tragedia grecka – my i Rosjanie jesteśmy skazani na spór. Historia udowodniła to wielokrotnie. Rosjanie zdają sobie sprawę, że nie są atrakcyjnym modelem cywilizacyjnym dla innych państw. Nie mają czego przeciwstawić Zachodowi. Destabilizują więc Zachód za pomocą rozmaitych działań niejawnych. A swoich sąsiadów destabilizują za pomocą sił zbrojnych, bo są od nich pod tym względem silniejsi. Jedyny sposób, by ich powstrzymać, to zdecydowany opór. Trzeba być twardym i silnym, by temu postawić tamę. Żadne resety i pojednania nic nie dadzą.

PZ: Ale czy naprawdę grozi nam coś ze strony Rosji? Nie licząc obwodu kaliningradzkiego, Rosja jest daleko od polskich granic. Nie mamy żadnego sporu terytorialnego. W przeciwieństwie do Łotwy czy Ukrainy nie mamy rosyjskiej mniejszości, której rosyjska armia mogłaby przyjść z bratnią pomocą. Jesteśmy w Unii Europejskiej i NATO, a Rosja tak naprawdę jest słaba. Jej mocna gra na arenie międzynarodowej opiera się w dużej mierze na blefie. Może więc zagrożenie rosyjskie jest wyolbrzymiane?

JB: Rzeczywiście nie mamy obecnie sporów terytorialnych z Rosją. Ale to nie terytorium jest w naszych czasach głównym kapitałem politycznym. Teraz liczą się przede wszystkim przepływy strategiczne. Właśnie o te przepływy rywalizujemy z Rosją. Gra toczy się o to, czy jesteśmy przedmiotem, czy podmiotem politycznym. Czy sami rozstrzygamy swoje sprawy i decydujemy o własnej przestrzeni, czy też będą to za nas robili inni. Rosjanie chcieliby decydować o przebiegu naszej infrastruktury przesyłu gazu albo o tym, gdzie mogą być wojska natowskie. Chcą na przykład negocjować

z Amerykanami w sprawie tego, czy w Radzikowie może powstać baza US Army. To długotrwały proces, który ma się skończyć wypchnięciem Amerykanów z tego, co Rosja uważa za swoją strefę wpływów, a później z całej Europy. Wspomniałeś o Studnickim i jego uczniach. Od ich czasów do równania geostrategicznego doszły dwa czynniki. Po pierwsze, Amerykanie wygrali II wojnę światową i stali się najważniejszym czynnikiem gry w Europie Zachodniej. A w naszej części kontynentu po roku 1991. Drugi czynnik, Chiny, staje się hegemonem Eurazji, czyli największą siłą superkontynentu. Głównym spinaczem przepływów strategicznych świata. Zmienia się rachunek. On jest – moim zdaniem – łatwiejszy dla Polski niż w strasznych czasach II wojny światowej. Nie oznacza to, że nie popełnimy znowu strasznych błędów. Ale gra jest bez wątpienia łatwiejsza niż wtedy.

PZ: Dlaczego?

JB: Bo mamy co najmniej cztery nogi, no, może trzy i pół nogi podparcia. A nie zero albo pół, jak w roku 1939. Bo mamy Stany Zjednoczone, Chiny i Niemcy, które są związane z Unią Europejską. Możemy tych trzech graczy rozgrywać.

PZ: Jacku, przecież ty jesteś realistą! Mówisz tak, jakbyś nie znał polskich elit politycznych. Tu nie będzie żadnej gry, żadnego balansowania. Żadnego realizmu. Jak zawsze postawią wszystko na jedną kartę: złapią się kurczowo amerykańskiej spódnicy. A na koniec Amerykanie pokażą nam figę z makiem i będzie wielki płacz i zgrzytanie zębów.

JB: Należy pamiętać, że każdy sojusz jest pewną grą interesów, że to układ dynamiczny. Sojusz nazywa się jeszcze sojuszem, jeżeli jest partnerski, może być nierówny, ale partnerski. To znaczy, że jeden partner może mieć 3 procent udziałów w spółce, ale ten drugi – który ma 97 procent – dalej musi się liczyć z interesami tego pierwszego. Jeżeli jednak sojusz staje się tak jednostronny – szczególnie w kwestii bezpieczeństwa – że jeden partner nie liczy się z drugim, to mamy problem. Wtedy sojusz zamienia się w strefę interesów. Jesteś wasalem, a nie sojusznikiem. I wtedy suweren nie musi w ogóle zabiegać o mniejszego partnera, bo przecież i tak zrobi on zawsze to, co mu każe. Kiedyś w języku europejskiej dyplomacji nazywało się to protektoratem.

PZ: Oczywiście. Gdy zaś prowadzi się politykę wielobiegunową i rozmawia ze wszystkimi partnerami – wszyscy muszą się z nami liczyć i o nas zabiegać. Bo zawsze jest możliwość, że wybierzemy kogoś innego. Zresztą, jeśli jeden sojusz zawiedzie, mamy możliwość zawrzeć kilka innych. To tak, jakby mieć kilka polis ubezpieczeniowych. Tymczasem zdawanie się tylko na jednego partnera skazuje nas na klientelizm. Widać to bardzo wyraźnie obecnie. Polska – ufna w żelazny sojusz ze Stanami Zjednoczonymi – skłóciła się z Ukrainą, Niemcami, Unią Europejską i innymi ważnymi graczami. Obecny rząd postawił wszystko na jedną kartę. Teraz, gdy Biden dał zielone światło do budowy Nord Stream 2, jest wielkie zdziwienie i szok. A przecież ostrzegaliśmy.

JB: To jest błąd, który popełniliśmy przed II wojną światową i teraz też go niestety popełniamy. Dla nas ważny powinien być interes Rzeczypospolitej, a nie interes światowy. Niemcy bardzo pragmatycznie i konsekwentnie realizują swoje egoistyczne interesy. I nikt tam się tego nie wstydzi. Oczywiście na potrzeby tubylców, którzy potrzebują paciorków, opowiadają różne rzeczy o wartościach europejskich i wspólnym europejskim interesie. Ale jak się trochę podrapie, można dojść do sedna sprawy.

PZ: Inny przykład: Węgry Viktora Orbána. On gra bardzo pragmatycznie. Rozmawia z Unią, Rosją, z Chinami. Modelowa polityka. Wróćmy jednak do głównego wątku naszej rozmowy. W 2009 roku administracja Baracka Obamy próbowała zrobić reset z Rosją i wciągnąć w to Polskę. Mówiło się wówczas, że gdyby Rosja spełniła warunki członkostwa w Unii Europejskiej – praworządność, wolne media itd. – to może w dalekiej perspektywie mogłaby się stać członkiem Wspólnoty. Może to nie jest głupi pomysł. Przecież Rzeczpospolita – co podkreślaliśmy wielokrotnie – przez stulecia rywalizowała z Rosją o tereny ULB. W wyniku ustaleń konferencji w Jałcie tereny te utraciliśmy, zostaliśmy zepchnięci na zachód, do naszych granic etnicznych. Straciliśmy nie tylko Mińsk i Kijów, ale również Wilno i Lwów. Całe Ziemie Wschodnie. Może więc to już jest koniec tej dziejowej rywalizacji, bo przedmiot sporu zniknął? Przegraliśmy i trzeba się z tym pogodzić. Przestać snuć sny o minionej potędze, tylko skupić się na ciepłej wodzie w kranie. Czasy husarii pod Kłuszynem minęły bezpowrotnie.

JB: Ale tu nie chodzi o to, że my mamy posiadać Wilno. Chodzi o to, że Rosja ma go nie posiadać. Chodzi o to, że Rosja nie może nam wisieć nad doliną Wisły i niszczyć nam planów modernizacyjnych, inwestycyjnych projekcją swojej siły wojskowej. Bo wszyscy będą się bali tu inwestować. Gdyby Rosja zajęła tereny ULB, musielibyśmy przeznaczać 10 procent PKB na wojsko, co by nas rujnowało. Rosja byłaby wówczas uczestnikiem gry o wpływy w Europie. Miałaby nie tylko Krym, ale całą Ukrainę, Białoruś, państwa bałtyckie, wyjście na Morze Czarne, na Bałtyk, na dolinę Dunaju, a Francuzi zapraszaliby ją do każdego stołu.

PZ: Tak, wtedy Rosja by nas stłamsiła.

JB: Na sprawę trzeba spojrzeć również z drugiej strony. Tak, my straciliśmy nasze Ziemie Wschodnie. Ale Rosja straciła swoje zachodnie gubernie. Rosja w ramach mechanizmu czarnego jeźdźca chce je odzyskać i my musimy zagrać w tę grę. Musimy ją powstrzymać. Musimy stworzyć system obrony na wschód od nas. W dobrym rozumieniu tego słowa. Nie zrobiliśmy tego po 1989 roku, mimo że mieliśmy i mamy niezbędne zasoby. Myśleliśmy, że Zachód będzie za nas prowadzić politykę wschodnią.

PZ: Niestety Polska zaprzepaściła te trzydzieści lat wspaniałej koniunktury. To katastrofa. Z perspektywy historycznej zostanie to uznane za największą klęskę i porażkę III Rzeczypospolitej. Za największe zaniechanie. Rosja w 1991 roku została wypchnięta aż pod Smoleńsk, marzenie Piłsudskiego zostało zrealizowane. Od XVII wieku państwo moskiewskie krok po kroku przesuwało się na zachód, co stało się przekleństwem Polski. Aż tu nagle Rosjanie zostali odepchnięci do linii, za którą żyli za czasów Iwana Groźnego. To była wielka szansa dla Polski: mogliśmy wejść w tę próżnię, zbudować swoje wpływy na terenie ULB. Tymczasem Polska nie zrobiła niemal nic. Widać to po obecnym zamieszaniu na Białorusi. Powinniśmy tam mieć olbrzymie wpływy, a okazało się, że są zerowe. Ta kluczowa dla naszej egzystencji sprawa została całkowicie odpuszczona. Nie wykorzystaliśmy okresu słabości Rosji.

JB: Oczywiście III Rzeczpospolita odniosła wielki sukces modernizacyjny. Mimo że sukces ten osiągnęła w warunkach peryferyjności. Ale chyba inaczej się nie dało. Niestety polskie elity polityczne uwierzyły w koniec histo-

rii. A przecież powinny przewidzieć, że epoka Jelcyna nie będzie trwała wiecznie, że Rosjanie prędzej czy później wrócą do gry. Należało oczywiście budować własne wpływy na Wschodzie. Naszą pozycję. Nie zrobiliśmy tego w imię idealistycznego przekonania – które jest wszechobecne w polskiej polityce – że jest coś takiego jak interes światowy. Że państwa dzielą się na dobre i na złe. Że pewnych rzeczy nie wypada robić. To jest to nastawienie, które Aleksander Bocheński krytykował w *Dziejach głupoty w Polsce*. My chcemy być zawsze dobrzy i chcemy być oceniani jako dobrzy. Skuteczność w polityce jest zaś mało ważna.

PZ: Mam wrażenie, że nasi politycy uznali, że wystarczy, aby Ukraina i Białoruś były niepodległe. Wtedy zobaczą, jak atrakcyjny jest polski model rozwoju, i same się z nami zwiążą. Nie trzeba nic robić, wystarczy czekać. Gdy więc my czekaliśmy z założonymi rękami, Rosjanie powoli odbudowywali swoje wpływy. To był rodzaj abdykacji z naszej tradycyjnej przestrzeni. W efekcie nawet dwuipółmilionowa Litwa ma obecnie mocniejszą pozycję na Białorusi niż czterdziestomilionowa Polska. A tyle się mówiło o Polsce jako liderze regionu Międzymorza, było tyle prężenia muskułów. Przecież to jest wręcz śmieszne. Trzeba działać, a nie gadać.

JB: Oczywiście model zachodni jest atrakcyjny dla Białorusinów i Ukraińców. Ale co z tego? Rosja działa – my nie. Moskwa chce przetrwać i uważa, że to jest trudne. Napór oceanu światowego, zachodnich trendów, myśli, technologii, Stanów Zjednoczonych i Europy jest bowiem olbrzymi. Amerykanie po 1991 roku byli sąsiadem wszystkich krajów na świecie. Zasiadali przy każdym stole. Teraz Rosjanie czują, że Ameryka słabnie i może przejść do defensywy. A to oznacza, że oni z kolei mogą przejść do ofensywy. Bo Rosjanie uważają, że trwa wojna. Kolorową rewolucję na Ukrainie, protesty na Białorusi i inne tego typu wydarzenia traktują jako działania Zachodu wymierzone w ich interesy. Zachód ingeruje w rosyjską strefę wpływów, podchodzi pod jej granice. Rosja stara się na to odpowiadać i odpychać Zachód. Wojna nowej generacji, atak na Gruzję, zablokowanie aspiracji unijno-natowskich Ukrainy przez odebranie jej Krymu, Donbasu. To są te działania. Gdy Rosjanie na powrót zdominują tereny byłego Związku Sowieckiego – wtedy zacznie im wadzić Polska.

PZ: Czyli wtedy my staniemy się krajem, który może znaleźć się w strefie wpływów Federacji Rosyjskiej?

JB: Tak, bo przesmyk polski między Karpatami a Morzem Bałtyckim blokuje inwazyjne wejście wpływów oceanu światowego do Rosji. To przez Polskę technologie, towary i wartości z Wielkiej Brytanii, Niemiec czy Francji mogą przesączać się do Rosji. W tym kontekście należy bardzo krytycznie ocenić niemądrą decyzję polskich władz o likwidacji małego ruchu granicznego z obwodem kaliningradzkim. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego to zrobiono. Bo baliśmy się szpiegów? Bądźmy poważni. Przecież my jesteśmy znacznie silniejsi cywilizacyjnie od Rosjan. Lepiej zarabiamy, lepiej żyjemy. Oni kupowali w polskich supermarketach, patrzyli, jak wszystko jest u nas zorganizowane. I mogli porównać to z rosyjskim modelem cywilizacyjnym. Należało się jeszcze bardziej otworzyć na tych ludzi. Na takiej bliskości korzysta lepszy.

PZ: Czy wiesz, jaka Biedronka jeszcze niedawno miała największe obroty w całej Polsce? W jakim mieście?

JB: Podejrzewam, że w Braniewie.

PZ: Tak jest, a teraz w Sejnach, bo na zakupy przyjeżdżają do nas Litwini. Ja decyzję o zniesieniu małego ruchu granicznego odbieram jako taką małą złośliwość wobec Moskwy. Ale przecież w ten sposób nie ukarano Putina, ale zwykłych – Bogu ducha winnych – Rosjan. Putinowi w to graj, bo przecież on chce zamykać Rosję, a nie otwierać ją na świat. Mieszkańcy Kaliningradu mają poczucie, że oni są zachodni, że są Europejczykami. Widzą resztki kultury niemieckiej, sąsiadują z Polską. Otwarcie dla nich naszego kraju, umożliwienie im podróżowania po Europie jeszcze bardziej by ich do nas przyciągnęło. A oddaliło od odległej Matuszki Rossiji. Gdy ich się zamknie w getcie otoczonym drutem, to tylko się zradykalizują i staną murem za Putinem.

JB: Tak by postąpiła wielka Rzeczpospolita, która potrafiła przyciągać do siebie ludzi różnych narodowości i religii. Mało tego, jesteśmy obszarem unijnym i pojawiały się nawet pomysły, żeby obwód kaliningradzki podłączyć pod obszar celny UE. Wtedy granica celna byłaby między obwodem

kaliningradzkim a Rosją. Tak się robi wielką politykę. To Rosja powinna się bać nas, a nie my Rosji.

PZ: Na koncepcję limitrofów – czyli strefy buforowej – warto czasem popatrzeć z perspektywy Rosji. Co ciekawe, Rosjanie uważają, że zielone ludziki na Krymie i cała agresja na Ukrainę były de facto akcją defensywną, a nie napaścią.

JB: Oni się boją wpływów Zachodu. Ponieważ uznali, że przejęcie władzy na Ukrainie przez obóz prozachodni, proeuropejski przesunie granicę zachodniej strefy wpływów na wschód, postanowili działać. Wtedy w ich optyce ofensywa operacyjna rzeczywiście jest elementem strategii defensywnej. Obym za mówienie takich rzeczy nie został uznany za rosyjskiego agenta, ale takie są fakty (*śmiech*). Weźmy izraelską wojnę sześciodniową w 1967 roku. Czy była operacyjną ofensywą? Była. Ale była jednocześnie strategiczną defensywą. Podobnie egipskie uderzenie na Izrael przez Kanał Sueski w wojnie Jom Kipur w 1973 roku było strategiczną defensywą. Chodziło o poszerzenie buforu, żeby nad Kairem i nad Aleksandrią nie wisiała stała groźba uderzenia 7. Brygady Ariela Szarona. Zresztą w końcowej fazie wojny Jom Kipur Izraelczycy rzeczywiście przekroczyli kanał i podeszli pod Port Said i Aleksandrię.

PZ: A po drodze zajęli cały Synaj.

JB: Nasza wyprawa kijowska w 1920 roku była operacyjną ofensywą. Ale Piłsudski przeprowadził ją po to, żeby skonsolidować defensywę na Dźwinie i Dnieprze. Niestety nie udało się osiągnąć tego celu. W efekcie w 1920 roku wygraliśmy wojnę, ale przegraliśmy pokój.

PZ: Wrócę jeszcze do Rosji i jej spojrzenia na kryzys ukraiński w 2014 roku. Rosjanie doskonale pamiętają, że podczas wojny sewastopolskiej w latach 1854–1855 mocarstwa zachodnie próbowały się dobrać do Rosji od południa. Krym był zawsze miękkim podbrzuszem Rosji, jednym z takich punktów, które oni uważają za kluczowe dla swojego bezpieczeństwa. Gdy doszło do obalenia prorosyjskiego prezydenta Wiktora Janukowycza, było jasne, że Ukraina wejdzie w orbitę wpływów Zachodu. Jednym z głównych postulatów Majdanu było zaś wyrzucenie rosyjskiej Floty Czarnomorskiej z bazy w Sewastopolu na Krymie. Na coś takiego Rosja, jeżeli

chciała utrzymać swój status lokalnego mocarstwa, po prostu nie mogła pozwolić. Gdyby rosyjską flotę w Sewastopolu zastąpiła flota NATO, dla Moskwy byłaby to prawdziwa strategiczna katastrofa. Ze swojej perspektywy, zajmując Krym, działała więc oczywiście defensywnie. Stany Zjednoczone – jak podkreśla profesor Mearsheimer – też nigdy by nie pozwoliły, aby Chińczycy założyli swoje bazy w Meksyku czy Kanadzie. Nas jednak najbardziej interesuje oczywiście to, żebyśmy kiedyś to my nie stali się limitrofem.

JB: Na to nie możemy pozwolić. Bez wątpienia pomocna nam w tym jest obecność amerykańska w Europie, którą należy wykorzystywać instrumentalnie do zapewnienia bezpieczeństwa Rzeczypospolitej. Dzięki niej możemy szachować Rosję, a czasami neutralizować Niemcy. Powinniśmy pragmatycznie używać Amerykanów i ich potęgi, która nadchodzi zza oceanu, a nie zapisywać się do wielkiej ideologicznej krucjaty o demokrację i prawa człowieka, co nazywam walką o interes światowy. W ostatnich latach został zburzony dotychczasowy system równowagi światowej i obserwujemy, jak tworzy się nowy. Przed Polakami staje pytanie, kim chcemy być. Co chcemy robić w świecie, jaką odgrywać rolę? Jaka jest nasza dalekosiężna strategia? Gdzie rozciąga się nasza strefa interesów? Moim zdaniem leży ona na wschodzie Europy. Na terenie państw bałtyckich, Białorusi i Ukrainy. Oczywiście z powodu tego, co mówię, jestem często oskarżany o myślenie imperialne. Jak można mówić takie rzeczy, jesteśmy przecież w demokratycznej wspólnocie narodów! Takie tam bla, bla, bla… Ale przecież przed tymi pytaniami tak naprawdę nie ma ucieczki. Nawet Papua-Nowa Gwinea ma swoje narodowe interesy.

PZ: Tak, mnie też to interesuje. Nasi politycy i eksperci często nie odróżniają pustego gadania, frazesów wygłaszanych na potrzeby opinii publicznej, od realnej gry interesów. W tę grę grają wszystkie poważne państwa świata, my zaś mamy z niej dobrowolnie zrezygnować? Absurd.

JB: Ta wielka debata jest przed nami. Nasze położenie geograficzne jest takie, jakie jest. Jesteśmy blisko Rosji i Rosja jest głównym czynnikiem destabilizującym w naszej części świata. Nie ma co chować głowy w piasek. Z Rosją trzeba się zmierzyć.

PZ: Spróbujmy więc podsumować, jakie są główne dalekosiężne cele wielkiej strategii Federacji Rosyjskiej. Po pierwsze, otoczenie się strefą buforową, strefą wpływów, która odgradzałaby Rosję od Zachodu. Strefa ta mniej więcej pokrywałaby się z terytorialnym zasięgiem imperium sowieckiego…

JB: Jeśli mogę wtrącić – Rosji chodzi o to, żeby ocean światowy nie mógł narzucać jej swojej woli. Według Kremla Zachód może osiągać ten cel przez system państw od siebie uzależnionych: Ukrainę, przyszłą Białoruś bez Łukaszenki czy Polskę. Tak to widzą Rosjanie. Według nich Polska może być albo amerykańska, albo rosyjska.

PZ: To pierwszy cel. Drugi cel to obalenie globalnej hegemonii Stanów Zjednoczonych, która nastąpiła po upadku Związku Sowieckiego. Rosjanie wolą, żeby system światowy był wielobiegunowy, marzą o powrocie do koncertu wielu mocarstw. Tak jak było w XIX wieku. Teraz w takim koncercie udział powinny brać Stany Zjednoczone, Chiny, Rosja i mocarstwa Europy, której spójność próbują rozbić. Bo wolą oczywiście rozmawiać osobno z Niemcami, Francuzami czy Włochami, a nie z całą Unią. Bo wtedy łatwiej jest rozgrywać Europejczyków. Aby móc realizować tę politykę, potrzebna jest jednak siła. Czyli armia. Jak oceniasz militarny potencjał Rosji? Czy współczesna rosyjska armia to jest to samo wojsko, które w 2008 roku wjeżdżało do Gruzji w trampkach na dachach rozklekotanych transporterów opancerzonych?

JB: Wojna sierpniowa w Gruzji jest cezurą. Rosjanie zatrzymali wtedy pochód Zachodu, rozbudowę imperium europejskiego, które cały czas się poszerzało o kolejne terytoria byłego Układu Warszawskiego i systemu sowieckiego. Gruzja była tym punktem krytycznym. Rosjanie powiedzieli: *non possumus*. To była bardzo charakterystyczna wojna. Sowiecka, a raczej postsowiecka siła zbrojna skonfrontowała się tam ze szkolonym przez Amerykanów nowoczesnym wojskiem Gruzji. Wtedy wygrała jeszcze sowiecka machina wojenna Rosji. Ale osiągnęła to dzięki swojej masie i determinacji. Bo – cokolwiek by o nich mówić – Rosjanie znają się na wojnie. Są dobrzy w te klocki. To trzeba im oddać. Nie o wszystkich narodach świata można to powiedzieć.

PZ: Już słyszę te głosy oburzenia. Skandal! Jacek Bartosiak chwali Rosjan!

JB: Żeby uniknąć nieprzyjemnej niespodzianki, musimy mieć realne rozeznanie przeciwnika. Najważniejsze jest jednak to, że wojna gruzińska, która obnażyła zacofanie rosyjskiej machiny wojennej, doprowadziła do wielkich reform armii Federacji Rosyjskiej. Podobnie jak wojna krymska doprowadziła do fundamentalnych reform armii carskiej. Armia, która w 2008 roku wkraczała do Gruzji, była szczątkiem Armii Sowieckiej. A Armia Sowiecka to były wielkie masy ludzkie, które musiały być zmobilizowane. Było dużo sprzętu, dużo baz, ale mała gotowość bojowa. Ten stary nieefektywny system pozostał, przeżył Związek Sowiecki. Gdy tylko Putin doszedł do władzy i trwała wojna czeczeńska, wezwał do siebie generałów i zapytał ich: „Dobra, panowie, ile wojska tam możemy rzucić?".

Okazało się, że w całej Federacji Rosyjskiej w gotowości bojowej znajdowało się zaledwie 30 do 40 tysięcy żołnierzy. I była to jakaś pstrokata, rozlazła zbieranina z różnych jednostek, a nie prawdziwe wojsko, które potrafi szybko wyjść z koszar i wkroczyć do akcji. Zwłaszcza w szybkich wojnach lokalnych, a nie w długoletnich światowych konfliktach.

PZ: Wtedy rzeczywiście wszystko dzieje się bardzo szybko. Nie ma czasu na długotrwały proces mobilizacji, formowania jednostek. To może być kłopotliwe szczególnie w specyficznych warunkach Rosji, której mieszkańcy nie są raczej mistrzami organizacji.

JB: Otóż to. Okazało się więc, że Rosja nie ma podstawowego instrumentu do realizacji swojej polityki. Putin postawił zatem przed generałami wielkie zadanie reformy wojska rosyjskiego. Rosjanie zdali sobie sprawę, że kiedyś rozstrzygająca była masa, ale teraz jest nią nowoczesny sprzęt i informacja. Słynna sekwencja OODA (Observe–Orient–Decide–Act) – czyli obserwacja, orientacja, decyzja, akcja. Już podczas walk w Donbasie w 2014 roku widać było ogromną poprawę.

PZ: A jak Rosjanie wypadli w Syrii?

JB: W Syrii było widać jeszcze większe postępy. Rosjanie pokazali tam, że opanowali nowoczesny sposób wojowania, choć bez przesady. Digitalizacja systemów komunikacji i łączności. Działające w terenie mniejsze batalionowe grupy bojowe, które mają krótką logistykę, więc są bardziej manew-

rowe, mogą szybko zmienić cel natarcia. Nie potrzeba już Rosjanom tworzyć wielkich frontów, zaplecze logistyczne mają bowiem ze sobą. Kolejna sprawa – wyposażenie w drony. Żeby nie było wątpliwości, to jeszcze nie jest armia amerykańska. Tu przepaść wciąż jest olbrzymia. Ale Rosjanie wcale się do Amerykanów nie porównują.

PZ: A do kogo?

JB: Do nas. Do nas, do Rumunów, Ukraińców, Turków. To my bowiem jesteśmy ich potencjalnym przeciwnikiem, a nie Amerykanie. Na Amerykanów mają straszak w postaci broni nuklearnej. Ale armię mają na nas. Modernizacja rosyjskiej armii trwa już ponad dziesięć lat i przynosi duże efekty.

PZ: Sprzęt to jedno, ale Rosja ma chyba coraz lepszych, bardziej doświadczonych żołnierzy. To już nie jest zbieranina oszołomionych spirytusem sołdatów, jak podczas II wojny światowej. Na jednym z wykładów wspominałeś, że do Syrii wysyłany jest rotacyjnie właściwie cały korpus oficerski armii rosyjskiej. I tam młodzi oficerowie mogą wziąć udział w prawdziwej walce, poznać realia nowoczesnego pola bitwy. Ostrzelać się.

JB: W tej chwili wojna przypomina balet, głębokie, błyskawiczne operacje manewrowe naszych hetmanów na ziemiach kresowych Rzeczypospolitej. Uzyskujemy świadomość sytuacyjną, wiemy, gdzie jest przeciwnik. Pod Chocimiem? Zaraz wysyłamy tam nasz zagon. Nie ma już stałych frontów i okopów. Ponieważ jest mało jednostek, na wielkich przestrzeniach szuka się przeciwnika, wykorzystując przewagę informacyjną. Wiemy, gdzie on jest, i od razu robimy manewr ogniem, manewr ruchem. Niszczymy go. W ten sposób się wygrywa. Wojna współczesna jest limitowaną, ograniczoną wojną nielinearną. Rosjanie są w niej mistrzami. Tak właśnie od kilkuset lat walczą. I to jest wojna, do której siły zbrojne Rzeczypospolitej muszą się przygotowywać. Bo jeżeli ład światowy dalej będzie pękał i Amerykanie dalej będą mieli takie problemy, to Rosjanie na pewno będą testować ich gwarancje bezpieczeństwa. Będą starali się rozmontować całą architekturę bezpieczeństwa Zachodu. Przede wszystkim w Europie Środkowo-Wschodniej. I my musimy stanąć im na drodze i wyłamać zęby rosyj-

skiej sztuce wojennej w ramach wojny nowej generacji. Moim zdaniem to jest do zrobienia.

PZ: Myślisz, że Putin naprawdę może zaatakować? Po co mu to? Źle mu się przecież nie żyje. Dotyczy to również innych przedstawicieli obozu władzy na Kremlu i niezwykle wpływowych oligarchów. To są szczęśliwi, zamożni, ustawieni życiowo ludzie. A wojna to wielka niewiadoma. Ryzyko. Nie ma pewności, czym się może skończyć.

JB: Nie, Putin wcale nie musi atakować Polski. Ale co się stanie, jeśli wejdzie na Łotwę? A przecież tam, w Ādaži, na tak zwanej wschodniej flance NATO, stacjonują nasze jednostki wojskowe. Nasze czołgi wchodzą w skład grupy bojowej tak zwanej wysuniętej obecności na Łotwie. Jak mają się zachować, gdy dojdzie do rosyjskiej agresji? A co się stanie, jeśli dojdzie do prowokacji przy granicy obwodu kaliningradzkiego? To nie musi być wojna na pełną skalę, marsz na Warszawę, to może być starcie na obszarze czterdzieści na trzydzieści kilometrów albo jednodniowe starcie taktyczne. Przypominam, że Rosjanie w Górskim Karabachu przegrali z Turcją. Turcja w przestrzeni posowieckiej buduje właśnie cztery lotniska wojskowe. Wojska tureckie dotarły do Baku. Turcy budują tam kolej i inną infrastrukturę. Turcy potrafili pobić wojska rosyjskie w Syrii i Libii. Mimo że Turcja nie ma broni jądrowej i gospodarczo na papierze jest znacznie słabsza od Rosji. PKB per capita Turcja ma mniejszy niż my, a wydatki wojskowe wcale nie tak bardzo dużo większe. Turcja de facto prowadzi obecnie na Kaukazie taką naszą dawną politykę prometejską. Stara się „pruć po szwach narodowościowych” dawne imperium rosyjskie. I robi to całkiem skutecznie.

PZ: Bierzmy więc przykład z Turcji. Nie można lekceważyć Rosji, tak jak niektórzy to robią, ale też nie można się Rosji bać. Bo strach paraliżuje i wtedy od razu stoimy na przegranej pozycji.

JB: Amen.

Źródło: „Historia Realna” 26 stycznia 2021

Rozmowa 5

Czy klęska wrześniowa może się powtórzyć?

PZ: Geopolitycy uczą nas, że myślenie o polityce należy zacząć od mapy. Spójrzmy więc na mapę kampanii polskiej 1939 roku. Na atak wojsk niemieckich. Jedno uderzenie poszło z północy, z Prus Wschodnich. Drugie – z zachodu, z Rzeszy. Trzecie – z południa, z kontrolowanej przez Niemców Słowacji. Polska została wzięta w kleszcze z trzech stron. Wyraźnie widać, że po rozmontowaniu Czechosłowacji w marcu 1939 roku wojna polsko-niemiecka stała się – z wojskowego punktu widzenia – niemożliwością.

JB: Opanowanie Czechosłowacji oznaczało dla Niemców zdobycie nowej podstawy operacyjnej do projekcji siły przeciwko Polsce. To zaś całkowicie zmieniło plany wojny z Rzecząpospolitą. W dwudziestoleciu międzywojennym w niemieckich sztabach panowała opinia, że Niemcy tak naprawdę mają jedną podstawę operacyjną do wojny z Polską, czyli dogodne pozycje wyjściowe z odpowiednią głębią strategiczną. Mowa o Pomorzu Zachodnim. W Wielkopolsce przemarsz większej ilości wojsk z Rzeszy blokowały błota Warty. Śląsk natomiast nie miał głębi strategicznej, bo był flankowany przez Wielkopolskę i Czechosłowację, która znajdowała się w sojuszu z Francją, mogła więc przystąpić do wojny przeciwko Niemcom. Dlatego Niemcy nie zaryzykowaliby koncentracji i wyprowadzenia uderzenia ze Śląska. Niewielkie Prusy Wschodnie również nie miały odpowiedniej głębi strategicznej. W efekcie Niemcy nie mieli dogodnych podstaw wyjściowych do wojny z Polską. Gdyby wojna wybuchła przed upadkiem Czechosłowacji, moglibyśmy skoncentrować swój główny wysiłek obronny na stosunkowo wąskim odcinku. Pomorze było daleko od Warszawy i doliny Wisły, za którą można by się było opierać dłużej.

Kampania 1939

PZ: Upadek Czechosłowacji sprawił, że wszystkie te założenia rozsypały się jak domek z kart. Nasza sytuacja nie stała się nawet beznadziejna. Ona stała się rozpaczliwa. Z dnia na dzień. To jest właśnie ta niekonsekwencja polityki Becka. Jeżeli Beck chciał odrzucić ofertę sojuszu złożoną przez Hitlera i walczyć z Niemcami ze wsparciem mocarstw zachodnich – powinien był za wszelką cenę bronić integralności terytorialnej Czechosłowacji.

Tymczasem on wziął udział w jej rozwaleniu, zajmując Zaolzie. To było działanie samobójcze.

JB: Likwidacja Czechosłowacji całkowicie zmieniła geometrię geograficznego planu wojny. Doprowadziła do tego, że Niemcy mieli już dwie porządne podstawy operacyjne – Pomorze Zachodnie oraz Śląsk, z którego Wehrmacht wyprowadził uderzenie dwóch potężnych armii. Na kierunku Częstochowa–Piotrków. Uderzenie to odrzuciło polską Armię „Łódź" i zniosło podstawową część odwodowej Armii „Prusy". Mało tego, podział Czechosłowacji sprawił, że Niemcy mieli nie tylko pomocniczy kierunek uderzenia z Prus Wschodnich na Mławę i Warszawę, ale również z terenu satelickiej Słowacji. To z kolei zagroziło oskrzydleniem Armii „Kraków". Już drugiego dnia wojny jej dowódca rozpaczliwie próbował się skontaktować z naczelnym wodzem, by prosić go o zgodę na odwrót. Armia „Kraków" była najbardziej wysuniętą na wschód polską armią i jej odwrót pociągnął za sobą decyzje o odwrocie wszystkich związków operacyjnych na wschód od wielkich rzek, czyli Sanu i Wisły. Innymi słowy – katastrofa.

PZ: Nasza armia była niestety wobec tego wszystkiego bezradna.

JB: Niestety olbrzymie bohaterstwo oficerów i żołnierzy nie mogło zrekompensować tragicznego położenia geograficznego i przewagi technicznej nieprzyjaciela. Niemcy błyskawicznie wygrali bitwę graniczną, przełamując polską obronę. Po kilku dniach byli pod Warszawą. Gdyby nie manewr odciążający znad Bzury – zlecony zresztą przez naczelnego wodza, marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza – wojna skończyłaby się w dwa tygodnie. Bitwa nad Bzurą odciągnęła od linii Wisły wojska niemieckie, umożliwiła skonsolidowanie Wojska Polskiego na wschód od rzeki. Przegrupowanie, stworzenie podstaw do oparcia się na przedmościu rumuńskim.

PZ: Jak oceniasz koncepcję przedmościa rumuńskiego?

JB: Nie była taka zła. To właśnie Podole i inne tereny południowo-wschodnie stanowiły naszą głębię strategiczną. Ale to mogło zadziałać tylko wtedy, gdyby nasi sojusznicy rzeczywiście uderzyli od Zachodu. Gdyby tak się stało, być może moglibyśmy przetrwać przez pewien czas dzięki alianckim dostawom idącym przez Rumunię. To wszystko było jednak bardzo kruche.

PZ: Cała ta koncepcja rozsypała się 17 września w momencie wkroczenia Armii Czerwonej. Wtedy Śmigły-Rydz miał już do wyboru tylko dwie rzeczy – polec z bronią w ręku na ostatnim szańcu albo porzucić krwawiącą armię i uciec za granicę. Jak wiadomo, wybrał to drugie rozwiązanie. Czytelnicy mogą się zastanawiać, dlaczego rozmawiamy o kampanii sprzed ponad osiemdziesięciu lat w książce poświęconej współczesnej geopolityce. Otóż nie ukrywam, że nurtuje mnie pytanie, czy katastrofa na taką skalę jak w 1939 roku grozi nam również obecnie.

JB: Wbrew pozorom to bardzo aktualny temat. Użyłbym takiego, może zaskakującego, porównania: Białoruś jest dzisiejszą Czechosłowacją. Bo jeżeli Rosjanie ostatecznie usadowią się w tym państwie, zyskają dogodną podstawę operacyjną do potężnego ataku na Polskę. Mając dodatkowy, pomocniczy kierunek uderzenia z obwodu kaliningradzkiego, który sam – oczywiście – nie ma odpowiedniej głębi strategicznej. Jeszcze bardziej niż Prusy Wschodnie w 1939 roku.

PZ: Bo to jest przecież tylko kawałek Prus. Resztę Stalin przydzielił komunistycznej Polsce. Zostawił sobie jedynie taki niewielki „lotniskowiec" przyczepiony do Bałtyku, wiszący nad Polską i całym regionem. Zakładam, że traktował to jako polisę ubezpieczeniową. A nuż w Europie Środkowo-Wschodniej pójdzie coś nie tak i państwa regionu uzyskają niepodległość. Warto coś sobie tutaj zostawić. Dzisiaj korzysta z tego Federacja Rosyjska, rozmieszczając w obwodzie rakiety *Iskander*.

JB: Tak. Ale – jak mówiliśmy – to działa w obie strony. Rosjanie czują się zagrożeni. A może nam kiedyś zachce się zająć obwód kaliningradzki, jeśli na wschodniej flance NATO wybuchnie wojna? To nie byłoby takie trudne, z Kaliningradu do Rosji jest przecież kawał drogi. Enklawę tę ze wszystkich stron otaczają państwa NATO. Nasza sytuacja zmieniłaby się jednak katastrofalnie, gdyby Federacja Rosyjska wchłonęła Białoruś. Rosjanie mogliby wtedy z okolic Grodna, Brześcia i Wołkowyska wyprowadzić uderzenie między Bugiem a Narwią albo między Bugiem a Wieprzem. Szliby zapewne na dawne, tradycyjne miejsca forsowania Wisły: Maciejowice, Puszczę Kozienicką, przyczółek warecko-magnuszewski. To, w połączeniu z atakiem z obwodu kaliningradzkiego, rozproszyłoby nasze siły obronne. Z Kaliningradu Rosjanie mogliby wedrzeć się w dolinę Wisły, w górę jej

biegu. I iść dalej na Warszawę, odcinając nas od pomocy sojuszników z NATO. Jak widzimy, uwarunkowania geopolityczne mogą się zmienić bardzo niekorzystnie dla Rzeczypospolitej. Tak stało się w latach 1938–1939, gdy rozmontowana została Czechosłowacja. Tak może się stać teraz, gdy zniszczona zostanie Białoruś. A co do 1 września 1939 roku – zgadzam się z tobą. Nie mieliśmy wtedy szans.

PZ: Los Białorusi to dla nas bez wątpienia sprawa życia i śmierci. We wrześniu 1939 roku geografia stawiała nas na pozycji z góry przegranej. Ale przecież to nie wszystko. Były jeszcze „czynniki siły" – jak ujmował to Władysław Studnicki – czyli liczba czołgów, nowoczesnych samolotów i zasoby surowców. Przemysł chemiczny i maszynowy, potencjał demograficzny. W tym wszystkim Niemcy bili nas na głowę. Jakby tego było mało, alianci zachodni byli daleko i nie bardzo mogli nam pomóc. Blisko był natomiast Związek Sowiecki, który czyhał na pierwszą okazję, żeby wziąć rewanż za 1920 rok. Jak weźmie się to wszystko pod uwagę, trudno uwierzyć, że Beck i marszałek Edward Śmigły-Rydz zdecydowali się na konfrontację z Niemcami. Jak to tłumaczysz?

JB: Spróbujmy odtworzyć rozumowanie Becka i kierownictwa państwa. Wydaje się, że to rozumowanie było następujące: Hitler jest słabszy niż alianci zachodni, więc blefuje. Tym blefem uzyskuje wszystko, co chce – remilitaryzację Nadrenii, anszlus Austrii, rozbiór Czechosłowacji, powrót Memla (Kłajpedy) do Rzeszy. Całą zmianę układu sił w Europie Środkowo-Wschodniej, w efekcie której wszyscy stali się de facto satelitami Hitlera. Za tym blefem – zakładał Beck – nie stoi jednak realna siła. Nasz minister uznał więc, że gdy Wielka Brytania daje Polsce gwarancje bezpieczeństwa, to jest to prezent z nieba. Przecież to największe mocarstwo morskie w historii świata! Potęga gospodarcza! Wielka flota i wielkie imperium kolonialne! Państwo, które zwyciężyło w Wielkiej Wojnie. Samo w sobie, w jakiejś abstrakcyjnej grze prowadzonej bez uwzględnienia geografii, to wszystko grało. Wydawało się, że na zakończenie wojny będziemy po stronie zwycięzców. Beck nie przewidział, że Brytyjczycy wygrają II wojnę światową – co też jest dyskusyjne – ale nie w Europie Środkowo-Wschodniej.

PZ: Polska leży zaś właśnie w tej części Europy. U nas Brytyjczycy nie mieli projekcji siły.

JB: Otóż to. Myślę, że mniej pretensji można mieć do Wojska Polskiego niż do kierownictwa politycznego II Rzeczypospolitej. Zajmując się projektowaniem koncepcji operacyjnych, zrozumiałem, na czym polega wojna. Tak jak wspominałem – chodzi o to, że w ścianie jest gwóźdź, a my musimy użyć wojska jak młotka do osiągnięcia celu politycznego, którym jest wbicie tego gwoździa kinetyczną siłą. Nasz młotek musi mieć określony obuch, określoną masę, długość trzonka itd. No i oczywiście musimy wiedzieć, w którym miejscu uderzyć. Można zaryzykować stwierdzenie, że Wojsko Polskie w kampanii wrześniowej osiągnęło cele, które wyznaczyli mu Beck i kierownictwo państwa.

PZ: Jak to? Przecież dostaliśmy łupnia.

JB: W warunkach geopolitycznych, w których Beck nas wprowadził do wojny, nasza armia miała dwa zadania. Po pierwsze – nie dać się rozbić na zachód od Wisły. I rzeczywiście Niemcom nie udało się rozbić polskiej armii na zachód od Wisły. Po drugie – stawiać tak zacięty opór, aby doprowadzić do eskalacji i zamiany kampanii polsko-niemieckiej w wojnę europejską. Wojna europejska wybuchła 3 września. Tak więc cele zrealizowano. Nasi politycy i generałowie chyba zdawali sobie sprawę, że Wojsko Polskie nie jest w stanie przez cztery lata wytrwać w wojnie z Niemcami jeden na jednego, stworzyć stały front wschodni. Niestety kalkulacja geopolityczna naszego kierownictwa była zła. Brytyjczycy łudzili Polaków, że im pomogą. Ale wtedy należało zapytać: „Co konkretnie panowie nam oferujecie? Pokażcie nam wasze zdolności we wschodniej części kontynentu”.

PZ: Przede wszystkim należało zapytać, czym zamierzają nam pomóc. Wiosną i latem 1939 roku brytyjska armia nie była przygotowana do wojny. Porządne siły lądowe właściwie nie istniały, a brytyjski lotniskowiec – wbrew krążącym po warszawskich salonach politycznych niedorzecznym plotkom – nie mógł wpłynąć na Bałtyk.

JB: Tak. Podobnie było z Francuzami.

PZ: Francuzi byli mocni. Ale na Linii Maginota, nie nad Wisłą.

JB: Kolejny błąd – po nadmiernej ufności w siłę Zachodu – to złe skalkulowanie czynnika sowieckiego. Niezrozumienie, że gdy 23 sierpnia 1939 roku podpisany został pakt Ribbentrop–Mołotow, automatycznie staliśmy się przedmiotem gry, a nie jej podmiotem. Była to gra o dominację eskalacyjną. Stawką było to, kto ustanawia reguły gry w tej części świata. Przedmiotem staliśmy się przede wszystkim dla Brytyjczyków. A potencjalnym podmiotem – Związek Sowiecki.

PZ: Marzeniem Wielkiej Brytanii od samego początku było wciągnięcie do koalicji antyniemieckiej Stalina. Sowieci mieli wszystko, czego nie mieliśmy my: kolosalną przestrzeń, miażdżącą przewagę demograficzną nad Niemcami, tysiące czołgów i samolotów. Gdyby Polska przestała istnieć, na jej trupie powstałaby granica niemiecko-sowiecka. To zaś otwierało drogę do tarć, kłótni, a wreszcie wojny między Hitlerem i Stalinem. To był ten scenariusz wymarzony przez Brytyjczyków. Żeby wygrać wojnę z III Rzeszą żołnierzami Armii Czerwonej. Ostatecznie tak właśnie się stało.

JB: Paradoksalnie, gdy tylko do gry przystąpili Sowieci, my staliśmy się dla Brytyjczyków ciężarem. Nie zależało im na tym, byśmy zbyt długo wojowali. Wiem, to straszne. Ale zasady międzynarodowej gry są bezwzględne.

PZ: Liczy się tylko siła. My byliśmy słabi, a Sowieci silni. Byli więc dla Brytyjczyków bardziej pożądanym partnerem do wojowania z Hitlerem. Anglosasi liczyli, że pakt Ribbentrop–Mołotow nie wytrzyma próby czasu. I mieli rację.

JB: Politycy podejmują decyzje i oni – w przeciwieństwie do opisujących później ich działania historyków – nie opierają się na archiwach. Dokumenty są dla nich mniej ważne, oni podejmują decyzje, kierując się swoją percepcją gry sił. Często popełniają więc błędy, czego najlepszym przykładem jest nasza tragedia wrześniowa. Ale tak się działo wielokrotnie w dziejach świata. Weźmy choćby fatalne błędy popełnione przez Hitlera w czasie wojny ze Związkiem Sowieckim.

PZ: Myślę o tym, co powiedziałeś, że Wojsko Polskie w 1939 roku wykonało postawione mu zadanie. Paradoksalnie jednak to nie wystarczyło. Nie wystarczyło, żeby osiągnąć sukces. Na tym polega dramat. Odwołam się tu

do mądrych słów generała Władysława Andersa: „W rosyjskim wojsku, potem w wojsku polskim, a przede wszystkim we francuskiej szkole wojskowej wpojono we mnie jedną zasadę. Nie wolno podejmować akcji, która nie ma szans powodzenia”. Tymczasem w 1939 roku polskie kierownictwo polityczne w ogóle nie zastanawiało się nad dylematem bić się czy nie bić. Dla nich odpowiedź była oczywista: bić się. Efektem była straszliwa katastrofa. Tymczasem – przypomnę – mieliśmy na stole drugą opcję. Można się było zgodzić na propozycję niemiecką. Zgodzić się na włączenie Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy, wytyczenie autostrady eksterytorialnej przez Pomorze i zawarcie sojuszu z Berlinem. Takie ustępstwa odsunęłyby agresję Hitlera od Polski i skierowały ją na Francję, na Zachód. Jednak Beck i Rydz nie chcieli oddać „nawet guzika”, czego skutkiem była rzeź Polaków i utrata niepodległości na pół wieku. Myślę, że Beck odpowiedział blefem na blef Hitlera. Uznał, że niemiecki dyktator cofnie się przed wojną na dwa fronty, gdy zostanie otoczony przez blok brytyjsko-francusko-polski. Tymczasem Hitler znalazł rozwiązanie tego dylematu: sprzymierzył się ze Stalinem. To było coś, co Beck wykluczał, i – moim zdaniem – był to najpoważniejszy z jego licznych błędów.

JB: Beck za bardzo przejmował się ideologią. Uważał, że komunizm i narodowy socjalizm są tak ze sobą sprzeczne, że sojusz między nimi jest niemożliwy. Tymczasem geopolityka zawsze ma prymat nad ideologią.

PZ: Ostrzegał przed tym Studnicki, ostrzegał Adolf Bocheński w *Między Niemcami a Rosją*…

JB: Zastanawiam się, dlaczego Beck na to nie wpadł. Gra o równowagę jest największą siłą we wszechświecie. Sojusze zawiera się po to, żeby mieć pole do manewru, żeby realizować swoje interesy. Wzmocnić samosprawczość i samodecyzyjność. Ideologia panująca w kraju potencjalnego partnera ma drugorzędne znaczenie. Wystarczy wspomnieć o sojuszu między Anglosasami a Stalinem w latach 1941–1945. Nawiasem mówiąc – czy Anglosasi wiedzieli o pakcie niemiecko-sowieckim?

PZ: Tak. Sekretarz ambasadora Rzeszy w Moskwie Hans von Herwarth nazajutrz po podpisaniu paktu spotkał się ze swoim odpowiednikiem z ambasady amerykańskiej. Spacerowali wzdłuż murów Kremla i Herwarth,

który miał fenomenalną pamięć, podyktował mu tajny protokół. Czyli Anglosasi wiedzieli o planowanym rozbiorze Polski między Sowietów i Niemców. „Dziwnym trafem" zapomnieli nas jednak poinformować o wiszącym nad nami śmiertelnym niebezpieczeństwie. Domyślam się, że z obawy przed tym, że Polska się przestraszy i jednak w ostatniej chwili ustąpi Hitlerowi. Tym sposobem wracamy do brytyjskiej polityki w przededniu II wojny światowej. Brytyjczycy chcieli zrobić wszystko, aby konflikt zbrojny wybuchł na Wschodzie, jak najdalej od ich granic.

JB: Brytyjczycy myśleli przede wszystkim o równowadze sił na kontynencie. Uważali, że utworzenie granicy między Związkiem Sowieckim a III Rzeszą, kłótnie między tymi mocarstwami o podział łupów w Europie Wschodniej pozwolą im równoważyć siły na kontynencie. Był taki słynny amerykański geopolityk holenderskiego pochodzenia Nicholas John Spykman. Umarł młodo w 1943 roku. Pisał o podstawach geopolityki światowej i według jego założeń do dzisiaj działa Departament Stanu USA. On świeżo po naszej wrześniowej klęsce napisał książkę *America's Strategy in World Politics*, „Strategia Ameryki w polityce światowej". Tłumaczył w niej widzenie świata przez Anglosasów. Praca ta nigdy nie została przetłumaczona na polski, więc pozwolę sobie przytoczyć jej kluczową dla nas tezę. Otóż według Spykmana, gdy Niemcy postanowiły wejść na drogę siły i dominacji na kontynencie, państwa położone na wschód od nich automatycznie stawały się satelitami. Bo były słabsze od Niemiec wojskowo i nie mogły znaleźć oparcia w Sowietach, z którymi graniczyły. Wielka Brytania nie mogła im zaś dać skutecznych gwarancji. W efekcie danie tych gwarancji spowodowało jedynie szybsze rozstrzygnięcia wojskowe na wschodzie i rzeczywiście doprowadziło do powstania granicy sowiecko-niemieckiej, co leżało w interesie Anglosasów.

PZ: To jest ten paradoks. Józef Beck, przyjmując na przełomie marca i kwietnia 1939 roku brytyjskie gwarancje niepodległości Polski zaoferowane przez premiera Neville'a Chamberlaina, myślał, że zapobiega wojnie. Tymczasem skierował agresję niemiecką na Polskę. Bo gdy się ma przeciwników z obu stron, najpierw eliminuje się słabszego.

JB: Podobnie rozumował Spykman – przypomnę, że to jest ten geopolityk, który pisał o Rimlandzie i Heartlandzie. Według niego Amerykanie po

Wielkiej Wojnie budowali flotę właśnie z myślą o tym, że podczas kolejnej konfrontacji powtórzą ten sam scenariusz. Czyli zawiążą silną koalicję, tak że Niemcy znajdą się między jej członkami, i zmiażdżą je z obu stron w potężnych obcęgach.

PZ: Jedno z ramion tych obcęgów miały stanowić mocarstwa zachodnie, drugie zaś Związek Sowiecki. A nie Polska. Jak wynika z analiz brytyjskich szefów sztabów, nie mieli oni żadnych złudzeń w sprawie polskiej armii. Wiedzieli, że nie sprosta Niemcom. Jedyną opcją we wschodniej Europie byli Sowieci. To było wyraźnie widać 22 czerwca 1941 roku. Do tego dnia Polacy na Wyspach Brytyjskich byli noszeni na rękach jako jedyni sojusznicy. A po tym dniu odstawiono nas w kąt jak starą, niepotrzebną zabawkę. Bo trzeba pamiętać, że wojnę z Niemcami wygrał Stalin. 80 procent sił Wehrmachtu było związanych na froncie wschodnim, tam toczyły się największe bitwy pancerne, tam zginęło najwięcej niemieckich żołnierzy. To Armia Czerwona złamała kręgosłup machinie wojennej III Rzeszy. Już wiosną 1939 roku Francuzi i Brytyjczycy pielgrzymowali do Moskwy i nakłaniali Stalina, żeby dołączył do koalicji. To było to zagrożenie, przed którym w swojej książce – skonfiskowanej przez polską policję w lipcu 1939 roku – ostrzegał Władysław Studnicki. Że gdy tylko Sowieci przystąpią do wojny, Anglicy sprzedadzą Polskę Stalinowi.

JB: Mówisz o *Wobec nadchodzącej II wojny światowej*. Gdy po raz pierwszy czytałem tę książkę – a czytałem ją kilka razy – byłem pod ogromnym wrażeniem. Ciężko złapać oddech, gdy się ją czyta. Trafność przewidywań Studnickiego jest uderzająca. Zastanawiające jest, dlaczego obecnie wiele osób zajmujących się stosunkami międzynarodowymi nie czytało i nie czyta Studnickiego. Nie traktuje jego spuścizny jako elementarza wiedzy. Zestawu podstawowego, obycia w kulturze strategicznej Rzeczypospolitej. Mamy tu naprawdę sporo do nadrobienia. Studnicki powinien zajmować poczesne miejsce w polskiej myśli geopolitycznej, tak jak Adolf Bocheński i wielu innych myślicieli z II Rzeczypospolitej, zapomnianych zupełnie w wyniku działań peerelowskiej cenzury. Są dwie rzeczy, które w rozumowaniu Studnickiego znalazły odzwierciedlenie. Po pierwsze – Anglosasi patrzyli na II wojnę światową jako dogrywkę po I wojnie światowej. Churchill mówił o tym wielokrotnie. Między innymi Stalinowi, gdy w grudniu

1943 roku w Teheranie rozmawiali o pierwszych przymiarkach do podziału Polski, gdy dyskutowano o przyszłym losie Królewca. Stalin, o czym pisał Piotr Eberhardt w swojej książce o geopolitycznych granicach Rzeczypospolitej, domagał się tam niezamarzającego portu na Bałtyku. Churchill znalazł zrozumienie dla tego żądania: „Rzeczywiście, walczycie od samego początku tej trzydziestoletniej wojny u naszego boku, zatrzymaliście Niemców – kosztem kolosalnych ofiar żołnierza rosyjskiego – nad jeziorami mazurskimi w 1914 roku. Dzięki temu Niemcy musieli przerzucić część swoich sił na front wschodni i udał się Cud nad Marną. Paryż został uratowany. Teraz znowu walczycie razem z nami przeciwko Hitlerowi. Więc oczywiście należy się wam ten niezamarzający port". Co ciekawe, o czym część naszych czytelników może nie wiedzieć, nasi komuniści byli przekonani, że Królewiec przypadnie Polsce. Już witali się z gąską…

PZ: Z kolei przynależność państwowa Szczecina i ujścia Odry była bardzo niepewna. Tereny te miały należeć do NRD.

JB: Los Królewca rozstrzygnęło kilka minut rozmowy między Churchillem a Stalinem. U nas – w kontekście Teheranu i Jałty – dużo się mówi o Lwowie i Wilnie. Ale zapomina się o Królewcu. Gdybyśmy mieli teraz Królewiec, jakże inaczej skomunikowane ze światem byłyby Warmia i Mazury. Już nie mówiąc o zagrożeniu rosyjską agresją z obwodu kaliningradzkiego. Granica w Tylży, na Niemnie, z niepodległą Litwą. Zupełnie inne położenie w tej części kontynentu. Inaczej by się potoczyły losy naszego państwa. Druga sprawa, o której chcę powiedzieć, to coś, czego nigdy nie widziałem w polskiej debacie publicznej. Otóż wojsko ma znaczenie tylko wtedy, gdy ma własną podstawę operacyjną. Jaką podstawę operacyjną miało wojsko polskie na Zachodzie? Kto dawał buty, konserwy, amunicję, pieniądze na żołd żołnierzowi polskiemu? To samo dotyczy armii napoleońskiej w północnych Włoszech czy w Hiszpanii. A potem pod Monte Cassino czy pod Arnhem.

PZ: Oczywiście – „sojusznik".

JB: Otóż to. Tito, przywódca komunistycznej Jugosławii, miał swoje silne, partyzanckie wojsko na Bałkanach i dzięki temu po wojnie utrzymał niezależność. Mógł balansować między aliantami zachodnimi a Sowietami.

Nauczka z tego taka, że wojsko powinno się żywić z własnego kraju. Wynikać z ludu. Ze wsi i z miast kraju, którego broni. A myśmy we wrześniu 1939 roku podjęli decyzję, że mimo klęski wojna trwa dalej. Wychodzimy przez Węgry i Rumunię i będziemy dalej walczyć z Niemcami za granicą.

PZ: Tyle że już nie w obronie Polski, ale w obronie Francji. A później Wielkiej Brytanii. Jak się okazało pod koniec wojny, to nie było to samo. Pobicie Niemców przez mocarstwa zachodnie wcale automatycznie nie przyniosło odzyskania niepodległości przez Polskę.

JB: Niestety pomyliliśmy interes światowy z interesem Rzeczypospolitej. Pisał o tym Józef Mackiewicz w broszurze *Optymizm nie zastąpi nam Polski*. Te interesy się nie pokrywały, one się w pewnym momencie rozdzieliły, zwłaszcza w obliczu coraz poważniejszych klęsk niemieckiej armii na froncie wschodnim. Do naszych granic nieubłaganie zbliżał się sojusznik Brytyjczyków – Armia Czerwona – który niósł nam zniewolenie. A myśmy kurczowo trwali przy interesie światowym. Przy tej wierze, że istnieje dobry świat i warto o niego walczyć. Bo łączy nas z nim wspólnota cywilizacyjna, wspólnota wartości. Mimo że zostaliśmy sami w zburzonej Warszawie, na gruzach Starówki, wierzyliśmy, że ten wyidealizowany lepszy świat – Londyn, Waszyngton, Paryż – wart jest tej walki. Bo po wojnie na pewno nam się pięknie odwdzięczy. To nie były kalkulacje realistyczne.

PZ: Nie były. A kosztowały nas morze krwi. W polityce nie ma bowiem takiej kategorii jak wdzięczność. Jest tylko kategoria siły. A tej przez całą wojnę konsekwentnie się wyzbywaliśmy, bezsensownie szafując na prawo i lewo polską krwią. Francuzi postąpili znacznie bardziej pragmatycznie. Mam na myśli zawieszenie broni zawarte przez marszałka Pétaina po francuskiej klęsce wiosną 1940 roku. W ten sposób udało im się uratować dużą część swojego państwa przed straszną niemiecką okupacją, ocalić jakąś formę francuskiej państwowości. Stworzenie państwa Vichy nie przeszkodziło generałowi de Gaulle’owi powołać sił Wolnych Francuzów u boku Brytyjczyków. To była polityka pragmatyczna. Przeciwieństwo naszej – romantycznej. Aby się przekonać, która była lepsza, wystarczy zestawić bilans strat osobowych Polski i Francji podczas II wojny światowej. Po klęsce 1939 roku koszty dalszego prowadzenia wojny z Niemcami ponosili

cywile pozostawieni na pastwę Niemców i Sowietów przez polskie władze, które uciekły do Rumunii.

JB: Odrzucenie oferty Hitlera, a potem brak zawieszenia broni po kampanii 1939 roku wypływały w dużej mierze z kwestii psychologicznych. W latach 1918–1920 Polacy wywalczyli sobie niepodległość. A potem z mozołem budowali II Rzeczpospolitą. Musieli niejako cofnąć koło historii do czasów sprzed zaborów, które straszliwie zubożyły Polskę. To było ponad 120 lat. Tradycyjny rdzeń Rzeczypospolitej – ziemia piotrkowska, ziemia łęczycko-sieradzka, ziemia sandomierska – wszystko, co było wzdłuż doliny Wisły, stało się nagle obszarem dzielącym, a nie komunikującym. Pięknie to Melchior Wańkowicz ujął w *Sztafecie*, pisząc, że wnętrze Polski po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku było Pustą Doliną. Kilka mostów między Krakowem a Warszawą. Biedna ludność niepowiązana ze sobą żadnymi liniami komunikacyjnymi. Mało miasteczek, mało rynków. Miasteczka w ziemi sandomierskiej były co kilkadziesiąt kilometrów.

PZ: Ten kraj trzeba było lepić z trzech różnych kawałków. Inny był rozstaw torów w Rosji, a inny w Austro-Węgrzech i Niemczech. W Galicji był ruch lewostronny i w drodze z Warszawy do Krakowa trzeba było zmienić strony. Trzy różne systemy monetarne, trzy systemy administracyjne. Złączenie tego w całość było rzeczywiście olbrzymim wyzwaniem.

JB: Trzeba było powiązać zerwane wraz z zaborami linie komunikacyjne. Warszawa nie miała połączenia z Poznaniem, Gdańsk – z ziemią lubelską. I tak dalej. Wszystko oddzielnie, odrębne instrumenty nietworzące orkiestry. W dodatku na terenie byłego zaboru rosyjskiego panował niedowład infrastrukturalno-drogowy wynikający z obaw planistów carskiego sztabu generalnego. Uważali oni, że Niemcy i Austriacy siłą rzeczy szybciej przeprowadzą mobilizację. W efekcie, gdy Rosjanie zbudują drogi w Kongresówce, armie państw centralnych pomkną nimi na wschód, podczas gdy wielka armia rosyjska wciąż jeszcze będzie się mobilizować. Kongresówka była traktowana jako wojskowa baza wypadowa dla armii rosyjskiej. Planowano obronę na linii Wisły. Dlatego Rosjanie hamowali rozwój przemysłowy Polski, żeby w razie przegranej w pierwszych tygodniach wojny nie zasilać potencjału przeciwnika tutejszymi fabrykami. Z tym wszystkim mierzyli się ojcowie niepodległości. Musieli opanować, zorganizować to

bezhołowie. Gdy to się jako tako udało, byli dumni ze swych osiągnięć. Z niepodległości. Polskim elitom politycznym trudno więc było zaakceptować kompromis z Niemcami, który by ograniczał suwerenność Polski. Ale oczywiście to nie jest poważne wytłumaczenie. Jedynym kryterium oceny polityków jest skuteczność. Przegraliśmy wojnę i do dziś borykamy się z konsekwencjami tej klęski. Nawiasem mówiąc, myślę, że to była dla tych ludzi tragedia. Mieli bowiem poczucie, że ostatecznie zaprzepaścili wszystko, co wcześniej z mozołem budowali. Chcieli bronić suwerenności, a utracili niepodległość.

PZ: Zgadzam się, że źródeł klęski 1939 roku należy szukać w sukcesach lat 1918–1920. Polscy przywódcy, którzy wywalczyli niepodległość i obronili ją przed bolszewikami, poczuli się wszechmocni. Cytując klasyka: „zawrót głowy od sukcesów”. Z czasem sami sobie wmówili, że Polska – jak głosił tytuł słynnej broszury ambasadora we Francji Juliusza Łukasiewicza – jest mocarstwem. To były śmieszne rojenia. Kierownictwo polityczne lat trzydziestych nie rozumiało, że Polska odzyskała niepodległość nie dlatego, że Polacy byli tacy potężni, ale dlatego, że nasi sąsiedzi byli tacy słabi. Był to fenomenalny układ, jaki zdarza się raz na 1000 lat. Niemcy pobili Rosję, a rok później przegrali wojnę na froncie zachodnim. W efekcie dwa sąsiadujące z nami mocarstwa na pewien czas opadły z sił i my mogliśmy się wybić na suwerenność. Problem polega na tym, że trwało to bardzo krótko. Jasne było, że prędzej czy później Niemcy i Związek Sowiecki odbudują swój potencjał, a wtedy nasza swoboda manewru drastycznie zmaleje.

JB: Tak. Józef Piłsudski zdawał sobie sprawę, że na dłuższą metę w Europie Środkowo-Wschodniej panować będą albo Niemcy, albo Sowieci. No i niestety w 1939 roku staliśmy się barierą uniemożliwiającą obu tym państwom osiągnięcie tego celu. Na dodatek byliśmy barierą słabą. Słabszą i od Sowietów, i od Niemców. Można było ustąpić albo się bić. W 1920 roku pokonaliśmy bolszewików, ale w latach trzydziestych, w czasie Wielkiego Kryzysu na Zachodzie, Stalin zaczął otrzymywać kredyty konsumpcyjne ze Stanów Zjednoczonych. Wielką industrializację Związku Sowieckiego sfinansował bowiem kapitał amerykański. Jeszcze w latach dwudziestych Moskwa bała się przede wszystkim Wojska Polskiego, naszego sojuszu z Rumunią i projekcji polskiej siły zbrojnej na Wschodzie. Ale w latach

trzydziestych równowaga sił zmieniła się drastycznie na korzyść Związku Sowieckiego. I przestrzeń do geopolitycznej gry rzeczywiście się skurczyła.

PZ: Cele Sowietów są świetnie znane. Podbić Polskę, potem całą Europę i cały świat. Zamknąć całą ludzkość w komunistycznym „raju". A na czym polegała gra Niemiec?

JB: Hitler postanowił zerwać z porządkiem wersalskim. Niemcy zaczęli poszukiwać przestrzeni dla swojej potężnej gospodarki. Tak jak obecnie, widzieli ją w Europie Środkowo-Wschodniej, która po rozszerzeniu Unii Europejskiej zasila przecież gospodarkę niemiecką. Niemcy potrzebowali tego samego przed I oraz II wojną światową. Hitler początkowo nie chciał wojny, bo łatwiej jest osiągnąć cel bez wojny i związanego z nią ryzyka. Do pewnego czasu udawało mu się realizować strategiczne cele bez jednego wystrzału. Wojna, jak wiadomo, wybuchła w 1939 roku – o Polskę.

PZ: W czym, jak mówiliśmy, duża zasługa Wielkiej Brytanii. Znany historyk Adam Tooze w swojej fundamentalnej książce o gospodarce III Rzeszy *Cena zniszczenia* pisze o dalekosiężnych celach Niemiec. Otóż Hitler zdawał sobie sprawę, że Europa powoli schodzi do światowej drugiej ligi, że czas Europejczyków – którzy dominowali na świecie przez kilkaset lat – się kończy. Ich miejsce zajmą dynamiczne duże mocarstwa z innych kontynentów. Oczywiście przede wszystkim Stany Zjednoczone. Państwo dysponujące bezkresnymi przestrzeniami i nieograniczoną ilością surowców. Polityka Hitlera – według Toozego – była desperacką próbą powstrzymania tego procesu. Hitler chciał zbudować europejskie, germańskie imperium, które mogłoby czerpać z zasobów surowcowych Wschodu. Przede wszystkim – podbitego Związku Sowieckiego. A szczególnie Ukrainy. W ten sposób Europa miała utrzymać swoją pozycję liczącego się gracza. Jak wiadomo, cały ten plan skończył się fiaskiem. Po II wojnie światowej Europa zeszła ze sceny. Pytanie, czy współczesne Niemcy są zdolne zrealizować ten cel? Oczywiście innymi, cywilizowanymi metodami.

JB: To się okaże. Dotychczasowe doświadczenia historyczne wskazują, że będzie to trudne. Niemcy w latach trzydziestych zażądali dogrywki geopolitycznej o dominację nad Europą. Poprzednią grę bowiem – toczoną w latach 1914–1918 – przegrali. Problem polega na tym, że Niemcy mają

swój wielki problem geopolityczny. Naszym odwiecznym problemem jest położenie pomiędzy Niemcami a Rosją, a problemem Niemiec jest położenie między Wschodem a Zachodem. Wszystkie klęski niemieckie były tym spowodowane. Niemcy wciąż się głowią, jak realizować swoją politykę, tak wykorzystać swój kolosalny potencjał gospodarczy, żeby nie antagonizować jednocześnie Wschodu i Zachodu. Do dziś stanowi to oś polityki państwa niemieckiego, które ma interesy gospodarcze na wschodzie kontynentu, ale z zachodu pada na nie cień potęgi morskiej. Kiedyś Wielka Brytania, teraz Stany Zjednoczone. Anglosasi zawsze boją się konsolidacji gospodarki kontynentu europejskiego, mogłoby to bowiem wyprzeć ich wpływy z Europy. Wizja niemieckiej strefy wpływów sięgającej po Persję zawsze wywoływała w Londynie i Waszyngtonie przerażenie.

PZ: Dlaczego?

JB: Bo Niemcy nie mają konkurenta gospodarczego od Renu po Hindukusz i Zatokę Perską. Gdyby to był jeden obszar gospodarczy, to niemieckie towary przemysłowe nie miałyby tam konkurencji. A więc byłoby zupełnie inaczej niż na oceanie światowym, gdzie dominują Anglosasi. Innymi słowy, problem Niemiec polega na tym, że inne państwa chcą powstrzymać ich ekspansję. Jeżeli Niemcy wystąpią przeciwko Francji, to Francja sprzymierzy się z Rosją. Jeżeli wystąpią przeciwko Rosji, to boją się Francji. Po 1918 roku w Europie Środkowo-Wschodniej – w ramach koncepcji samostanowienia narodów Woodrowa Wilsona – powstało mnóstwo niepodległych państw i państewek. Niestety prawo do samostanowienia nie jest prawem grawitacyjnym stosunków międzynarodowych. Najważniejszym prawem stosunków międzynarodowych jest równoważenie sił. A w tej grze liczą się tylko wielkie mocarstwa.

PZ: I tak wracamy do iluzji, którymi żyli nasi decydenci.

JB: Tak, w 1939 roku Polska mocarstwem nie była. Licytowaliśmy wyżej, niż wynikałoby to z naszego potencjału. Ocenialiśmy się wyżej, niż oceniali nas nasi przeciwnicy i sojusznicy. Beck, kierując się swoją percepcją siły – jak ujmował to Otto von Bismarck – rzucił śmiało żelazną kością. Skończyło się to tragicznie. Beck zakładał, że wystarczy opowiedzieć się po stronie Anglosasów. Bo, jak mówiliśmy, Anglosasi zawsze wygrywają

wojny z mocarstwami kontynentalnymi. Można więc powiedzieć, że ta kalkulacja była prawidłowa. Bo owszem, przeciwnicy Niemiec ostatecznie, w 1945 roku, wygrali. Ale żelazna kość w czasie wojny obróciła się tyle razy, że wcale nie znaleźliśmy się w obozie prawdziwych zwycięzców. Znaleźliśmy się pod okupacją sowiecką, przegrawszy wszystko, co tylko mogliśmy przegrać. Beck mówił Melchiorowi Wańkowiczowi – gdy spotkali się w Rumunii tuż po katastrofie wrześniowej – że po wojnie na pewno zasiądziemy do stołu obrad jako kontrahenci, podczas gdy Czesi stać będą za drzwiami. A jak było w Teheranie i Jałcie? Czy los Czechów rzeczywiście był gorszy niż los Polaków?

PZ: To oczywiście pytanie retoryczne. Polacy mają skłonność do traktowania Czechów z góry, jako „tchórzliwych pepików". Kiedy my się biliśmy – oni położyli się na plecach. Kiedy my stawialiśmy opór pod okupacją – oni kolaborowali. Okej, ale spójrzmy na ostateczny bilans. Porównajmy straty obu narodów. Porównajmy, jak wygląda obecnie Warszawa, a jak wygląda Praga. Ten sam casus co z Francją. Podtykamy innym narodom pod nos naszą martyrologię i poświęcenie, a następnie liczymy na wdzięczność i podziw. Tymczasem taka postawa wywołuje na świecie tylko politowanie.

JB: Decyzja o przyjęciu brytyjskich gwarancji i postawienia się Hitlerowi w 1939 roku spowodowała, że pierwsi stanęliśmy w obronie interesu światowego. A ci, którzy mieli dość sił, żeby wyjść z tego starcia zwycięsko, Francja i Wielka Brytania, czekali.

PZ: Gdy my ginęliśmy, oni spokojnie szykowali się do wojny. Agonia Polski dała im bezcenne osiem miesięcy na dozbrojenie.

JB: Zachodni sojusznicy kupowali sobie czas. A niedobrze jest być tym, za czyją krew się go kupuje. To kolejna rzecz, z której Beck powinien był sobie zdawać sprawę. Jednak do rozbieżności interesów między Polską a jej zachodnimi sojusznikami doprowadziła przede wszystkim geografia. Zostaliśmy sami w Europie Środkowo-Wschodniej wobec Niemiec, a po pakcie Hitler–Stalin również wobec Sowietów. Ciężar wojny spoczął na nas. Czy naprawdę nasi przywódcy wierzyli, że damy radę? Marszałek Śmigły-Rydz, już po klęsce, rozmawiał w jakimś obskurnym rumuńskim hoteliku z Wańkowiczem. Opowiadał mu, że zastał Wojsko Polskie w stanie katastrofal-

nego niedozbrojenia. Nie było dział przeciwlotniczych ani broni przeciwpancernej. A na porządny, nowoczesny sprzęt biedna Polska nie miała po prostu pieniędzy. Skarb państwa świecił pustkami. Eugeniusz Kwiatkowski po wojnie pisał zresztą, że do końca życia będzie żałował, iż pod koniec lat trzydziestych nie zdecydował się na drukowanie pieniędzy. Śmigły w rozmowie z Wańkowiczem z rozbrajającą szczerością przyznał, że nie docenił znaczenia nowoczesnej broni pancernej. Mówił, że gdyby była taka jak w 1920 roku, to moglibyśmy powalczyć… „Zamknąłem sobie wspomnienie tej rozmowy ciepłym uczuciem dla prawego człowieka – podsumował Wańkowicz – który został wyniesiony zbyt wysoko”.

PZ: Święte słowa. To naprawdę potwornie kompromitujące dla wojskowego – w końcu fachowca – że przespał dwadzieścia lat rozwoju techniki wojskowej. Mówisz, że przegraliśmy II wojnę światową. Ale dodajmy, jak ją przegraliśmy. Bo porażka porażce nierówna. Przegraliśmy ją, ponosząc kolosalne straty, odebrano nam połowę terytorium i niepodległość na pół wieku. Zupełnie nie rozumiem, po co mnożyliśmy te straty przez długie pięć lat. Apogeum tej szalonej polityki była oczywiście hekatomba powstania warszawskiego.

JB: Śledzę dyskusję, którą wywołałeś swoimi książkami. Między innymi debatę o tym, czy można było w 1939 roku iść na ustępstwa wobec Niemiec, a potem razem pomaszerować na Związek Sowiecki. Analizuję nie tylko twoje argumenty, ale również twoich przeciwników. Niektóre są mniej poważne, niektóre bardziej. Najbardziej poważnym argumentem wysuwanym przeciwko twojej tezie jest to, że Polska byłaby główną osią przemarszu Wehrmachtu na wschód do Związku Sowieckiego w momencie wybuchu kontynentalnej wojny lądowej. To byłaby bez wątpienia ta droga: zwężenie elbląsko-krakowskie, przesmyk polski. Niemcy – cytuję tu twoich oponentów – nie mogliby sobie pozwolić na to, żeby nie kontrolować tej przestrzeni. Moim zdaniem ten argument nie przeważa szali w tej dyskusji na rzecz przeciwników *Paktu Ribbentrop–Beck*. Ale rzeczywiście Polska była ważniejsza dla Niemców niż na przykład dolina Dunaju i Węgry. Ten argument można jednak odwrócić. Im byliśmy silniejsi, im ważniejsze było nasze położenie, tym bardziej Niemcy musieliby się liczyć z naszym zda-

niem. Tak jak musieli się liczyć ze zdaniem węgierskim czy rumuńskim. Mimo że rząd Węgier obalili.

PZ: Ale dopiero w 1944 roku, kiedy regent Miklós Horthy próbował dogadać się z aliantami i przeskoczyć do obozu antyhitlerowskiego.

JB: Z drugiej strony dla aliantów bylibyśmy jeszcze ważniejsi. Ta gra była bardzo trudna, wyrafinowana. Oczywiście niełatwo teraz przewidzieć w szczegółach, jak potoczyłaby się taka historia alternatywna. Jedno jest pewne – mielibyśmy dalej pole manewru, którego pozbawiliśmy się, ponosząc klęskę we wrześniu 1939 roku.

PZ: Jeżeli chodzi o przytoczony przez ciebie argument, to trudno mi sobie wyobrazić, żeby Niemcy, szykując się do wielkiej rozprawy ze Związkiem Sowieckim, zaatakowały jednocześnie swojego najpoważniejszego sojusznika na Wschodzie. Czyli Polskę. Mówimy przecież o trzydziestu–czterdziestu dywizjach Wojska Polskiego. Hitler nie był aż takim szaleńcem. Wojna z Polską w momencie ataku na Sowiety byłaby niezwykle ryzykowna. Niemcy ryzykowaliby przecięcie wszystkich linii komunikacyjnych prowadzących na front wschodni i wojnę partyzancką na tyłach. Rozdrobnienie sił, które były potrzebne do rozprawy z Sowietami. Znany niemiecki historyk wojskowości Rolf-Dieter Müller w książce *Wspólny wróg* szczegółowo opisał początkowe niemieckie plany wojny z Sowietami. Nie było tam mowy o ataku na Polskę, przeciwnie – dla polskich sił zbrojnych były wyznaczone bardzo konkretne zadania. Wspomniany przez ciebie argument wydaje mi się więc łatwy do obalenia. Jeżeli doszłoby do konfliktu polsko-niemieckiego (cały czas mówimy o scenariuszu alternatywnym), to ewentualnie później, po wspólnym rozbiciu Sowietów. Ale wtedy nasza sytuacja byłaby korzystniejsza – nie byłoby już bowiem Związku Sowieckiego. Mocarstwa zachodnie nie miałyby już żadnej alternatywy na Wschodzie i musiałyby nas wesprzeć.

Przejdźmy teraz do współczesności. Wrzesień 1939 roku do dziś wywołuje wielkie zainteresowanie opinii publicznej…

JB: Bo to była największa wojna, w jakiej braliśmy udział. W kulturowym kodzie strategicznym naszych decydentów – możemy to zaobserwować również współcześnie – zawsze znajduje się oparcie na oceanie światowym.

Oparcie się na Francji, Wielkiej Brytanii, a potem na Ameryce. Opcja, w której poszlibyśmy z Niemcami na Wschód, byłaby więc sprzeczna z tym kodem kulturowym. W 1939 roku nikt nie potrafił sobie wyobrazić, że Anglosasi mogliby przegrać wojnę. Dziś również podjęliśmy taką decyzję geostrategiczną, że opieramy się na Stanach Zjednoczonych. Z góry uznaliśmy, że Chiny na pewno przegrają wielką rywalizację o przepływy strategiczne na świecie. To jest pokłosie map mentalnych, które w Polsce, w polskich elitach, są bardzo głęboko zakorzenione. Sprawia to, że na politykę trudno spojrzeć chłodnym okiem. Rozebrać sytuację na czynniki pierwsze i podjąć racjonalne decyzje.

PZ: Czyli jesteśmy skazani na powtórkę z Września ’39?

JB: Sposób myślenia naszych obecnych decydentów rzeczywiście jest podobny. Wyraźnie widać to również w debacie o wrześniowych alternatywach. Twoi oponenci zżymają się na samą myśl, że moglibyśmy sprzymierzyć się z Niemcami. Bo potem na pewno Anglosasi i tak by wygrali (bo Anglosasi zawsze wygrywają) i co by wtedy z nami było?! A przecież oczywiste jest, że pod koniec wojny można było zmienić sojusze. Tak, jak próbowali zrobić Węgrzy i jak zrobili Rumuni.

PZ: Albo Włosi i Finowie. To są oczywiście dziecinne argumenty. Bo przecież wierne trwanie przy boku Wielkiej Brytanii kompletnie nic nam nie dało. Przeciwnie, po wojnie zostaliśmy potraktowani gorzej niż sojusznicy Hitlera. Polscy politycy nie potrafili pojąć, że pozycja państwa zależy od jego siły, a nie wierności. Wspomniałeś o współczesnej polskiej strategicznej decyzji. Uważasz, że ta decyzja o związaniu się na dobre i złe z Wujem Samem jest już nieodwracalna?

JB: Myślę, że w najbliższym czasie będziemy mieli w Polsce ostry spór między – jak ja to nazywam – obozem kontynentalnym a neoatlantyckim.

PZ: Albo, inaczej mówiąc, między opcją niemiecką i amerykańską.

JB: Właśnie. Obóz neoatlantycki wierzy w spójność Zachodu, w dominującą rolę Stanów Zjednoczonych, oceanu światowego.

PZ: Dziś ten obóz przeważa, ale przecież wcześniej przez wiele lat przeważał obóz kontynentalny. To chyba jednak nie jest tak, że w polskiej mapie mentalnej zapisana jest niemożność zawarcia sojuszu z Niemcami. W 1991 roku podpisaliśmy z nimi traktat o dobrym sąsiedztwie. W 2004 roku spełniło się wielkie marzenie Studnickiego i przystąpiliśmy do federacji europejskiej kierowanej przez Niemcy. Niemcy są naszym największym partnerem handlowym, nasze gospodarki stanowią niemalże jedno. Dokonało się również pojednanie między obydwoma narodami, które teraz próbują zepsuć media rządowe.

JB: Ale my w latach dziewięćdziesiątych nie szliśmy geostrategicznie do Niemiec, lecz do Zachodu. Szliśmy do NATO.

PZ: Polska droga na Zachód prowadziła jednak przez Bramę Brandenburską.

JB: Berlin rzeczywiście stworzył swoją Mitteleuropę, o której marzyli niemieccy geopolitycy z początku XX wieku. Mam wrażenie, że Polacy zauważyli to dopiero niedawno. Ale to był wyjątkowy, piękny czas złotej pogody geopolitycznej. Amerykanie po 1991 roku wyłączyli zasady równoważenia mocarstw w Europie. Mieli bowiem taką przewagę, że sami równoważyli wszystkie problemy. W efekcie nie odczuwaliśmy zbytnio niemieckiej dominacji. Chyba większość z nas uwierzyła, że w Europie nie będzie już nigdy rywalizacji mocarstw. Gry interesów. Polscy politycy uwierzyli, że w stosunkach międzynarodowych będzie obowiązywała zasada idealistyczna. Amerykanie rządzą na świecie i dają innym rozkazy do wykonania.

PZ: I wszyscy są grzeczni, i posłusznie je wykonują. Tak jak – nie przymierzając – obecny polski rząd.

JB: A jak wykonują, to na planecie panują pokój, rozwój i globalizacja. A tutaj niespodzianka – przy okazji powstała niemiecka Mitteleuropa. Niemcy są bowiem tradycyjnie najsilniejszym państwem w Europie Środkowej. Swoją dominację osiągnęły dzięki potędze gospodarczej. Przewadze nad innymi graczami. Teraz jednak nadchodzą nowe czasy.

PZ: Rozumiem, że musimy brać pod uwagę scenariusz, w którym Niemcy przestają grzecznie wykonywać polecenia Wuja Sama. Wtedy wybór między opcją amerykańską a niemiecką stanie na ostrzu noża.

JB: Jeżeli Niemcy podejmą jednak decyzję o tym, aby wraz z Francuzami budować strategiczną samodzielność Europy – to będziemy mieli wybór zerojedynkowy.

PZ: Opowiedzenie się wówczas po stronie odległych Stanów Zjednoczonych przeciwko naszym najbliższym sąsiadom byłoby obarczone kolosalnym ryzykiem.

JB: To zależy, jak patrzymy na rozwój techniki wojskowej. Problem polega bowiem na tym, że w przeciwieństwie do czasów II wojny światowej zachodnia Europa jest w tej chwili bezzębna.

PZ: Oczywiście współczesne Niemcy nie mają tak potężnej armii jak III Rzesza. Ich potęga – przynajmniej obecnie – nie ma wymiaru militarnego, lecz gospodarczy. Ale z Francuzami i Brytyjczykami nie jest chyba tak źle. Oni mają przecież w swoich arsenałach broń nuklearną.

JB: Mają. Ta siła nie działa jednak w Europie Środkowo-Wschodniej. Ewentualne nuklearne gwarancje francuskie dla Polski są przecież całkowicie niewiarygodne. To jest jasne dla wszystkich. Dla Macrona, ale przede wszystkim dla Rosji.

PZ: Tu masz rację, trudno sobie wyobrazić, żeby Francuzi odpalili głowice nuklearne w stronę Moskwy w odwecie za rosyjski atak na Polskę. To większe science fiction niż rojenia o wielkiej ofensywie francuskiej we wrześniu 1939 roku.

JB: Taka sytuacja powoduje, że w naszym regionie w momencie wycofania się Amerykanów automatycznie wytworzy się próżnia bezpieczeństwa. W tej chwili decyzja naszego rządu o oparciu się na Stanach Zjednoczonych mimo wszystko wynika z mądrzejszych przesłanek niż decyzja Becka o oparciu się na Brytyjczykach. Ale sytuacja w każdej chwili może się zmienić.

PZ: Jako uczeń Studnickiego, Bocheńskiego i Cata-Mackiewicza uważam, że Polska ma do wyboru trzy możliwości. Dwie realne i jedną fantastyczną. Realne to sojusz z Niemcami albo z Rosją. Fantastyczna – sojusz z odległym zamorskim mocarstwem, które dużo obiecuje, ale gdy przychodzi co do czego, to mało robi. Cat-Mackiewicz nazywał to „sojuszem egzotycznym". W 1939 roku takim egzotycznym sojusznikiem była Wielka Brytania. Dziś są nim Stany Zjednoczone. Bezalternatywne oparcie się na Stanach Zjednoczonych jest prostą drogą do powtórki września 1939 roku. Zgadzasz się z takim ujęciem sprawy?

JB: Nie do końca. Ale rzeczywiście taki scenariusz może się ziścić.

PZ: Ale nie musi?

JB: Amerykanie mają jednak większe możliwości niż Brytyjczycy. Mają zdolność do globalnej projekcji siły. Czyli uderzania w dużej odległości od swojego terytorium. Mają zdolności kosmiczne oraz – cokolwiek by mówić – przewagę militarną nad całą Europą Zachodnią. To sprawia, że nasz potencjalny przeciwnik może mieć zagwozdkę: Czy Amerykanie pomogą Polsce, czy nie pomogą? Już samo to sprawia, że sytuacja jest lepsza niż w 1939 roku. Ale oczywiście może się okazać, że to za mało, że przeciwnik jednak podejmie ryzyko. Dlatego właśnie do znudzenia powtarzam, że musimy mieć własne zdolności obronne. Że musimy sami zagrać w grę o równowagę. Oczywiście trzeba uważać, żeby nie przegrzać, bo generalnie zapewne bezpieczniej będzie nam u boku Niemiec. Ale to nie oznacza, że nie możemy sami realizować rozmaitych projektów politycznych. Nadchodzi czas, który nazwałem końcem adopcji strategicznej. Zachód nie będzie już za nas rozstrzygał wszystkich kwestii.

PZ: Musimy wreszcie dorosnąć.

JB: Właśnie. Bo choć wiele złego można powiedzieć o Becku i jego ekipie, oni w 1939 roku przynajmniej czuli się dorosłymi. Uważali, że prowadzą samodzielną politykę i sami decydują o losie Rzeczypospolitej. Mimo że ostatecznie podjęli złą decyzję. Teraz niestety nasze elity uważają, że zostaliśmy zaadoptowani i niech Zachód podejmie za nas decyzję.

PZ: Problem polega na tym, że Wielki Brat zza oceanu wydaje się nader niepewnym sojusznikiem. Raz, że w obliczu konfliktu z Chinami na Pacyfiku może mieć inne sprawy na głowie niż wyciąganie z kłopotów Polski. Dwa – o czym mówiliśmy wielokrotnie – może zawiązać sojusz z Federacją Rosyjską wymierzony w Państwo Środka. Wtedy zamiast osi Moskwa–Pekin powstanie oś Waszyngton–Moskwa. Czyli taka konstelacja międzynarodowa, jaka wytworzyła się w latach 1941–1945. Dla Polski to katastrofa.

JB: Wuj Sam może potrzebować Rosji. Powtórzmy to jeszcze raz: Amerykanie oczywiście nie są samobójcami i nie planują okupacji całych Chin kontynentalnych. Wiedzą, że to jest nie do zrobienia. Będą chcieli wygrać wojnę tradycyjnie – poprzez blokadę morską. Pokazanie, że to oni panują na oceanie światowym. Nie da się zaś okrążyć Chin i wykluczyć ich ze strategicznych przepływów, jeżeli Chiny będą mogły dalej handlować – za pośrednictwem Rosji – z Eurazją i Europą.

PZ: I brać surowce z Rosji.

JB: Dlatego Rosja będzie języczkiem u wagi. I dlatego Macron chce ją pozyskać dla Europy. Rzeczpospolita ma zaś interesy żywotne, nienegocjowalne. Najważniejszym z nich jest to, żeby Rosja nigdy nie została zaproszona do gry o równowagę w Europie przez mocarstwa zachodnie. Polska musi zrobić wszystko, żeby to zablokować, bo inaczej znajdziemy się na prostej drodze do utraty niepodległości. O tym zawsze musimy pamiętać i Józef Beck w 1939 roku również powinien był mieć to na względzie. Władysław Studnicki był z kolei przenikliwy. W swojej broszurze napisanej w przededniu II wojny światowej wykazał, że rozumie międzynarodową politykę. Rozumie politykę Anglosasów.

PZ: Miejmy więc nadzieję, że jeżeli polskim przywódcom przyjdzie kiedyś podejmować tak dramatyczne decyzje jak w 1939 roku, to będzie nami rządzić ktoś taki jak Studnicki, a nie Beck. W końcu stawką jest niepodległość Rzeczypospolitej. Życie nasze i naszych dzieci.

JB: Tak, obyśmy mieliśmy przywódców, którzy będą rozumieli zasady równoważenia sił.

PZ: Mówiliśmy o analogiach między rokiem 1939 a 2021, pomówmy teraz o różnicach. W tragicznym wrześniu zostaliśmy zaatakowani przez dwóch potężnych wrogów. Tym razem Niemcy są naszym sojusznikiem. Grozi więc nam wojna na jednym, a nie na dwóch frontach. Niestety nasz potencjalny przeciwnik jest znacznie potężniejszy niż my. Wygląda więc na to, że i tak musimy przegrać.

JB: Nie, nie i jeszcze raz nie. Zmieńmy nasze mapy mentalne! Polska jest silnym krajem zdolnym do obrony własnego terytorium, potrzeba jej tylko zupełnie nowego spojrzenia na to, jakie wystawić wojsko i jak zorganizować system odporności państwa. Wojna współczesna wygląda inaczej, niż myślą nasze elity. Musimy podejść z zupełnie inną filozofią, odmienną niż w ostatnich trzydziestu latach. Musimy się dobrze przygotować do przyszłej konfrontacji. Musimy się po prostu do tego zabrać i zmienić cały spolityzowany system zakupów dla wojska. Nie tak się to robi. Długa droga przed nami, ale rosyjskiego niedźwiedzia – mimo jego ostrych pazurów i wagi – naprawdę można powstrzymać. Odwagi!

Źródło: „Historia Realna” 2 października 2020

Rozmowa 6

Czy Polska może odeprzeć atak Rosji?

PZ: W poprzedniej rozmowie zaczęliśmy się zastanawiać, co by było, gdyby Polska starła się z Rosją. Domyślam się, że takie rozważania dla wielu czytelników mogą brzmieć jak science fiction. Z jednej strony średni kraj Europy Środkowo-Wschodniej ze średnimi możliwościami. Z drugiej – jedno z globalnych mocarstw, które ma potężne siły zbrojne, mnóstwo głowic nuklearnych. Hakerzy rosyjscy wpływają na wyniki wyborów w najważniejszych państwach świata. Rosja bije Gruzję, zajmuje Krym, interweniuje w dalekiej Syrii. Przed Putinem łydkami trzęsie cały świat. Starcie Polski z Rosją jawi się jako starcie Dawida z Goliatem i może się skończyć tylko kompletnym zmiażdżeniem sił zbrojnych Rzeczypospolitej. Jak byś odpowiedział na te argumenty?

JB: Czas na zmiany polskich map mentalnych! Czas na zmiany myślenia o konflikcie zbrojnym w kategoriach II wojny światowej. Czas na zmiany w kulturze strategicznej Rzeczypospolitej. Chyba za długo trwały te trzydzieści lat drzemki, czy też raczej geopolitycznego snu. Czas się obudzić. Musimy sobie zdać sprawę, że siła jest relatywna, siła jest zmienna w czasie, rozkłada się na przestrzeń i geografię. Rosja nie może być wszędzie i zawsze silna. Wojna ma wymiar polityczny, jest czynnością polityczną, a nie zabijaniem dla samego zabijania. Wojna ma określony cel. Jeżeli sobie z tego zdamy sprawę – będziemy bliżej celu.

PZ: No właśnie, co byłoby celem Rosji w wojnie z Polską? I odwrotnie – co byłoby celem Polski w wojnie z Rosją? O co by się ona toczyła?

JB: Gdy sobie taki cel określimy, od razu nam się zrobi lżej. Bo wtedy zobaczymy, że mamy możliwości prowadzenia rozgrywki z Rosją. Także, jak mówił Clausewitz, za pomocą środków militarnych, zastosowanych do kontroli drabiny eskalacyjnej.

PZ: Rozumiem, że Rosja wcale nie musi od razu pójść na całość. Czyli rzucić na nas wszystkich swoich sił i zasypać nas rakietami. Należy się raczej spodziewać taktyki małych kroków. Jakichś prowokacji, cyberataków, zielonych ludzików… Temu można przeciwdziałać.

JB: Wojna współczesna ma w dużej mierze wymiar pozakinetyczny. Jest to wojna informacyjna, propagandowa, cybernetyczna. Daje to duże możliwości ofensywne państwom słabszym. Tylko trzeba zagrać w tę grę. Powodem, dla którego Rosja mogłaby spróbować skonfrontować się z Polską, byłoby złamanie spójności Sojuszu Północnoatlantyckiego. Nie ma innego powodu, by nas zaatakować zbrojnie. Celem Rosji nie będzie przecież okupowanie całej Polski. Może nim być tylko podważenie amerykańskich i natowskich gwarancji. My, pierwsi i najważniejsi na wschodniej flance, symbolizujemy amerykańską obecność w Europie, która z kolei ogranicza możliwości polityki Rosjan na Starym Kontynencie. Po prostu ich blokujemy. Trochę jak korek znoszący napór ciśnienia. Gdy stoimy im na drodze, nie mogą podjąć gry o równowagę w systemie europejskim toczącej się między mocarstwami. Tak samo było w dwudziestoleciu międzywojennym, w wyniku tego, że pognaliśmy bolszewików nad Niemnem i pod Warszawą. Tak samo było za Jelcyna, gdy Rosjanie zostali wypchnięci z europejskiego koncertu mocarstw. To jest podstawowy, niepodlegający negocjacjom interes Rzeczypospolitej – trzymać Rosję w ryzach. Zatem Rosjanie muszą przełamać ten opór, wypchnąć korek. I starają się to zrobić, choćby rozmawiając z Francuzami. Nie mogą tego przełamywać niczym innym niż polityką energetyczną, bo nic innego nie mają.

PZ: No to chyba przesada. Mają – o czym mówiliśmy – coraz sprawniejszą, bardziej doświadczoną armię, duże możliwości mobilizacyjne. Wielu przywódców świata mięknie pod samym spojrzeniem Putina.

JB: Ale nie mają dorobku cywilizacyjnego, programu, który byłby atrakcyjny dla innych. Mocarstwom – Niemcom, Wielkiej Brytanii, Francji czy

Stanom Zjednoczonym – mogą zaoferować jedynie swoją armię. Tak było podczas rozmaitych konfliktów zbrojnych w przeszłości, choćby w latach 1941–1945. Naszym celem powinno być uniemożliwienie im tego, wypchnięcie Rosjan z tej europejskiej gry. Ujmując to kolokwialnie: wypad hen za Dniepr, a właściwie jeszcze dalej. Oczywiście Rosjanie mają cel przeciwny, będą starali się wykazać, że amerykańskie gwarancje w Europie Środkowo-Wschodniej nie działają. Tak więc ich celem w ewentualnej wojnie z Polską nie byłoby niszczenie nas, mordowanie, jak osiemdziesiąt lat temu, ale wykazanie, że Amerykanie są w naszej części świata bezsilni.

PZ: Gdzie rozegrałaby się ta wojna?

JB: Całe szczęście między nami a Rosją mamy bufory. Są Białoruś, Ukraina, państwa bałtyckie. Właśnie tam może dojść do konfrontacji.

PZ: Istnienie tych buforów bez wątpienia jest dla nas bardzo korzystne. Zwróć uwagę, że gdy państwa ULB uzyskały niepodległość, to Rosja została wypchnięta tak daleko na wschód jak w XVII wieku. Zegar historii został cofnięty o kilka stuleci. Wspominałeś o analogii między II a III Rzecząpospolitą. Wówczas Związek Sowiecki był tuż za miedzą, dzisiaj – nie licząc obwodu kaliningradzkiego – Rosja jest daleko za Witebskiem i Mohylewem. Niestety w tym wale oddzielającym Polskę od Rosji pojawia się pewien wyłom. A może był zawsze? Mam oczywiście na myśli Białoruś. Ten kraj może się stać bazą operacyjną do uderzenia na Polskę.

JB: Tak. Białoruś przypomina Czechosłowację w 1938 i 1939 roku. Wchłonięcie tego kraju przez Rosję całkowicie zmieniłoby nasze wojenne planowanie. Naszą sytuację. Ale wróćmy jeszcze na chwilę do kwestii celów wojennych. Powiedzieliśmy, jakie byłyby cele Rosji, a co Polska mogłaby uzyskać? Co starałaby się osiągnąć? Oczywiście trzeba byłoby pokonać Rosję, odeprzeć atak. Ale – jak mówiliśmy – to może być wojna ograniczona. Tak jak wojna japońsko-rosyjska w 1905 roku czy wojna krymska. Niekoniecznie musi to być kolejna wszechogarniająca „wojna ojczyźniana”. To może być takie starcie jak między Rosją a Turcją. Turcy – mimo teoretycznie mniejszego potencjału – robią to pięknie, bijąc Rosjan.

PZ: Czyli krótkie spięcie.

JB: Na polu walki musielibyśmy błyskawicznie wykazać kontrolę systemu świadomości sytuacyjnej. Przewagę informacyjną. To, że potrafimy lokalnie, w ograniczonej wojnie, wygrywać starcia taktyczne. Jeżeli mamy przewagę informacyjną, która daje nam doskonałe rozpoznanie przeciwnika, od razu stajemy się bardzo silni. Do tego dochodzi oczywiście Bismarckowskie „jednocześnie walczysz i negocjujesz". Im lepiej będziemy sobie radzili w polu, tym silniejsi będziemy przy stole. Właśnie to robią Turcy Rosjanom. Po prostu musimy oderwać się od myślenia o masach żołnierzy w okopach, o Okopach Świętej Trójcy. O karabinach maszynowych, które będą rozdawane z magazynów ochotnikom. Musimy myśleć nowocześnie.

PZ: Komputery, drony, roboty, systemy wczesnego ostrzegania, broń dalekiego zasięgu. Precyzja uderzenia, doskonała organizacja. Znakomicie wyszkoleni specjaliści siedzący przed monitorami. A nie pospolite ruszenie z karabinami i granatami siedzące po lasach.

JB: Najważniejsze w nowoczesnej wojnie nie jest oczywiście niszczenie masy żywej, lecz izolowanie pola walki wszystkimi dostępnymi metodami. Cyberwojna, elektromagnetyczne spektrum. Przewaga świadomości sytuacyjnej, czyli obserwacja, orientacja, proces decyzyjny i akcja. Dominacja informacyjna. To właśnie ta przewaga, którą Izrael ma nad przeciwnikami. To jest przewaga gigantyczna. A przecież Izrael wcale nie wydaje na wojsko więcej niż Polska. Poza tym mamy jeszcze jeden atut: możemy się starać szybko eskalować konflikt, żeby inni gracze się do niego włączyli. W takiej wojnie wszystko będzie się działo bardzo szybko. Grunt, żeby przez kilka dni zapobiec powstaniu kaskadowego efektu przegrywania. A to już samo w sobie jest zwycięstwem z Rosją.

PZ: Czyli po prostu powstrzymanie przeciwnika. Danie mu po łapach, uniemożliwienie mu realizacji jego celów. Tylko czy to jest realne? Będę się jednak upierał, że przewaga Rosji jest miażdżąca. Czy to nie jest przypadkiem myślenie życzeniowe?

JB: Żeby przełamać rosyjską strategię, musimy zacząć myśleć nowocześnie. Potrzebne są działania ofensywne, a nie tylko defensywa.

PZ: To porozmawiajmy o konkretach. Zarysujmy taki futurologiczny scenariusz. Zacznijmy od sprawy najważniejszej, czyli wskażmy punkt

zapalny, miejsce, które mogłaby zaatakować Rosja. Rozumiem, że to jest północny wschód, przesmyk suwalski. Wąskie gardło oddzielające Białoruś – gdzie Rosjanie już są i mogą być w jeszcze większej liczbie – od obwodu kaliningradzkiego.

To jest chyba najbardziej prawdopodobne miejsce, w którym może nastąpić starcie między Polską a Rosją. Jak by to wyglądało? Ruszają na nas czołgi białoruskie i rosyjskie? I co się dalej dzieje? Bo w przestrzeni publicznej pojawiają się rozmaite odpowiedzi na to pytanie. Od ściany do ściany. Jedni twierdzą, że jesteśmy tacy słabi, że pokonałaby nas sama Białoruś i czołgi Łukaszenki po dziewięciu godzinach stałyby na rogatkach Warszawy. Inni z kolei uważają, że rosyjska armia ma sam szmelc, który popsuje się na granicy, i nie ma się czego obawiać. Jak według ciebie by to wyglądało?

Przesmyk suwalski

JB: Od razu zastrzegam, że nie wypowiadam się na temat jakości i aktualnego stanu sił zbrojnych. Mogę tylko powiedzieć, jaki mamy potencjał, biorąc pod uwagę PKB, demografię, infrastrukturę. Moim zdaniem wszystkie te wskaźniki dowodzą, że możemy zbudować siły zbrojne z prawdziwego zdarzenia – Armię Nowego Wzoru – czyli młotek, który wbije gwóźdź w ścianę, bo jest w tym dobry.

PZ: Młotkiem są polskie siły zbrojne, a co jest gwoździem? Rosyjskie dywizje pancerne prące na Warszawę? Czy też może – jak mówiliśmy – wojska specnazu, które opanują kluczowe punkty i drogi w przesmyku suwalskim? Ukraińcom zabrakło tego młotka w 2014 roku na Krymie. Ich bezradność wobec nowej, zaskakującej sytuacji była porażająca. Domyślam się, że ukraiński sztab generalny również szykował się do wojny w starym stylu. W efekcie, gdy doszło do eskalacji na Krymie, stracił głowę. Trzeba z tego wyciągnąć wnioski.

JB: Gwoździem jest moskiewski przymus polityczny realizowany poprzez siły zbrojne Federacji Rosyjskiej. Na razie najbardziej prawdopodobnym scenariuszem nie jest atak na Polskę. Oczywiście to się może zmienić w ciągu pół roku. Ale myślę, że eskalacja w Europie Środkowo-Wschodniej może wyglądać tak: coś zaczyna się dziać na Pacyfiku. Wtedy Rosjanie wykorzystują sytuację i w ramach wojny nowej generacji destabilizują państwa bałtyckie, w szczególności Łotwę. Zostałoby to ubrane w kostium „braterskiej pomocy" dla tamtejszej społeczności rosyjskiej. Opinia światowa otrzymuje mieszane, sfalsyfikowane sygnały. Nie wiadomo, czy Rosjanie wchodzą, czy nie wchodzą. Żołnierze Federacji Rosyjskiej występują bez narodowych znaków. Polska musi podjąć decyzję.

PZ: „Zielone ludziki" pojawiają się na Łotwie?

JB: Oraz na Białorusi. W obwodzie grodzieńskim koncentrują się wojska rosyjskie, które flankują nam przejście przez przesmyk suwalski. Kolejne wojska rosyjskie są oczywiście w obwodzie kaliningradzkim. Amerykanie zaczynają wywierać na nas presję: „Panowie, polskie wojska lądowe muszą otworzyć przesmyk suwalski".

PZ: Czyli ruszyć na północ, na ratunek Łotwie i innym państwom bałtyckim.

JB: Tak. Zgodnie z amerykańskim planem Polacy mają iść na odsiecz Rydze. Paradoksalnie więc pierwszą rundę – na poziomie politycznym – trzeba będzie stoczyć z Amerykanami. Trzeba być na to przygotowanym.

PZ: To spójrzmy jeszcze raz na mapę. Taki marsz spowoduje, że polskie wojska znajdą się w katastrofalnej sytuacji. Wystarczy rosyjskie uderzenie

na przesmyk suwalski, żeby odciąć naszą armię operującą w państwach bałtyckich od bazy zaopatrzeniowej w Polsce. A bez dostaw paliwa, amunicji, części zamiennych i innego sprzętu – armia ta się udusi. Zostanie jej odcięty tlen. Obawiam się, że taka wyprawa „na odsiecz Rydze" to gotowy przepis na katastrofę.

JB: Jest kilka wątków z tym związanych. Oczywiście, jak już mówiłem, celem wojny nie byłoby samo zajęcie Rygi. Prawdziwym celem byłoby zagranie na nosie Amerykanom. Pokazanie, że nie dają rady chronić swoich sojuszników nad Bałtykiem. Czyli złamanie architektury bezpieczeństwa. Jeśli Amerykę uda się wypchnąć z gry, Europejczycy będą musieli się dogadywać z Rosjanami na temat przyszłości Europy Środkowo-Wschodniej. Moskwa zepchnęłaby Stany Zjednoczone na Zachód i odzyskała przynajmniej część swojej strefy wpływów.

PZ: Zaraz, zaraz… Jeśli dobrze rozumiem, Amerykanie – zaangażowani na Pacyfiku – nie mogliby pomóc Łotwie. I zamiast US Army na straceńczą misję wysłaliby polską armię.

JB: Trochę tak. Chodziłoby o to, żeby ratować architekturę bezpieczeństwa. Tak jak w 1939 roku. Wtedy też ratowaliśmy ówczesną architekturę bezpieczeństwa i ład światowy.

PZ: Jak wiadomo, było to skutkiem brytyjskich gwarancji z marca 1939 roku, które pchnęły Polskę do wojny. Ówcześni polscy przywódcy święcie wierzyli, że Wielka Brytania przyjdzie im na ratunek. Jak to się skończyło – wiemy doskonale. Polska została złożona na ołtarzu tego, co nazywasz ładem światowym. Nie chciałbym, żeby to się powtórzyło.

JB: Ale z drugiej strony w interesie Rosji byłoby, żeby Polska nie wzięła udziału w takiej wojnie, żeby nie interweniowała. My, wjeżdżając na Łotwę, łamiemy amerykańskie gwarancje, a Polacy nie pomagają – mówiliby Rosjanie.

PZ: To jasne. Ale pytanie, czy taka nasza pomoc mogłaby się okazać skuteczna. Mam co do tego poważne wątpliwości. Nic byśmy nie wskórali, a straty byłyby kolosalne. Oczywiście w naszym interesie byłoby utrzymanie ładu światowego i powstrzymanie Rosji przed aneksją Łotwy, ale oba-

wiam się, że sami byśmy tego nie zrobili. My wpakowalibyśmy palce w drzwi, a Amerykanie byliby…

JB: …daleko. Na Pacyfiku. Związani walką z Chińczykami. Co zatem robić? Pomagać Łotwie czy skupić się na obronie tylko własnych granic? To jest właśnie realna polityka w przeciwieństwie do polityki idealistycznej. Myślę, że w sytuacji takiego kryzysu Niemcy bardzo szybko chcieliby negocjować święty spokój. Zwłaszcza że akurat stacjonują na Litwie, ale nie na głównej osi potencjalnego uderzenia Moskwy.

PZ: Żołnierze Bundeswehry stacjonują w Rukli w okręgu kowieńskim, w ramach międzynarodowej batalionowej grupy bojowej tak zwanej wzmocnionej wysuniętej obecności NATO. Czyli w momencie eskalacji mogliby wejść na statki w Kłajpedzie i odpłynąć do kraju.

JB: Niemcy są schowani w bezpiecznym miejscu. Za rzeką, poza główną osią spodziewanego ruchu Rosjan. Kluczowe decyzje będą więc podejmowane w Warszawie. Ambasada amerykańska będzie naciskać: „Panowie, ruszajcie!”.

PZ: Myślę, że Amerykanie, którzy dobrze znają polską mentalność, będą nam podbijać patriotycznego bębenka. Za wolność naszą i waszą!

JB: Amerykanie powiedzieliby: My damy gwarancje, a wy idźcie! Ja natomiast uważam, że należałoby poczekać i przekonać się, czy Amerykanie idą przodem, czy naprawdę pakują się do samolotów transportowych.

PZ: (*śmiech*) Bardzo rozsądnie. Obawiam się tylko, że po naszych politykach – przynajmniej sporej części z nich – rozsądku trudno się spodziewać.

JB: Zdecydowanie nie powinniśmy się pchać do państw bałtyckich, dopóki nie pojawią się tam Amerykanie. Co ciekawe, przewiduję, że w razie ataku na Łotwę Rosjanie zaczęliby z nami negocjować, nakłaniać nas, żebyśmy się nie mieszali. Obiecywać, że nic nam się nie stanie, być może coś oferować. Ale nasi przywódcy rzeczywiście pewnie będą chcieli działać. Bo taka interwencja będzie w „słusznej sprawie i po słusznej stronie” – z Amerykanami. Problem polega na tym, że w takiej sytuacji między nami a Amerykanami powstanie sprzeczność interesów.

PZ: To przypomina analogię, do której często się odwołujemy w naszych rozmowach. Analogię, która aż się narzuca – wrzesień 1939 roku. Brytyjczycy użyli wówczas Polaków jako zderzaka, który miał na siebie przyjąć impet pierwszego, potężnego uderzenia Adolfa Hitlera. Polska została rozbita w drobny mak, a odległy, zamorski sojusznik – wbrew obietnicom – nie przybył na ratunek.

JB: Gdybyśmy podjęli decyzję, że pomagamy państwom bałtyckim, to zaczęłyby się problemy operacyjne, o których mówiłeś. Te kilkadziesiąt kilometrów przesmyku suwalskiego jest flankowane z Grodzieńszczyzny i z okolic Gusiewa w obwodzie kaliningradzkim. Rosjanie nie musieliby nawet zajmować przesmyku. To byłby manewr ogniowy. Po prostu ostrzeliwaliby ten teren z dwóch stron. To jest trudny teren. Z południa na północ prowadzą tylko dwie drogi. Jedna kolejowa, a druga samochodowa. To sprzyja łatwemu przecinaniu polskich linii komunikacyjnych. Gdybyśmy rzeczywiście na poważnie chcieli iść do Rygi, siły zbrojne Rzeczypospolitej musiałyby najpierw wyeliminować rosyjskie siły na Białorusi i w obwodzie kaliningradzkim. To by było zgodne ze sztuką wojenną – likwidacja zagrożenia flankowania ogniowego to podstawa.

PZ: To by de facto poszerzyło przesmyk. Dało nam swobodę operacyjną. Ale cała operacja byłaby znacznie trudniejsza. Nie tylko defensywna – czyli odsiecz Łotyszom – ale również ofensywna. Czyli zaatakowanie obwodu kaliningradzkiego i Białorusi. To czyni sprawę znacznie bardziej skomplikowaną.

JB: Chodziłoby o to, żeby de facto wyeliminować zagrożenie w okolicach Grodna. Zająć znajdujące się w tym mieście mosty na Niemnie.

PZ: A więc nie tylko wymiana ognia na dużą odległość, ale również wysłanie naszych żołnierzy na terytorium sąsiedniego państwa. Innymi słowy, frontalna wojna z Białorusią i Rosją. Nie zrozum mnie źle, bardzo lubię Łotyszy, ale interes własnego państwa jest najważniejszy.

JB: To by była bez wątpienia ogromna eskalacja. Mówimy o ataku na nuklearne mocarstwo. Niestety obecna dyslokacja wojsk NATO zupełnie nas nie zabezpiecza.

PZ: Myślę, że z Rosją powinniśmy się bić. Ale dopiero gdy zaatakuje terytorium Rzeczypospolitej.

JB: My musimy mieć plany na wojnę nowej generacji, która się zaczyna, na długo zanim słychać strzały, a politycy muszą podejmować więcej decyzji niż kiedyś, gdy oddawali sprawę wojskowym. Bo kiedyś wojowanie było rzemiosłem czysto wojskowym. Teraz rewolucja informacyjna oraz postęp sensorów miesza wymiar polityczny z wojennym w młyn wydarzeń. To politycy muszą „naciskać guziki" w drabinie eskalacyjnej i odpowiadać za podjęte decyzje, które zawsze mają skutki polityczne. Politycy muszą przeprowadzić symulacje ewentualnego rozwoju wydarzeń. W razie ataku Rosji należy zerwać z postawą defensywną. W momencie ataku my reagujemy, ale również my zadajemy ciosy i oni reagują. Powinniśmy mieć siły zbrojne zdolne do reagowania na olbrzymim obszarze między Morzem Czarnym a Bałtykiem. Powinniśmy się jak najszybciej dogadać z Rumunami, zbudować szybką drogę między Konstancą, Warszawą a Bukaresztem. Porozumieć się z Ukrainą. Chodzi o to, żeby móc błyskawicznie przerzucić nasze oddziały z Konstancy do Zatoki Ryskiej. Pokazywać, do czego jesteśmy zdolni, blokować Zatokę Fińską, blokować Krym. Przeprowadzać demonstracje strategiczne, które podziałają odstraszająco.

PZ: Oczywiście każde państwo, które myśli o zaatakowaniu drugiego państwa, kalkuluje ryzyko. Również Rosja. Paradoksalnie, jeżeli będziemy silni, prawdopodobieństwo wojny będzie spadać. Masz rację, gdy mówisz, że Zatoka Fińska jest kluczowa. Chodzi o to, by nie wpuścić na Bałtyk floty stacjonującej w Kronsztadzie.

JB: Tak, tę flotę jest bardzo łatwo zablokować. Zrobiliśmy to wiosną 2019 roku w ramach manewrów „Spring Storm". Wysyłaliśmy wówczas na estońską wyspę Saremę systemy NSM (Naval Strike Missile) i stworzyliśmy barierę antydostępową dla rosyjskiej Floty Bałtyckiej.

PZ: Te wyprodukowane w Norwegii pociski to jeden z głównych atutów polskiej armii. Odpowiednio rozmieszczone istotnie mogą zablokować Zatokę Fińską. Lecą tuż nad powierzchnią wody, są trudne do wykrycia przez radary. Każdy rosyjski okręt próbujący wyjść na Bałtyk mógłby zostać zatopiony.

JB: I rzeczywiście, Rosjanie podczas tych ćwiczeń na wszelki wypadek nie kręcili się po Zatoce Fińskiej. Widzieli bowiem nasze możliwości. To właśnie możliwości, zdolności decydują w polityce. A nie intencje. Takich zdolności musimy mieć więcej, jeżeli mamy być – jak mówi się w eksperckim żargonie – głównym natowskim dawcą sił zbrojnych w Europie Środkowo-Wschodniej.

PZ: Problem polega na tym, że gdybyśmy wykonali amerykański rozkaz i wysłali nasze wojska lądowe na ratunek Łotwie czy Estonii, rzeczywiście moglibyśmy się stać głównym dawcą. Ale dawcą mięsa armatniego. Nasza armia zostałaby przemielona przez Rosjan jak w maszynce do mięsa. Pamiętam, że w jednym z wykładów – dostępnych na YouTubie – mówiłeś o pewnej grze wojennej, która została zorganizowana w Stanach Zjednoczonych. Symulowano w niej możliwość wojny między Polską a Rosją. Efekt był wstrząsający: straciliśmy niemal całą armię biorącą udział w operacji. Zginęły dziesiątki tysięcy polskich żołnierzy.

JB: Dlatego trzeba wybierać pola bitwy, na których można wygrać.

PZ: Otóż to! To my, głęboko przeanalizowawszy sprawę, powinniśmy wybrać miejsce konfrontacji naszej armii z Rosją, a nie Amerykanie. Jak to rozegrać, żeby powstrzymać napastnika i wyjść z tego jak najmniej poobijanym?

JB: Załóżmy, że coś się zaczyna dziać w Donbasie. Ukraińcy mają armię i stawiają opór. My dostarczamy im drony oraz systemy zagłuszania dronów rosyjskich. Bo mamy przecież taką technologię i mamy rozpoznanie kosmiczne. W efekcie tej pomocy Ukraińcy wygrywają.

PZ: Czyli musimy robić jak Anglicy – wygrywać cudzymi żołnierzami. Bardzo mądra strategia. Lepiej poświęcić trochę sprzętu niż krew własnych obywateli. Na takim założeniu oparty był program Lend-Lease podczas II wojny światowej.

JB: Wyobraźmy sobie inny scenariusz. Rosjanie wchodzą do państw bałtyckich, a my mamy tajne porozumienie z Ukraińcami, że oni wtedy automatycznie mobilizują wojska w Donbasie, a kolejne koncentrują na kierunku Kursk–Rostów nad Donem. Tyle wystarczy. Nie muszą nawet atakować.

Natychmiast rosyjska 1. Gwardyjska Armia Pancerna musi wracać, żeby zabezpieczyć granicę z Ukrainą. Bo Rosjanie nie mają przecież wystarczających wojsk na wszystkich kierunkach. My też możemy zrobić taką demonstrację. Przerzucamy nasze brygady mobilne na takich kierunkach i w taki sposób, jakbyśmy chcieli zaraz uderzyć na Białoruś. Takie działania poważnie odciążą Łotyszy, mogą pomóc bardziej niż nieudana próba odsieczy lądowej.

PZ: A są znacznie bezpieczniejsze. Jeśli jednak doszłoby do granicznej wymiany ciosów z Rosjanami, to lepiej to robić na dużą odległość. W takim starciu rozstrzygająca jest artyleria rakietowa. To jest od lat pięta achillesowa polskiej armii. Oby amerykańskie rakiety HIMARS (High Mobility Artillery Rocket System), które mają wkrótce wejść na wyposażenie polskiej armii, to zmieniły. Ich zasięg to nawet 300 kilometrów.

JB: Tak, obecnie niestety nie mamy rakietowych środków rażenia w skali operacyjnej. Gdy to się zmieni, będziemy mogli pokazać te zdolności. To, że możemy zniszczyć linie komunikacyjne na Białorusi i wszystkie rosyjskie podejścia pod granicę polską. Zapewni to nam parasol ochronny pozwalający nie poddawać się naciskowi wojny nowej generacji, rosyjskiemu przymusowi. Bo obecnie to wygląda tak. Rosjanie podchodzą do człowieka i mówią: „Kupuj pan od nas ropę”. Gdy się im odmawia, natychmiast zaczynają grozić. Na granicy zaczyna ćwiczyć 76. Gwardyjska Dywizja Desantowo-Szturmowa. Wtedy taki delikwent myśli sobie: „Rosjanie są silniejsi, Amerykanie daleko. Może rzeczywiście kupię trochę tej ropy, żeby mieć spokój”. Musimy to przełamać. Na groźbę Moskwy trzeba odpowiedzieć: „A ćwiczcie sobie tą swoją 76. Dywizją. Jak przyjdzie co do czego, wybijemy jej zęby w dwa dni”.

PZ: Mówiłeś o wariancie, w którym do eskalacji dochodzi na Łotwie albo Ukrainie. A więc daleko od nas. Wówczas mamy czas do namysłu, co robić. A co by było, gdyby – wrócę do swojego poprzedniego pytania – to Polska została znienacka zaatakowana? Czy zdołalibyśmy wówczas obronić Suwałki, Sejny, a być może również Białystok? Co z obwodem kaliningradzkim? Bo Polacy bardzo boją się tego rosyjskiego „lotniskowca” u naszych granic, ale to działa również w drugą stronę. Rosjanie boją się, że

ta „wyspa” na terenie państw NATO zostanie szybko opanowana przez Polaków i ich sojuszników.

JB: Obwód kaliningradzki rzeczywiście jest dla Rosjan pułapką. Aż się prosi, żeby wyeliminować to zagrożenie na samym początku potencjalnej wojny. Z kolei to, czy zdołalibyśmy odeprzeć atak na Suwałki i Sejny, zależałoby od tego, jak byśmy rozmieścili nasze wojska. Pozycja wyjściowa byłaby decydująca. Wyobraźmy sobie natomiast, że Rosjanie nie mają broni jądrowej. To byłaby zupełnie inna sytuacja! Wówczas ta dysproporcja sił nie wydawałaby się już taka przerażająca.

PZ: Tak się jednak składa, że mają tę broń. I to całkiem sporo.

JB: No właśnie, musimy więc znaleźć na to jakąś odpowiedź. To jest kwestia drabiny eskalacyjnej. Bo konfrontację wygrywa ten, kto kontroluje najwyższe szczeble drabiny eskalacyjnej i uzyskuje dzięki temu efekt polityczny. Przeciwnik przestaje walczyć, wycofuje się. Oczywiście Hitler walczył do końca, ale Niemcy są szczególni.

PZ: Alianci, domagając się bezwarunkowej kapitulacji, nie zostawili Niemcom wielkiego wyboru. Oni też nie mieli ochoty na kompromisowy pokój. Jaką odpowiedź można jednak znaleźć na broń nuklearną?

JB: Nie mam na to (na razie) żadnej mądrej odpowiedzi poza najprostszą, że Amerykanie mogliby otworzyć nad nami swój parasol atomowy. Mogliby organizować ćwiczenia i latać nad naszym terytorium z pociskami nuklearnymi. Z kolei Niemcy – gdyby rzeczywiście przyjęli funkcję policmajstra Europy – mogliby nas wspomóc konwencjonalnie. Można również zastosować strategiczną niejasność. Gdybyśmy mieli elektrownię atomową, długoletni program atomowy, to Rosjanie nie byliby pewni, co Polacy mają w swoim arsenale.

PZ: Skojarzenie jasne: Izrael. Pamiętam, jak kiedyś odwiedziłem w okolicach Jerozolimy profesora Martina van Crevelda, znanego historyka wojskowości. To było dobre parę lat temu, gdy Mahmud Ahmadineżad straszył wymazaniem państwa żydowskiego z mapy świata i Izraelczycy żyli w psychozie irańskiego programu atomowego. „Wie pan – powiedział mi van Creveld – najlepiej byłoby dać tym Irańczykom ze dwie, trzy głowice

nuklearne”. Ja na to: „Jak to?! To brzmi jak szaleństwo, przecież wszyscy Żydzi właśnie tego się boją”. „Proszę pana, gdyby Iran miał bombę atomową, to Ahmadineżad bałby się podejść do granicy i pstryknąć w stronę Izraela wykałaczką”. „Dlaczego?” – zapytałem. „Bo my będziemy mieli pół sekundy na reakcję. I nie będziemy wiedzieli, co w nas leci. Może to jest wykałaczka, a może jednak głowica nuklearna. W tej sytuacji Izrael nie będzie podejmował ryzyka i od razu walnie w Iran swoimi bombami nuklearnymi”.

JB: Oczywiście. Na tym właśnie polega siła odstraszania broni jądrowej.

PZ: Czy w takim razie dwa państwa posiadające broń nuklearną są skazane albo na konflikt konwencjonalny, albo na pokój? Tak jak Sowieci i Amerykanie podczas zimnej wojny?

JB: Coś jest na rzeczy. Szczególnie na niewielkich odległościach, bo oczywiście podczas wojny wymiana ciosów między supermocarstwami odbywałaby się za pomocą rakiet międzykontynentalnych, które lecą do celu około trzydziestu minut. Długo. Między państwami w Eurazji nie ma komfortu czasu. Rosjanie zresztą bardzo mądrze to rozgrywają. Państwom, które nie mają broni nuklearnej, grożą użyciem własnej. W ten sposób chcą oddzielić ich interes od interesu sojuszników, którzy mają taką broń. Zastraszyć je. Mogą powiedzieć na przykład Francuzom: „Panowie, nie wystrzelimy głowic w Paryż, ale w polską 10. Brygadę Kawalerii Pancernej. Trzymajcie się z daleka, bo jak nie, to będziecie następni”.

PZ: Na jakich sojuszników możemy liczyć w razie otwartego konfliktu z Rosją?

JB: Na Szwedów, Ukraińców i Rumunów.

PZ: Rozumiem, że to są państwa, które znajdują się blisko nas i również czują się zagrożone przez Rosję. Rzeczywiście w branżowej prasie dużo się pisze o modernizacji szwedzkiej armii, ale co z Finlandią? Ona jest jeszcze bardziej wysunięta na wschód i – jak świadczy przykład wojny zimowej z lat 1939–1940 – ma potencjał postawienia się Moskwie.

JB: Tak, tylko że Finlandia znajduje się na innym teatrze wojennym niż Polska. Oczywiście ona też czuje się zagrożona i koordynuje swoje plany obronne ze Szwecją. Szwedzi wytworzyli strategiczną niejasność. Czy przyjdą z pomocą Finom, jeśli wybuchnie wojna? Wydaje się, że Szwedzi to spokojni ludzie, ale wojskowo są bardzo mocni.

Polska i jej potencjalni sojusznicy

PZ: Cóż, tradycje militarne mają piękne. Ale to było kilkaset lat temu. Mówi się, że Szwedzi dawno już zawiesili rapier króla Gustawa Adolfa nad kominkiem.

JB: Nie, to stereotyp. Szwedzi rzeczywiście nie wzięli udziału w II wojnie światowej. Ale dlatego, że rozumieli, iż nie leży to w ich interesie, a nie dlatego, że są pacyfistami. Na Bałtyku mieli ogromną marynarkę wojenną.

PZ: Sprzęt mają świetny również dzisiaj. A także nowoczesny przemysł zbrojeniowy. Wystarczy wspomnieć myśliwiec *Gripen*.

JB: Szwedzi szykują się do wojny. I robią to na poważnie. Chyba najpoważniej w całym regionie. Dali nawet Rosjanom niejasne sygnały, że atak na państwa bałtyckie może ich skłonić do udziału w wojnie. Zresztą, gdyby naprawdę przyszło do wojny między Rosją a NATO o państwa bałtyckie, bez udziału Szwecji jest ona niemożliwa. Przestrzeń powietrzna nad Szwecją musiałaby być bowiem używana przez amerykańskie samoloty startujące z lotniskowców z Morza Północnego i z Atlantyku. Inaczej nie da rady tam dolecieć. Trudno przecież manewrować przez cieśniny duńskie, gdzie Rosjanie mogliby założyć pułapki antydostępowe.

PZ: Bałtyk jest zbyt małym i ciasnym akwenem, by stanowić bazę operacyjną do takiej wojny.

JB: Gotlandia została już zmilitaryzowana przez Szwedów. Jest jeszcze kwestia Bornholmu i Wysp Alandzkich w Zatoce Botnickiej. Szwedzi mają naprawdę ogromne możliwości i ogromną rolę do odegrania w przyszłej wojnie.

PZ: To teraz zajmijmy się Ukrainą.

JB: Ukraina jest potężnym krajem, biednym, ale wielkim i potężnym. Leży w południowej części tradycyjnego polskiego teatru wojny na południe od Prypeci.

PZ: Tak było zawsze. Przez stulecia zmagań o ziemie ukrainne między Rzecząpospolitą a Moskowią.

JB: Gdyby Amerykanie wyszli z Europy i NATO stałoby się fikcją, to być może okazałoby się, że sojusz z Ukrainą jest jedyną realną opcją dla Polski. Zwłaszcza gdyby Niemcy jednak nie zdecydowali się na budowę europejskiego imperium pod parasolem ochronnym Wuja Sama.

PZ: Mówiliśmy o tym w jednej z poprzednich rozmów.

JB: Tak, oferta Niemiec ustami minister obrony z jesieni 2020 roku dla Stanów Zjednoczonych, o której mówiłem poprzednio, była prosta: „Akceptujemy waszą dominację. Wy, Amerykanie, zróbcie nam tylko strefę wolnego handlu, a my będziemy z wami przeciwko Chinom i Rosji (choć spokojnie z eskalacją, prosimy!). Staniemy się policmajstrem Europy, wystawimy potężne siły konwencjonalne, damy na to pieniądze. A wy dacie nam parasol nuklearny". Tak jak mówiliśmy, to jest bardzo dobra opcja dla Polski, bo moglibyśmy się dogadać z Niemcami i stać się ich pomocnikiem i najbliższym sprzymierzeńcem. Niemcy mogliby sfinansować polskie wojska lądowe w nowym imperium europejskim.

PZ: Wojska pancerne już w pewnym sensie nam sfinansowali. A przynajmniej dostarczyli najważniejszy sprzęt – ćwierć tysiąca czołgów *Leopard*. Problem polega na tym, że dobry wujek Ameryka i dobra ciocia Niemcy mogą się pokłócić. Wtedy będzie trzeba wybierać między opcją amerykańską a europejską. Moim zdaniem bardziej racjonalna jest opcja europejska. Ameryka jest daleko, a Niemcy blisko. Przeciwnicy takiego rozwiązania wskazują jednak, że to już nie są te Niemcy co dawniej. Pacyfistyczne, pełne islamskich emigrantów, rozbrojone, pozbawione ducha walki. Jak Niemcy mogą obronić Polskę – argumentują moi adwersarze – skoro sami nie mają armii?

JB: Właśnie dlatego opcja amerykańsko-niemiecka jest dla nas tak korzystna. Tak bliski sojusz z USA skonfliktowałby Niemcy z Rosją. A przynajmniej miał ku temu potencjał. A zbliżył do Polski. Stalibyśmy się niemieckim buforem od wschodu.

PZ: To już chyba się stało. Z geopolitycznego punktu widzenia Polska dla Niemiec jest tym, czym Ukraina dla Polski.

JB: Jest jeszcze jedna analogia. Rok 1916, gdy Niemcy zaczęli tworzyć Polnische Wehrmacht. Swoją drogą powiedziano mi kiedyś, żebym nie podawał tego przykładu, bo to tylko zniechęci do podobnego projektu.

PZ: (*śmiech*) Wyjaśnijmy czytelnikom. Polnische Wehrmacht to polskie jednostki wojskowe tworzone przez Niemców po ogłoszeniu aktu 5 listo-

pada 1916 roku, wskrzeszającego państwo polskie. Jego ojcem duchowym był Władysław Studnicki – bohater mojej książki *Germanofil* – który przekonał Niemców, że Polska wystawi milionową armię uzbrojoną po zęby w niemieckie działa i karabiny. Armia ta miała walczyć przeciwko Rosji na froncie wschodnim. Studnicki do końca życia żałował, że ten projekt nie został zrealizowany, bo – jego zdaniem – gdyby Polska miała taką armię, bolszewicy w 1920 roku nie podeszliby pod Warszawę. Pobilibyśmy ich gdzieś pod Smoleńskiem i odbudowali wielką Rzeczpospolitą w granicach sprzed 1772 roku.

JB: Adolf Bocheński w swojej słynnej, wydanej w 1937 roku książce *Między Niemcami a Rosją* pisał z kolei o taranie niemieckim. Uważał, że Polska powinna wykorzystać antysowieckie nastawienie Niemiec, puścić Hitlera na Stalina i w ten sposób pozbyć się jednego z potencjalnych przeciwników. Wróćmy jednak do czasów współczesnych. Gdyby Niemcy podjęli się roli policmajstra, bez wątpienia musieliby zainwestować w ochronę wschodniej flanki jako strażnik konstrukcji europejskiej. Nam dałoby to duże pole manewru. W razie jakichś problemów z Niemcami moglibyśmy się odwoływać do ostatecznego pana lennego, który jest nad Berlinem, czyli do Stanów Zjednoczonych. A przy tym mielibyśmy Niemców po swojej stronie w konflikcie z Rosją.

PZ: Same plusy. Przede wszystkim taka opcja odsuwa scenariusz dla nas najgorszy – porozumienia między Berlinem a Moskwą.

JB: Oczywiście, bo taki układ automatycznie determinuje konflikt Niemiec z Rosją. To służyłoby też naszej polityce wobec przestrzeni ULB czy nawet szerzej – wobec Wschodu. Moglibyśmy siłami Niemiec prowadzić politykę wschodnią.

PZ: Na temat sił zbrojnych, jakich potrzebuje Polska, aby obronić się przed Rosją, chciałbym z tobą pomówić w kolejnej rozmowie. Trudno tu jednak nie zasygnalizować problemu. Czy wielki program modernizacji polskiej armii idzie twoim zdaniem w dobrą stronę?

JB: Nie.

PZ: Spodziewałem się takiej odpowiedzi.

JB: Jest naprawdę źle. Pierwsze, co należy zmienić, to wyobrażenie o nadchodzącej wojnie. Należy się zastanowić, w jakiej wojnie mają wziąć udział polskie siły zbrojne, zmienić myślenie strategiczne. Problem bowiem polega na tym, że my przygotowujemy się nie do tej wojny, co trzeba. Kolejnym krokiem musi być wymyślenie koncepcji operacyjnej. Ustalenie, gdzie zamierzamy wbić gwóźdź młotkiem. Ustalenie, jak duży jest ten gwóźdź i pod jakim kątem. Ustalenie, jaki młotek będzie do tego potrzebny. U nas jest zaś odwrotnie. Od razu wybieramy młotek – czy też rodzaje młotka – a dopiero później się zastanawiamy, do czego ich użyć.

PZ: Myślę, że jest jeszcze gorzej: to za nas wybierają ten młotek. Pytanie bowiem, czy rząd – za ciężkie pieniądze polskich podatników – kupuje sprzęt wojskowy, który nam jest rzeczywiście potrzebny? Czy też może kupuje to, co Amerykanie mają akurat do sprzedania?

JB: Wybór myśliwca F-35 jest oczywiście wyborem komplementarnym wobec amerykańskiej projekcji siły.

PZ: Czyli wybór ten oznacza, że nasz rząd z góry założył, że Amerykanie nam pomogą. Ryzykowna strategia. Czego więc nam naprawdę potrzeba?

JB: Własnego systemu wielopoziomowej świadomości sytuacyjnej. Rozpoznania kosmicznego, powietrznego, dronowego. Na współczesnym polu bitwy wygrywa ten, kto więcej widzi i słyszy. Ten, kto pierwszy dostrzeże przeciwnika i zada mu pierwszy cios. Do tego siły specjalne. Wszystko razem spięte w jeden system dowodzenia. Punkt drugi – artyleria dalekiego zasięgu (100–300 kilometrów). Musimy być gotowi do działań na wielkim teatrze operacyjnym, wykorzystania nowoczesnej techniki. Postawiłbym na telekomunikację kwantową, artylerię dalekiego zasięgu, drony wszystkich szczebli taktycznych i operacyjnych. Powołałbym akademię zajmującą się robotyką i automatyką powiązaną ze sztuczną inteligencją. Oczywiście zainwestowałbym w satelity. To naprawdę nie jest drogie, na pewno tańsze niż kilka samolotów F-35.

PZ: Starcia między Azerbejdżanem a Armenią w Górskim Karabachu, do których doszło jesienią 2020 roku, pokazały, że to właśnie dron jest królem współczesnego pola walki.

JB: Nie wolno jednak również zapominać o nowoczesnych siłach specjalnych. Ale takich, które mogłyby walczyć na symetrycznym polu walki, wobec penetracji dokonanej przez przeciwnika. A więc siły specjalne szykowane na specnaz, a nie na kogoś z Afryki czy Bliskiego Wschodu. Zwłaszcza w całej strefie zdarzeń poniżej progu z artykułu 5 NATO. Nie zmienia to oczywiście faktu, że musimy mieć również nowoczesne wojska lądowe. Nie muszą być bardzo duże – ważne, żeby były bardzo mobilne i ukompletowane, w gotowości bojowej. Zdecydowanie postawiłbym nie na liczbę, tylko na gotowość bojową, mobilność strategiczną na kierunkach operacyjnych. Oraz amorficzny system dowodzenia.

PZ: Gdzie miałyby walczyć takie siły zbrojne? Odpierać atak wzdłuż granicy – jak w 1939 roku – cofnąć się na linię Wisły czy, przeciwnie, iść do przodu?

JB: To jest druga zasadnicza sprawa. Ja szykowałbym wojsko z myślą również o zdolnościach ofensywnych. Musimy doprowadzić do tego, żeby starcie nie rozegrało się w Rzeczypospolitej, lecz na przedpolu, w przestrzeni całego ULB.

PZ: Problem polega na tym, że Rosja może uderzyć z dużej odległości. Rakietami dalekiego zasięgu. Wtedy siły specjalne i drony niewiele nam pomogą.

JB: Oczywiście wszystko, o czym mówiłem, musiałoby być wpięte w system obrony powietrznej. Zrezygnowałbym chyba z obrony przeciwbalistycznej, bo nie jest niezbędna, a bardzo kosztowna. Przy takim podejściu program „Wisła”, czyli zakup amerykańskiego systemu *Patriot*, byłby niepotrzebny.

PZ: Jak to niepotrzebny?! Przecież bez niego posypią się nam na głowy pociski.

JB: No to co? Niech się posypią. Amerykanie mają ten sam problem z Chinami. Nie da się przecież zestrzelić wszystkich rakiet wystrzelonych przez przeciwnika dysponującego kolosalnym potencjałem rakietowym. Rosjanie wystrzelają się z tych 400–500 rakiet – oczywiście jeśli ich tyle mają – w pierwszych godzinach wojny. Trzeba to przetrzymać, nie dać zniszczyć

naszych wojsk, zwłaszcza systemu dowodzenia. Trzeba je rozproszyć, ukryć. A to, co zostanie uszkodzone – na przykład lotniska i inną bardzo ważną infrastrukturę – szybko naprawiać. To będzie znacznie tańsze i efektywniejsze niż skazana na porażkę i bardzo kosztowna próba zestrzelenia wszystkich nadlatujących pocisków. Rosjanie wyprowadzą przeciwko nam atak saturacyjny, który i tak przełamie naszą obronę przeciwlotniczą. Obronę, dodajmy, bardzo drogą, bo kosztującą kilkadziesiąt miliardów.

PZ: To na co wydać te miliardy?

JB: Na zdolności ofensywne, które są sednem wojny, więc cybernetyczne, elektromagnetyczne, penetracyjne, efektory dalekiego zasięgu. To, o czym mówiłem. Chodzi o to, żebyśmy zadawali straty przeciwnikowi, a nie tylko je przyjmowali. To my musimy wybrać pole walki. My musimy kontrolować drabinę eskalacyjną. Wiem, że to, co powiedziałem o rakietach, może być szokujące. Ale przed symetrycznym przeciwnikiem, który dysponuje tak wielką przewagą broni rakietowej, po prostu nie sposób się obronić.

PZ: Izraelowi się to udaje – ma swoją „Żelazną Kopułę”, która wiosną 2021 roku zestrzeliła 90 procent nadlatujących rakiet.

JB: Izrael zestrzeliwuje rakiety, bo po przeciwnej stronie nie ma mocarstw. Prowadzi wojnę asymetryczną.

PZ: Przejdźmy do broni pancernej. Czego tu potrzebujemy? Mamy świetne niemieckie leopardy, ale projekt modernizacji przestarzałych sowieckich T-72 wzbudza już sporą dyskusję. Niedawno rząd zapowiedział, że kupi amerykańskie abramsy.

JB: W ogóle na świecie trwa dyskusja na temat użyteczności czołgów. Ja uważam, że na polskim teatrze wojny, na wielkiej nizinie, wciąż są potrzebne. Musimy jednak poprawić mobilność strategiczną, gotowość bojową, przerzuty wojsk. Kluczowe będzie organiczne rozpoznanie operacyjne, maskowanie elektromagnetyczne, które sprawi, że nie będzie nas widać. Świecimy się teraz w całym spektrum jak… nie powiem co. To zresztą również błąd Amerykanów. W rozmaitych egzotycznych konfliktach walczyli z ludźmi, którzy nie mieli nowoczesnych systemów obserwacji, nawet na podczerwień. W efekcie Amerykanie też się świecą, w ogóle się

nie maskują przeciw emisjom. Nie mają takich nawyków. Czas to zmienić, bo inaczej Rosjanie będą nas niszczyć. Polacy są już nieco lepsi w maskowaniu, ale generalnie trzeba to znacząco poprawić również u nas. Symetryczne pole walki wymusza zmiany i one wcale nie muszą być drogie. Można tanio zaadaptować na potrzeby wojska rozmaite wynalazki cywilne. Weźmy przykład z Ukraińców, którzy naprowadzali ogień artyleryjski za pomocą zwykłych komórek, i to bardzo precyzyjnie. Trzeba wymyślać takie metody.

PZ: Czyli krótko mówiąc, nowoczesny sprzęt, nowoczesny sprzęt i jeszcze raz nowoczesny sprzęt. Do spraw uzbrojenia jeszcze wrócimy, ale chciałbym teraz porozmawiać o rzeczy najważniejszej. Myślę, że jest to pytanie, które nurtuje wszystkich. Od tego zależy wszystko. Pytanie to brzmi: Pomogą czy nie pomogą? Wśród naszych polityków panuje przekonanie, że wystarczy ściągnąć do Polski jakieś siły amerykańskie, zapłacić im pieniądze jak agencji ochroniarskiej – i już jesteśmy bezpieczni. Gdy Rosja zaatakuje Polskę, to automatycznie zaatakuje USA. Ta wiara wydaje mi się bardzo naiwna. Nie jestem wcale przekonany, czy Amerykanie będą tacy skorzy do umierania za Suwałki. Wielkie mocarstwo musi mieć naprawdę poważny powód, żeby przystąpić do wojny z drugim mocarstwem. Szczególnie nuklearnym. Możliwość, że Amerykanie w chwili próby się ewakuują lub ogłoszą neutralność, powinna być poważnie rozważana. Tymczasem każdy, kto przed tym ostrzega, nazywany jest defetystą, który podważa wiarę w sojusze.

JB: Oczywiście należy o tym dyskutować. Bardzo nie lubię w Polsce tej maniery, że mówienie o czymś to podważanie świętości czy właśnie sojuszy. To jest niestety bardzo częste wśród analityków, którzy zamiast rozwiązywać problemy, wolą udawać, że one nie istnieją. Trochę mi to przypomina zachowanie małego dziecka – zamykamy oczy i zagrożenie od razu znika. Sytuacja w każdym sojuszu jest dynamiczna. Układ sił się zmienia. Interesy też. Wszyscy rozważają wszystkie możliwe scenariusze. Dlaczego tylko Rzeczpospolita ma tego nie robić? To jest jakaś bojaźliwość. Po prostu nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy żądać zmian planów sojuszniczych na wypadek eskalacji na przesmyku suwalskim. Albo realnego

wzmocnienia naszych gwarancji. Zupełnie jakbyśmy się bali własnego cienia. Naprawdę mnie to irytuje.

PZ: Oczywiście. Bo jeżeli mamy walczyć i umierać, powinniśmy wiedzieć, na czym stoimy. I mieć realny obraz sytuacji. A nie – jak podczas II wojny światowej – bajkowy.

JB: Amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa oczywiście nie powinny być wyceniane 100 punktów na 100. Przyszłość danej przestrzeni politycznej nie jest bowiem wynikiem wielkich ideałów, tylko układu sił między największymi graczami. Przecież przyszłość Białorusi tak się właśnie rozstrzygnęła i tak się rozstrzygnie nasza przyszłość. Wielkie zmiany w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1989–1991 były wynikiem tego, że Amerykanie wygrali zimną wojnę, a Związek Sowiecki ją przegrał. A nie tego, że Polacy i inne narody regionu miały takie wielkie pragnienie wolności. Po prostu zmienił się układ sił. Sowieci odeszli i zaczęła się penetracja kapitału i wpływów politycznych Zachodu. Taka jest brutalna prawda. Czas wreszcie, żebyśmy to zrozumieli. Może podziała to nieco trzeźwiąco.

PZ: Czyli jeśli zmieni się układ sił, Amerykanie – a wraz z nimi Zachód – mogą znowu z naszej części świata „odpłynąć”. A w ich miejsce może wrócić Moskwa.

JB: To nie tylko kwestia realnej siły, ale również percepcji. Rzeczywiście, obecność amerykańska i amerykańskie gwarancje powodują, że potencjalny przeciwnik przed zaatakowaniem Polski musi poważnie się zastanowić, czy te gwarancje zadziałają, czy nie.

PZ: Czyli nie tylko Polacy się nad tym głowią. Putin również.

JB: Właśnie. Zawsze może sobie pomyśleć: O cholera, a nuż…

PZ: (*śmiech*) Gdy rozmawiamy o obecności amerykańskich wojsk w Polsce, warto wspomnieć o jeszcze jednym czynniku. Kontroli. Na 100 procent pewnym można być wyłącznie sił, które znajdują się pod własnymi rozkazami. Choć i to nie zawsze, jak pokazał konflikt na Krymie w 2014 roku, gdy dowódca ukraińskiej floty przeszedł na stronę Rosji. Tymczasem Amerykanie w momencie wybuchu wojny nie będą wykonywać rozkazów pol-

skich generałów, lecz własnych. A Ameryka nie będzie broniła polskich, lecz własnych interesów. Te zaś wcale nie muszą się pokrywać.

JB: Obecność amerykańska rzeczywiście daje nam złudne poczucie bezpieczeństwa. Wielu ludzi uważa, że Amerykanie zrobią za nas całą robotę. W nowoczesnej wojnie występuje tymczasem kaskadowy efekt przegrywania. Wojnę można przegrać bardzo szybko i spektakularnie. Amerykanie – nawet jeżeli tu zostaną – na pewno nie będą nam pomagać, jeśli sami nie pokażemy, że jesteśmy silni i odporni na ciosy. Że jesteśmy gotowi skutecznie się bić. Potrzebujemy więc własnych, potężnych i nowoczesnych sił zbrojnych. Nikt nie obroni Polski za nas.

Źródło: „Historia Realna” 4 grudnia 2020

Rozmowa 7

Jakiej armii potrzebuje Polska, by wygrać wojnę?

PZ: Jacku, gratulacje. Przed naszą rozmową zajrzałem na portal Zrzutka, na którym prowadzona jest zbiórka na twój projekt Armia Nowego Wzoru. Wynik jest zawrotny – grubo ponad 200 tysięcy złotych. Domyślam się, że jesteś z tego zadowolony.

JB: (*śmiech*) Tak, bardzo. Jestem też bardzo zobowiązany. Zbiórkę uruchomiliśmy zaledwie półtora miesiąca temu, wynik jest więc rzeczywiście zawrotny. To dowód, że w Polsce istnieje społeczeństwo obywatelskie i ludzie chcą wspierać takie niezależne projekty. Nad projektem Armii Nowego Wzoru pracujemy – z moimi kolegami ze Strategy&Future i zewnętrznymi ekspertami z Polski i zagranicy – już od roku. Wiemy już, do czego ma służyć Wojsko Polskie. Ostatnie trzydzieści lat III Rzeczypospolitej pokazało, że nasi decydenci chyba nie bardzo mieli na to pomysł. Nie wiedzieli, po co utrzymywać armię.

PZ: Część krytyków wskazywała, że głównym celem istnienia naszej armii jest przeżeranie – w końcu niemałych – pieniędzy, jakie Polska przeznacza na obronność. Trwanie dla samego trwania.

JB: Z tym trzeba skończyć. Projekt Armii Nowego Wzoru ma na celu opracowanie koncepcji, jak powinno wyglądać wojsko, które jest przecież realnym instrumentem polityki państwa. Nadchodzą bardzo trudne czasy dla Polski oraz świata i to wojsko będzie wtedy nam bardzo potrzebne. Tu nawet nie chodzi o to, jaki konkretnie sprzęt mamy kupować. To jest problem, który należy rozwiązać dopiero na samym końcu procesu. Najważniejsze jest to, żeby określić, z jakim przeciwnikiem ma się mierzyć nasze

wojsko, na jakie zagrożenia powinno być szykowane. Co jest punktem ciężkości tego przeciwnika, jak on realizuje swoją politykę, jak wygląda współczesne pole walki.

PZ: No i gdzie konkretnie rozegra się ta walka. Bo inaczej będziemy walczyć pod Kaliningradem, Wilnem czy Rygą, a inaczej na przesmyku suwalskim.

JB: Właśnie. A to z kolei rodzi pytanie, jak uszykować to wojsko, jakie ono ma wykonywać zadania. Wojsko, czy nam się to podoba, czy nie, jest instrumentem polityki, gry o wpływy i kształtowania otoczenia geopolitycznego, także w czasie pokoju. Ze zdolności, które powinno mieć, wynikają koncepcje operacyjne, sposób ćwiczenia, uszykowanie struktury, dyslokacja itd. Dopiero na samym końcu jest kwestia, która wydaje się najistotniejsza dla miłośników technikaliów, czyli to, czy potrzebny nam jest zasobnik numer A585, czy też zasobnik numer A586. Samolot taki czy siaki.

PZ: Czyli najpierw trzeba mieć koncepcję, a dopiero potem dobierać do niej narzędzia?

JB: Niestety w naszej drogiej i kochanej ojczyźnie wszystko jest na odwrót. Nadmierne podniecanie się techniką wojskową jest charakterystyczne dla światowych peryferii. Imitacje z Zachodu również są powszechnie pożądane. A wiadomo, jak jest z imitacjami… Z tym są powiązane środowiska lobbystyczne, pieniądze, no i PR. Politycy uwielbiają ten sport: zamawiają efektownie wyglądającą nowoczesną broń, a potem radośnie o niej tweetują i rozprawiają na konferencjach prasowych.

PZ: Zamawiają ten sprzęt za pieniądze podatników, po czym fotografują się na jego tle, żeby nabić sobie popularność wśród tych samych podatników i wygrać kolejne wybory. Prężą się, stojąc obok pięknego F-35, błyskają flesze aparatów, łopoczą polskie i amerykańskie flagi. „Popieraj obecny rząd – mówi z entuzjazmem telewizyjny spiker – bo on sprawia, że Polska jest potężna!”

F-35 to rzeczywiście nowoczesna maszyna, ale czy ona jest nam naprawdę potrzebna, czy też kupiliśmy ją, bo Amerykanie mieli ją akurat do sprzedania – to jest zupełnie inny temat. Projekt Armii Nowego Wzoru ma podtytuł *Dwudziesta wojna*. Dlaczego akurat dwudziesta?

JB: Dlatego, że mieliśmy do tej pory dziewiętnaście wojen z Rosją. Teraz toczy się dwudziesta.

PZ: Czyli odpowiedź na pierwsze pytanie – z jakim przeciwnikiem będzie walczyć Armia Nowego Wzoru – już mamy. Z Rosją.

JB: Tak. I ta wojna już trwa. Jej stawką jest to, kto ma sprawczość, kto może ustanawiać reguły gry politycznej na obszarze naszego zainteresowania geopolitycznego, uzyskiwać kluczowe koncesje. Rosjanie już prowadzą tę wojnę. Oczywiście to nie jest wojna tylko z nami. Oni starają się ubezwłasnowolnić również inne państwa Europy Środkowo-Wschodniej. Widać to na przykładzie Ukrainy, Białorusi czy kwestii Nord Stream 2. Wystarczy się przyjrzeć, jakie manewry wojskowe przeprowadzają siły Federacji Rosyjskiej. Siły te po reformie ministrów Anatolija Sierdiukowa i Siergieja Szojgu stały się znacznie sprawniejsze. Niestety my nie mamy na to żadnej odpowiedzi, bo my przez trzydzieści lat wierzyliśmy, że ten problem załatwi za nas NATO. Dokonano adopcji strategicznej Polski. Uznaliśmy, że mądrzejszy od nas i bogatszy Zachód będzie za nas myśleć i nas bronić.

PZ: Wymieniłeś Białoruś i Ukrainę. To są byłe republiki sowieckie. W 2008 roku Rosjanie wkroczyli do Gruzji, innej byłej republiki. Czy twoim zdaniem w rosyjskiej percepcji nie ma różnicy między krajami, które do 1991 roku wchodziły w skład czerwonego imperium, a byłymi demoludami?

JB: Pamiętajmy, że Rosjanie wcale nie chcą okupować innych krajów. To już nie te czasy. Oni nie chcą dopuścić do tego, żeby obcy system geopolityczny – czyli Amerykanie i NATO – decydował o tym, na jakich zasadach pracuje przestrzeń państwa ukraińskiego. Na jakich zasadach dokonują się przepływy strategiczne, jak jest dokonywana prywatyzacja, jak funkcjonują wielkie zakłady przemysłowe Donbasu. Czy pracują na potrzeby państwa ukraińskiego, a może także na potrzeby amerykańskiego kapitału. Jakie Amerykanie mają wpływy, czy decydują o polityce rządu w Kijowie. Tak samo było w Gruzji, tak samo mogłoby być na Białorusi…

PZ: …gdyby udała się biało-czerwono-biała rewolucja i Alaksandr Łukaszenka zostałby pognany z Mińska jak wcześniej z Kijowa Wiktor Janukowycz. Wtedy Białoruś dokonałaby prozachodniego zwrotu i Rosja pewnie

uznałaby, że wróg podchodzi pod jej bramy. I należy działać. Zielone ludziki pojawiłyby się w Mińsku.

JB: Rosjanie mają bardzo prosty pogląd na te sprawy. W tej przestrzeni będą panować albo oni, albo Amerykanie. Dlatego za pomocą sił zbrojnych, doskonale skalibrowanych do tej roboty, konsekwentnie destabilizują te państwa. Pokazują swoją sprawczość, osłabiając wysiłek modernizacyjny. Jeśli trzeba, to straszą, a jeśli trzeba, to strzelają – jak w wojnie w Donbasie w 2014 roku. To jest właśnie wojna nowej generacji. To już nie są tysiące czołgów, które idą ławą jak na łuku kurskim w 1943 roku. To już nie jest okupacja. Wojny mają znowu charakter gabinetowy – chodzi o realizację własnych celów politycznych i gospodarczych, a nie o podbijanie innych narodów, eksterminację elit. Innymi słowy, strategia Rosji polega na wymuszaniu celów politycznych poprzez demonstracje wojskowe. I niestety Rosja świetnie prowadzi tę grę i wygrywa kolejne partie.

PZ: Z drugiej strony zupełnie niedawno staliśmy wobec zagrożenia wojną konwencjonalną, w starym stylu. Rosjanie skoncentrowali na granicy z Ukrainą pokaźne siły. W Internecie można było zobaczyć filmiki przedstawiające pociągi składające się z olbrzymiej liczby platform, na których jechały na zachód rosyjskie czołgi i działa samobieżne. Na świecie zapanowała psychoza wojenna. Ale – jak rozumiem – to był tylko blef. Bo wszystko rozeszło się po kościach.

JB: Tak, to był blef. Kolejne prężenie muskułów – „Patrzcie, jesteśmy gotowi bronić naszej «strefy wpływów»”. Wbrew pozorom Rosjanie wcale nie mieli na granicy skoncentrowanych sił, które byłyby niezbędne do opanowania nawet części Ukrainy. Nie mówiąc już o całej. Teraz to sensory decydują o sytuacji na polu walki. Jest akcja i błyskawiczna reakcja. Wygrywa ten, kto pierwszy zobaczy przeciwnika. Nie ma stałego frontu. Rosjanie przeszli już ten etap i doskonale to rozumieją. Zmodernizowali się w sposób imponujący. A my – nie. I dlatego właśnie potrzebujemy Armii Nowego Wzoru. Zupełnie inaczej skonstruowanej niż to, co mamy obecnie. Potrzebujemy wojska, które jest sprawnym instrumentem polityki państwa, a nie…

PZ: …państwem w państwie?

JB: W wojsku jest wielu oficerów i żołnierzy przyjaźnie nastawionych do Armii Nowego Wzoru. Bo oni wiedzą najlepiej, że Wojsko Polskie w III Rzeczypospolitej było czymś, na co trzeba było wydawać ileś tam procent PKB, bo są etaty, są ludzie, jakiś sprzęt, który trzeba konserwować, rutynowe ćwiczenia. Coś trzeba mieć, coś trzeba pokazywać sojusznikom. Gdy weszliśmy do NATO, to właśnie ci sojusznicy mieli myśleć nad tym, do czego ta – odziedziczona po PRL-u – armia ma nam właściwie służyć.

PZ: Tak jak wcześniej myśleli za nas „towarzysze sowieccy".

JB: Niestety. Przestaliśmy myśleć strategicznie. W PRL-u też nie pozwalano nam myśleć, więc w Polsce nie przetoczyła się debata, nie było refleksji na temat Wojska Polskiego. Mało tego, spora grupa ludzi uważała, że skoro żyjemy w epoce posthistorycznej i już nic ciekawego się nie wydarzy, wojsko jest w ogóle niepotrzebne. To totalitaryzm, to faszyzm! – mogliśmy usłyszeć. – Przecież ten świat już bezpowrotnie minął, teraz żyjemy w epoce wiecznego pokoju, teraz się już wszyscy kochamy. No tak, my się kochamy, a tymczasem za naszymi plecami łamany jest ład światowy. Rosjanie wygrywają i reformują swoje wojsko, tak żeby było skutecznym instrumentem politycznym. Wojsko, żeby wygrywać, musi podążać za rozwojem myśli technicznej, za zmianą realiów pola walki. Nie są już potrzebne wielkie armie, jak w czasie II wojny światowej. Potrzebna jest broń precyzyjna, sensoryczność, świadomość sytuacyjna. Zwycięża się wtedy, gdy się ma przewagę informacyjną na polu walki i można reagować w czasie i w przestrzeni. Rozstrzygające jest to, żeby dostrzec przeciwnika szybciej, niż on dostrzeże nas, i wiedzieć o nim więcej, niż on wie o nas. Rosjanie przeszli tę rewolucję. My, jeśli chcemy im sprostać, też musimy to zrobić.

PZ: To konkretnie – jak powinna wyglądać Armia Nowego Wzoru?

JB: Pierwsze pytanie, na które musimy sobie odpowiedzieć, brzmi: Do czego ta armia ma służyć? Jakbym zapytał dzisiaj polityka: „Panie X, do czego ma służyć Wojsko Polskie?", to usłyszę w odpowiedzi jakiś banał. Coś w stylu: „Wojsko służy do obrony niepodległości i granic Polski". To jest oczywiste. Ale to mało. Bo w wojnie nowej generacji, gdy orężem jest informacja, propaganda, gdy mamy do czynienia z cyberwojną, z przerzu-

tami sił na wielkie odległości, gdy dochodzi przestrzeń kosmiczna – taka odpowiedź nie może nikogo usatysfakcjonować. To nie jest jak w czasach feudalnych, gdy się broni terytorium. Teraz jest szersze spektrum, które trzeba kontrolować: widmo elektromagnetyczne, domena cybernetyczna, systemy łączności i rozpoznania własne oraz przeciwnika. Nasi wojskowi, którzy są na szpicy, to wiedzą.

PZ: Mówisz, że przeciętny polski polityk odpowiedziałby, że Wojsko Polskie ma służyć do obrony granic Rzeczypospolitej. Ale zgodnie z amerykańskimi planami jest chyba inaczej. Wojsko Polskie ma służyć do obrony granic innych państw NATO.

JB: No właśnie. I to jest sprawa zasadnicza. Co z państwami bałtyckimi, które są najbardziej na wschód wysuniętą rubieżą Sojuszu Północnoatlantyckiego. W razie inwazji rosyjskiej pomagamy im czy nie?

PZ: Kolejna sprawa to rodzaj i skala tej pomocy. Bo pomagać można różnie. Można udzielić sojusznikowi wsparcia moralnego, wspomóc go dostawami uzbrojenia – albo można iść na całość. Czyli zająć Kaliningrad i puścić czołgi na odsiecz Rydze. Ciekawi mnie, czy polskie kierownictwo polityczne zdecydowało już, który wariant zrealizujemy, czy też – w momencie wybuchu wojny – będzie improwizować. Podejmować tak doniosłe dla bytu Rzeczypospolitej decyzje pod presją czasu i sojuszników.

JB: Najważniejszą sprawą jest to, gdzie nasi żołnierze mają się bić. Czy szykujemy wojsko tylko do obrony granic, czy też będziemy powstrzymywać Rosjan na naszych tradycyjnych wysuniętych rubieżach – na Białorusi i Ukrainie. A może jeszcze inny wariant: cofamy się przed agresją za linię Wisły i wciągamy przeciwnika w głąb kraju? Kolejna sprawa: szykujemy siły zbrojne do wojny mającej trwać rok czy też trzy dni? Bo od tego zależy wszystko. No i czy to będzie wojna sojusznicza, czy samodzielna? I co z wojną poniżej progu sojuszniczej reakcji wywołanej artykułem 5 Traktatu północnoatlantyckiego? Moim zdaniem w III Rzeczypospolitej na te wszystkie pytania nie udzielono odpowiedzi.

PZ: Wrócę jeszcze do działań Rosji. Zwróć uwagę, jak niewielkimi środkami można realizować poważne cele polityczne. Bo co było celem politycznym w Gruzji w 2008 roku i na Ukrainie w roku 2014? Oczywiście

zablokowanie integracji tych państw ze strukturami Zachodu. A co za tym idzie – zablokowanie rozszerzenia amerykańskiej strefy wpływów pod granice Rosji. I udało się to osiągnąć bez miliardowych wydatków. Bez wielkiej wojny na Ukrainie, w której Rosja straciłaby 100 tysięcy żołnierzy i miliony ton cennego sprzętu. Ukraina, póki trwa konflikt o Donbas i Krym, z oczywistych względów nie wejdzie do NATO. Putin – tak jak mówisz – nie musi okupować całej Ukrainy. Wystarczyło, że spowodował, że to państwo zawisło w „martwej przestrzeni". Rozumiem, że my też powinniśmy spodziewać się czegoś podobnego. Jak może wyglądać taka konfrontacja z Rosją?

JB: Odpowiem metaforą. Mojej babci, która ma dziewięćdziesiąt lat i bardzo ją kocham, zepsuł się dwudziestoletni telewizor. Taki z grubym „tyłkiem". Więc poszedłem do sklepu, kupiłem jej płaski telewizor – Smart TV. Ustawiłem jej ulubione kanały informacyjne, dałem pilot, jest bardzo szczęśliwa, że to działa. Ale ustawiłem jej też Netflixa z Internetu i YouTube'a. Zacząłem tłumaczyć – dodam, że babcia jest bardzo dobrze wykształcona, jest całkowicie przytomną, samodzielnie funkcjonującą kobietą – jak z tego korzystać. Jak się zalogować, żeby oglądać seriale. I moja babcia po prostu nie była zdolna tego pojąć, bo ma stare mapy mentalne. Do tego właśnie sprowadza się różnica między wojną nowej generacji a mapami mentalnymi starego myślenia, które chcemy zmienić Armią Nowego Wzoru.

PZ: To jak w tym starym powiedzeniu: „Generałowie zawsze szykują się do wojny, która już została stoczona".

JB: Po tym, jak przebiegły ćwiczenia „Zima 20", rzeczywiście wygląda na to, że polskie kierownictwo jest kompletnie oderwane od rzeczywistości wojskowej w naszej części świata.

PZ: Przypomnijmy: manewry te zakończyły się blamażem. Jak w lutym 2021 roku donosiły media, „po pięciu dniach wojna była przegrana, a polska armia przestała istnieć". Po pięciu dniach od rozpoczęcia działań wojennych Rosjanie znaleźli się na linii Wisły i zaczęły się walki o Warszawę. Straty w naszych szeregach były potężne – 60–80 procent żołnierzy z oddziałów, które znalazły się na pierwszej linii. Nastąpiła całkowita anihilacja lotnictwa i marynarki wojennej. Prawdziwa hekatomba naszego woj-

ska. Co ciekawe, w tej symulacji… uwzględniono nowoczesne systemy, które już zamówiliśmy, ale których jeszcze nie mamy! Zestawy przeciwlotnicze *Patriot*, systemy rakietowe dalekiego zasięgu HIMARS i samoloty F-35. A więc nie walczyła realna polska armia, ale armia, którą mamy dopiero mieć za kilka lat. Mimo to zostaliśmy pobici w pięć dni, choć plan wyjściowy zakładał, że musimy się bronić przez dwadzieścia dwa dni. Tyle doniesienia medialne. Wyniki ćwiczeń podobno wywołały szok w armii. Rząd jak zwykle robił dobrą minę do złej gry i zapewniał, że wszystko jest cudownie, a „mankamenty" się szybko poprawi. Jakoś mam w tej sprawie poważne wątpliwości. To jak będzie wyglądała dwudziesta wojna polsko-rosyjska?

JB: Rosjanie chcą wziąć udział w trwającym właśnie łamaniu ładu światowego, tak żeby oni też mogli objąć akcje spółki Europa. Bo na razie wnoszą do tej spółki trochę gazu, ale chcą być jej udziałowcem. Polska stoi na drodze do realizacji tego celu i oni wiedzą, że mogą go osiągnąć „po naszym trupie". Nie w sensie fizycznym, że nas zbombardują. Chodzi o obezwładnienie sprawczości politycznej państw Europy Środkowo-Wschodniej z Polską na czele, jako największym państwem regionu. Chodzi o to, żeby Polska nie miała nic do powiedzenia, nie miała lewarów na państwa Europy Zachodniej ani własnego wojska z prawdziwego zdarzenia, które mogłoby stępić rosyjskie znaczenie jako potencjalnego udziałowca. Gdybyśmy jednak mieli Armię Nowego Wzoru, to zamiast apelować o ratunek do Bidena, sami stalibyśmy się graczem, z którym trzeba się liczyć – „Dobra, panie Ławrow, zaczynaj pan, zobaczymy, co będzie". Wtedy Niemcy nie mogliby na nas wymusić pokoju za wszelką cenę z uprzedmiotowieniem państw naszego regionu, a Rosja natychmiast przestałaby być w tym regionie decydentem. Rosję trzeba zatrzymać poza Europą rozumianą jako system. Po to właśnie są amerykańskie ćwiczenia „Defender-Europe 21" – w których bierze udział 30 tysięcy żołnierzy z dwudziestu siedmiu państw, w tym z Polski. I po to są rosyjskie ćwiczenia „Zapad". Obie strony ćwiczą i obie strony obserwują się nawzajem. Wszyscy patrzą, jakie kto ma zdolności. Co kto potrafi. I rozważają ryzyko ewentualnej konfrontacji. Czy Polska w sytuacji kryzysowej zdecydowałaby się wysłać samoloty na Ukrainę? Czy Ukraińcy mogą nawiązać współpracę z Turkami? Co mogą Turcy? Co zrobią Szwedzi? Rosjanie muszą widzieć, że jesteśmy naprawdę przygoto-

wani, że potrafimy wyłączyć ich systemy w spektrum elektromagnetycznym. Jeżeli będziemy w tym dobrzy, nabiorą do nas respektu. Na nic zdadzą się wówczas rosyjskie telefony do Berlina, żeby Niemcy powiedzieli Polakom, aby się poddali. A Polacy tymczasem mają dobrze skalibrowane, nowoczesne wojsko, są suwerenni. Sami sobie wyznaczają zadania, sami ćwiczą. Mają amorficzny system dowodzenia, który nie jest sterowany jednym telefonem z Warszawy, Berlina czy Waszyngtonu. Ćwiczą kontrolę drabiny eskalacyjnej i wojny niekonwencjonalnej – na przykład na kierunku kaliningradzkim, mogą więc zniszczyć rosyjskie systemy dowodzenia, które sterują strategicznymi systemami nuklearnymi. A wtedy można podwyższyć stawkę i wciągnąć Amerykanów w wojnę lub nakłonić ich, by jej zapobiegli.

PZ: Jak Polska miałaby Rosjanom zniszczyć te systemy?

JB: Do tego wcale nie potrzeba tysiąca czołgów ani eskadry F-35. Można to zrobić znacznie tańszymi środkami. Innymi słowy, wojna, którą przewiduję, nie będzie wojną Rosji z całym NATO, bo gdyby to miała być wojna z całym NATO – po prostu nigdy by nie wybuchła.

PZ: Oczywiście, bo Rosjanie zdają sobie sprawę, że zjednoczony Zachód by ich zmiażdżył. Dlatego robią wszystko, by rozerwać solidarność Europejczyków.

JB: Do tego dochodzi ocena wiarygodności amerykańskich gwarancji. Przypominam, że Stany Zjednoczone mają broń atomową. Przyszła wojna będzie więc szybką wojną regionalną, w której Rosja będzie chciała wyizolować przeciwnika lub przeciwników. Inne państwa NATO nie wejdą do gry, bo rozstrzygnięcia zapadną za szybko. Zresztą – powiedzmy sobie szczerze – nie będą miały zdolności i chęci politycznej.

PZ: Właśnie, jaki interes miałyby Grecja, Portugalia czy Hiszpania w wojowaniu z Rosją o jakiś przesmyk suwalski. Jakie wnioski wypływają z tego dla Polski?

JB: Musimy być gotowi na wojnę bardzo krótką, a zarazem bardzo intensywną. Wszystko będzie się działo w zawrotnym tempie. Trzeba będzie reagować w ułamkach sekund. I nie wolno nam przegrać, w tym w percep-

cji opinii światowej. Nie powinniśmy mieć białych słoni, czyli bardzo drogiego, dużego sprzętu, którego zniszczenie wywołuje efekt klęski. Na przykład zatopienie przez Rosjan dwóch naszych okrętów w pierwszych dwóch minutach wojny spowodowałoby, że od razu byśmy uznali, że przegrywamy i że to koniec. Musimy być odporni i elastyczni. Cios za cios, ząb za ząb. Musimy myśleć ofensywnie, zadawać straty. Nie bawić się, tylko iść na całość. I jeszcze jedna sprawa – kontrola własnej drabiny eskalacyjnej. Czyli musimy być odporni na naciski z ambasady amerykańskiej, niemieckiej czy francuskiej.

PZ: Domyślam się, że telefony w Warszawie rzeczywiście się rozdzwonią. Trudno mi nie wskazać po raz kolejny na analogię z rokiem 1939. W ostatnich dniach sierpnia nasi sojusznicy – Brytyjczycy i Francuzi – naciskali na Polskę, żeby odroczyła mobilizację. Marszałek Śmigły-Rydz ustąpił i skutki były katastrofalne. Chaos i bajzel w momencie wybuchu wojny 1 września. Olbrzymia część żołnierzy nie dotarła do swoich jednostek i błąkała się po drogach. Część jednostek w ogóle nie wyszła z koszar. Tym razem na taką presję musimy być odporni. Musimy być naprawdę suwerenni.

JB: Jeżeli spełnimy te warunki, to znajdziemy się przy stole. Będziemy traktowani jak poważny gracz. Rosjanie to zobaczą, zrozumieją, że nie da się nas ominąć, rozmawiać o naszych sprawach nad naszymi głowami z Berlinem i Paryżem. Ukraińcy i inni gracze w Europie Środkowo-Wschodniej też to zobaczą.

PZ: A więc wojna będzie szybka i krótka. Powtórki z I i II wojny światowej nie będzie. Nie będziemy się przez kilka lat taplać w błocie okopów.

JB: W dobie postindustrialnej – gdy w arsenałach znajdują się pociski precyzyjne – nikt nie wytrzymałby wielu tygodni wojny między poważnymi państwami. Nawet Amerykanie w pełnoskalowym konflikcie z innym mocarstwem. Jeszcze raz powtórzę, bo to bardzo ważne: Rosjanie nie są w stanie zająć Polski i jej okupować. Nie mają środków logistycznych, żeby to zrobić.

PZ: Poza tym to same kłopoty. Kto by chciał sobie brać Polskę na głowę? (*śmiech*) Zgadzam się więc z tobą, że rosyjska okupacja nam nie grozi. To jest baśń o żelaznym wilku. Natomiast parę słów *ad vocem* w sprawie tego,

co mówiłeś, że gdy Rosjanie zaczną hasać wokół Ukrainy, to my powinniśmy od razu wyjść do przodu z naszą armią. Adolf Bocheński przekonywał przecież, że w interesie Polski jest podział imperium moskiewskiego na – skonfliktowane ze sobą – państwo rosyjskie i państwo ukraińskie. Jeżeli te dwa kraje będą się ścierać, tym lepiej dla nas. Konflikt będzie toczył się daleko i Rosja będzie zajęta czymś innym niż nami. Tymczasem ty mówisz, że powinniśmy się w to mieszać. Brzmi to trochę jak hasło „o wolność naszą i waszą”…

JB: Nie, tu nie chodzi o to, że mamy pakować się w konflikt z Rosją i ginąć za wolność Ukrainy. W obcym interesie. Bo my nie będziemy walczyć tysiące kilometrów od domu – na Monte Cassino czy pod Tobrukiem. Ukraina to tradycyjne przedpole bezpieczeństwa Rzeczypospolitej. Wynik bitwy o Monte Cassino w maju 1944 roku nie miał najmniejszego znaczenia, nie miał żadnego wpływu na rozstrzygnięcia wojenne w Europie Środkowo-Wschodniej. Tego nie da się powiedzieć o wyniku wojny na Ukrainie. Dlatego właśnie poszliśmy na wojnę w kwietniu 1920 roku. Piłsudski rozumiał, że jeżeli Ukraina wpadnie w ręce bolszewików, sytuacja geopolityczna Polski fatalnie się skomplikuje. Z tego samego powodu Izrael w 1969 roku zajął Wzgórza Golan. Kontroluje je i widzi stamtąd Damaszek, lotnisko wojskowe w stolicy Syrii. Z tego samego powodu zajął też pustynię Negew, żeby mieć bufor aż do Kanału Sueskiego. Dzięki takim buforom można odsunąć ostrzał rakietowy od rdzenia swojego terytorium. Ale wracając do Polski: tu nie chodzi przecież o wysyłanie wojska na Ukrainę. Wystarczy zademonstrować Rosjanom, że polskie i ukraińskie samoloty wspólnie ćwiczą, że mamy jakieś protokoły uzgodnień. Jeżeli Rosjanie zaczną rozrabiać w państwach bałtyckich, to Ukraińcy natychmiast mobilizują swoje wojska i wysyłają je na granicę z Federacją Rosyjską. Na Rosjan zaczyna wówczas oddziaływać tak zwany *pinning effect*, czyli Rosjanie muszą trzymać wojska zarówno na kierunku ukraińskim, jak i polskim, ukraińskim oraz bałtyckim. A przecież tyle wojska po prostu nie mają. To jest bardzo proste, choć niełatwe. Rosja wcale nie jest takim potężnym państwem. Wystarczy tylko chcieć i wiedzieć, jak ich zatrzymać.

PZ: W czasie II wojny światowej nazywano to syndromem „krótkiej kołdry” i wtedy dotyczyło sił zbrojnych III Rzeszy. Niemcy mieli zbyt mało

wojsk, żeby okupować tak kolosalne przestrzenie i jednocześnie walczyć na tylu frontach. Gdy gdzieś przerzucali jednostki, natychmiast odsłaniali się w jakimś innym miejscu. I tak w kółko. Mimo desperackich prób trudno było załatać te dziury. Obok kryzysu paliwowego była to jedna z głównych przyczyn klęski Niemiec w ostatnim światowym konflikcie. Armie wielkich mocarstw wbrew pozorom nie są z gumy.

JB: Tu jest rola dla naszych sojuszników.

PZ: Tak, realnych sojuszników. A nie egzotycznych.

JB: Czyli wymieńmy jeszcze raz: Szwecja, Ukraina, Rumunia. Być może Turcja, ale to też do dyskusji, bo trzeba by się było wtedy zastanowić nad spoistością NATO. No i mamy wielki znak zapytania – Amerykanów. Ale na nikogo oprócz wymienionych wyżej państw bym specjalnie nie liczył. W związku z tym musimy się dobrze zastanowić, co w momencie zagrożenia robić z Ukrainą. Czy ją wspierać, czy jej nie wspierać? Jak ją wspierać? Kiedy mówię o „wyjściu z kosza", to nie chodzi mi o to, żebyśmy wysyłali – jak w XX wieku – wojsko na Ukrainę. Ciężarówki, czołgi, dywizje piechoty. Chodzi o demonstrację własnych zdolności. Tak, żeby Rosjanie musieli się liczyć z każdą możliwością. Mieli strategiczną niejasność co do naszego zachowania. Muszą wiedzieć, że jesteśmy odporni na naciski. Że nie będzie takiej sytuacji, że oni zadzwonią do Bidena, Biden zadzwoni do naszych polityków, a my wtedy „ruki po szwam".

PZ: Każdą decyzję, jaką podejmuje odpowiedzialny polityk, zawsze poprzedza kalkulacja ryzyka. Kiedy ryzyko jest niewielkie, można działać. Ale kiedy pojawiają się potencjalne zagrożenia, lepiej się dwa razy zastanowić. Myślę, że Putin – cokolwiek by o nim powiedzieć – jest politykiem odpowiedzialnym. Więc twój tok myślenia jest jak najbardziej słuszny. Gdy będziemy wisieć u klamki Amerykanów, nikt nie będzie się z nami liczył. Nawet sami Amerykanie, co widzieliśmy wielokrotnie, choćby na przykładzie niedoszłego podatku na wielkie firmy technologiczne z USA. A co dopiero Rosjanie. Myślę, że wzorem dla nas powinna być Turcja. Nie mam oczywiście na myśli łamania praw człowieka, ale suwerenną postawę na arenie międzynarodowej. Turcy wiedzą, czego chcą. Nie pękają ani przed

nuklearnym Izraelem, ani przed Rosją. Czy o Polakach można to samo powiedzieć?

JB: Całkiem niedawno rozmawiałem z Fiodorem Łukjanowem, szefem rosyjskiej Rady do spraw Polityki Zagranicznej i Obronnej. Można to obejrzeć na YouTubie. Rozmawiałem też z innymi Rosjanami. Oni zgodnie mówią, że z Turkami muszą rozmawiać bezpośrednio, muszą się z nimi liczyć. Ale z nami nie muszą. Bo i po co, skoro mogą rozmawiać bezpośrednio z Waszyngtonem?

PZ: Niestety. Traktują nas jak amerykańskiego wasala, a nie poważnego, samodzielnego gracza. Takiego, jakim byliśmy przez kilkaset lat wielkiej rywalizacji między Rzecząpospolitą a Moskowią o przestrzeń geopolityczną między Morzem Bałtyckim a Morzem Czarnym. Swoją drogą, zwróć uwagę, jak świat się zmienił. Przez całą epokę byliśmy dla Rosji rywalem numer jeden. I to rywalem trudnym. W XVI i na początku XVII wieku byliśmy zdecydowanie górą. W 1610 roku na Kremlu została osadzona polska załoga i niewiele zabrakło, żeby królewicz Władysław został carem Rosji. A potem u nas zaczął się regres, a u nich lot w górę. Kolejne polskie katastrofy: fiasko umowy hadziackiej, rozejm andruszowski, rozbiory. Teraz Rosja jest wielkim mocarstwem, a my małym krajem Europy Środkowo-Wschodniej. Wróćmy więc do smutnej teraźniejszości. Jak rozumiem, możemy się spodziewać wojny nowej generacji: działań hybrydowych, cyberataków, destabilizacji systemów informatycznych i bankowych. Zielonych ludzików w przesmyku suwalskim. W jaki sposób według ekspertów Strategy&Future pracujących nad projektem Armii Nowego Wzoru polskie wojsko powinno zostać przygotowane do powstrzymania tego zagrożenia?

JB: Jest jeszcze za wcześnie, by o tym mówić, bo my etap operacyjny dopiero rozpoczęliśmy. Opracowaliśmy już problem ewolucji współczesnego pola walki i teraz zastanawiamy się, jak kształtować polskie zdolności w tym kierunku. Bez wątpienia będziemy poruszać problem zmiany mentalności naszej klasy politycznej. Bo przecież politycy są immanentną częścią odporności wojskowej państwa. To oni będą podejmowali historyczne decyzje, z czego chyba sobie jeszcze w tej chwili nie zdają sprawy. Bo współczesna wojna nie polega na tym, że się oddaje władzę nad całym

systemem obrony jakiemuś generałowi i mówi: „Wodzu, prowadź!”. Politycy będą musieli codziennie podejmować mnóstwo decyzji w krótkich „okienkach decyzyjnych” wynikających z dynamiki pola walki, która wymaga błyskawicznego obiegu informacji. Druga sprawa – na to, co się stanie, trzeba przygotować społeczeństwo i sprzymierzonych z nami sąsiadów. Musimy bowiem pamiętać, że tu nie chodzi tylko o nas, ale o cały region. Kiedy w 2020 roku wrzało na Białorusi, Litwini wydzwaniali do nas, bo oczywiście w siedzibie NATO, w Brukseli, nikt nie chciał odbierać telefonów. A oni czują się zagrożeni, bo pod Grodnem – kilkadziesiąt kilometrów od Wilna – regularnie ćwiczą sobie Rosjanie i w każdej chwili mogliby nakryć całą armię litewską czapkami. Więc gdzie dzwonili Litwini? Oczywiście do Korony. Po prostu. Bo jedyną realną siłą zbrojną w naszym regionie są siły zbrojne Rzeczypospolitej.

PZ: Nawet te obecne.

JB: Gdybyśmy mieli Armię Nowego Wzoru, która byłaby kompletna, nowoczesna, mobilna, rzutka, odporna na ataki i amorficzna – w tym sensie, że nie można jej obezwładnić potężnym uderzeniem w jeden dzień i jedno miejsce – gdyby Rosjanie nie kontrolowali systemu świadomości sytuacyjnej, to całkowicie zmieniłoby to układ sił. Niebywale podniosłoby skalę ryzyka Rosjan, gdyby chcieli podjąć jakąkolwiek akcję, która miałaby udowodnić, że panują w naszej przestrzeni geopolitycznej.

PZ: Czyli naprawdę wierzysz, że można cofnąć koło historii?

JB: Mało tego, wierzę, że z historii Rzeczypospolitej należy czerpać wzory. Bo zmieniają się środki techniczne, ale nie realia geopolityczne. Wojska dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów miały swój określony sposób funkcjonowania. Były bardzo ruchliwe. Mało piechoty, bardzo dużo konnicy. Lubiły chodzić komunikiem, czyli bez taborów, albo tylko z lekkimi taborami. Stare urządzenie polskie, czyli – mówiąc współczesnym językiem – koncepcja operacyjna dawnego wojska polskiego, nie polegało wcale na tym, że husaria pędziła na łeb na szyję i wbijała się we wszystko, co stanęło jej na drodze. Najpierw było kształtowanie pola walki, manewrowanie – ze względu na warunki geograficzne byliśmy znakomici w manewrze na dużych przestrzeniach. Tak kręciliśmy przeciwnikiem, że cały czas osłabiał

się w terenie. Tak się urzutowywał, tak ustawiał do starcia, że mogliśmy używać naszego wojska jak chcieliśmy. Byliśmy mistrzami ówczesnego kształtowania systemu świadomości sytuacyjnej. Oczywiście w ramach dawnych możliwości technicznych.

PZ: Do tego krótkiego wykładu o staropolskiej sztuce wojennej warto dodać to, o czym w szkole uczy się każde polskie dziecko, ale co często nam umyka. Otóż wiele z największych triumfów oręża polskiego udało się osiągnąć znacznie mniejszymi siłami niż przeciwnik. Weźmy dwa przykłady z brzegu. Rok 1605 i bitwa pod Kircholmem. 3,5 tysiąca żołnierzy Rzeczypospolitej rozbiło 11 tysięcy Szwedów. Rok 1610, bitwa pod Kłuszynem. Niecałe 7 tysięcy żołnierzy hetmana Stanisława Żółkiewskiego rozbiło dwudziestotysięczną armię moskiewską wspieraną przez kilka tysięcy najemników. Ciekawe, prawda?

JB: Tak. To jest kolejna historyczna lekcja na dzisiaj. Decyduje koncepcja operacyjna, ukształtowanie siły i szybkość decyzji. A nie sama przewaga liczebna. Tak było w XVII wieku i tak jest teraz. W tamtych czasach sztuka wojenna miała ogromne znaczenie. Wbrew pozorom to nie była tępa rąbanka szablami. Uderzenia jazdy, rozwinięcie piechoty, rozciągnięcie linii. Wszystko to były mistrzowskie metody naszych hetmanów, którzy potrafili idealnie ustawić sobie nieprzyjaciela, a potem wykonać precyzyjne uderzenie w jego punkt ciężkości. Pozwolę sobie na porównanie kulinarne: najpierw gotujesz galaretę, a potem po prostu przecinasz ją uderzeniem pięści w odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie i przy odpowiedniej pogodzie, porze dnia. To jest właśnie ta staropolska szkoła wojenna. Zawsze czuliśmy się lepsi w manewrze, w ruchu. Dopiero XVIII wiek, potem rewolucja czasów napoleońskich, pobór masowego rekruta, masowość śmierci doprowadziły do tego, że Rosjanie ze swoim olbrzymim potencjałem demograficznym mogli przystąpić do gry o równowagę w Europie. I co pewien czas rzucali do akcji swoje masowe armie.

PZ: Tak było w roku 1812, w 1914 i 1941. Brytyjczycy za każdym razem wykorzystywali rosyjskiego żołnierza do zdławienia imperialnych ambicji europejskich kandydatów do hegemonii na Starym Kontynencie. Napoleona, Wilhelma II i Hitlera. Mówiłeś, że Rosjanie mogliby nakryć czapkami litewską armię. A polskiej nie? Przecież ludność Federacji Rosyjskiej to

obecnie 144,4 miliona. A Polski 38 milionów. Wciąż jest ich znacznie więcej niż nas. To się przekłada na większe możliwości mobilizacyjne.

JB: Tak było aż do końca XX wieku. Teraz dokonała się prawdziwa rewolucja. Na nowoczesnym polu walki liczba ludności danego państwa nie ma prawie żadnego znaczenia. Mało tego, zbyt duża koncentracja masy zaczyna być ciężarem w czasie błyskawicznej wojny manewrowej. Bo jeżeli przeciwnik dysponuje kosmicznymi sensorami, czyli widzi cię z daleka i może dzięki temu precyzyjnie prowadzić ogień, to wielka koncentracja masy oznacza wielkie straty. Nowoczesna wojna tak nie wygląda. Liczą się małe, zwrotne jednostki. Szybkie, trudne do namierzenia, korzystające z odpornej pętli decyzyjnej i dominacji informacyjnej nad przeciwnikiem.

PZ: Czyli staropolska sztuka wojenna wraca do łask.

JB: (*śmiech*) Właśnie. To premiuje (relatywnie oczywiście) państwa średnie w starciu z państwami wielkimi. Państwa, które są nowocześnie zarządzane, zaawansowane technicznie i technologicznie, armie, które mają rzutkich, dobrze wykształconych oficerów. Ci oficerowie muszą mieć dużą wolność decyzyjną, muszą sami wyznaczać sobie zadania. To musi być armia zgrana, a nie bardzo duża. Potrafiąca zadawać przeciwnikowi bolesne ciosy i unikać strat własnych. Zdolna wygrać nowoczesną bitwę zwiadowczą, czyli obezwładnić systemy rozpoznania przeciwnika, i samodzielnie wybrać moment uderzenia. A w razie zagrożenia potrafiąca się rozproszyć. Tak jak pięść, która w każdej chwili może rozewrzeć palce.

PZ: Skoro rozmawiamy o historycznych analogiach, to na potrzeby projektu Armii Nowego Wzoru warto byłoby przeanalizować kampanię polsko-rosyjską 1830–1831, która nastąpiła po powstaniu listopadowym. Żeby nie było wątpliwości, samo powstanie, a raczej rewolucja listopadowa, jej okoliczności, mordowanie polskich generałów w noc listopadową to jest coś koszmarnego. Ale kampania wojenna, która potem nastąpiła, jest ciekawym polem do rozważań. Otóż okazało się, że niewielka, lecz bardzo sprawna, świetnie zorganizowana i uzbrojona w nowoczesny sprzęt armia Królestwa Polskiego radziła sobie całkiem nieźle w starciu z wielką armią rosyjską. Było sporo badaczy, między innymi świętej pamięci profesor

Jerzy Łojek, którzy uważali, że gdyby nie pewne błędy operacyjne, gdyby udało się wprowadzić w życie plan generała Ignacego Prądzyńskiego, Polska mogłaby rozstrzygnąć tę kampanię na swoją korzyść. A już na pewno walczyć znacznie dłużej. Problem jednak polega na tym, że aby mieć obecnie taką armię, trzeba płacić. Jak wiadomo, państwa NATO mają docelowo przeznaczać co najmniej 2 procent PKB na siły zbrojne. Mam tu pod ręką dane za rok 2019. Niemcy – 1,38 procent, USA – 3,42 procent, Wielka Brytania – 2,14 procent. A Polska – równo 2 procent. Czy to za mało, czy za dużo? Ile będzie nas kosztowała Armia Nowego Wzoru?

JB: To jest do policzenia i może to kiedyś policzmy. Ale żeby to zrobić, trzeba mieć dostęp do realnych danych na temat wydatków Wojska Polskiego.

PZ: To może inaczej sformułuję pytanie. Czy te niemałe przecież pieniądze, które obecnie przeznaczane są na polską armię, można wydać lepiej?

JB: Oczywiście. To jest sprawa absolutnie fundamentalna. Polska wydaje na wojsko niewiele mniej niż Turcy. A porównajmy sobie zdolności tureckie i nasze. To jest naprawdę bardzo dużo pieniędzy. To zresztą szerszy problem, jak w III Rzeczypospolitej wydawane są środki publiczne. Jeżeli chodzi o zbrojenia, to niestety odwiecznie utrwalone interesy różnych grup nacisku są często mocniejsze niż władza wykonawcza w państwie polskim.

PZ: Wiem, do czego pijesz. Lobbing polskiego sektora zbrojeniowego. W zamówieniu często nie chodzi o to, żeby zapewnić naszym żołnierzom najlepszy dostępny na rynku sprzęt, ale o to, żeby zachować miejsca pracy i dać możliwość zarobku państwowym molochom zbrojeniowym. To się bowiem przekłada na liczbę głosów w wyborach. Teraz szybkie pytanie: Jaka powinna być polska armia przyszłości? Zawodowa czy z poboru? Jakie jest twoje zdanie o WOT? Czy w nowoczesnej wojnie jest miejsce na pospolite ruszenie?

JB: Jeżeli chodzi o pobór, to jeszcze o tym myślimy. Musi być na pewno wysoki stopień ukompletowania jednostek pierwszorzutowych, które będą reagowały na sytuację na Wschodzie. Musimy mieć wysoką gotowość bojową – to bezwzględny priorytet. I ogromną mobilność. Nie chodzi tu o jakieś samoloty kupione od Amerykanów, tylko o mobilność w ramach

naszego obszaru. Jeżeli chodzi o WOT, musimy się dobrze zastanowić, do czego właściwie ma on służyć. Jedno jest pewne – nie do walki partyzanckiej. Musi służyć do czegoś mądrego. Bez wątpienia WOT bardzo pozytywnie skanalizował pragnienie wielu ludzi, amatorów, hobbystów, a przy tym patriotów, którzy chcą coś zrobić dla kraju. To wielka zasługa. Poza tym w wojsku jest strasznie ciężki, zbiurokratyzowany system zamówień uzbrojenia. W Wojskach Obrony Terytorialnej to uproszczono. Bo ich system był tworzony od początku. To dobry wzór dla przezwyciężania pewnych utrwalonych interesów ludzi, którzy się wygodnie rozsiedli w swoich księstwach. Natomiast co do użyteczności WOT-u na polu walki, to trzeba się nad tym poważnie zastanowić.

PZ: To, co wymieniłeś jako pozytyw, może też być zagrożeniem. Ja też widzę, że do WOT-u zaciągnęli się najbardziej patriotyczni, najbardziej chętni do obrony ojczyzny, młodzi ludzie. Jeżeli oni wszyscy mają zginąć w pierwszych dniach wojny, przedzierając się przez jakiś las z karabinkami, a przeciwnik namierzy ich na przykład za pomocą dronów i eksterminuje w mgnieniu oka, to będziemy mieli narodową katastrofę. Wojna przyszłości to wojna wysoko wyspecjalizowanych fachowców, a nie partyzantów amatorów.

JB: Zgoda, pytań i wątpliwości jest bardzo wiele. Bez wątpienia czeka nas dyskusja na temat wykorzystania tych jednostek.

PZ: Mówiłeś, że nie lubisz mówić o zbrojeniach. Ale ja muszę o to zapytać. Bo jeżeli mamy przystosować naszą armię do konkretnych zadań i zagrożeń, to musimy ją wyposażyć w stosowne narzędzia. Czy twoim zdaniem są jakieś systemy, które polska armia kupuje niepotrzebnie? Czego nam z kolei brakuje?

JB: Musimy być bardzo ostrożni w kupowaniu sprzętu, który stanie się białym słoniem. To znaczy sprzętu, którego będziemy się bardzo bali stracić. Tak bardzo, że w pierwszej godzinie konfliktu na wszelki wypadek wyślemy go za granicę.

PZ: Tak jak marszałek Śmigły-Rydz w 1939 roku odesłał naszą flotę. Biedna II Rzeczpospolita wydała górę pieniędzy na okręty, które miały bro-

nić naszego wybrzeża, a w czasie wojny one rzeczywiście walczyły w obronie wybrzeża, ale… Wielkiej Brytanii.

JB: Wspominałem, że dzisiaj bronią jest informacja. Gdy wybuchnie wojna, będzie ona natychmiast transformowana na przekaz propagandowy. Tak jak to było w niedawnej wojnie między Azerami a Ormianami. Obie strony będą nagrywały filmy i puszczały je w świat. Nie możemy więc sobie pozwolić na utratę białych słoni, które pokażą światu, że Polacy to po prostu „przegrywy". Wszystko przegrywają, i to od samego początku. Bo to się od razu zamienia na walutę przy stole negocjacyjnym. Gdy świat odniesie wrażenie, że sobie kompletnie nie radzimy, natychmiast nad naszymi głowami Amerykanie albo Niemcy zaczną rozmawiać z Rosjanami. Mało tego, nie możemy sobie pozwolić na takie systemy, którymi nie my będziemy zarządzali na polu walki, tylko nasi sojusznicy. Bo wtedy to nasi sojusznicy będą prowadzić wojnę naszymi pieniędzmi i – co gorsza – naszą krwią. Zakup konkretnego sprzętu zależy też od decyzji, do jakiej wojny się szykujemy. Bo jeżeli chcemy być tylko siłą uzupełniającą amerykańskich wojsk ekspedycyjnych, to potrzebujemy sprzętu, który będzie kompatybilny z amerykańskim. Ale jeśli uważamy, że ponosimy odpowiedzialność tylko w naszym regionie, i bierzemy pod uwagę, że będziemy walczyć sami – to potrzebujemy sprzętu, który będzie służył nam, a nie tylko uzupełniał amerykańską projekcję siły. To są fundamentalne różnice. Do tych dwóch modeli jest potrzebny zupełnie inny sprzęt.

PZ: To ja może powiem tak półżartem: jeżeli Stany Zjednoczone rzeczywiście chciałyby wejść na poważnie do akcji w naszej części świata, to my wtedy w zasadzie niczego nie potrzebujemy. W ogóle nie potrzebujemy armii. Jakoś poradzą sobie bez nas.

JB: (*śmiech*) Bez wątpienia. Problem polega na tym, że nie możemy być tego pewni.

PZ: Czy Polska potrzebuje floty?

JB: Nie, Polska nie potrzebuje dużej floty, ani oceanicznej, ani takiej, która będzie podtrzymywać naszą obecność na Bałtyku w czasie konfliktu z Rosją. Kontrolować ten akwen, nie daj Boże, bo są takie pomysły, żebyśmy mieli eskortować jakieś konwoje ze sprzętem do państw bałtyckich. To

jest kompletnie niepoważne, już sama obrona przeciwlotnicza na naszych okrętach na Bałtyku to jest kolosalny koszt. Flota jest piekielnie droga w utrzymaniu, trzeba wyszkolić marynarzy, utrzymać ich w linii. Do tego dochodzi cała niezbędna infrastruktura. Te same efekty można osiągnąć z lądu. Powinniśmy się bardziej koncentrować na tak zwanej nowej szkole francuskiej z XIX wieku. Wtedy wymyślono torpedowce, małe, zwrotne okręty, wręcz łodzie. Oczywiście zaraz ktoś powie, że powinniśmy mieć coś, czym moglibyśmy zaznaczyć naszą obecność na morzu w czas pokoju. Ale my naprawdę nie musimy tego dowodzić dużymi okrętami. A już całkowicie niedorzecznym pomysłem jest wysyłanie naszych okrętów poza Bałtyk.

PZ: Pytanie to zadałem nie bez powodu. Ostatnio dużo się mówi o naszej marynarce. I mówi się źle. Nasz jedyny okręt podwodny, ORP *Orzeł* – przestarzała jednostka sowieckiej produkcji z 1985 roku – boryka się z poważnymi problemami technicznymi. Sprawnych jednostek mamy jak na lekarstwo. Aby ratować sytuację, minister obrony Mariusz Błaszczak ogłosił w 2021 roku, że w polskich stoczniach w ramach programu „Miecznik" powstaną supernowoczesne wielozadaniowe fregaty. Poczekamy – zobaczymy. Mówisz jednak, że Polska nie potrzebuje okrętów. Ale co się stanie, jak – w momencie konfliktu – Rosjanie zakręcą nam kurek z gazem i będziemy musieli surowiec ściągać do gazoportu w Świnoujściu? Wtedy nasza marynarka musi mieć chyba zdolności do eskortowania na Morzu Bałtyckim konwojów gazowców? Według eksperta Jarosława Wolskiego potrzebujemy nowoczesnych okrętów do zaszachowania Rosjan na Bałtyku.

JB: Nie będzie żadnego eskortowania jednostek na Bałtyku, możemy o tym zapomnieć. Wszystkie floty świata przechodzą do systemu rozproszonego działania, także na pełnym oceanie, a co dopiero na Bałtyku w dobie rosnącej dominacji pocisków rakietowych, w tym pojawiających się na horyzoncie pocisków hipersonicznych poruszających się z prędkością 5–25 machów, które zmieniają paradygmat wojny. Okręt na wodach przybrzeżnych namierzany z wielu kierunków, również z kosmosu, nie ma szans wobec skoordynowanego saturacyjnego – czyli zmasowanego – ataku z różnych kierunków. A jednocześnie jest bardzo „tłustym" celem. Musimy

kierować się tak zwanym net assessmentem, szukać rozwiązań asymetrycznych i uzyskiwać efekty polityczno-wojskowe w grze o percepcję zdolności. Jedynym argumentem za jakimś rodzajem floty nawodnej jest obecność morska w czasie pokoju i kryzysu. Ale wtedy raczej nie bardzo duże okręty i musimy też liczyć pieniądze, bo ważniejsze są inne domeny w czasie wojny z udziałem Polski, a środki są ograniczone. Całkowitym nieporozumieniem jest uzupełnianie flot natowskich poza Bałtykiem.

PZ: To teraz pora na wojska pancerne. Mamy świetne czołgi *Leopard*, które dostaliśmy od Niemców. W 2018 roku uruchomiony został projekt modernizacji około 300 czołgów T-72 w polskich zakładach Bumar. To oczywiście stary, przestarzały sowiecki sprzęt. Wygląda na to, że jest to modelowy przykład ulegania naciskowi naszej zbrojeniówki. Ale z drugiej strony Rosjanie – a więc nasz potencjalny przeciwnik – też nadal używają tych czołgów. Jaki jest twój pogląd na temat optymalnego wyposażenia naszych wojsk pancernych? Leopardy plus T-72? Więcej leopardów? Czy też może powinniśmy kupić coś jeszcze?

JB: Z czołgami jest tak samo jak z każdym innym sprzętem. Na początku należy postawić pytanie, do czego ich potrzebujemy, czy rzeczywiście będziemy potrzebowali dużych sił pancernych. Bo to jest właśnie kwestia tej koncentracji masy, o której mówiłem. Przy dzisiejszej technice duże zgrupowanie czołgów łatwo zniszczyć. Jak w ogóle wyobrażamy sobie boje spotkaniowe z Rosjanami? Jak wyobrażamy sobie używanie naszych brygad pancernych na polu bitwy? Gdzie mają być dyslokowane w kontekście reżimu antydostępowego? Tego, że pole walki będzie przezroczyste i przesuwanie czołgów ze Śląska automatycznie stwarza możliwość ich natychmiastowego utracenia. To, jak duże powinny być nasze brygady pancerne, będzie zależało od tego, kto ma lepsze systemy rozpoznawcze. My czy Rosjanie. Obecnie nasze rozpoznanie jest słabsze i obawiam się, że to Rosjanie wybiorą miejsce boju spotkaniowego, wybiorą kierunek uderzenia. Musimy więc bez wątpienia wzmocnić rozpoznanie w brygadach pancernych. To my musimy wybierać kierunek. Leopardy są bardzo dobrymi czołgami, ale jeżeli zostaną źle użyte, to nic nam nie pomogą.

Czyli rozpoznanie lepsze niż rosyjskie, dające możliwość wyboru, gdzie i jak się konfrontujemy; do tego koncentracja na wschód od Wisły – i nie

potrzebujemy wielu czołgów.

PZ: Rozumiem, że według ciebie nie powinniśmy spodziewać się pod Białymstokiem wielkiej bitwy pancernej jak w 1943 roku na łuku kurskim. A więc tysiące czołgów to zbędny wydatek. Według części ekspertów, ze względu na rozwój pojazdów bezzałogowych i precyzyjny ostrzał z wielkiego dystansu, ta broń powoli odchodzi do lamusa. Pamiętam moją rozmowę z bardzo rozsądnym człowiekiem, byłym ministrem spraw zagranicznych Polski. Powiedział mi – od razu zaznaczam, że liczby cytuję z pamięci – „Czy pan wie, ile kosztuje czołg? 10 milionów dolarów. A ile kosztuje rakieta, która może ten czołg rozwalić w drobny mak? Kilka tysięcy". Taka rakieta jest prosta w obsłudze, odpala ją z ramienia jeden żołnierz. No i najważniejsze – jest tania.

JB: To jest oczywiście kwestia asymetryczności. Lepiej wydawać mniej na skuteczny sprzęt, niż topić kolosalne środki w sprzęcie, który łatwo stracić. Bo to może się skończyć tak, że będziemy się zajmowali ochroną czołgów, zamiast skupić się na broni ofensywnej. Kolejna sprawa: musimy zreformować lekką piechotę. Należy się poważnie zastanowić nad reformą jednostek z wykorzystaniem przełomowych wojskowych rozwiązań technicznych, które powodują, że kontrolujemy ogromne obszary kraju i blokujemy kierunki podejścia przeciwnika. No i teraz sprawa najważniejsza: zdolności rakietowe, własne. A do tego potrzebujemy mnóstwa dronów.

PZ: Niedawno pojawiła się informacja, że Polska zamierza kupić od Ameryki 250 abramsów. Od razu przypomniała mi się książka Davida Stahela *Operacja „Barbarossa"*. Opisuje on w niej koszmar logistyczny, jakim było dla niemieckiej armii posiadanie kilku typów czołgów. To były tysiące rozmaitych części zamiennych, mnóstwo systemów i odmiennych rozwiązań konstrukcyjnych. W warunkach wojennego chaosu różnorodność okazała się przekleństwem wojsk pancernych III Rzeszy. Abramsy to świetne czołgi, ale pytanie, czy akurat dla nas. Logiczny byłby zakup większej liczby leopardów.

JB: Przykład niemiecki jest bardzo dobry. Niemcy podczas II wojny światowej przekombinowali. Czy wiesz, że oni potrafili wycofać czołgi z linii, żeby w nich zamontować uchwyty na napoje? Cały czas robili nowe proto-

typy, każdy kolejny czołg był zupełnie inny. Coraz bardziej skomplikowany. Miał coraz więcej innych części. A im więcej w maszynie jest różnych systemów, tym więcej się może zepsuć. Tymczasem Sowieci postawili na maksymalne uproszczenie. W pewnym momencie zastanawiali się nawet, czy nie wymontować z T-34 siedzisk. Dzięki temu mieli czołgi być może mniej perfekcyjne niż Niemcy, ale za to mieli ich więcej oraz były niezwykle proste w obsłudze i w naprawach. Bez wątpienia to podczas II wojny światowej sprawdziło się lepiej.

PZ: Wojska rakietowe – tak jak mówiliśmy – to słaby punkt polskiej armii. Z dronami zaś chyba sprawy powoli idą w dobrym kierunku. Choć szkoda, że musimy je kupować od Turków. Niestety nasze zakłady zbrojeniowe nie są w stanie ich produkować.

JB: Drony to podstawa nowoczesnego pola walki. Wydawałoby się broń dość prymitywna, relatywnie tania, wszystkie nowe bronie, które zmieniają paradygmat, takie się wydają. Tak wyglądały samoloty 100 lat temu w porównaniu do pancerników, które z czasem były w stanie niszczyć. Musimy się zastanowić nad powołaniem własnej akademii dronów, nad tym, od kogo je kupować. Bo one będą w czasie wojny szybko się zużywać i trzeba sobie dawać radę z ich błyskawicznym zastępowaniem nowymi maszynami. Musimy mieć inteligentne miny, musimy kanalizować ruch przeciwnika.

PZ: Porozmawiajmy teraz o obronie przeciwrakietowej. Pytanie brzmi: program „Wisła” czy „Narew”? A może oba? Od razu wyjaśnię czytelnikom, o co chodzi. Program „Wisła” to zakup opartego na amerykańskich rakietach *Patriot* systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej. Będzie on miał za zadanie strącanie lecących na Polskę samolotów i taktycznych rakiet balistycznych krótkiego zasięgu, między innymi manewrujących i samosterujących. Pierwsze dwie polskie baterie mają osiągnąć gotowość bojową na przełomie 2023 i 2024 roku. Kosztuje to mnóstwo pieniędzy – w sumie za patrioty zapłacimy Amerykanom 4 miliardy 750 milionów dolarów. Z kolei w programie „Narew” kupimy przeciwlotnicze zestawy rakietowe krótkiego zasięgu. W tym wypadku pociski mają zestrzeliwać samoloty i śmigłowce nieprzyjaciela. Chronić polskie wojska w polu i bazy przed atakiem z powietrza. Program ten jest nie mniej ambitny niż „Wisła”.

Mówi się o 100 wyrzutniach i nawet 2 tysiącach pocisków rakietowych. Planowany koszt to 30–40 miliardów złotych.

JB: Zdecydowanie „Narew”. To ona jest ważniejsza i bardziej potrzebna. Bo z zagrożeniem, przed którym ma nas bronić system „Wisła”, można spróbować sobie poradzić środkami pasywnymi. Niewiele wydając. Na spadające rosyjskie rakiety możemy odpowiedzieć rozproszeniem naszych sił. Trzeba się ukrywać, bunkrować. Wprowadzić do akcji ekipy naprawcze, które będą na bieżąco reperowały uszkodzone przez rakiety pasy startowe i inną infrastrukturę. Musimy rozproszyć nasze systemy dowodzenia, żeby nie stały się one „białym słoniem”, gdy trafią je rakiety. Trzeba przetrzymać atak saturacyjny, zamiast wydawać mnóstwo pieniędzy na patrioty.

PZ: Rozmawialiśmy już o tym i wielu ludzi było nieco zaskoczonych. Jak to? Mamy pozwolić, by na nasze terytorium spadały wrogie rakiety?

JB: Problem polega na tym, że jeżeli te rakiety zaczną rzeczywiście spadać, to będzie ich tyle, że patrioty z programu „Wisła” i tak nie zdołają ich wszystkich zestrzelić. Przecież mówimy o setkach pocisków! A ile będziemy mieli baterii patriotów? Kilka. Natomiast program „Narew” jest rzeczywiście kluczowy. Bo nie możemy dopuścić do tego, żeby bezkarnie wisiały nad nami, na naszym niebie, samoloty nieprzyjaciela. I żeby strzelały do każdego biegającego na dole żołnierza i każdego pojazdu. Jeżeli nie będziemy mieli takiego systemu, jaki mamy kupić w programie „Narew”, będziemy musieli doprowadzić do sytuacji, że niebo stanie się niczyje, czyli przynajmniej nie rosyjskie.

PZ: Całe szczęście program „Narew” – jak donoszą źródła w MON – jest podobno oczkiem w głowie ministra Błaszczaka. Oby to się przełożyło na konkretne efekty. A co do tego, żeby polskie niebo było polskie, no cóż, chyba właśnie po to kupujemy F-35. Po to mamy nasze F-16.

JB: Problem polega na tym, że nasze myśliwce mogą zostać zniszczone rakietami wroga. Albo, co gorsza, Amerykanie mogą zakazać nam ich użyć.

PZ: Przed naszym spotkaniem przeglądałem materiały dotyczące Armii Nowego Wzoru przygotowane przez Strategy&Future. Przewija się w nich rok 2030. Czy przewidujesz, że do tego roku może wybuchnąć wojna?

JB: Po pierwsze, zaczęliśmy ten projekt w roku 2020 i chcieliśmy się zastanowić, co się będzie działo przez dziesięć lat. Po drugie, obecna dekada rzeczywiście będzie przełomowa dla świata. Mocarstwa znowu z sobą ostro rywalizują, dotychczasowy ład światowy się posypał. Bardzo prawdopodobny jest wybuch wielkiej wojny na zachodnim Pacyfiku między Stanami Zjednoczonymi a Chinami. Bardzo prawdopodobne są rozstrzygnięcia wojskowe w Europie Środkowo-Wschodniej. Właśnie dlatego musimy mieć Armię Nowego Wzoru.

PZ: Tak, to jest kluczowe pytanie. Wielu czytelników zastanawia się pewnie, czy rozmawiamy o możliwym scenariuszu, prawdopodobnym scenariuszu czy pewnym scenariuszu. Czego rzeczywiście możemy się spodziewać?

JB: Szefem komórki wschodniej w Strategy&Future jest Marek Budzisz. I on jest dosłownie przerażony tym, co się szykuje w naszej części świata. A to jest znakomity ekspert, który codziennie analizuje, co się dzieje na Wschodzie. Zagrożenie rosyjskie naprawdę narasta. Marek uważa, że należy alarmować opinię publiczną i polityków. Natychmiast zmieniać Wojska Polskie.

PZ: Nie ukrywam, że tego się najbardziej obawiałem. Że rok 2030, który pojawia się w materiałach Strategy&Future, jest przewidywanym przez was horyzontem czasowym konfliktu między Polską a Rosją.

JB: Ten konflikt może wybuchnąć lada chwila. Nie chciałbym nikogo straszyć, ale trzeba się liczyć z najgorszym możliwym rozwojem wypadków. Rosjanie w 2008 roku pobili Gruzję. A pamiętamy, że Gruzja miała wtedy aspiracje natowskie i unijne. I gdzie teraz jest? To ważna lekcja dla nas, pokazuje bowiem, jak działa Rosja. Podobnie jest z Ukrainą i Białorusią. Moskwa zrobi wszystko, by zablokować zachodnie aspiracje tych państw. Teraz widzimy, że Rosja rozmawia z Zachodem ponad naszymi głowami o naszych sprawach. A to oznacza, że też jesteśmy w orbicie jej zainteresowania. Powiedz mi, Piotrze, co się jeszcze musi wydarzyć, żeby polska klasa polityczna to zrozumiała? Żeby się przebudziła ze słodkiego snu?

Źródło: „Historia Realna” 11 czerwca 2021

Rozmowa 8

Czy Stany Zjednoczone nas porzucą?

PZ: Wygląda na to, że Stany Zjednoczone przymierzają się właśnie do nowego resetu z Rosją. Oczywiście o ostrzu antychińskim. Zastanawiam się, czy tego rozdziału książki nie powinniśmy nazwać „A nie mówiliśmy?”.

JB: Trzeba się wystrzegać triumfalizmu! Znany anglosaski geopolityk Colin S. Gray zwykł mawiać, że strategia to ciągłe zadawanie pytań. W tej grze wszystko jest dynamiczne, więc zobaczymy, jak sytuacja się rozwinie. Natomiast nie ma co ukrywać, że nowa amerykańska administracja prezydenta Bidena – tak jak przewidywaliśmy – montuje koalicję przeciwko Pekinowi. Tu nie chodzi tylko o Rosję. Waszyngton głównego partnera do rywalizacji z Chinami upatruje w Niemcach. Amerykanie potrzebują przede wszystkim Europy. Ale jednocześnie sondują Rosję. Musimy się jednak wystrzegać takich zerojedynkowych ocen, że Amerykanie już teraz dogadali się z Moskwą. Wygląda na to, że chodzi o wyznaczenie sobie nawzajem stref odpowiedzialności, wysondowania, jakie możemy sobie nawzajem zrobić krzywdy. To taki taniec. Ale oczywiście, zgoda, dla Amerykanów najważniejsze jest to, jaki Rosja będzie miała stosunek do Chin. Kluczowe w tej sprawie jest jednak co innego. Zwróć uwagę, że prezydent Rosji, czyli mocarstwa spoza Europy, oraz prezydent Stanów Zjednoczonych, czyli mocarstwa też spoza Europy, spotykają się w Europie i ustalają zasady gry na Starym Kontynencie.

PZ: Z perspektywy Europejczyków to oczywiście katastrofa i upokorzenie – Amerykanie znowu rozmawiają z Rosją o naszych sprawach nad naszymi głowami. W 1945 roku, po tym, gdy obie strony „porozmawiały sobie” w Jałcie, dla połowy kontynentu skończyło się to tragedią.

JB: Dlatego prezydent Macron i kanclerz Merkel natychmiast próbowali zorganizować własny szczyt z Putinem. Oczywiście zaraz zostało to oprotestowane. Między innymi przez naszych polityków. Wróćmy jednak do Amerykanów. Wyraźnie widać, że oni skracają front. Będą postępowali podobnie jak prezydent Richard Nixon, gdy w 1969 roku ogłosił tak zwaną doktrynę Guam. Amerykanie wychodzili wówczas z Wietnamu i szykowali się do ugody z Chińczykami. Przemówienie Nixona wygłoszone na Guam było szokiem dla Tajlandii, Australii, Filipin, Korei Południowej i Japonii. Te państwa były po prostu wstrząśnięte tą amerykańską woltą. Nixon wezwał wówczas sojuszników Stanów Zjednoczonych, żeby wzięli na siebie więcej odpowiedzialności.

PZ: Był to wyraźny sygnał: Nie możecie liczyć tylko i wyłącznie na Wuja Sama.

JB: A przecież Korea Południowa zainwestowała kolosalne pieniądze w relacje z Amerykanami. Nie tylko kupując sprzęt wojskowy. Koreańczycy wysłali drugi co do wielkości po amerykańskim kontyngent do Wietnamu. Ich położenie było nie do pozazdroszczenia. Znajdowali się w cieniu Związku Sowieckiego, tuż za granicą mieli Koreę Północną, a tylko nieco dalej Chiny. Ich jedyną deską ratunku była pomoc Ameryki. Po przemówieniu Nixona zrozumieli jednak, że muszą się usamodzielnić, co zresztą z czasem doprowadziło do wielu tarć amerykańsko-koreańskich. To bardzo ciekawa lekcja dla Polski.

PZ: A Japonia?

JB: Japonia również była wstrząśnięta. Do tego stopnia, że Amerykanie bardzo się martwili, czy przypadkiem nie pójdzie drogą nuklearną i nie zafunduje sobie pocisków jądrowych. Waszyngton musiał zrobić bardzo dużo, żeby Japończycy ostatecznie pozostali przy dotychczasowej strategii całkowitego podporządkowania się Ameryce. Jeszcze inną drogę wybrała Tajlandia, która uznała, że została porzucona przez Amerykanów, i po prostu ułożyła się z Chińczykami. Dziś tego nie pamiętamy, bo Tajlandia jest teraz państwem sprzyjającym Pekinowi, ale niegdyś była bardzo antykomunistyczna, proamerykańska. Tajlandia również wysyłała swoje kontyngenty wojskowe do Wietnamu. Po ogłoszeniu doktryny Guam tajscy przywódcy

w poczuciu swej słabości wybrali jednak akomodację wobec czerwonych Chin. Stali się klientem Pekinu. Australia również zaczęła wtedy myśleć o większej samodzielności. Innymi słowy, mamy obecnie do czynienia z fundamentalną zmianą ładu światowego wywołaną przez wzrost Chin. Już teraz zaczynamy to odczuwać. Dla Polski ma to ogromne znaczenie, bo nasz status bezpieczeństwa znowu jest negocjowany między Rosją a Stanami Zjednoczonymi. Do tych negocjacji chcieliby dołączyć Niemcy i Francuzi, którzy chcą reprezentować całą Europę. A Polska ze swoim „strategicznym powstrzymywaniem" na Wschodzie i tradycyjną polityką budowania własnych wpływów, którą prowadziła przez ostatnie trzydzieści lat, została na lodzie. Możemy się oczywiście czarować i oszukiwać, że tak nie jest, ale spójrzmy w oczy faktom.

PZ: Skoro Wuj Sam – na co się zapowiada – dogada się z Rosją i porzuci Europę, czyją drogą powinna pójść Polska? Korei, Japonii czy może Tajlandii?

JB: Państwa mają trzy metody reakcji na takie zachowanie potężnego sojusznika. Po pierwsze: jeszcze większe związanie się z hegemonem.

PZ: Czyli udajemy, że nic się nie stało, chowamy głowę w piasek i liczymy na to, że jeżeli będziemy dalej wiernym wasalem Amerykanów, to oni się nad nami zlitują i jednak uratują nas przed Rosją?

JB: Strategię tę Polska stosowała za prezydentury Donalda Trumpa. Im więcej było oznak, że Amerykanie skupiają się na Pacyfiku, tym bardziej próbowaliśmy się z nimi związać. Coraz bardziej. Kupowaliśmy od nich za olbrzymie pieniądze F-35, zachęcaliśmy ich do zwiększenia obecności wojskowej w naszym kraju. Wystąpiliśmy z projektem Fort Trump. Innymi słowy: jeszcze mocniej, jeszcze głębiej.

PZ: Swoją drogą, muszę powiedzieć, że trudno mi znaleźć w historii dyplomacji wiele równie absurdalnych pomysłów jak Fort Trump. Przecież oczywiste jest, że realizacja takiego projektu trwa wiele lat. A kadencja prezydenta USA raptem cztery. Czy nasi politycy naprawdę spodziewali się, że prezydent z Partii Demokratycznej będzie budował Fort Trump? Teraz wygląda na to, że gorączkowy zakup 250 abramsów jest kolejną próbą wkupienia się w łaski Ameryki. To kolejny dowód na naiwność naszych

polityków i brak zrozumienia zasad polityki. Ta wiara, że małe państwo zdoła zawrócić wielkie, globalne mocarstwo z obranej drogi, jest po prostu śmieszna. Jeżeli Ameryka pójdzie na sojusz z Rosją, to nie będziemy mieli nic do gadania, nawet jeżeli kupimy 2500 abramsów. Tak samo było z naszym lizusostwem wobec Brytyjczyków, które nic nam nie pomogło w 1941 roku, kiedy to do koalicji antyniemieckiej przystąpił Stalin. Gdy silni siadają do stołu, słabych wyprowadza się za drzwi.

JB: Dlatego bardziej racjonalna wydaje się strategia numer dwa. Czyli strategia autonomizacji. Jej założenia są proste. Nie możemy już polegać na naszym hegemonie – stał się niewiarygodny. Nie możemy być stuprocentowo pewni, że przyjdzie nam z pomocą. A co za tym idzie, trzeba się uniezależnić. Od razu wyjaśniam – to nie wyklucza dalszej współpracy. Po prostu stajemy na własnych nogach.

PZ: A trzecia możliwość?

JB: To droga Tajlandii, czyli akomodacja. Dogadanie się z Rosją. To jest wykluczone, dlatego że automatycznie eliminuje cel numer jeden polityki Rzeczypospolitej, czyli wypchnięcie Rosji z systemu europejskiego, z kontynentalnej gry o wpływy. Oczywiście jest jeszcze jedna strategia – pośrednia, to znaczy wzmocnienie regionalnych sojuszy. Tą drogą po ogłoszeniu doktryny Guam poszła Australia. Tyle że to jest trudne. Ale oczywiście mamy Ukrainę, Szwecję, Rumunię. Mówiliśmy już o tym. Tę opcję również należałoby wypróbować.

PZ: Oczywiście opcja numer dwa jest najlepsza. A twoim zdaniem, którą drogą pójdzie Polska?

JB: Elity państwa polskiego, podobnie jak środowisko eksperckie, nie wybrały jeszcze żadnej z tych opcji. Ale wyraźnie widać, że najbliżej im do opcji numer jeden. Będą starały się przekonać Stany Zjednoczone, jaki to one popełniają fatalny błąd. Świetnie znamy tę narrację. Zachód – Amerykanie, Niemcy, Francuzi – nie zna Rosji. My oczywiście znamy ją lepiej i oni muszą to wreszcie zrozumieć. I zaakceptować to, że chcemy za pomocą ich siły prowadzić naszą politykę. Bo własnej siły przecież nie mamy. No, ale my jesteśmy na wyżynach moralnych, a Rosja jest złem absolutnym.

PZ: Domyślam się, że pijesz do wywiadu, którego w reakcji na amerykańskie ruchy w stronę Rosji udzielił „Rzeczpospolitej” minister spraw zagranicznych Zbigniew Rau. On się dokładnie w ten sposób wypowiadał. Tłumaczył Amerykanom, jacy to Rosjanie są źli. Amerykanie! Co wy robicie? My przecież lepiej wiemy, co jest w waszym interesie, niż wy. Wy jesteście przecież „dobrzy”, nie możecie się związywać ze „złymi” Rosjanami. To jest oczywiście niepoważne. W polityce nie ma takich kategorii jak „dobro” i „zło”. Są tylko interesy. A w interesie USA leży to, żeby Rosja w konflikcie Pekinu z Waszyngtonem była po stronie Amerykanów. Tak jak w interesie Amerykanów podczas II wojny światowej leżało to, żeby po ich stronie był Stalin. Przecież Amerykanie doskonale wiedzieli, że Sowieci zamordowali miliony ludzi. To nie miało jednak dla nich żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że Armia Czerwona jest cennym sojusznikiem do walki z Hitlerem. To, że nasze elity nie potrafią wyciągać wniosków z historii, jest porażające. Obawiam się więc, że zwycięży opcja numer jeden. Polska zawiesi się jeszcze mocniej u amerykańskiej klamki.

JB: Pamiętasz broszurkę Józefa Mackiewicza z 1944 roku *Optymizm nie zastąpi nam Polski*? Porównywał on w niej postępowanie Polski do zachowania zdradzanego męża ze starego żydowskiego dowcipu. Wszyscy wiedzą, że żona go zdradza, ale on nie chce tego przyjąć do wiadomości. Będziemy więc dalej kochać Amerykę, zaakceptujemy nasz gorszy status i nie zrobimy Armii Nowego Wzoru. I znowu będzie to samo.

PZ: I znowu będziemy potem załamywać ręce, mówiąc: „My byliśmy tacy wierni, a nasi sojusznicy tak strasznie nas zdradzili. Za co?! Dlaczego?!”. To jest po prostu żałosne biadolenie. Od rządzących oczekiwałbym tego, żeby potrafili zawczasu ocenić, czy jakieś państwo dotrzyma nam zobowiązań sojuszniczych, czy nie. Wygląda więc na to, że rzeczywiście grozi nam powtórka z Jałty, i my to przyjmiemy na grzbiet jak bity, wierny pies. Na tym polega tragedia Polski. Kiedy przypominam zwolennikom tej polityki, jak skończyła się dla nas II wojna światowa, słyszę, że to już nie te czasy, że Ameryka się zmieniła. Cóż za naiwność! A Kurdowie, których Amerykanie wyrolowali raptem kilka lat temu? A afgańscy sojusznicy USA, którzy zostali na lodzie? Imperia nie mają sentymentów. I jeszcze przykład zupełnie świeży – Ukraina, kraj, który jest de facto w stanie wojny z Rosją.

16 czerwca odbył się w Genewie szczyt Biden–Putin, a dwa dni później dowiedzieliśmy się, że Stany Zjednoczone zamroziły warty 100 milionów dolarów pakiet pomocy militarnej dla Kijowa. A przypomnę, że od początku konfliktu, od 2014 roku, Amerykanie przekazali Ukraińcom 3,5 miliarda dolarów pomocy wojskowej: systemy łączności, drony, ręczne wyrzutnie pocisków przeciwpancernych. Kupa sprzętu. I nagle – ciach, Waszyngton zakręca kurek z bronią. Dlaczego? Bo w 2014 roku Rosja była dla Ameryki rywalem, ale w 2021 jest już potencjalnym sojusznikiem. Tak działa polityka. To jest – jak mówiłeś na początku – gra dynamiczna. My tymczasem uzależniamy się od Ameryki, wierząc niezbicie, że zawsze będzie prowadziła politykę antyrosyjską. Czy przykład Ukrainy powinien być dla nas dzwonkiem alarmowym?

JB: Oczywiście. Choć rzeczniczka prasowa Białego Domu zaczęła kluczyć w tej sprawie. Nie chciała powiedzieć, czy zamrozili ten pakiet pomocy, czy nie zamrozili. Bo przecież istota amerykańskiej potęgi nie polega na tym, że amerykańscy żołnierze strzelają w każdej chwili, w każdym miejscu świata w obronie wszystkich sojuszników. Ona się opiera na zaufaniu, na wiarygodności waszyngtońskich gwarancji. Amerykanie zrobią wszystko, żeby utrzymać wiarygodność, bo wiarygodność daje im wpływy. Na przykład w Polsce wpływy legislacyjne, polityczne i gospodarcze.

PZ: Ale ta wiarygodność właśnie kruszeje.

JB: Tak samo było w Azji po ogłoszeniu doktryny Guam. Amerykanie zawsze starają się zachować jak najwięcej pozorów. Przekonywać, że ich gwarancje wciąż są wiarygodne, a co za tym idzie, mieć przełożenie na politykę krajową – Polski, Japonii, Korei Południowej. Warto przyjrzeć się temu ostatniemu państwu. Ówczesny prezydent Park Chung-hee naprawdę wkurzył się na Amerykanów. Rozpoczął autonomizację wojska, przemysłu, całego państwa. Mało tego, Koreańczycy otworzyli nawet program nuklearny i mieli go bardzo zaawansowany. Trwało to dobre kilka lat. Amerykanie bali się, że Japończycy zrobią to samo, w związku z czym dali im bardzo duże koncesje. Bez Japonii nie ma bowiem amerykańskiej obecności na Dalekim Wschodzie. To naprawdę nie jest tak, że Amerykanie robią komuś łaskę, że go chronią.

PZ: Oczywiście. To przecież Amerykanom zależy na tym, żeby mieć bazy w kluczowych miejscach świata. Jak świetnie pamiętasz, nasz rząd gotowy był płacić im kolosalne pieniądze za budowę Fort Trump. We wrześniu 2019 roku mówił o tym z satysfakcją sam prezydent USA. „Przeniesiemy tam część żołnierzy – cieszył się Trump – i to Polacy poniosą część kosztów. Jesteśmy za to bardzo wdzięczni". Można było odnieść wrażenie, że Warszawa traktuje US Army jak agencję ochroniarską. My będziemy dawać Amerykanom pieniądze, a oni wtedy na pewno nas uratują przed Rosją. Dość osobliwy sposób myślenia. Logika wskazywałaby raczej, że powinno być odwrotnie. Jeżeli Amerykanie chcą mieć na naszym terytorium bazy wojskowe, dzięki którym poszerzają swoją strefę wpływów i wzmacniają swoje zdolności w naszej części świata – to oni powinni nam płacić.

JB: Ale to trzeba umieć rozegrać! Trzeba znać poczucie własnej wartości. Amerykańska globalna obecność i potęga dolara to podstawy mocnej pozycji USA na arenie międzynarodowej. Przecież gdyby Amerykanie nie mieli wpływów w Europie (między innymi w Polsce), to Władimir Putin w ogóle nie musiałby rozmawiać z Bidenem i liczyć się z jego zdaniem. Bo po co? Polacy tymczasem tego w ogóle nie wykorzystują. Gdy w Polsce podniosły się głosy protestu, że Zachód nad naszymi głowami szuka kontaktu z Putinem, Wolfgang Ischinger, szef Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, opublikował połajanki pod adresem naszych ekspertów na Twitterze. „Cieszcie się, że ktoś rozmawia z Moskwą – pisał – bo Rosjanie w ogóle z wami by nie rozmawiali". I jest tak, jak on mówi. Tylko że nie można temu zaradzić, prosząc: „Nie rozmawiajcie z Putinem, bo to zły człowiek!". Właściwą odpowiedzią jest zbudowanie własnych zdolności, własnej mocnej pozycji w regionie. Tak, żeby inni gracze musieli się z nami liczyć. Bo jeżeli nie będą się z nami liczyć, to nie zrobią nic w Europie Środkowo-Wschodniej. Nie zbudują żadnej architektury bezpieczeństwa, nie zadecydują o niczym. Oczywiście jest to długa i trudna droga. Trzydzieści lat strategicznego snu nam nie pomaga, ale albo się do tego zabierzemy, albo będzie z nami krucho. Stracimy suwerenność. Panowie Polacy – elektrownia atomowa? Ale po co wam ona? Panowie, my potrzebujemy pokoju z Rosją, a nie waszych dziwnych pomysłów! Gdy mocarstwa usiądą do rozmów, na stole pojawią się żetony. „Po co Amerykanie mają stacjonować w Redzikowie? Niby dlaczego w Polsce mają pojawić się rakiety? Po co

Polakom gazoport w Świnoujściu i przekop Mierzei Wiślanej? Po co im Armia Nowego Wzoru? Po co nowe technologie i przemysł? Czy oni naprawdę potrzebują 5G? Przecież oni bardzo dobrze robią kanapki i świetnie haftują stroje ludowe! To im musi wystarczyć". Wszystkie te sprawy staną się przedmiotem targów między wielkimi tego świata. Tak się właśnie ubezwłasnowolnia kraje średnie i małe.

PZ: No tak, zgrabnie to ująłeś – wymiana żetonów. Rosjanie mogą powiedzieć Amerykanom: „My wam pomożemy na Dalekim Wschodzie, a wy zróbcie nam kilka drobnych uprzejmości w Europie Środkowo-Wschodniej". Dla Amerykanów to będą rzeczywiście „drobne uprzejmości", ale dla nas to będzie kwestia życia i śmierci. Na początku rozmowy powiedziałeś, że unikałbyś triumfalizmu. Otóż ja wcale nie triumfuję, gdy przypominam, że przed tym wszystkim ostrzegaliśmy. Przeciwnie. Zwolennikom polityki zawierzenia Polski Stanom Zjednoczonym zawsze mówiłem: „Mam nadzieję, że to my się mylimy, a wy macie rację. Bo ja też bym bardzo chciał, żeby Ameryka stała za nami murem". Problem polega na tym, że w polityce należy oddzielić to, czego się chce, od tego, co jest realne. Polscy politycy – tak jak podczas II wojny światowej – kierują się zaś chciejstwem, myśleniem życzeniowym. Postawiliśmy wszystko na jedną kartę, skłóciliśmy się z Europą, z Niemcami, i zostaliśmy sami.

JB: Ja bym unikał triumfalizmu jeszcze z jednego powodu. Otóż układ sił na arenie międzynarodowej wygląda teraz tak, jak wygląda. Ale jutro wszystko może się znowu zmienić. Bo przecież żeby doszło do nowej Jałty, o której tyle mówiliśmy, Rosjanie muszą przyjąć z wdzięcznością to, że Stany Zjednoczone chcą się z nimi dogadać. Przyjąć propozycję Waszyngtonu. Mogą to jednak zrobić tylko wtedy, gdy uznają, że… Amerykanie wygrają z Chinami. Bo przecież nikt nie chce zawiązywać sojuszu z tym, kto przegra! Moim zdaniem Rosjanie w tej chwili wcale nie są tacy pewni amerykańskiego triumfu i wcale nie są tacy skorzy do przystąpienia do montowanej przez Bidena koalicji. Uważają bowiem, że Amerykanie mogą przegrać z Chinami. I wtedy jako amerykański sojusznik zostaną sam na sam z Chinami.

PZ: No tak. Wtedy Rosja znalazłaby się w poważnych opałach.

JB: Rosjanie nad tym myślą. Stają się elastyczni, oceniając strukturalnie siły. Zwróć uwagę na tę mapę mentalną, która jest nawet w Polsce. Gdy mówimy o groźbie nowej Jałty, ludzie przyznają, że to straszliwy scenariusz. Że znowu zostaniemy zdradzeni. Automatycznie bowiem uważamy, że z Amerykanami wszyscy zawsze chcą się dogadywać. Że gdy Wuj Sam składa propozycję, to jest to propozycja nie do odrzucenia. Tymczasem czytelnikowi do głowy nie przyjdzie – bo tu trzeba pokonać kolejny paradygmat – że może wcale Rosjanie nie chcą się z Amerykanami dogadać. Bo widzą, że Amerykanie słabną. Świat naprawdę zmienia się na naszych oczach. Sprawy, które niedawno były oczywiste, dziś już takie nie są. Rozpoczyna się wielki taniec mocarstw.

PZ: Na swoim profilu na Twitterze opublikowałeś kapitalny cytat z wypowiedzi Joego Bidena. „Rosjanie! – przekonywał prezydent – pamiętajcie, że graniczycie z wielkim imperium chińskim, które rośnie w siłę i jest dla was potwornym zagrożeniem. W takiej sytuacji nie chcielibyście chyba prowadzić kolejnej zimnej wojny z USA”. Czyli widać wyraźnie, że Biden wskazuje Rosjanom – z czego oni zresztą doskonale zdają sobie sprawę – że mają sprzeczne interesy z Chinami na Syberii i w innych punktach. A co za tym idzie, bliżej jest im do Waszyngtonu. Problemem jest tylko to, czy Putin będzie chciał walczyć dla Waszyngtonu. Może najlepiej dla niego będzie zająć pozycję wyczekującą. Patrzeć, jak obie strony – Chińczycy i Amerykanie – wzajemnie się osłabiają.

JB: Tu przede wszystkim chodzi o strukturę ładu światowego. Bardzo znamienne jest to, że Biden rozmawia sobie z Putinem w Genewie o najważniejszych sprawach świata. Nie ma tam żadnej ideologii, żadnych komunizmów, totalitaryzmów, praw człowieka, demokracji. Po prostu rozmawiają dwaj przywódcy, którzy mają swoje interesy. Rozmawiają o matrycy świata, o zdolnościach robienia sobie nawzajem krzywdy, i ustalają czerwone linie, których nie będą przekraczać, żeby nie łamać sobie wzajemnie paluszków. I teraz nałóżmy to na debatę w Polsce. Na te wszystkie frazesy o demokracji, prawach człowieka, potrzebach budowania wspólnego frontu cywilizacji Zachodu, niezłomnych sojuszach itd. To, co widzimy, to moment zwrotny. Nasi czołowi politycy, kierownictwo państwa polskiego, powinni usiąść w gronie ludzi zaufanych i podjąć rozstrzygające decyzje.

Ci ludzie muszą naprawdę zrozumieć, że jesteśmy w nowej erze, w przełomowym momencie budowania ładu światowego. Nikt tu nam nie będzie robił dobrze, bo jesteśmy Polakami. Jedynym mechanizmem sprawczości jest układ sił na świecie. Dlatego Rosjanie nie chcą z nami rozmawiać. I dlatego Amerykanie, Niemcy i Francuzi chcą rozmawiać z Rosjanami. To naprawdę – jak mogliśmy przeczytać w naszej prasie – nie są ich żadne „błędy". Po prostu w tej chwili mają taką ocenę sytuacji. Jeżeli za rok czy za dwa Niemcy czy Amerykanie zmienią zdanie, obrażą się na Rosję i znowu będą mówić źle o Putinie, to nie będzie to wypływało z tego, że Polacy zawsze mieli rację i Zachód wreszcie przyjął nasze argumenty. Będzie to wypływało z tego, że zmienił się układ sił między wielkimi tego świata. Naprawdę nikt, absolutnie nikt, nie przejmuje się tym, że Polacy uważają, iż wiedzą najlepiej.

PZ: Jestem pełen podziwu dla twojego optymizmu, gdy mówisz, że polskich polityków stać na refleksję i zmianę strategii. W większości są to przecież ludzie zajęci zupełnie innymi sprawami: bieganiem po telewizjach, umieszczaniem członków rodzin na tłustych synekurach w spółkach skarbu państwa, publikowaniem tweetów i zażartą walką o władzę. To są „problemy", jakimi żyją ci ludzie. A nie geopolityka, międzynarodowa gra sił, przyszłość Polski. Najdalszym horyzontem naszego polityka są kolejne wybory, a nie dalekosiężne, obliczone na kilkadziesiąt lat strategie geopolityczne Rzeczypospolitej. Tak że ja w tej sprawie jestem pesymistą. Wspomniałeś, że gdy wielkie mocarstwa zaczną się dogadywać nad naszymi głowami i wymieniać żetony – to zaczną się dla nas problemy. Ale przecież te problemy już się zaczęły! Zwróć uwagę, że w Polsce kochano Trumpa nie tylko dlatego, że on tak pięknie podbijał nam patriotycznego bębenka, gdy przemawiał pod Pomnikiem Powstania Warszawskiego. Otóż powodem tej polskiej miłości do Trumpa było również to, że on blokował Nord Stream 2. Prawdziwym wstrząsem dla polskich elit rządzących powinno być to, że Biden dał zielone światło do budowy tego gazociągu. A więc to już się zaczęło – pierwszy żeton został wymieniony. Jak ty oceniasz tę decyzję?

JB: Tu konieczna jest głębsza perspektywa. Jeżeli średnie państwo ma asymetryczny sojusz z wielką potęgą, od której zależy jego bezpieczeństwo, to pozwala mu to na uzyskiwanie pewnych koncesji politycznych na własnym,

krajowym podwórku. Czyli – mówiąc wprost – podporządkowuje hegemonowi swoją politykę zagraniczną i gospodarczą. Wtedy ambasador takiego hegemona ma w kraju poważne wejścia i poważne wpływy. Miejscowi politycy bardzo się z nim liczą, bo jest on symbolem tej sojuszniczej gwarancji bezpieczeństwa. To jest wypisz wymaluj sytuacja z Ameryką i Polską.

PZ: No tak, pani Georgette Mosbacher. Długo jej w Polsce nie zapomnimy. Poczynała sobie w Warszawie mniej więcej tak jak Nikołaj Repnin, ambasador Katarzyny II. Jej obcesowe zachowania drażniły opinię publiczną, ale naszych polityków stawiała do pionu.

JB: Amerykanie dostawali wynagrodzenie za to, że obiecywali nam, że nie będzie Nord Stream 2. „Słuchajcie – mówili naszym włodarzom – my wszystko jesteśmy w stanie załatwić i wszystko zablokować, bo panujemy w Europie. Niemców podbiliśmy dwa razy, okupowaliśmy ich i są naszą wycieraczką. W związku z tym rozumiecie, prawda? Rozumiemy się, tak?” To dokładny cytat z pewnego mojego amerykańskiego rozmówcy. No i nasi politycy rozumieli. Płacili koncesjami politycznymi. Popieraliśmy Amerykanów zawsze i wszędzie. Wierzyliśmy w Trójmorze, próbowaliśmy blokować niemiecki projekt kontynentalny. Płaciliśmy też koncesjami gospodarczymi.

PZ: No i krwią naszych żołnierzy. Przecież wysłaliśmy nasze kontyngenty do Iraku i Afganistanu na wojny wywoływane przez Georga W. Busha. W Iraku poległo dwudziestu trzech naszych żołnierzy, a w Afganistanie czterdziestu czterech. Do tego należy dodać kilkuset rannych. Żołnierze Rzeczypospolitej, którzy powinni bronić swojej ojczyzny, ginęli na egzotycznych pustyniach. Gdy ludzie przytomni pytali: „Po co?”, pojawiały się dwie odpowiedzi. Pierwsza: „Nasze firmy dostaną od Amerykanów wspaniałe koncesje na wydobycie ropy”. Druga: „Zaskarbimy sobie wdzięczność i sympatię Amerykanów”. Z koncesji naftowych oczywiście nic nie wyszło, a drugi „argument” jest tak dziecinny, że nie warto go nawet komentować.

JB: Wszystkie te koncesje sprawiały, że Amerykanie poczuli się – w relacjach z Polską – absolutnymi panami sytuacji. Teraz jednak nagle wszystko się zmienia.

PZ: Płaciliśmy realną walutą za iluzoryczne gwarancje?

JB: Wiarygodność Stanów Zjednoczonych upada. Okazało się bowiem, że – po pierwsze – nie potrafią zablokować niemiecko-rosyjskiego dealu w sprawie Nord Streamu 2. To bardzo poważny cios w odwiecznej politycznej walce o sprawczość. Czyli leninowskie „kto kogo". Górą jest ten, kto ma władzę i siłę pozwalającą mu doprowadzić do pożądanego efektu. I okazało się, że Amerykanie tej siły w Europie Środkowo-Wschodniej wcale nie mają. Nie są zdolni zablokować Nord Streamu 2 i wypełnić złożonej Polakom obietnicy. To, z jakiego powodu – bo mają na karku Chiny, bo latają na Marsa, bo prezydenta Bidena akurat bolał brzuch – nie ma żadnego znaczenia. Znaczenie ma tylko to, że reputacja Amerykanów w oczach Polaków została poważnie nadszarpnięta. Okazało się nagle, że wcale nie są wszechmocni, że jednak potrzebują Niemiec i Rosji. W tej sytuacji nasze akcje automatycznie spadają. Na naszych oczach łamane jest przekonanie o konstruktywistycznym światowym ładzie, o jedności Zachodu. Wszystko to – nie wiem dlaczego – wciąż istnieje w naszych głowach. I za te przekonania płaciliśmy grube pieniądze. Mało tego, realizowaliśmy politykę strategicznej powściągliwości wobec Białorusi, Ukrainy i Litwy. Nie modernizowaliśmy armii zgodnie z naszymi potrzebami, bo przecież to Zachód miał powstrzymywać Rosję od wejścia do europejskiej gry. To Zachód miał obsługiwać nasze interesy w polityce zagranicznej i geopolityce. Do tego sprowadzała się „doktryna polityczna" III Rzeczypospolitej przez ostatnie trzy dekady. Teraz okazało się, że to zawiodło. Mam wrażenie, że nasze elity – przynajmniej na poziomie emocjonalnym – czują, że to przestało działać.

PZ: Powiedziałeś, że Amerykanie nie potrafili zablokować Nord Streamu 2. Może wcale nie chcieli? Po prostu postanowili zrobić prezent Niemcom, a być może również Rosjanom.

JB: Z perspektywy Polski to wszystko jedno. Amerykanie, żeby zablokować ten gazociąg, musieliby iść na totalną wojnę polityczną z Niemcami. A okazało się, że Niemców potrzebują. Nie chcą ich do siebie zrażać. Przeciwnie, chcą ich mieć po swojej stronie. Bo Niemcy są języczkiem u wagi w relacjach z Chinami. Niemcy prowadzą politykę hedgingu, asekuracyjną, i są w tym prawdziwymi mistrzami. Oznacza to, że zabezpieczają się na obu frontach i handlują zarówno z Amerykanami, jak i z Chińczykami. Sie-

dzą okrakiem na płocie i żyją z jednych i drugich. Ich pozycja jest piwotalna, bo to, co zrobią ze swoją gospodarką – a oni równa się Europa – może zaważyć na wyniku rywalizacji wielkich mocarstw, Chin i USA. Dlatego Niemcy nie przejęli się amerykańskimi groźbami i pohukiwaniem i spokojnie podpisali w grudniu 2020 roku umowę inwestycyjną między Unią a Chinami – Comprehensive Agreement on Investment (CAI). Niemcy chcą być przy stole i z tych samych powodów chcieli zrobić swój szczyt z Putinem.

PZ: Każdy, kto zna zasady, jakimi kierują się mocarstwa anglosaskie, wie, że przed konfrontacją zawsze montują one jak najszerszą koalicję. I oczywiste jest, że w tej koalicji chcą mieć państwa silne, a nie słabe. Dlatego Ameryka woli mieć w koalicji antychińskiej Niemcy, a nie Polskę. Gdyby było inaczej, działałaby na szkodę własnych interesów. Trudno się więc dziwić, że gdy jest jakiś spór między Polską a Niemcami, Ameryka rozstrzyga go na korzyść Niemiec. Pamiętasz nagranie, które niedawno pojawiło się w Internecie? Polski dziennikarz złapał Bidena za guzik, gdy prezydent wsiadał do helikoptera, i zapytał, dlaczego pozwala na budowę Nord Stream 2. A Biden odpowiedział z rozbrajającą szczerością: „Bo nałożenie sankcji w tym momencie byłoby szkodliwe dla naszych relacji z Europą!”. To jest dla niego oczywiste: Europa to Niemcy, a nie Polska. I jeżeli Ameryka chce mieć Europę po swojej stronie, musi dogadać się z Berlinem, a nie z Warszawą. To, co zawsze powtarzasz: w polityce kapitałem jest tylko siła, a nie to, że Pułaski i Kościuszko kilkaset lat temu walczyli za wolność waszą i naszą, i teraz Amerykanie muszą nam spłacić ten dług. Wiesz, że w Polsce są ludzie, którzy wierzą w takie dyrdymały? I to ludzie na poważnych stanowiskach?

JB: Nie chce mi się wierzyć, że może tak być. Co jeszcze musi się wydarzyć, żeby ludzie przejrzeli na oczy?

PZ: Miejmy nadzieję, że dojdzie do otrzeźwienia. Może zresztą nawet już coś drgnęło? W maju 2021 roku Andrzej Duda pojechał do Ankary. Wkrótce potem ogłoszono, że kupimy od Turcji drony. Czy to jest dobry kierunek?

JB: Pomysł nawiązania współpracy wojskowej z Turcją jest bardzo dobry. Turcja prowadzi wojnę nowej generacji z Rosją i ją wygrywa. Potrafi się modernizować. Ale odpowiedź na twoje pytanie zacząłbym od następującego stwierdzenia: należy zacząć od siebie. Tak jak mówiłem, kilka osób ze ścisłego kierownictwa państwa, kilka osób, które sobie ufają i nie dają się rozgrywać obcym ambasadom i grupom interesów, powinno ustalić nową strategię. Pogodzić się z tym, że mamy nową epokę. I trzeba zdecydować, kim chcemy być za dziesięć lat. Co chcemy robić, jaką rolę ma odgrywać Polska. To musi być bardzo dobrze przemyślana i przygotowana operacja. Bo drogą do odnowy na pewno nie są płaczliwe wywiady udzielane w prasie. Całe to jęczenie jest robione z pozycji słabości. To oznaka, że nie mamy atutów w kartach. Wyobraź sobie, że masz dom i rodzinę, a w tym domu jest stara ciotka, która już nic nie wkłada do tego gospodarstwa. Ale wciąż uważa, że siedzi na moralnych wyżynach i będzie rządzić tobą i innymi domownikami. Tymczasem to ty przynosisz do domu chleb, ty utrzymujesz tę rodzinę, ty sprawiasz, że w domu jest ciepło. A stara ciotka myśli, że ona będzie dalej sterowała tobą, tylko za pomocą swojego języka. Co się wtedy robi z taką ciotką? Przepraszam za to dosadne porównanie, ale polityka nie polega na jęczeniu i fochach, lecz na realnych zdolnościach. Gdyby to ode mnie zależało, to ja bym spokojnie, bez emocji, z uśmiechem na twarzy, udawał, że nic się nie zmieniło, że wciąż jesteśmy z Amerykanami. Ale jednocześnie budowałbym własną siłę, szedł w stronę autonomizacji. Tak żeby inni gracze mieli niejasność strategiczną. I Amerykanie, i Rosjanie, i Niemcy. Zacząłbym od wielkiej reformy sił zbrojnych, od wzmocnienia odporności państwa, aby wszyscy zrozumieli, że wprowadzamy poważne zmiany. Kolejna sprawa: system energetyczny państwa. To trzeba wzmocnić. Przekształciłbym również politykę emigracyjną. Innymi słowy, wielka zmiana. Zamknięcie epoki III Rzeczypospolitej, epoki ostatnich trzydziestu lat. Musimy iść z duchem geopolitycznych zmian. Problem polega na tym, że aby to zrobić, trzeba mieć kilka osób, które będą sobie wierne i zrealizują taką politykę. Dlaczego? I tu wracam do twojego ulubionego tematu, czyli Józefa Becka. Pomińmy już ocenę samego wejścia do wojny w 1939 roku. Musimy przyznać, że on jako człowiek był w istocie w całej sprawie wojny sam. Nie miał za sobą aparatu państwa. Gdyby chciał zagrać w skomplikowaną grę niejasności strategicznej, zmylić tropy, odrzucić gwarancje brytyjskie, zgodzić się na eksterytorialną autostradę przez Pomo-

rze, ale potem to rozmiękczyć, nie podpisując porozumienia przez miesiąc, i w ten sposób zyskać czas… Wtedy Brytyjczycy by wokół nas tańczyli, tańczyłby Hitler, tańczyliby Sowieci. Potem moglibyśmy podpisać coś z Brytyjczykami. Wszyscy by myśleli, że są w grze, ale nie wiedzieliby w jakiej. Powinniśmy zacierać ślady po sobie, jak lis ogonem.

PZ: I wtedy to my mielibyśmy pozycję piwotalną. My bylibyśmy europejskim zwornikiem. Chyba nigdy w dziejach tyle nie zależało od Polski. Gdybyśmy powiedzieli „tak" na sojuszniczą ofertę Niemiec, Hitler miałby zabezpieczone plecy na Wschodzie. Nie musiałby zawierać paktu Ribbentrop–Mołotow i pierwsze uderzenie Wehrmachtu poszłoby na Francję. Powiedzieliśmy jednakże „tak" na ofertę sojuszniczą Brytyjczyków i Hitler musiał zmienić plany, i zaatakować w pierwszej kolejności Polskę. Ta nasza pozycja, paradoksalnie, dawała nam duże pole manewru. Beck tego nie wykorzystał.

JB: Tego jeden człowiek nie może zrobić. Beck nie zdołałby prowadzić samodzielnie takiej misternej polityki, nawet gdyby chciał. Oczywiście jest kwestią sporną, czy w ogóle miał taki zamiar. Ale bez wątpienia, aby prowadzić grę, wykorzystując tak zwaną *strategic ambiguity*, strategiczną niejasność, trzeba mieć za sobą wojsko, policję, MSZ, służby specjalne, rząd. To musi być skoordynowane, ktoś na zapleczu musi to kontrolować i wysyłać różne sygnały. Do tego zaś jest potrzebny profesjonalny aparat państwowy, ludzie nadzwyczaj kompetentni. Żeby to dobrze rozegrać, trzeba działać spójnie i konsekwentnie. W przeciwnym razie to nas rozegrają jak małe dziecko.

PZ: Beck zamknął się w swojej wieży z kości słoniowej. Nie zbudował sobie solidnego zaplecza, kierował polityką zagraniczną w sposób autorytarny. Ale zgoda – społeczeństwo go nie rozumiało, poparcie Śmigłego-Rydza było chwiejne. Polacy w 1939 roku, między innymi przez rządową prasę, byli poddawani permanentnej antyniemieckiej agitacji. Dominowała frankofilia. Podważanie wiary w sojusznicze gwarancje – zupełnie jak teraz – traktowano jako brak patriotyzmu, defetyzm i zdradę. W takich warunkach rzeczywiście trudno prowadzić sensowną politykę zagraniczną.

JB: A teraz? Czy możesz powiedzieć, kto właściwie prowadzi politykę zagraniczną Rzeczypospolitej? Gdzie jest ośrodek decyzyjny? Gdzie jest centrum dowodzenia tym wszystkim, o czym mówimy?

PZ: Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

JB: No, oczywiście pojawiają się tu jakieś ruchy. Jak choćby wspomniane otwarcie na współpracę wojskową z Turcją. Generalnie jednak wygląda na to, że wczesnym latem 2021 roku ktoś powiedział starej ciotce, czyli Polsce: „Ciotka, słuchaj, od tej pory już nie wrzeszcz, bo nie masz tu nic do powiedzenia. Twoje rady są idiotyczne, a my tu mamy poważne rzeczy do załatwienia".

PZ: Myślę, że analogia ze starą ciotką jest niestety trafna. Zobacz, jak przedstawia się u nas Jałtę. Czyli pragmatyczne porozumienie trzech wielkich mocarstw, które miały wspólne interesy. Otóż u nas jest ustawiczny płacz. Zamiast wyciągnąć z tego po męsku wnioski i nie dać się w przyszłości wyrolować, Polacy biadolą i załamują ręce. Przecież byliśmy „first to fight", przecież lataliśmy na spitfire'ach w bitwie o Anglię, przecież szturmowaliśmy Monte Cassino. Kochani Brytyjczycy, jak mogliście nam to zrobić?! Płacz i dziamdzianie. To jest oznaką słabości. Zobacz, jak ostatnio błyskawicznie osłabła pozycja Polski. Dopóki wydawało się, że mamy świetne relacje z USA, to jeszcze niektórzy się z nami liczyli. Uważali, że przez Warszawę można coś załatwić w Waszyngtonie. A teraz? Niemcy nas zaczęli dociskać. Izrael też.

JB: A tymczasem mamy bardzo wiele atutów. Należy tylko uwierzyć w siebie i coś zrobić z naszym państwem. Jesteśmy w stanie zbudować Armię Nowego Wzoru, zbudować w regionie siłę powstrzymującą rosyjskie aspiracje. Czasu jest mało, bo stary ład się wali. Amerykanie odchodzą na ocean światowy i będą teraz balansować elastycznie, dobierając sobie koalicjantów ad hoc, w zależności od danej sprawy. Nadchodzi czas, gdy będą jednocześnie sztylety i rozmowy. Negocjuj i walcz. Każdy będzie musiał wykorzystywać swoje atuty i zdolności w systemie odporności państwa, tworzyć lewary i twardo walczyć o swoje. Od tej pory już nikt nie będzie za nas tego robił. Tak będzie wyglądała nowa Eurazja. I przecież w gruncie rzeczy to nic nowego – zawsze tak było. Tak zawsze wyglądała historia świata. Teraz

wszystko po prostu wraca do normy. Obudźmy się ze snu o końcu historii, który śniliśmy przez ostatnie trzydzieści lat. Rzeczypospolitej Obojga Narodów nie pamiętamy, ona minęła dawno temu. Poza tym była państwem, które zwiędło w wyniku braku modernizacji społecznej. Potem przez ponad 120 lat były rozbiory, potem zaledwie krótki epizod dwudziestolecia międzywojennego, gdy to państwo było, jakie było. Dziś idealizujemy II Rzeczpospolitą, ale przecież tam nie było wolności dyskusji. W latach trzydziestych nie moglibyśmy sobie tak publicznie porozmawiać, bo była cenzura, o czym na własnej skórze przekonał się Władysław Studnicki, gdy na polecenie Becka policja skonfiskowała jego książkę.

PZ: Albo Stanisław Cat-Mackiewicz, gdy rząd wpakował go do obozu w Berezie Kartuskiej za artykuły, w których domagał się porządnego uzbrojenia i zmodernizowania armii. Władze uznały je za defetyzm, za podważanie wiary w niezwyciężone Wojsko Polskie. W nasze „bohaterskie hufce", które w 1939 roku miały zdobyć Berlin.

JB: Później była II wojna światowa, a potem PRL. Wówczas też byśmy sobie raczej nie pogadali. Wymiana wolnych myśli była zakazana. Na początku III Rzeczypospolitej też nikt takich debat nie prowadził. Bo i po co? Przecież wszyscy uwierzyli, że Zachód ostatecznie zwyciężył i zatriumfował. I Ameryka będzie wiecznie rządzić światem. Nastał wspaniały świat Gandalfa Białego, hobbitów i elfów. Mordor został pobity i zakopany głęboko pod ziemią. Niestety wielu Polaków interpretuje historię świata jak powieść fantasy. Trzeba się z tego snu czym prędzej obudzić. Usamodzielnić i wziąć do roboty. Bo to będzie decydowało nie tylko o naszym bezpieczeństwie, ale również o atrakcyjności inwestycyjnej, kapitałowej, o migracjach ludzi. O marżach, o kapitalizacji. Jeżeli nie chcemy, żeby świat nas zostawił w tyle, musimy się brać do roboty.

PZ: Postawienie wszystkiego na Amerykę ma poważne skutki natury militarnej. Jeżeli dojdzie do sojuszu USA z Rosją, sprzęt kupiony za wielkie pieniądze za oceanem okaże się bezużyteczną kupą złomu. W takim układzie Amerykanie nigdy nie pozwolą nam użyć F-35 przeciwko Rosji. Po prostu nam je wyłączą. Czy w obecnej sytuacji te zakupy mają w ogóle sens?

JB: Zacznijmy od tego, że nie będzie wojny między Rosją a NATO, jeśli Rosjanie uznają, że Amerykanie się w nią zaangażują z pełną siłą. Moskwa nigdy się w coś takiego nie wpakuje, bo wie, że przegra. Jaki z tego wniosek? Że nigdy nie dojdzie do wojny na terytorium Polski, w której po naszej stronie będą bili się na poważnie Amerykanie. Nie ma więc potrzeby budować sił zbrojnych, które będą tylko uzupełnieniem ekspedycyjnych zdolności amerykańskich, uzupełnieniem US Army. Jest to po prostu sprzeczne z interesem Rzeczypospolitej. Siły zbrojne należy budować z myślą o tym, że będziemy walczyć przeciwko Rosji sami albo w koalicji z naszymi lokalnymi sojusznikami. Niestety obecnie wygląda to tak, że brniemy w coś, co nie jest naszą wojną. F-35 jest tylko jednym z takich przykładów.

PZ: Kupujemy od Amerykanów wszystko, co tylko się da. Bez przetargów, bez rozważenia innych, bardziej konkurencyjnych ofert. Bez zwracania uwagi, czy to będzie pasowało do naszego wojska i do zagrożeń stojących przed Polską.

JB: Zanim zaczniemy kupować sprzęt, musimy sobie odpowiedzieć na podstawowe pytania. Jaka czeka nas wojna? Czy będzie trwała miesiąc, czy dwa dni i będzie niewielką wojną nowej generacji. W takiej wojnie rozstrzygające są systemy precyzyjne, a nie milionowe armie wyposażone w ciężki sprzęt – czołgi i armaty. Może dojść do tego, że kupimy sobie fregatę i będziemy mieli te F-35. Wybuchnie wojna i my będziemy tak się bali, żeby nie stracić tych białych słoni, że jeszcze przed konfliktem wyekspediujemy je do Niemiec. Tam zostaną oddane pod amerykańskie dowództwo, tak jak w 1939 roku nasza flota została wyprowadzona z Bałtyku i oddana Brytyjczykom. Mówiliśmy już o tym, gdy dyskutowaliśmy o Armii Nowego Wzoru. A co będzie, gdy nasza piękna fregata zostanie zatopiona już pierwszego dnia i zginie – powiedzmy – sześćdziesięciu marynarzy? Dwóch rozbitków zostanie wyłowionych z wody przez Rosjan i od razu poddanych przesłuchaniu. Zostanie zrobiony z tego film, w którym zostaną zmuszeni do mówienia, że nie mieli prowiantu w Wojsku Polskim, że bardzo źle im się wiodło. Rosjanie ubrudzą im mundury, wybiją po trzy zęby, żeby wyglądali, że są prostakami. Ten film natychmiast obiegnie cały świat. Wszyscy zobaczą, jak polska fregata idzie na dno pierwszego dnia wojny, bo Polacy nie potrafią się bić. Powstanie wrażenie, że przegrywamy, a co za

tym idzie, nie trzeba nam pomagać. Niemcy i Francuzi zmuszą nas do zawarcia pokoju, „bo przecież i tak przegrywacie”. Musimy mieć takie wojsko, żeby przez pierwszy, drugi, trzeci dzień wojny nie powstał nawet cień podejrzenia, że przegrywamy. Żeby Rosjanie nie mogli wyeliminować punktów ciężkości tego wojska. Żeby nie mogli wygrać wojny informacyjnej, która jest nieodzownym elementem współczesnego pola walki. F-35 nam tu niewiele pomoże, a wydajemy na te myśliwce mnóstwo pieniędzy.

PZ: Mało tego – nie będziemy w 100 procentach kontrolować tych maszyn. Amerykanie w momencie kryzysowym będą mogli je nam uziemić. To był problem Turcji, która chciała kupić te myśliwce. Wyobraźmy sobie hipotetyczny scenariusz, że Turcja znajduje się nagle w stanie wojny z Izraelem. Amerykanie oczywiście od razu wyłączają F-35. I Turcy nie mają czym walczyć.

JB: To jest kolejny aspekt tej sprawy, co do którego nikt nie jest pewien. F-35 sam w sobie jest niczym. On walczy w stadzie rekinów, te myśliwce tworzą skomplikowaną sieć, potrzebują olbrzymiej infrastruktury i wsparcia z ziemi. Co ciekawe, one nie komunikują się z F-16, czyli ze starszą generacją samolotów, które również kupiliśmy. F-35 ma swoje wewnętrzne systemy i Amerykanie poprzez systemy satelitarne bez wątpienia je kontrolują. Zwróć uwagę, że Izrael nigdy nie miesza F-35 z F-16, używa ich osobno. Zresztą Izrael zawsze twardo negocjuje z Amerykanami wymianę całych bebechów. W izraelskich F-16 amerykańskie zostały właściwie tylko skrzydła i skorupa. Całe wnętrzności, wszystkie systemy są już izraelskie. I Żydzi intensywnie negocjują, żeby w F-35 zrobić to samo. Dzięki temu mają pewność, że kontrolują tę broń. Czy my tak robimy?

PZ: Oczywiście, że nie. Nigdy byśmy nie śmieli zrobić czegoś takiego.

JB: Ale dlaczego?! Dlaczego nie widzimy własnych możliwości? Mówiłem to już wielokrotnie: Polska ma większy PKB niż Izrael.

PZ: Całkiem niedawno przeprowadziłem wywiad z profesorem Mearsheimerem. Zapytałem go, co Polacy powinni zrobić, kiedy Stany Zjednoczone wycofają się z Europy? I Mearsheimer powiedział krótko: Polska powinna wówczas pozyskać broń nuklearną. To jedyny sposób na zapewnienie bez-

pieczeństwa, gdy znikną amerykańskie gwarancje. Czy to jest science fiction, czy realny scenariusz?

JB: Mearsheimer jest ofensywnym realistą. Ja też jestem ofensywnym realistą. Ale inny jest wydźwięk, gdy coś takiego mówi Amerykanin z Chicago, profesor światowej sławy, który może sobie swobodnie dywagować, kto powinien mieć broń atomową, a kto nie. A zupełnie inaczej to by zabrzmiało, gdyby padło z ust Polaka, który zajmuje się Armią Nowego Wzoru. Wielcy mogą mówić więcej. Gdy Nixon ogłosił doktrynę Guam, Korea Południowa zainicjowała program broni jądrowej, Australia również myślała o broni jądrowej, a jeśli chodzi o Japonię, to wystarczyłoby, żeby przekręciła śrubkę, i miałaby broń jądrową już teraz. Myślę, że Ukraińcy rozważają budowę broni jądrowej. Jeżeli zaś mieliby ją Ukraińcy, to i Turcy. Turcy bez wątpienia o niej myślą, bo gdy będą ją mieli i Persowie, i Żydzi, i Saudowie, Ankara nie będzie chciała zostać w tyle. Jak Ukraińcy, to i Niemcy i tak dalej.

PZ: A Polska? Sam powiedziałeś, że Izrael ma mniejszy PKB od Polski, a jakoś im się to udało. Pakistan i Indie mają broń jądrową od wielu lat, co czyni pełnoskalowy konflikt między tymi krajami niemożliwością. Może to droga dla nas?

JB: Problem polega na tym, że broń jądrowa sama w sobie nie jest w tej chwili instrumentem wojny. To ostatni szczebel drabiny eskalacyjnej i nikt, poza Amerykanami w 1945 roku, po tę opcję nie sięgnął. Natomiast powiem coś, czego jeszcze nie mówiłem w debacie publicznej. Otóż w Strategy&Future mamy warsztaty z amerykańskimi naukowcami, wojenne warsztaty na temat Armii Nowego Wzoru. Ci naukowcy pracują obecnie nad bronią jądrową czwartej generacji. Bronią, która nie powoduje opadu radioaktywnego. Ma niesamowity wybuch kinetyczny, ale bez takich skutków ubocznych, a co za tym idzie – tego politycznego ciężaru. Chcemy zrozumieć, jak to może zmienić pole walki w przyszłości, zwłaszcza w dobie miniaturyzacji głowic kierowanych pocisków rakietowych, gdy nie potrzeba już wielkich platform, tylko niemal z ramienia żołnierz może wystrzelić pocisk nuklearny.

PZ: Niesamowite!

JB: Rosjanie też nad tym pracują. Nie jest jasne, w którym punkcie na drodze do pozyskania tej broni znajduje się obecnie ludzkość. Mówię to więc na razie na zasadzie ciekawostki, aby pokazać, że czas nie stoi w miejscu. Ludzkość idzie do przodu, szczególnie w kwestiach technologicznych. Ech… Jak mogliśmy przespać w takim położeniu geopolitycznym złoty czas pauzy geopolitycznej?! Czas, w którym mogliśmy się przygotować, zbudować elity, odłożyć pieniądze, stworzyć odpowiednie technologie i armie. Mieliśmy taką niesamowitą szansę. Gwiezdny czas ostatnich trzydziestu lat lekkomyślnie przepuściliśmy między palcami.

Źródło: „Historia Realna” 2 lipca 2021

Rozmowa 9

Czy mocarstwa będą walczyć w kosmosie?

PZ: Obecnie mamy pięć domen wojny: powietrze, ląd, morze, spektrum elektromagnetyczne i cyberprzestrzeń. Czy teraz dojdzie domena szósta – kosmos?

JB: To już się stało, i to dawno. Człowiek wyniósł wojnę poza Ziemię i przez to pierwszy raz zamoczył stopę w oceanie kosmicznym. Jesienią 1942 roku z poligonów Peenemünde niedaleko obecnej granicy Rzeczypospolitej wystartowała niemiecka rakieta V2, która przekroczyła linię Kármána, czyli granicę pomiędzy ziemską atmosferą a kosmosem. Kolejne V2 wzbiły się nawet – tu toczy się dyskusja – 150–170 kilometrów nad powierzchnię ziemi i potrafiły uderzyć w cel oddalony o kilkaset kilometrów w Wielkiej Brytanii. To był pierwszy kontakt z przestrzenią kosmiczną przez urządzenie stworzone ręką człowieka. Ten wielki postęp dokonał się właśnie dzięki wojnie.

PZ: Jak większość innych postępów w nauce.

JB: Wernher von Braun, szef niemieckiego zespołu konstruktorskiego, twierdził, że zawsze chciał polecieć na Marsa. Ale, jak żartowali potem amerykańscy satyrycy, po drodze zdarzało mu się trafiać w Londyn. I tak właśnie rakieta balistyczna V2 stała się przełomem na drodze człowieka do kosmosu. Potem była zimna wojna, przestrzeń kosmiczna stała się medium, które stabilizowało sytuację strategiczną. Najpierw Sowieci mieli swojego *Sputnika*, a potem obie strony w końcu umieściły sensory w przestrzeni kosmicznej. Satelity, które monitorowały, gdzie startują rakiety balistyczne przeciwnika. To stabilizowało sytuację bezpieczeństwa. Balistyczna rakieta

międzykontynentalna z głowicą jądrową, żeby uderzyć w cel, musi przejść przez kosmos. Z kosmosu widać więc nie tylko jej odpalenie, ale można później śledzić jej lot. A także próbować taką rakietę zestrzelić w locie.

PZ: To był pomysł Ronalda Reagana.

JB: Pod koniec zimnej wojny, w latach osiemdziesiątych, Reagan chciał zburzyć sowiecko-amerykańską równowagę w kosmosie, otwierając program Gwiezdnych Wojen, czyli Strategic Defense Initiative (SDI). Amerykanie dzięki supernowoczesnej technologii chcieli nie tylko wykrywać wyrzutnie sowieckich rakiet, ale i niszczyć je w przestrzeni kosmicznej za pomocą laserów. To było jedną z przyczyn zrujnowania Związku Sowieckiego, który przez swoją niewydolną gospodarkę nie mógł dotrzymać kroku Amerykanom w zbrojeniach. Wbrew pozorom to właśnie domena wojskowa była najważniejsza w kosmicznej rywalizacji sowiecko-amerykańskiej. Wyścig o to, kto pierwszy wyśle człowieka w kosmos, wyśle go na Księżyc, to były wszystko sprawy prestiżowe, choć ważne dla naukowców. Natomiast prawdziwym powodem, dla którego mocarstwa zwróciły się w stronę kosmosu, było dążenie do uzyskania militarnej przewagi nad rywalem.

Po upadku Sowietów rozpoczął się zupełnie nieprawdopodobny rozdział w historii świata. Mowa o globalizacji. Amerykanie, pokonawszy Sowietów w 1991 roku, doprowadzili do rozszerzenia zakresu przepływów strategicznych na Ziemi. Doszło do wielkiej rewolucji neoliberalizmu i szaleństwa prywatnych kapitałów. Kapitał zaś jest inwestowany tam, gdzie żyją ludzie. Tam, gdzie pracują, uczą się, zakładają rodziny, zarabiają i wydają pieniądze. Poszerzenie rynków o były Związek Sowiecki, kraje RWPG, o Chiny i cały Trzeci Świat przyniosło nam ostatnią globalizację. A co za tym idzie, zamarła eksploracja kosmosu. Wszystko rozgrywało się na Ziemi.

Nie było już strategicznej rywalizacji między mocarstwami. Amerykanie mieli oczywiście sensory, które pozwalały im prowadzić wojny na ziemi. Bo globalna projekcja siły jest możliwa dzięki flocie, ale także dzięki satelitom, które pozwalają Amerykanom widzieć wojska przeciwników, słyszeć, jak się komunikują między sobą. Bez systemu satelitów na niskich, średnich i geostacjonarnych orbitach nie sposób obecnie prowadzić nowocze-

snej wojny. Pamiętajmy też, że Amerykanie muszą przerzucić wojska z daleka do Eurazji, i kosmos jest takim multiplikatorem zdolności.

Amerykanie wiedzą, że w Eurazji nigdy nie zdołają wystawić większej armii lądowej niż armia Wietnamu Północnego, Chin, Niemiec czy Związku Sowieckiego. Zawsze starali się więc znaleźć takie przekładnie, multiplikatory, aby wygrywać wojny, nie mając przewagi liczebnej. Kosmos to jeden ze sposobów. Epoka bezwzględnej dominacji USA właśnie się jednak kończy. I dlatego znowu rusza wielka rywalizacja między mocarstwami w przestrzeni kosmicznej.

PZ: W 1983 roku prezydent Ronald Reagan zapowiedział swoje Gwiezdne Wojny, a potem – jak mówiłeś – nastąpiła trzydziestoletnia pauza geostrategiczna. Także w kosmosie. W rozpoczynającej się właśnie rywalizacji przełomowy wydaje się rok 2019, w którym prezydent Donald Trump ogłosił powstanie amerykańskich Sił Kosmicznych – US Space Force. Czym konkretnie mają się one zajmować? Bo gdy słyszymy hasło Gwiezdne Wojny, to wyobrażamy sobie obrazki z filmów George'a Lucasa. Czyli statki kosmiczne lecące na siebie i strzelające do siebie laserami. Miecze świetlne i tym podobne hollywoodzkie gadżety. Jak to będzie wyglądało w rzeczywistości?

JB: Zacznę od analogii. Otóż człowiek rodzi się na powierzchni ziemi. Chodzi, ma taki, a nie inny szkielet, żyje na lądzie. Ale z czasem opanował jeszcze inne domeny na planecie. Tak, żeby służyły jego celom: bogaceniu się, lepszemu życiu, wojowaniu, przygodzie, podbojom nowych lądów, szybszemu podróżowaniu. Człowiek opanował morza i oceany, choć przecież nie żyje w wodzie, nie buduje pod wodą ani na wodzie miast. Potem człowiek opanował powietrze. Znowu do celów wojny, transportu, zarabiania pieniędzy. Opanował spektrum elektromagnetyczne, czyli propagację fal radiowych. Nie widzimy ich, ale przecież wszędzie w powietrzu są wiązki, które przesyłają dane, informacje niezbędne dla naszego życia. I wreszcie człowiek opanował cyberprzestrzeń, którą sam zresztą stworzył.

PZ: Rozumiem, że teraz pora na kosmos?

JB: Właśnie. Przestrzeń kosmiczną człowiek też chce opanować, żeby mu służyła do budowania zdolności wojskowych i nowej gospodarki, dzięki

której będzie miał jeszcze więcej pieniędzy. Jak mówiłem, Stany Zjednoczone mają tu przewagę – bo już w czasach zimnej wojny stworzyli systemy do detekcji rakiet, a od lat dziewięćdziesiątych powstał cały system satelitów, które pomagają Amerykanom dokonywać projekcji sił na odległych frontach Eurazji. Teraz jednak potęgi Eurazji zdobyły zdolności niszczenia tego systemu amerykańskiego poprzez rakiety wystrzeliwane z ziemi, przez manewrujące satelity myśliwskie. I Amerykanie zdają sobie sprawę, że muszą chronić swoją kosmiczną infrastrukturę, żeby w pierwszych godzinach III wojny światowej nie spotkało ich kosmiczne Pearl Harbor. Bo gdyby Chińczycy zaczęli wojnę od zniszczenia systemów obserwacji i nasłuchu satelitarnego, Amerykanie nic by nie widzieli i nic by nie słyszeli. Nie mogliby też komunikować się ze sobą.

Pierwszym powodem powołania US Space Force jest więc potrzeba ochrony istniejącej infrastruktury, dzięki której Amerykanie są dominującą, globalną siłą manewrową planety Ziemia.

PZ: A drugi powód?

JB: Drugi powód jest jeszcze ważniejszy. Otóż w przeciwieństwie do zimnej wojny, do epoki rakiet V2 i okresu marazmu lat dziewięćdziesiątych i pierwszej dekady XXI wieku, teraz rozpoczyna się gospodarczy boom w kosmosie. A wraz z nim – wielki kosmiczny wyścig gospodarczy. Przesyłanie, zbieranie i obróbka danych stały się ropą naftową XXI wieku. To jest dzisiaj najważniejszy surowiec. Jeżeli mamy satelity, to możemy wszystko. Wiemy, czy ktoś nas ogląda, wiemy, ile kto emituje CO_2, wiemy, czy Wrocław dokładnie robi rejestr powierzchni gruntów, wiemy, czy wszyscy płacą podatki jak trzeba. Wiemy nawet, co w danej chwili robią nasze żony. To wszystko można robić z kosmosu, z satelity. I to jest usługa, którą się sprzedaje i kupuje. W czasie zimnej wojny robiły to państwa, ale od kilkunastu lat zabrały się do tego prywatne firmy. Firmy kierowane przez wielkich wizjonerów, ludzi rzutkich i głodnych sukcesów. Mamy sytuację analogiczną do epoki wielkich odkryć geograficznych. Tak jak Henryk Żeglarz w XV wieku założył w portugalskim Sagres pierwszą akademię morską na świecie, dzięki czemu odkrył ocean światowy, tak teraz multimiliarderzy Bezos, Branson, Musk i Allen włożyli swoje pieniądze, żeby eksplorować

kosmos. Stworzyć rozwiązania techniczne pozwalające tanio wynosić statki na orbitę, rozwijać w ten sposób biznes i zarabiać pieniądze.

Przykład pierwszy z brzegu – Starlink Elona Muska – który ma dawać dostęp do Internetu poprzez konstelację satelitów. Starshipy. Tysiące innych pomysłów. Ta wielka wizja wymaga kilku przełomów technicznych i technologicznych. Najważniejsze jest tanie i wielorazowe wynoszenie satelitów i statków kosmicznych na orbitę.

PZ: Czyli żyjemy w czasie wielkiego przełomu. Kosmos otworzył przed ludzkością nowe możliwości.

JB: Są cztery silniki napędowe nowej gospodarki. Nowa obróbka informacji, czyli na przykład wynalezienie Internetu albo druku, radia czy telewizji. Drugi to wynalezienie nowego źródła energii, które zwiększy wydajność: kiedyś to była ropa naftowa, węgiel, a teraz energia słoneczna pobierana w kosmosie, na orbitach i przesyłana na Ziemię. Pracują nad tym Chińczycy i Amerykanie, tak że może będziesz miał prąd w powietrzu zamiast w gniazdku. Do tego dochodzą różne pierwiastki, ich izotopy i minerały, na przykład hel-3, czyli trzyatomowy, który może nam dać fuzję jądrową, niewyczerpane źródło energii. Na Księżycu jest mnóstwo minerałów. W pasie planetoid i obiektach niezidentyfikowanych znajdujących się niedaleko Ziemi również jest mnóstwo surowców. No i oczywiście kosmos umożliwia nowe skomunikowanie, czyli przesył danych, oraz transport z ogromnymi prędkościami. Prawdziwa rewolucja.

PZ: Jeżeli chodzi o surowce, które można znaleźć w kosmosie – na Księżycu czy na Marsie – to one bez wątpienia istnieją. Ale spora część ekspertów chłodzi ten entuzjazm. Według nich transport tych surowców na Ziemię byłby tak kosztowny, że to by się kompletnie nie opłacało. Kosmos to wielkie odległości.

JB: Z Marsa, zgoda, to by się nie opłacało. Natomiast z Księżyca – chyba już bardziej. Księżyc będzie kiedyś, my może tego nie dożyjemy, fabryką ludzkości, Donbasem i Śląskiem Ziemi. A to dlatego, że idealnie się nadaje na wielki zakład przemysłowy obsługujący potrzeby naszych poczynań w kosmosie. Myślę, że powstanie system komunikacyjny obsługujący układ Ziemia–Księżyc. Ziemia ma dużo większą masę, a więc i dużo większe cią-

żenie. Ziemia jest na dnie studni grawitacyjnej. W kosmosie nie lata się zaś dzięki powietrzu, lecz w wielkiej mierze korzystając z siły grawitacji. A Księżyc jest u szczytu oddziaływania grawitacyjnego Ziemi. Z Księżyca bardzo łatwo zatem wydobywać minerały i wysyłać na orbitę okołoziemską. Powstanie zintegrowany system komunikacji okołoziemskiej, winda grawitacyjna, pierścień orbitalny, dzięki któremu będziemy podróżowali w kosmos tanio, jak samolotem z Warszawy do Krakowa. Powstaną bazy paliwowe, czyli kosmiczne stacje paliwowe do tankowania statków lecących na Marsa. Cała infrastruktura, taka jak ziemskie drogi i rurociągi. Surowce czy regolit z Księżyca będzie można wysyłać na Ziemię… katapultami. To wynika z zasad fizyki.

PZ: Brzmi pięknie, ale czy to aby nie jest science fiction?

JB: Księżyc w układzie z Ziemią jest „wyniosłym wzgórzem”. Kto panuje na Księżycu, zwłaszcza po jego niewidocznej z Ziemi stronie, decyduje o całym ruchu w przestrzeni okołoziemskiej w polu grawitacyjnym naszej planety. Może kontrolować cały ruch, wszystko, co opuszcza Ziemię. Jest jak posterunek graniczny.

PZ: Pytanie, które teraz postawię, byłoby bezprzedmiotowe w latach dziewięćdziesiątych i na początku XX wieku, w czasach, gdy globalnym hegemonem były Stany Zjednoczone. Wtedy byłoby jasne, że jeżeli ktoś opanuje Księżyc, to będą to Amerykanie. Ale teraz w grze mamy kilka mocarstw. Które z nich zdoła podbić Księżyc? A może, skoro porównujemy podbój kosmosu do epoki kolonialnej, skończy się to jakimś konsensusem, jak w wypadku Afryki? Wielkie mocarstwa usiądą przy stole i podzielą między siebie Księżyc za pomocą linijki. Ta część jest wasza, a ta nasza. Albo jeszcze inny scenariusz – może dojdzie do jakiejś ogólnoludzkiej współpracy i wspólnej kolonizacji Księżyca?

JB: Nie będzie ogólnoludzkiej kolonizacji Księżyca. Świat tak nie działa. Gdy pojawia się nowa domena, ktoś musi być jej hegemonem. O to właśnie przez 500 lat toczyła się wojna między europejskimi mocarstwami. Stawką było to, kto zapanuje na Atlantyku, a co za tym idzie, ustanowi reguły przepływów strategicznych. Ostatecznie wygrali Anglosasi. Brytyjczycy, a póź-

niej Amerykanie. Brytyjczycy zniszczyli pod Trafalgarem francuską flotę wojenną.

PZ: A wcześniej w serii długich, wyczerpujących wojen złamali morską potęgę Holandii. No i oczywiście zatrzymali hiszpańską Wielką Armadę. W efekcie tych zmagań to „Brytania rządziła morzami”.

JB: Podobnie będzie w kosmosie. Ktoś musi zdominować tę przestrzeń. Dlatego Amerykanie już teraz powołali do życia Siły Kosmiczne, żeby najpierw patrolować przestrzeń okołoziemską, a potem przestrzeń studni grawitacyjnej Ziemi aż do Księżyca. Stąd ogłoszenie przez administratora NASA programu Artemis, którego celem jest powrót ludzi na Księżyc do 2024 roku i dalsza eksploracja kosmosu. Amerykanie wciągają do tego przedsięwzięcia prywatne spółki i inne państwa, które kolejno przystępują do Artemis Accords, czyli porozumienia w sprawie parcelacji ciał niebieskich.

Jak to działa? Otóż 7 czerwca 1494 między Hiszpanią a Portugalią został podpisany traktat w Tordesillas. Podzielił on Nowy Świat między te dwa państwa. Konsekwencje tego traktatu trwają do dziś – w Brazylii mówi się przecież po portugalsku. Amerykanie ze swymi sojusznikami podpisują teraz podobny układ podziału ciał niebieskich, które będą eksplorowane przez globalny kapitał. Nawet nasz rząd zastanawia się, czy to podpisać.

PZ: Jakie z tego możemy wyciągnąć korzyści?

JB: Przystąpienie do programu Artemis umożliwi polskim przedsiębiorcom kosmicznym udział w programie kolonizacji Księżyca. Jeśli w niego zainwestujemy, będziemy mogli powiedzieć: To nasza działka, to moje. A Księżyc ma ogromną powierzchnię, jest oddalony średnio – bo orbitę ma eliptyczną – o 385 tysięcy kilometrów od Ziemi. To jakieś trzy dni lotu z wykorzystaniem manewru transferowego Hochmanna. Można też szybciej albo wolniej w zależności od tego, jaki się wybierze sposób podróży.

Generalnie rozpoczyna się walka o podział Księżyca. Są tam lepsze i gorsze miejsca, zupełnie jak na Ziemi. A powierzchnia Księżyca jest większa niż Ameryki Północnej. Jest ogromna, są tam minerały i woda. Zwłaszcza na stronie niewidocznej z Ziemi i na biegunach. A skoro jest woda, to można produkować paliwo do silników rakietowych. Skoro jest hel-3, to

można będzie kiedyś zbudować napęd oparty na fuzji nuklearnej, dzięki któremu ludzie będą podróżowali do pasa planetoid, za tak zwaną linię śniegu, do planet zewnętrznych Układu Słonecznego.

PZ: Polacy na Księżycu! To kapitalna wizja, ale obawiam się, że dość odległa.

JB: Wszystko to są oczywiście sprawy odległe, gwiezdne. Wróćmy więc do tego, co już się dzieje. Siły Kosmiczne USA ogłosiły niedawno konkurs na sensory, które można umieścić na orbicie okołoksiężycowej, oraz na patrolowanie przestrzeni wokół Księżyca dziesięć razy dalej od orbity geostacjonarnej. Mowa o tysiąckrotnie większej przestrzeni. Innymi słowy: poszerza się świat, który chce kontrolować i patrolować US Space Force. Rozmawiałem na ten temat z Everettem C. Dolmanem, autorem słynnej książki *Astropolitik: Classical Geopolitics in the Space Age*. Można to obejrzeć na YouTubie. Otóż Dolman powiedział, że takie same dyskusje toczono w Kongresie USA w XIX wieku. Amerykanie uchwalali wtedy, że jak ktoś wyjedzie za rzekę Missisipi, weźmie ileś tam akrów ziemi, wykarczuje je i będzie gospodarował przez dziesięć lat, to ta ziemia automatycznie stanie się jego. Kawaleria USA będzie zaś pilnowała jego prawa i stała na straży jego bezpieczeństwa. Indianie nie będą mieli nic do powiedzenia. Takie same założenia przyświecają Artemis Accords. US Space Force ma pilnować kosmosu, być kawalerią, która stoi na straży nowego oceanu światowego. Tak jak flota amerykańska jest arbitrem zasad strategicznych przepływów na Ziemi.

Innymi słowy, świat się zmieni. Najważniejsze nie będzie to, kto panuje w Europie Środkowej, lecz to, kto panuje na oceanie światowym, orbitach okołoziemskich i Księżycu. A Księżyc umożliwia panowanie nad Ziemią, nad wszystkim najważniejszym, co się dzieje na naszej planecie.

PZ: Jacku, o jakiej perspektywie czasowej mówisz? Bo roztaczasz niezwykle śmiałe wizje zaawansowanych technik i technologii, które pozwolą skolonizować Księżyc, budować na nim fabryki, latać na Marsa. Ale na razie wygląda to bardzo skromnie. Przypomnę, że ostatni człowiek – Eugene Cernan – postawił nogę na Księżycu w grudniu 1972 roku w ramach misji Apollo 17. A więc pół wieku temu. Teraz dużo się mówi o powrocie czło-

wieka na Księżyc, ale sprawy idą dość niemrawo. Kiedy to wszystko ma nastąpić?

JB: Właśnie ukazała się moja książka *Wojna w kosmosie. Przewrót w geopolityce*, którą napisałem razem z George'em Friedmanem. Umieściłem w niej fikcyjny rozdział pod tytułem „Wojna w 2076 roku". To wszystko, co powiedziałem, może się wydarzyć do 2076 roku. I oczywiście rozpocznie się wojną na Ziemi. W ramach drabiny eskalacyjnej mocarstwa zaczną niszczyć sobie nawzajem satelity rozpoznawcze oraz telekomunikacyjne i w ten sposób wojna przeniesie się w kosmos.

Nasza współczesna rzeczywistość to jednak „new space" i „baronowie kosmosu". Elon Musk buduje swojego *Starshipa*, który będzie takim koniem roboczym w kosmosie jak kiedyś w powietrzu samolot transportowy DC-3 *Dakota*. Prototyp już wystartował i wylądował. Upowszechnienie komputerów, smartfonów oraz Internetu, cała ta rewolucja informacyjna, dzięki której w kosmosie zarabia się pieniądze, też jest już realnością. Możesz sobie w dowolnej chwili wykupić dostęp do Starlinka Elona Muska i masz Internet z kosmosu. Zaraz powstaną portale, które będą sprzedawały usługi – będziesz mógł kupić śledzenie swojej żony w czasie rzeczywistym z satelity, będziesz dostawał podgląd na swojego laptopa, by wiedzieć, co robi po wyjściu z domu. Albo co się dzieje w twoim domu na Mazurach, gdy jesteś w Warszawie. Albo co twoje dziecko porabia na koloniach. Pewnie prędzej czy później pojawią się regulacje, które będą to ograniczać. Powstanie cała nowa gospodarka kosmiczna.

Kolonizacja Księżyca już powoli rusza. Chińczycy nie zatrzymują się i latają na Księżyc. Niedawno podpisali z Rosjanami umowę na budowę stacji na Srebrnym Globie. Prawdopodobnie na niewidocznej z Ziemi stronie. Chińczycy już tam byli i w punkcie libracyjnym za Księżycem mają satelity przekaźnikowe. Amerykanie tego nie zrobili nigdy. Chińczycy ogłosili, że w latach 2032–2033 zbudują wielką bazę na Księżycu, oczywiście na niewidocznej stronie.

PZ: Myślisz, że to możliwe? To przecież ledwie dziesięć lat.

JB: Chińczycy zazwyczaj mniej obiecują, a więcej robią. Odwrotnie niż ludzie Zachodu. To nie jest uwaga antyzachodnia, to fakt odnoszący się do panującej na Dalekim Wschodzie kultury konfucjańskiej. Na dodatek Chiń-

czycy ogłosili, że w 2031 roku uruchomią pierwszy emiter mikrofal, którym energia słoneczna będzie przesyłana do elektrowni na Ziemi. Pierwsza taka instalacja powstanie w Chongqingu, jednym z największych miast na świecie, położonym na granicy prowincji Syczuan. Jak więc widzisz, perspektywa czasowa nie jest wcale taka odległa.

Dokonało się ostatnio kilka przełomów technicznych. Przede wszystkim rakieta wielokrotnego użytku, która daje odpowiedni ciąg wystarczająco długo, żebyśmy spokojnie latali na niską orbitę. To jest właśnie *Starship*. Również sposoby wynoszenia się zmieniają. Virgin Orbit proponuje wynoszenie na samolocie *Cosmic Girl*, odpowiednio przystosowanym jumbo jecie, który w pewnym momencie uwalnia podwieszoną rakietę wynoszącą satelity na niską orbitę, na wysokość 500–600 kilometrów.

PZ: Mówisz głównie o technologiach cywilnych. A technologie wojskowe? Nasza książka nazywa się przecież *Nadchodzi III wojna światowa*. Jakie nowe zabawki dostaną do rąk chińscy i amerykańscy generałowie?

JB: Przyspieszenie wojskowe dokona się, gdy zostanie opracowane coś, co jest Świętym Graalem wojskowości: manewrujące pociski hipersoniczne, nie balistyczne, zdolne do lotów w atmosferze z prędkością od 5 do 25 machów. Trochę ponad pierwszą prędkość kosmiczną. Pocisków takich nie sposób wykryć na czas radarami naziemnymi ani, rzecz jasna, śledzić i nakierowywać na nie systemów przeciwrakietowych. W związku z tym radarowe systemy ich detekcji będzie trzeba umieścić w kosmosie. To spowoduje konieczność rozwoju broni laserowej. Tydzień przed naszą rozmową w amerykańskim Kongresie przesłuchiwany był dowódca sił kosmicznych, generał Jay Raymond. Kongresmani spytali go o prace nad bronią laserową i przyznał, że rozwijają ten program. Więcej zgodził się opowiedzieć tylko w trybie niejawnym. A to oznacza, że Amerykanie już pewnie mają te lasery. Wiadomo, że w zeszłym roku ćwiczyli strzelanie wiązką laserową z eksperymentalnego wahadłowca bezzałogowego, hybrydowego X-37B. Przełomem technicznym będzie silnik o większym impulsie właściwym – czyli dłużej dający ciąg – zasilany metalicznym (pod olbrzymim ciśnieniem) wodorem. To najnowszy wynalazek badaczy z Uniwersytetu Harvarda, choć są poważne kontrowersje, czy działa. Dużo się dzieje, tempo jest zawrotne.

PZ: Jak ma działać ten nowy supernapęd?

JB: Problem polega na tym, że obecnie strasznie ciężko oderwać się od Ziemi. Chodzi o czas spalania paliwa w rakiecie, w pewnym uproszczeniu oczywiście. Trwa to obecnie 300–400 sekund. I to w bardzo nowoczesnych silnikach. Chodzi o to, że to wciąż jest zbyt mało, żeby mieć zapas mocy wystarczający do tego, by wystartować, pokręcić wokół Ziemi kółeczka, wrócić i wylądować. Ale gdyby to było 1500 sekund, jak przy metalicznym wodorze, gdyby były napędy atomowe – które, nawiasem mówiąc, testowano już w latach sześćdziesiątych – to sytuacja byłaby znacznie lepsza.

PZ: Dlaczego zarzucono testy z napędem atomowym?

JB: No cóż, bo jak coś takiego wybuchnie podczas startu, to Ziemia ma problem. W związku z tym napęd atomowy powstanie, ale będzie prawdopodobnie włączany w rakiecie dopiero za strefą Księżyca. A potem dalej, podczas lotów na inne planety Układu Słonecznego. Tam to już nie ma znaczenia, bo opad radioaktywny w kosmosie jest nieistotny. Nie ma tam atmosfery. Nie ma żywych istot, które mogłoby to zabić. Ludzie będą więc przemieszczali się między Księżycem a Ziemią, czyli w obszarze okołoziemskim, za pomocą tradycyjnych silników chemicznych, jonowych oraz energii słonecznej. Natomiast dalej będzie już stosowany napęd atomowy. I to prawdopodobnie działający na zasadzie syntezy atomowej, fuzji helu-3.

To nie jest więc żadne science fiction. Przed kilkoma wiekami robili to samo Vasco da Gama, Magellan, Cortés. Ich też na początku traktowano jak marzycieli. To byli ludzie chciwi, mordercy, krwiopijcy. A jednocześnie ludzie nakręceni potrzebą prestiżu, ambicją, pieniędzmi, egzotyczną przygodą. Eksplorowaniem tego, co nieznane. Współcześni baronowie kosmosu są ich odpowiednikiem. Oni chcą zarobić pieniądze w kosmosie, a przy tym zapisać się złotymi zgłoskami w historii ludzkości. Ludzie nakręcani grzechem. To są właśnie Bezos, Musk i inni. Chińczycy zresztą też mają takich wizjonerów. My jednak pamiętamy Cortésa, Magellana czy Kolumba – to naprawdę nie byli mili ludzie.

PZ: Delikatnie mówiąc. Tam, dokąd docierali, natychmiast lała się krew.

JB: Ale oni skomunikowali ocean światowy, który dla ludzi ich epoki był równie niedostępny jak teraz dla nas przestrzeń kosmiczna. Wyobraźmy

sobie, że ktoś wtedy, w XV wieku, żył w Portugalii. Człowiek ten patrzył na zimne, potężne fale oceaniczne rozbijające się o skały. Woda po horyzont, gigantyczna przestrzeń, której nie sposób objąć rozumem. Żywioł, który wydaje się nie do poskromienia. A mimo to ci dzielni ludzie w swoich niewielkich łupinkach rzucili wyzwanie oceanom i ruszyli w nieznane. Część z nich zginęła, nim czegoś dokonała, ale inni przeszli do historii. Musieli opanować takielunek, omasztowanie, astrologię, astronomię, nawigację. Musieli zbudować i zaopatrzyć statek. Portugalska flota została zbudowana po to, żeby pokonywać fale Atlantyku. Do XIX wieku największym wydatkiem kapitałowym w biznesie było zbudowanie okrętu. Ale stopy zwrotu były gigantyczne. I tak samo będzie w kosmosie. Warto zwrócić uwagę, jakie są marże w przemyśle kosmicznym. Ile zarabia się pieniędzy, jak zaczyna się budować satelity. Produkcja farmaceutyków w warunkach mikrograwitacji, wydobycie minerałów, robotyka, sztuczna inteligencja, która będzie tym wszystkim zarządzać…

PZ: Czy Chińczycy mają odpowiednik US Space Force? Czy mają własne kosmiczne siły zbrojne?

JB: Nie mają takiego osobnego rodzaju wojsk. Siły kosmiczne są elementem II Korpusu Artylerii. Chińczycy są w związku z tym znacznie słabsi od Amerykanów na tak zwanych niskich orbitach Ziemi. To znaczy, że Stany Zjednoczone kontrolują strefę przybrzeżną oceanu kosmicznego, bo mają mnóstwo sprzętu po zimnej wojnie. Chińczycy oczywiście też mają dużo satelitów, ale stosują raczej tradycyjną strategię kontynentalnego mocarstwa szykującego się do walki z mocarstwem morskim. Tyle że przykładając ją do kosmosu. Chińczycy mają więc rakiety, które mogą zniszczyć amerykańskie sensory na niskich orbitach. Mają satelity ofensywne, które niczym samoloty myśliwskie będą zestrzeliwały amerykańskie satelity.

Chińczycy podjęli wielką strategiczną decyzję, że chcą ominąć amerykańską pętlę na niskich i średnich orbitach okołoziemskich. I od razu uderzyć na Księżyc. Tak samo, jak chciał zrobić Krzysztof Kolumb. Bo przecież Kolumb chciał dopłynąć do Indii, a nie do Ameryki, o której istnieniu nie wiedział, żeby ominąć arabską blokadę Lewantu na przepływach strategicznych. Dlatego też Portugalczycy pływali na południe, wokół Afryki. A Krzysztof Kolumb postanowił wybrać inną drogę – dookoła Ziemi. Moim

zdaniem Chińczycy chcą zrobić to samo Amerykanom. Uderzają wprost na Księżyc, chcą na nim być przed nimi, odmówić im dostępu, zbudować tam zdolności wojskowe i produkcyjne. Zwłaszcza na jego niewidocznej stronie.

PZ: Dlaczego akurat tam?

JB: Bo niewidoczna strona ma to do siebie, że jest niewidoczna (*śmiech*). Czyli nie wiadomo, co tam się dzieje. Wyobrażasz to sobie? Chińczycy będą coś robić na tej olbrzymiej przestrzeni i Amerykanie nie będą mieli o tym pojęcia! Chyba że w punkcie libracyjnym za Księżycem umieszczą satelitę przekaźnikowego. Ale Chińczycy będą starali się do tego nie dopuścić. Zresztą nawet jeśli Amerykanom jakimś cudem uda się to zrobić, to pamiętaj, że na Księżycu wszystko będzie się działo pod powierzchnią gruntu, bo Księżyc przecież nie ma atmosfery. Mało tego, jest ustawicznie bombardowany małymi obiektami kosmicznymi, mikrometeorytami. Dlatego też ma taką ospowatą powierzchnię, co widać gołym okiem z Ziemi. W związku z tym Księżyc może być wielkim podziemnym schronem Chin, z hermetycznymi grodziami i uzbrojeniem przeciw większym meteorytom, które mogłyby zniszczyć bazę. Taką umocnioną pozycją. Tylko muszą tam dotrzeć. Na Księżycu jest mnóstwo minerałów, łatwo się z niego startuje, bo nie ma tam atmosfery i jest bardzo słabe ciążenie. A jak nie ma atmosfery, to można startować pod każdym kątem, nie tak jak u nas, że koniecznie pionowo, żeby mieć najkrótszą drogę przez atmosferę. Księżyc to też wspaniałe miejsce do rozpoczęcia podróży dalej w kosmos. Poza tym będzie zapewniał surowiec. Wyobraź sobie, że na niewidocznej stronie Księżyca masz działo laserowe, które z największą we wszechświecie prędkością wyrzuca wysokoenergetyczną wiązkę światła. Wyobraź sobie, że to działo jest mobilne. I że przerzucasz je na widoczną stronę, gdzie oddaje strzał do amerykańskiego statku, który próbuje coś przetransportować między jedną a drugą orbitą. Bach! – i pojazd zostaje strącony. A potem to działo cofasz na niewidoczną stronę Księżyca, gdzie nieprzyjaciel nie może cię dosięgnąć. W ten sposób Chińczycy mogą się stać panami sytuacji.

PZ: Do tej pory w naszej rozmowie padły nazwy dwóch państw: Stany Zjednoczone i Chiny. Czy ten przewrót w geopolityce i technologii, rywalizacja w kosmosie dotyczy tylko ich? Czy też są jacyś inni gracze, którzy

mogliby się włączyć w walkę o kosmos? Ochotę miałaby na to zapewne Rosja, ale pytanie, czy ten zacofany kraj jest do tego technologicznie zdolny? Ale już przyszłe imperium europejskie – jeżeli Niemcom uda się je zbudować – mogłoby podjąć takie wyzwanie. A może do gry przystąpią jacyś nowi, nieoczekiwani gracze? Może Indie? Może Japonia? Coraz częściej w tym kontekście mówi się o Izraelu.

JB: Trudno przesądzić, jakie konkretnie państwa będą latać w kosmos. W książce, którą napisałem z Friedmanem, wskazuję jednak, że to, co będzie się działo w kosmosie, będzie ściśle powiązane z ziemską geopolityką. Tu występuje wyraźne iunctim. Zasady geopolityki ziemskiej muszą być zredefiniowane, bo pojawia się nowa domena rywalizacji. Tak samo było 500 lat temu, gdy pojawiła się nowa domena oceanu światowego i dokonała rewolucji w dotychczasowym układzie sił w Europie. Natomiast różnica między oceanem światowym a kosmosem jest taka, że wszyscy ludzie na Ziemi – ty i ja również – są sąsiadami w przestrzeni kosmicznej. Bo nad głową nas wszystkich jest linia Kármána, zaledwie 100 kilometrów nad nami zaczyna się kosmos. A nie każdy człowiek i nie każdy naród ma dostęp do morza. Żyjemy na powierzchni Ziemi, na jej skorupie, przykryci bardzo cienką warstwą gazów. Naprawdę cienką. To jest nasze miejsce we wszechświecie, tu się toczą nasze wojny, nasze kłótnie polityczne, tu zawierane są międzynarodowe porozumienia, nakładane podatki, tu zarabiamy pieniądze, zakładamy rodziny, kochamy i zdradzamy. Ale przecież nad tym ciasnym miejscem zwanym Ziemią rozciąga się niezmierzony ogrom przestrzeni kosmicznej. A ludzkość właśnie po nią sięga.

PZ: W czasach wielkich odkryć geograficznych rzeczywiście uprzywilejowane były nacje, które żyły nad wielkimi wodami. Ale i teraz szanse nie są równe. To, że wszyscy żyjemy w takiej samej odległości od kosmosu, jest jasne. Ale barierą w jego eksploracji są kwestie technologiczne i finansowe. Do tego trzeba mieć hi-tech i wielkie pieniądze.

JB: Trzeba tylko nabyć te zdolności. Uwierzyć w siebie, patrzeć szeroko i działać z rozmachem. Izrael już się w to zaangażował, a przypominam jeszcze raz – ma PKB mniejszy od Polski. A jakimś sposobem ma bardzo obiecujący program kosmiczny. Izrael sam wynosi satelity, próbował wysłać na Księżyc bezzałogowy statek. Nie wyszło, ale próbował. I pewnie

kolejna próba się powiedzie. Przecież to sensory z kosmosu pomagają Żelaznej Kopule zestrzeliwać rakiety nadlatujące z Palestyny i Libanu. Bez sensorów w kosmosie Izraelczycy nie zdołaliby opracować tak skutecznego systemu. Mało tego, własne zdolności kosmiczne mają Turcja i Etiopia. Tak, to nie pomyłka, Etiopia. Dokonuje się wielka proliferacja. W tej chwili nie trzeba wynosić satelitów własnymi rakietami, można po prostu wykupić taką usługę. W czasie zimnej wojny mogły to oczywiście robić tylko mocarstwa – USA i Związek Sowiecki. Ale teraz to już jest prywatny biznes, firmy w Nowej Zelandii czy w Stanach Zjednoczonych, a nawet w Niemczech, oferują takie możliwości każdemu, kto jest gotowy za to zapłacić. Zadzwoń do Elona Muska, a on wyniesie w kosmos twoje satelity. Tym sposobem niektóre polskie firmy mają już swoje satelity. U Chińczyków też można coś takiego wykupić, bo to oni obecnie najczęściej latają w kosmos. I to jest przełom. Wystarczy wynieść satelitę i już jesteś w kosmosie. To wszystko zasuwa wokół Ziemi z olbrzymią prędkością i daje możliwość dowodzenia z kosmosu, przesyłania i analizowania danych, obserwacji. Obserwacji dowolnego punktu na globie. Możesz określić zadania takiego satelity w dowolny sposób. To nowa sytuacja dająca wielką szansę państwom średnim, które z pomocą innych mogą znacząco zwiększyć swoje możliwości biznesowe, ale również rozpoznaniu wojskowemu.

PZ: No tak. Armia Nowego Wzoru. Trudno sobie wyobrazić, że mielibyśmy powstrzymać Rosję, jeżeli nie będziemy prowadzili obserwacji i nie będziemy mieli komunikacji satelitarnej.

JB: Swoją drogą w roku 2021 w Polsce wreszcie coś zaczęło się ruszać. Politycy zaczęli trochę o tym mówić, pojawiły się pierwsze pieniądze, pierwsze pomysły. Tak że coś tam drgnęło. Co z tego wyjdzie – zobaczymy.

PZ: Ale co z Rosją? Myślisz, że Rosja włączy się do wielkiej rywalizacji kosmicznej? Nie mam na myśli satelitów, bo te Rosja ma, ale kolonizację Księżyca, loty na Marsa i dalej?

JB: Rosjanie nie mają teraz na to pieniędzy, nie mają też takich zdolności jak Amerykanie i Chińczycy. Ale mają wielki program kosmiczny i wielkie osiągnięcia z czasów Związku Sowieckiego. Gdy pisałem tę książkę i mnó-

stwo czytałem na ten temat, byłem pod wrażeniem, jak Sowieci stworzyli swój program kosmiczny. Mieli się czym pochwalić.

PZ: Ale to były stare czasy. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat na świecie dokonał się wielki przewrót technologiczny. Rosja została w tyle. Czy wiesz, że do dzisiaj w Rosji schodzą z linii produkcyjnej nowe łady? Tak, trudno w to uwierzyć, ale w Rosji można kupić nową ładę, która wygląda dokładnie tak samo jak 50 lat temu. Na takim poziomie technologicznym stoi dziś Federacja Rosyjska, której spora część ludności żyje w rozpadających się kurnych chatach i slumsowatych blokowiskach. Czy Rosjanie mogliby więc włączyć się na poważnie w kosmiczną rywalizację na linii USA–Chiny?

JB: Coś w tym jest. Ale podczas poprzedniego spotkania rozmawialiśmy przecież o zagrożeniu nową Jałtą. Rosjanie często negocjują z Zachodem. Pozwalają się wykorzystywać do gry balansującej państw zachodnich, ale w zamian żądają zapłaty: kapitałów i technologii. Podobnie może być teraz. To może być część rachunku, jaki Rosja wystawi Amerykanom za pomoc w walce z Chinami. W czasie bitwy pod Stalingradem najgwałtowniejsze walki miejskie toczyły się wokół sławnej fabryki traktorów. Czy wiesz, kto zbudował tę fabrykę?

PZ: Oczywiście. Amerykanie.

JB: A konkretnie Albert Kahn. W latach trzydziestych amerykańskie maszyny były masowo eksportowane do Związku Sowieckiego. Amerykanie budowali całe fabryki. Na kontrakty wyjeżdżali amerykańscy inżynierowie. W tym samym czasie w Sowietach trwało masowe mordowanie i wielkie wywłaszczenia chłopów w ramach kolektywizacji. Wielki terror NKWD. Ale *business is business*. Nikogo to nie obchodziło. W realizacji stalinowskiego planu pięcioletniego, wielkiej industrializacji, olbrzymią rolę odegrał Albert Kahn, twórca potęgi Detroit, Chryslera i Forda, pierwszych fabryk czołgów w USA. Jego biuro projektowe postawiło mnóstwo fabryk w Związku Sowieckim, morderczym państwie totalitarnym. Powinno to być lekcją dla elit w Polsce. Rosjanie naprawdę co pewien czas są potrzebni państwom zachodnim w ich grach. A w zamian za to dostają kapitały i technologie. Tak samo było przecież przed I wojną światową

z kapitałem francuskim. Prawa człowieka, „dobro” i „zło” nie mają w tych rozgrywkach żadnego znaczenia.

PZ: Jest taka dowcipna książka *Afronauci. Z Zambii na Księżyc*. Wyobraź sobie, że Zambia w latach sześćdziesiątych miała program kosmiczny. Działał tam taki nieco postrzelony naukowiec, nazywał się Edward Makuka Nkoloso. On wierzył, że jego ojczyzna wyprzedzi Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki w kosmicznym wyścigu. Pierwszy człowiek, który wyląduje na Księżycu, będzie Zambijczykiem, a potem Zambia skolonizuje Marsa. Nawet miało się odbyć odpalenie pierwszej zambijskiej rakiety kosmicznej ze stadionu olimpijskiego w Zambii. Oczywiście była to farsa, nic z tego nie wyszło. No i teraz przechodzę do mojego pytania. W naszym kraju istnieje coś takiego jak Polska Agencja Kosmiczna. Mają tam nawet wicedyrektora do spraw technologii militarnych. Czy to jest też swego rodzaj happening, jak w wypadku Zambii, czy też widzisz realne, poważne możliwości, żeby Polska wzięła udział w rywalizacji w kosmosie?

JB: Nie, nie wierzę, żeby Polska mogła włączyć się do rywalizacji w kosmosie między wielkimi mocarstwami. Natomiast Polska na pewno powinna popierać naszych przedsiębiorców, którzy starają się zaistnieć w kosmosie, uczestniczą w globalnym rynku kosmicznych produktów i usług. Kolejny poziom to kwestia bezpieczeństwa. Komunikacji naszego MSZ-u, komunikacji wojska, dowodzenia armią. Powinniśmy stworzyć własne konstelacje oraz system dowodzenia. Program satelitarnej obserwacji. Analizy danych. To wszystko brzmi niesamowicie, ale jest znacznie tańsze niż jeden myśliwiec F-35. A na nowoczesnym polu bitwy jest stokroć ważniejsze. Bo kto widzi więcej i szybciej potrafi przetworzyć informację – wygrywa.

PZ: No proszę, to jestem zaskoczony. Myślałem, że to są wszystko bardzo drogie sprawy.

JB: Przełomy technologiczno-wojskowe nie dokonują się dlatego, że ktoś wymyślił coś droższego niż uprzednio dostępne technologie. Prawdziwe przełomy na polu walki dokonują się, gdy ktoś wymyśli coś dużo prostszego, tańszego, wyglądającego bardziej prymitywnie. Coś, co jest banalnie proste, ale neutralizuje stare, często bardzo kosztowne systemy. W 1415

roku w bitwie pod Azincourt użyty przez Anglików długi łuk zniszczył kwiat francuskiego rycerstwa. Niewielki samolocik zrzucający bomby zniszczył potężne pancerniki, które dominowały od czasu I wojny światowej. Dron zaczyna niszczyć czołgi. Rakiety przebijają najgrubsze pancerze. Zresztą to jest historia stara jak świat. Dawid zabił Goliata. Wbrew pozorom Goliat nie miał żadnych szans. Żal mi nawet trochę tego Goliata, bo gdy przystępował do tej walki, był z góry skazany na porażkę. Mimo że pierwsze wrażenie było zupełnie inne – Dawid był mały, słaby, bez pancerza, uzbrojony tylko w jakąś śmieszną procę, okryty owczą skórą. Tymczasem ta „śmieszna proca" okazała się zabójczo skuteczna. Życzę naszym decydentom, którzy odpowiadają za modernizację Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej, żeby zrozumieli, na czym to polega.

PZ: Tak, mówiliśmy o tym, rozmawiając o Armii Nowego Wzoru. Drony, satelity, komputery, specjaliści. A nie masy czołgów czy oddziały amatorów z pospolitego ruszenia.

JB: Kosmos daje naprawdę niesamowite zdolności i możliwości. Satelity są tanie, nanosatelity są taniutkie, wynoszenie ich w przestrzeń kosmiczną również jest coraz tańsze. A przecież satelitę dużo trudniej zestrzelić niż samolot. Weźmy przykład słynnego amerykańskiego samolotu szpiegowskiego U-2 pilotowanego przez Francisa Gary'ego Powersa. Maszyna została zestrzelona w 1960 roku, gdy robiła zdjęcia sowieckich baz. Po tym incydencie Amerykanie podjęli decyzję, że teraz to satelity muszą rozpoznawać terytorium przeciwnika. Bo one są poza zasięgiem sowieckich rakiet i lotnictwa. Na początku były oczywiście drogie, bo to była nowość, ale teraz są coraz bardziej dostępne. W tym biznesie nie ma jeszcze utrwalonych interesów, łańcucha pośredników i dostaw, tłustych spółek skarbu państwa. Jest swoboda i konkurencyjność. A co za tym idzie – to wszystko jest łatwo dostępne i coraz tańsze.

PZ: Jeszcze raz składam ci wielkie gratulacje z powodu wydania książki *Wojna w kosmosie. Przewrót w geopolityce* z George'em Friedmanem. To jest – mówiąc kolokwialnie – wielka szycha wśród amerykańskich analityków. Wasza książka wyjdzie również po angielsku i tym sposobem Jacek Bartosiak – używając terminologii geopolitycznej – wypłynie z wąskich mórz polskiej przestrzeni językowej na wielkie oceany świata anglojęzycz-

nego. Widziałem, że pisząc książkę, przeprowadziłeś „wizję lokalną”. Na swój profil na Twitterze wrzuciłeś swoje fotografie na tle starshipa. Opowiedz coś o tej podróży.

JB: Zostałem zaproszony przez Virgin Orbit, firmę Richarda Bransona. Na pustyni Mojave i w Wielkiej Brytanii ma ona kosmiczne instalacje. Wynosi z nich satelity. Najpierw byłem w Wielkiej Brytanii oglądać port kosmiczny w Newquay, świeżo otwarty, a potem poleciałem do Stanów. Będąc na pustyni Mojave, postanowiłem wykorzystać okazję i pojechałem do ośrodka SpaceX w Boca Chica w Teksasie. To było niemal po drodze, bo musiałem się zobaczyć z Friedmanem, który mieszka pod Austin. Jakieś sześć godzin jazdy samochodem. Pomyślałem więc sobie, że zobaczę, co się dzieje w Boca Chica. To jest niedaleko granicy z Meksykiem. I to była dobra decyzja – było wspaniale. Pokręciłem się przez dwa–trzy dni w tym ośrodku, zobaczyłem, jak działa dzisiejsza szkoła nawigatorów, jak wygląda miejsce, które przypomina port, z którego przed setkami lat europejscy żeglarze wyruszyli na podbój Nowego Świata. I wygląda to niesamowicie. To nie jest system sowiecki, że wszystko jest otoczone drutami kolczastymi i patrolowane przez wartowników z dobermanami. Tam nawet nie ma płotu! Elon Musk ma taką zasadę, że pokazuje swoje osiągnięcia wszystkim. Jak się rozpadnie jakaś rakieta, to cały świat może oglądać to na żywo na YouTubie. Mogłem więc zobaczyć, jak powstaje nowe miasto. Do Boca Chica ściągają z całego świata inżynierowie, robotnicy, eksperci. Budują, mierzą, obliczają, konstruują nowe systemy. Mieszkają często w spartańskich warunkach – w kontenerach, w domkach kempingowych. I nazywają alejki, przy których je stawiają. Widziałem tam na przykład ulicę Olympus Mons, czyli największej góry na Marsie i w Układzie Słonecznym. Obok stoją starshipy. To wszystko wygląda jak fabryka w trakcie rozbudowy. Tak musiała kiedyś wyglądać industrializacja. Najpierw jest chaos, z którego potem wyłania się porządek. Jest co prawda posterunek, przez który się przejeżdża przy przyjeździe i wyjeździe. Amerykanie sprawdzają, czy się czegoś nie wywozi przez granicę meksykańską. Ale poza tym pełna swoboda. Ja jeździłem tam wkoło przez kilka dni. Nagrywałem filmiki i robiłem zdjęcia. Wspaniała przygoda.

PZ: Ten ośrodek jest zbudowany na pustyni?

JB: Nie, około 100 metrów od plaży. Bo ze względów bezpieczeństwa startuje się w stronę morza. Chodzi o to, żeby rakiety – jeżeli coś pójdzie nie tak – nie spadały na ziemię, na ludzi. Tak samo było w niemieckim Peenemünde i tak samo jest w Cape Canaveral NASA. Zresztą Musk ćwiczy też starty z mobilnych platform morskich. To też jest przyszłość, bo gdy tylko wybuchnie wojna o panowanie w kosmosie, celem drugiej strony będzie zniszczenie systemów wyrzutni, wynoszenia statków i satelitów. A także centrów dowodzenia na ziemi. W związku z tym Chińczycy na pewno uderzą rakietami w Boca Chica i Canaveral. Dlatego też wszystko powinno być jak najbardziej mobilne i rozproszone. Aby nie dać sparaliżować swoich systemów w pierwszych godzinach wojny, Amerykanie będą musieli pójść w platformy morskie, wynoszenie samolotami czy kosmiczne stacje bojowe. Podczas mojego pobytu w Boca Chica mogłem zajrzeć za kulisy przyszłości. Polecam wszystkim taką wyprawę.

PZ: Zazdroszczę ci tej podróży. Jeśli będę jeszcze kiedyś w Teksasie, na pewno tam zajrzę. Gdybyś żył w epoce wielkich odkryć geograficznych, mógłbyś udać się do jakiegoś portugalskiego czy hiszpańskiego portu i przejechać dłonią po drewnianej burcie galeonu szykującego się do dziewiczego rejsu do Ameryki. A ponieważ żyjesz w XXI wieku, pojechałeś do Boca Chica i dotknąłeś pokrycia starshipa. To musiało być podobne uczucie.

JB: To pokrycie jest ze stali nierdzewnej, a nie z jakichś kompozytów. Można zobaczyć na YouTubie wspaniałe przemówienie Elona Muska w Boca Chica. Wiatr rozwiewa mu włosy, a on opowiada, jak wybrał tę stal, podaje jej numer, kod, jaki to jest rodzaj. Elon Musk to nie jest zwykły inwestor, który dał pieniądze zarobione w innych branżach i teraz liczy na zarobek w kosmosie. Pieniądze są oczywiście ważne, ale to coś więcej. Elon Musk to Henryk Żeglarz naszych czasów. On zna się na mechanice orbitalnej opisanej przez Keplera, na rakietach. Mówi o tym z wielką znajomością rzeczy. To jeden z twórców nowej epoki. Czeka nas wielka rewolucja, która poprowadzi ludzkość ku gwiazdom.

Źródło: „Historia Realna” 9 lipca 2021

Rozmowa 10

Czy Izrael przetrwa na Bliskim Wschodzie?

PZ: Gdy rozmawiamy, sytuacja jest dramatyczna. Codziennie słyszymy o rakietach wystrzeliwanych z Palestyny, o izraelskich nalotach. O kolejnych ofiarach śmiertelnych, szczególnie w Strefie Gazy, gdzie pod izraelskimi bombami giną masowo kobiety, dzieci. Czy to będzie silne, ale krótkie wyładowanie? Czy może powinniśmy spodziewać się na Bliskim Wschodzie wojny na większą skalę?

JB: To zależy od perspektywy. Jeżeli spojrzymy na ten konflikt z lotu ptaka, to dojdziemy do wniosku, że wojna trwa od lat. I uczestniczy w niej nie tylko Izrael, ale niemal cały Bliski Wschód. Ta wielka, ciągnąca się wojna została zapoczątkowana przez amerykańską interwencję w Afganistanie, która nastąpiła w 2001 roku zaraz po atakach na World Trade Center i Pentagon, ale przede wszystkim przez inwazję na Irak. Ta ostatnia zburzyła kruchą równowagę sił w tym newralgicznym regionie świata.

PZ: Dodajmy, że bogatym w ropę naftową, jeden z najważniejszych surowców świata. A jednocześnie, z politycznego punktu widzenia, regionie bardzo skomplikowanym. W którym żyją Żydzi i Arabowie, wyznawcy judaizmu, chrześcijanie oraz muzułmanie – sunnici i szyici. Multum złożonych, długoletnich konfliktów. Mam nieodparte wrażenie, że Amerykanie nie zdawali sobie sprawy, na co się porywają.

JB: Stany Zjednoczone to mocarstwo morskie. I Amerykanie po prostu nie byli w stanie ustabilizować na powrót Bliskiego Wschodu – tego wielkiego tygla narodów i sprzecznych interesów. Tak jak się wylewa beton, żeby ustabilizować rozhuśtany budynek. Tego „betonu” Amerykanie mieli za

mało. Gdy w Kuwejcie i Iraku było duże nasycenie amerykańskimi wojskami lądowymi, to jeszcze nie wyglądało tak źle. Ale Amerykanie z czasem słabli i w końcu zrezygnowali z dużej obecności. Sukcesywnie się wycofywali. I stabilizacja natychmiast padała.

PZ: Weźmy Irak i sukces ISIS, czyli Państwa Islamskiego.

JB: Tak, to dobry przykład. Mamy więc na Bliskim Wschodzie do czynienia z nową wojną trzydziestoletnią, podobną do tej, która szalała po Europie w XVII wieku. W Europie taka wielka systemowa wojna o dominację wybuchała mniej więcej raz na sto lat. Jej przyczyna zawsze była taka sama: zburzenie starej równowagi sił między mocarstwami. Destabilizacja Iraku przez Amerykanów doprowadziła do zniszczenia porządku, który z pewnymi poprawkami funkcjonował na Bliskim Wschodzie od końca I wojny światowej. Rzecz jasna ten ład został znacząco zmieniony w roku 1948. Mam oczywiście na myśli proklamację niepodległości Dawida Ben Guriona i powstanie państwa Izrael. Początkowo bardzo słabego, wycinkowego, bardzo biednego. Otoczonego przez morze wrogich państw, narodów i ludów. Od tej pory trwa nieustająca wojna między Izraelczykami a Palestyńczykami o przestrzeń życiową. Nie będę udawał, że umiem rozstrzygnąć, kto ma rację w tym konflikcie.

PZ: No cóż, obie strony – jak zawsze w wypadku wojen – mają swoją rację. Bez wątpienia jednak powstanie Izraela było niczym w zestawieniu z totalną destabilizacją i destrukcją, jaką na Bliski Wschód przynieśli Amerykanie. To jest naprawdę coś niebywałego. Począwszy od interwencji w Iraku, tam cały czas coś się sypie: Libia, Tunezja, Egipt, Jemen, a wreszcie niezwykle drastyczna i krwawa wojna domowa w Syrii. Prawdziwy kataklizm. Dodajmy do tego Państwo Islamskie i rozbabranie kwestii kurdyjskiej. Zgadzam się więc z tobą, że Bliski Wschód płonie od dwudziestu lat. Ale jeżeli chodzi o konflikt izraelsko-palestyński, to jest to raczej wojna stuletnia. Trwa bowiem ze zmienną intensywnością od 1948 roku i nic nie wskazuje na to, by szybko się skończył. Jest to klasyczny konflikt o ziemię, bo państwo Izrael powstało przecież kosztem ludności palestyńskiej. Aby mogły powstać izraelskie miasta i kibuce, Żydzi wypędzili setki tysięcy Arabów.

JB: To sprawia, że ten konflikt jest nierozwiązywalny. To jest gra o sumie zerowej. Amerykanie w 2003 roku uruchomili kaskadę zdarzeń, które doprowadziły do destabilizacji. Ale do tej gry natychmiast zasiedli inni. Bliski Wschód destabilizują wzrastające w siłę Turcja i Iran, ale również Rosjanie, w ostatnich latach niezwykle aktywni w tej części świata. Izraelczycy, którzy mają bardzo małe państwo, by zapewnić sobie bezpieczeństwo, również destabilizują swoje otoczenie, w tym strefy buforowe: południowy Liban, Synaj, Strefę Gazy i Wzgórza Golan. Także w Syrii wciąż panuje chaos – zdestabilizowana strefa sięga tam niemal do Damaszku. Przez długi czas Izrael kontrolował Jordanię, a są tacy, którzy twierdzą, że za pośrednictwem swych tajnych służb kontroluje Jordanię do dziś.

PZ: Tu muszę zaprotestować w imieniu jordańskiego monarchy króla Abdullaha II. On tak łatwo kontrolować się nie da (*śmiech*). Izraelsko-jordańska współpraca wywiadowcza to fakt, ale ten układ opiera się na pragmatycznej wspólnocie interesów. Natomiast czy myślisz, że dojdzie do – zapowiadanej tyle razy – wielkiej izraelskiej inwazji lądowej na Strefę Gazy? Czy skończy się na tradycyjnym ostrzeliwaniu się z powietrza?

JB: To kwestia ewolucji pola walki, ale również historii konfliktu. Otóż Żydzi przyjeżdżali na Bliski Wschód w ramach kolejnych fal osadniczych od końca XIX wieku. Wspomniany Ben Gurion przyjechał jeszcze przed I wojną światową. Na początku stanowili skromną mniejszość i byli raczej biedniejszymi mieszkańcami tego obszaru, który nazywamy Palestyną.

PZ: Dodajmy mały rys historyczny: Palestyna przez stulecia należała do imperium osmańskiego. Po I wojnie światowej – w której Turcja wzięła udział po stronie państw centralnych – jej posiadłości zostały podzielone przez zwycięskich aliantów. Palestyna, w formie terytorium mandatowego, przypadła Wielkiej Brytanii.

JB: Ale to było rozwiązanie tymczasowe. Do terytorium tego rościli sobie bowiem prawo zarówno Żydzi, jak i Arabowie, którzy żyli tam obok siebie. I żyją obok siebie do dziś. Bo nie wszyscy Arabowie uciekli lub zostali wypędzeni. Ktoś, kto był w Tel Awiwie, wie, że jeśli się przejść plażą na południe, to dociera się do Jaffy, a to jest miasto arabskie.

PZ: To samo w Jerozolimie. Miasto jest podzielone na pół. W Jerozolimie Zachodniej mieszkają Żydzi, w Jerozolimie Wschodniej – Arabowie. Dopiero potem jest mur i zaczyna się Zachodni Brzeg Jordanu.

JB: Gdy w 1948 roku doszło do proklamowania państwa żydowskiego, Żydów było po prostu mniej. Byli biedniejsi, bardzo słabo uzbrojeni. Na dodatek przeciwnikiem Żydów w okresie powstawania państwa byli nie tylko Arabowie, ale i Brytyjczycy. Podziemne organizacje niepodległościowe robiły zamachy terrorystyczne na żołnierzy brytyjskich. Najsłynniejszy i najbardziej krwawy z nich to wysadzenie hotelu King David w Jerozolimie w lipcu 1946 roku. Zginęło wtedy dziewięćdziesiąt jeden osób.

PZ: Tak, Irgun i Lechi, potocznie zwana Gangiem Sterna. Te dwie podziemne grupy rzeczywiście były ekstremistyczne i terrorystyczne. Wywodziły się z ruchu syjonistyczno-rewizjonistycznego, którego spadkobiercą jest partia Likud wielokrotnego premiera Binjamina Netanjahu. Prowadzi to do osobliwego paradoksu. Otóż izraelska prawica uważa wspomniane zamachy terrorystyczne za słuszne, a ich sprawców za bohaterów narodowych i męczenników. Jednocześnie zaś takie same zamachy dokonywane obecnie przez Hamas uważa za akty „azjatyckiego barbarzyństwa dzikich Arabusów”. Jak widać, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

JB: Tak jest. Pamiętajmy, że Niemcy o żołnierzach polskiej konspiracji niepodległościowej też mówili jako o bandytach i terrorystach. Z kolei Rosjanie mówili tak o Czeczenach…

PZ: …a Amerykanie o Irakijczykach i Afgańczykach.

JB: To wszystko były konflikty asymetryczne. Terror jest po prostu bronią słabszego używaną wobec silniejszego. Tak jest od zawsze, jak świat światem. Żydzi zresztą stosowali te metody, i to skutecznie, już przeciw armii rzymskiej w I wieku. Od tego zaczęła się przecież cała historia z wypędzeniem Żydów z Ziemi Obiecanej, z Jerozolimy. Mowa o wojnie żydowskiej, którą tak pięknie opisuje Józef Flawiusz. Nawiasem mówiąc, to niesamowita książka, pełno w niej niebywałych szczegółów. Jeden z nich sprawdziłem po dwudziestu wiekach, gdy przyjechałem do Jerozolimy. Okazało się, że Józef Flawiusz precyzyjnie opisał pewne schodki w Świętym Mieście.

Wracając do meritum: profesjonalne armie zawsze uznają walczących z nimi amatorów za terrorystów.

PZ: Dla mnie sprawa jest prosta. Bojownikiem o wolność jest ten, kto zabija żołnierzy wroga. Terrorystą jest ten, kto zabija niewinnych cywilów. Dla izraelskiej prawicy terrorystą jest zaś ten, kto zabija Żydów. To dość specyficzna logika.

JB: Gdy już wspomniałeś o Irgunie, warto przypomnieć, że szef tej organizacji, Menachem Begin, to przecież dezerter z armii generała Andersa. Armia ta bowiem po opuszczeniu Związku Sowieckiego przez Iran dotarła do Palestyny. I tam część żołnierzy żydowskiego pochodzenia nagle się ulotniła i wsiąkła w struktury miejscowego podziemia.

PZ: Formalnie żydowscy żołnierze zdezerterowali, ale Anders tak naprawdę przymknął na to oko. Pozwolił im opuścić szeregi i przystąpić do syjonistycznej konspiracji. I słusznie – nic na siłę.

JB: Irgun ma pewne zasługi. Ale warto pamiętać, że w czasie wojny o niepodległość Izraela w 1948 roku organizacja ta dopuściła się czynów, które doprowadziły do wspomnianego przez ciebie wielkiego exodusu ludności arabskiej z obszaru, który obecnie zajmuje Izrael. Do tej pory te masakry arabskich wiosek – najgłośniejsza miała miejsce w Dajr Jasin – są przedmiotem dyskusji historyków. Czy to było celowe, czy niecelowe? Czy chodziło o to, żeby przestraszyć resztę Arabów i skłonić ich do ucieczki, żeby zrobili miejsce dla Żydów? Zresztą Menachem Begin był premierem w czasie inwazji na Liban w 1982 roku i wówczas doszło z kolei do wielkiej masakry w obozach dla palestyńskich uchodźców, Sabrze i Szatili.

PZ: Tak, to było wielkie ludzkie nieszczęście. Mordercami byli chrześcijańscy bojówkarze z paramilitarnej „Falangi”, ale do masakr doszło za przyzwoleniem izraelskiego wojska, które kontrolowało teren.

JB: Historia Izraela – tak jak każdego państwa, ze Stanami Zjednoczonymi włącznie – zawiera rozmaite opowieści, także obrzydliwe z punktu widzenia słuszności, moralności. Ale wielka polityka i geopolityka oczywiście nie kierują się takimi prawidłami i nasze rozmowy tego nie zmienią. Takie są po prostu strukturalne zasady, tak to się właśnie odbywa.

PZ: Oczywiście, nie zmienimy tego. Ludzie mordowali swych bliźnich od zarania dziejów. Przemoc jest naturalnym elementem polityki. Ale należy o tym wszystkim mówić otwarcie, bez przemilczeń i cenzury. A nie udawać, że są na świecie państwa, które kierują się wyłącznie dobrem i wzniosłymi ideałami. Liczą się tylko interesy.

JB: Izrael jest w tym bardzo skuteczny. W 1948 roku, mimo dysproporcji sił, wygrał wojnę o niepodległość. Potem przyszedł rok 1956 i wojna z Egiptem o Kanał Sueski, ciężkie zmagania na wyczerpanie na półwyspie Synaj. Później wojna sześciodniowa w 1967 roku. Spektakularne, błyskawiczne zwycięstwo Izraelczyków nad Egiptem, Jordanią i Syrią. Nawiasem mówiąc, to bardzo pouczająca lekcja dla Polaków. Izrael był wówczas znacząco słabszy od swych arabskich sąsiadów. Teraz państwo żydowskie ma oczywiście nad Arabami znaczącą przewagę w drabinie eskalacyjnej, w rozwoju technologicznym. Tak jednak nie było w 1967 roku. Wówczas miał znaczącą niedowagę liczebną i wyjątkowo niekorzystny przebieg granic. Ale zaatakował z zaskoczenia. Miał lepsze dowodzenie, lepszy pomysł, inicjatywę. Żołnierz izraelski był lepiej wyszkolony niż arabski. Rok 1967 to był wielki triumf izraelskiej sztuki wojennej. Ale – z drugiej strony – wtedy też zaczęły się te problemy, od których zaczęliśmy dzisiejszą rozmowę. W wyniku tej wojny Izrael zajął bowiem to, co dziś nazywane jest „terytoriami okupowanymi". Zachodni Brzeg Jordanu, wschodnią Jerozolimę, Wzgórza Golan i Strefę Gazy. Od tego zaczęła się ta nowa, „imperialna" epoka w dziejach Izraela. Z narodu, który ledwie wiązał koniec z końcem, Izraelczycy przeistoczyli się powoli w nowoczesne, zamożne społeczeństwo. Z rozmów ze starymi Izraelczykami wiem, że w latach sześćdziesiątych żyło się tam bardzo skromnie.

PZ: Rok 1967 to również przełom w psychice Izraelczyków.

JB: Izrael z dnia na dzień stał się siłą okupacyjną. Poborowi izraelskiej armii (wtedy służba wojskowa trwała trzy lata dla mężczyzn i dwa dla kobiet) nagle znaleźli się w zupełnie nowej roli. Do tej pory byli armią „bojowników o wolność", wzorowaną na armii żydowskich powstańców walczących z Rzymianami w I wieku. Przecież przysięgę na wierność państwu Izrael żołnierze składają w Masadzie. Raptem nastał rok 1967 i Izrael-

czycy znaleźli się w sytuacji moralnie dwuznacznej. Stali się okupantami, a nie ofiarami.

PZ: Wspomniałeś, że dużo rozmawiałeś ze starymi Izraelczykami. W jakich okolicznościach?

JB: Tu muszę wprowadzić wątek osobisty. Otóż w latach dziewięćdziesiątych i później wielokrotnie spędzałem wakacje w Izraelu. Wynikało to z tego, że moja prababcia w czasie wojny uratowała Żydówkę i miała tytuł Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. Jedna z sióstr tej uratowanej pani wyjechała jako osadniczka do Palestyny jeszcze przed wojną. Mieszkała w kibucu między Afulą i Tyberiadą. Spędzałem więc mnóstwo czasu z lewicowymi Żydami. To był klasyczny socjalistyczny kibuc ze wspólną własnością środków produkcji, ze wspólnymi posiłkami. Rozmawiałem zarówno ze starymi Izraelczykami, jak i młodymi ludźmi, którzy akurat szli do wojska. Dręczyło ich napięcie moralne związane z rolą, którą Izrael odgrywał na Zachodnim Brzegu Jordanu.

PZ: Od 1967 roku minęły już pięćdziesiąt cztery lata. A więc terytoria palestyńskie znajdują się pod okupacją Izraelczyków od ponad pół wieku! Cały czas napływają tam nawiedzeni żydowscy osadnicy ze Stanów i budują sobie otoczone drutem kolczastym domy. Najlepszym przykładem jest Hebron, gdzie garstka fanatyków religijnych żyje w twierdzy wciśniętej w wielkie arabskie miasto. Z każdym dniem, tygodniem, miesiącem i rokiem konflikt ten staje się coraz bardziej nierozwiązywalny. Pamiętajmy jednak, że to się zaczęło już dwadzieścia lat wcześniej – w roku 1948 – wielkim wypędzeniem Arabów, czyli Nakbą. Słynne syjonistyczne hasło mówiło, że „Palestyna jest ziemią bez ludu dla ludu bez ziemi”. Ale to była nieprawda. Bo tam przecież mieszkali Arabowie. Dlatego sama idea syjonistyczna, czyli pomysł budowy państwa żydowskiego na Bliskim Wschodzie, niosła zarzewie krwawego konfliktu z miejscową ludnością. Mówiłeś o asymetryczności tego konfliktu. Tę asymetryczność jaskrawo widać również w bilansie ofiar. To coś szokującego. W czasie eskalacji konfliktu w 2021 roku zginęło piętnastu Izraelczyków i kilkuset Palestyńczyków. W dużej części kobiety i dzieci. W Strefie Gazy izraelskie bomby zabijały całe wielodzietne rodziny. W gruzy waliły się wieżowce mieszkalne. Makabra.

JB: To wynika z przewagi technicznej Izraela nad Palestyńczykami. Mówiliśmy o masakrach w Libanie, mówiliśmy o osadnikach, którzy przemocą zabierają ziemię na Zachodnim Brzegu Jordanu. Dodajmy do tego słynny mur, który Izraelczycy zbudowali na granicy z terytoriami palestyńskimi. Ten mur wygląda strasznie. Izraelczycy zresztą zdają sobie z tego sprawę i dlatego nazywają go *security fence*, „ogrodzenie ochronne", żeby nie kojarzył się z murami gett żydowskich. Klasyczna hipokryzja. Światem rządzi siła i Izrael tę siłę ma. Ale jest ona relatywna. I ta relatywność przejawia się oczywiście w bilansie ofiar przy kolejnej wymianie ciosów między Hamasem a Izraelem. Izraelczycy zdają się kontrolować tę drabinę eskalacyjną…

PZ: Ale…

JB: …ale nie jestem pewien, czy w perspektywie długofalowej Izrael rzeczywiście wygrywa. Należy spojrzeć szerzej – na zmianę sytuacji na Bliskim Wschodzie. Iran coraz pewniej zmierza ku broni atomowej, Turcja jest coraz potężniejsza. W regionie pojawiają się Chińczycy. Amerykanie zaś, główny gwarant istnienia Izraela, drastycznie słabną. Do tego płonie Syria, bezpośrednie przedpole Izraelczyków. Używając polskiego porównania, to tak, jakby u nas płonęła Białoruś. Gdyby Izrael nie kontrolował Wzgórz Golan, to ten chaos, przemoc wojny domowej już dawno by się rozlały na jego terytorium. Wszystkie te czynniki sprawiają, że Izrael tak naprawdę jest w głębokiej defensywie. Mimo swojej supertechniki to jest bardzo mały kraj, w którym nie ma głębi strategicznej. Nie ma dużego potencjału demograficznego. Prawdę powiedział niedawno minister spraw zagranicznych Iranu. To było półtora roku temu, gdy doszło do napięć w Zatoce Perskiej z amerykańskimi okrętami. Otóż stwierdził on wówczas, że można mieć najnowsze rozwiązania techniczne świata, można mieć supernowoczesną broń, ale w ostatecznym rozrachunku na Bliskim Wschodzie rządzą ludzie. To oni podejmują decyzje. Hamas ma poparcie ludzi. I dlatego, mimo że na papierze jest znacznie słabszy niż Izraelskie Siły Obronne (IDF), od wielu lat skutecznie prowadzi swoją walkę. A co gorsza, na niekorzyść Izraela działają potężne siły strukturalne.

PZ: Ja akurat jestem sceptyczny w sprawie tego „wrogiego arabskiego morza", w którym rzekomo pływa Izrael. To zgrana płyta izraelskiej propagandy, która ma pozyskać współczucie świata dla państwa żydowskiego.

Izraelska armia regularnie, co kilka lat, masakruje kobiety i dzieci w Strefie Gazy. Przez kraje arabskie przetaczają się wtedy wielkie demonstracje poparcia dla Palestyńczyków. Nad tłumami na ulicach Bagdadu czy Paryża powiewają palestyńskie flagi, płoną flagi Izraela. Jest dużo krzyku i wyrazów oburzenia, ale nic z tego nie wynika. I od pięćdziesięciu lat jest tak samo. Arabowie – choćby bajecznie bogaci szejkowie naftowi z Arabii Saudyjskiej i Emiratów – wcale się nie palą do udzielenia realnej pomocy swoim palestyńskim „braciom". Na palestyńskich uchodźców wegetujących od kilku pokoleń w obozach nie spada z nieba deszcz petrodolarów. Oni nikogo nie obchodzą.

JB: No właśnie. Bo okazało się, że dla niektórych państw arabskich istnienie państwa Izrael jest korzystne. Po kilku zaciętych wojnach Izrael w 1979 roku podpisał porozumienie pokojowe z Egiptem. A w 1994 roku z Jordanią. I oba te układy nieźle funkcjonują.

PZ: Wróćmy do obecnej wymiany ognia między Izraelem i Palestyńczykami. Jestem pod wielkim wrażeniem Żelaznej Kopuły, izraelskiego systemu obrony powietrznej, który przechwytuje 90 procent pocisków wystrzeliwanych z terytoriów palestyńskich. Mówiłeś o swoich osobistych doświadczeniach, to i ja dorzucę coś od siebie. Otóż kiedy pracowałem w dziale zagranicznym „Rzeczpospolitej", moim obszarem był Bliski Wschód. Spędziłem tam kupę czasu. Byłem tam, gdy sypały się rakiety. I pamiętam, jak kilkanaście lat temu Izrael zapowiedział, że zbuduje Żelazną Kopułę, żeby chronić swoich obywateli. Obietnica ta – jak pokazała ostatnia eskalacja – została zrealizowana perfekcyjnie. Na Tel Awiw spadały setki palestyńskich rakiet i niemal wszystkie zostały zniszczone w powietrzu. Ta troska o życie własnych obywateli bardzo mi zaimponowała. Ale czy z drugiej strony ona nie jest nadmierna? Kiedyś zrobiłem wywiad z Awigdorem „Januszem" Ben-Galem, legendarnym generałem izraelskich wojsk pancernych, który podczas wojny Jom Kipur w 1973 roku uratował państwo żydowskie w bitwie w Dolinie Łez. Powiedział mi, że Hamas trzeba zniszczyć w potężnej operacji lądowej. Za pomocą czołgów, transporterów opancerzonych i dział. Trzeba go rozjechać buldożerem. Jego zdaniem współczesny Izrael jest jednak na to za miękki. Za bardzo boi się o życie swoich żołnierzy, bo inwazja na Strefę Gazy oznaczałaby spore

straty własne. A tych Izrael boi się panicznie. Podobnego zdania jest wielu innych starych Izraelczyków, z którymi rozmawiałem. Ich zdaniem pionierski, syjonistyczny duch zamarł. Płomień się wypalił. Młodzi Izraelczycy nie chcą już umierać za ojczyznę.

JB: Izrael bardzo się zmienił. Ja pamiętam jeszcze ten Izrael, w którym wzorem był sabra, czyli Żyd, który się urodził w Izraelu, był umięśniony, opalony i pracował ciężko na roli w kibucu. A kiedy było trzeba, zamieniał lemiesz na karabin i bronił ojczyzny. Był oczywiście Żydem aszkenazyjskim, czyli pochodzącym z Polski i innych krajów Europy. Tacy zaprawieni w bojach mężczyźni stanowili podstawę kadry oficerskiej izraelskich wojsk pancernych. Kibuc, w którym spędziłem wiele czasu – Bejt ha-Szita w dolinie Charod – stanowił właśnie zaplecze kadrowe wojsk pancernych. W czasie wojny Jom Kipur w 1973 roku poniósł największe straty ze wszystkich izraelskich miejscowości. Więc tak, Izrael bardzo się zmienia. Ale również na lepsze. Ustąpiły napięcia, które ja jeszcze świetnie pamiętam, pomiędzy aszkenazyjczykami a sefardyjczykami, czyli jasnoskórymi Żydami z Europy oraz śniadymi Żydami z Bliskiego Wschodu i krajów Maghrebu – Iraku, Syrii, Egiptu, Tunezji czy Maroka. W latach dziewięćdziesiątych odgrywały one bardzo dużą rolę.

PZ: Ja też się z tym spotykałem. Poznałem kiedyś policjanta z Tel Awiwu, który pochodził – z tego, co pamiętam – z żydowskiej rodziny z Maroka. Ale miał żonę o polskich korzeniach. Jej rodzina nie potrafiła zaakceptować tego związku. Uważała, że ich biedna córeczka wyszła za „dzikiego Araba". Ten policjant opowiadał mi, że jak próbuje wejść z żoną do eleganckiej restauracji czy klubu w Tel Awiwie, to ją wpuszczają, a jego w drzwiach zatrzymuje ochrona. Mówił, że Izrael to najbardziej rasistowskie państwo na świecie. To oczywiście gruba przesada, ale ten przykład dobrze ukazuje te napięcia. Teraz na najniższym szczeblu drabiny społecznej znaleźli się Falasz Mura, czarnoskórzy Żydzi z Afryki.

JB: Tak, nierówności między aszkenazyjczykami i sefardyjczykami powoli się zacierają. Ale kiedyś to był rzeczywiście poważny problem. Wszystkie wyższe stanowiska zajmowali aszkenazyjczycy, stanowili elitę państwa, dominowali w wolnych zawodach. Niedawno na jednej z platform streamingowych oglądałem serial wojenny *Dolina Łez*, który rozgrywa się

w latach siedemdziesiątych, i zostało to tam naprawdę świetnie pokazane. Potem, po upadku Związku Sowieckiego w 1991 roku, pojawiły się napięcia między sabrami a Żydami napływającymi masowo z Rosji. Było to między innymi skutkiem tego, że ci ludzie byli bardzo dobrze wykształceni i z marszu zajmowali ważne stanowiska. W latach dziewięćdziesiątych zaczęły również rosnąć w siłę grupy ultraortodoksyjne. Ludzie mieszkający w słynnej jerozolimskiej dzielnicy Mea Szearim, bardzo religijni, odmawiający służby wojskowej. To dla świeckich Izraelczyków jest absurdem. Bo istotą izraelskiej tożsamości jest właśnie służba w wojsku. Najpierw służba zasadnicza, a potem regularne, coroczne szkolenia rezerwistów, na które powoływani są nawet siwiuteńcy mężczyźni. Mimo że ci ultraortodoksyjni Żydzi żyją w zamkniętych enklawach, zyskują coraz większą reprezentację polityczną. Rząd musi się z nimi poważnie liczyć. Młodzi Izraelczycy mówili mi, że są wściekli na chasydów, bo oni muszą służyć w wojsku, a chasydzi nie. Te spory wywoływały dużo większe emocje niż u nas między lewicą a prawicą czy między PiS-em a Platformą.

PZ: Ta wściekłość świeckich Żydów na ultraortodoksów wynika również z tego, że oni żyją z hojnych, państwowych zasiłków. Bo według zasad chasydów mężczyzna nie powinien pracować. Powinien poświęcać życie na studiowanie Tory i Talmudu. To oczywiście doprowadza do szału innych Izraelczyków, bo muszą utrzymywać ze swoich podatków tę – jak się wyrażają – „bandę darmozjadów”. A dodajmy, że ta społeczność powiększa się w bardzo szybkim tempie. O ile wśród świeckich Żydów dominuje model rodziny 2+1, ewentualnie 2+2, to wśród ultraortodoksów 2+12 jest normą.

JB: Zmienia się więc społeczeństwo, ale z drugiej strony zmieniają się również realia pola walki. Kiedyś wojska pancerne były w Izraelu elitarne. Ale już w czasie tak zwanej drugiej wojny libańskiej w 2006 roku było widać, że to się zmienia. Okazało się, że w konflikcie asymetrycznym broń pancerna wcale nie daje takiej olbrzymiej przewagi. Dobrze zmotywowany piechur z rakietowym przeciwpancernym pociskiem kierowanym może zniszczyć czołg. Taktyka ta okazała się skuteczna w trudnym terenie południowego Libanu. Izrael tę wojnę przegrał, bo nie osiągnął celów politycznych. Wyraźnie było widać, że nie radzi sobie z taktyką partyzancką Hezbollahu.

PZ: Druga wojna libańska to świetny przyczynek do naszej poprzedniej dyskusji na temat współczesnego pola walki. Paradoksalnie lekko uzbrojeni Libańczycy zniszczyli mnóstwo izraelskich czołgów. Dwadzieścia z nich do tego stopnia, że nie dało się już ich naprawić i poszły na złom. A mówimy o supernowoczesnych i drogich merkawach. Niszczyli je ludzie uzbrojeni w ręczne wyrzutnie rakietowe. Zwróć uwagę, jaka to różnica kosztów.

JB: To była dla Izraela kosztowna lekcja. Odrobili ją, co widać w wypadku Strefy Gazy. Tak jak mówiliśmy, łatwiej i bezpieczniej jest ostrzeliwać Gazę z powietrza, bo Palestyńczycy nie mają czym zestrzelić F-16. Ale gdyby w wąskie uliczki Gazy wjechały czołgi, Izrael zacząłby ponosić straty. Ostatni raz izraelskie czołgi wjechały do Strefy Gazy i toczyły większe boje w 2008 roku, w ramach operacji „Płynny Ołów". Izraelczycy bez wątpienia zdają sobie sprawę, że jeśli po ich stronie będzie dużo ofiar, w społeczeństwie pojawi się strach. I tego chcą uniknąć. Ta zmiana taktyki nakłada się na rewolucję techniczną w prowadzeniu wojny. W tym samym momencie pojawiło się monitorowanie pola walki, do akcji weszły drony. I rzeczywiście armia izraelska jest na szpicy przemian przygotowujących ją do wojny nowej generacji, staje się Armią Nowego Wzoru. To absolutna światowa czołówka w militarnym hi-tech. Podczas ostatniej wojny z Hezbollahem żaden oficer od kapitana wzwyż nie siedział już w czołgu, tylko za monitorem. I dowodził akcją za pomocą komputera.

PZ: Ale Palestyńczycy mają sposoby, żeby sobie z tym radzić. W czasie wojny w 2008 roku oglądałem niesamowitą konstrukcję, którą Izraelczycy zbudowali na granicy z Gazą. To był ogromny balon unoszący się wysoko w powietrzu. Był przytwierdzony do ziemi stalową liną. Pod ten balon były podwieszone dziesiątki supernowoczesnych kamer. Dzięki nim Izraelczycy mieli widzieć wszystko, co się dzieje w Strefie Gazy. Tego samego dnia przekroczyłem granicę i pojechałem do Strefy. I co tam zobaczyłem? Nad uliczkami w centrum miasta wisiały wielkie płachty ze zszytych setek kolorowych prześcieradeł. Oni to wszystko przywiązali sznurkami do budynków i hamasowcy mogli się przechadzać po ulicach w biały dzień z kałasznikowami w rękach. „Dzięki tym prześcieradłom Żydzi nas nie widzą" – mówili mi ze śmiechem.

JB: Tak, to podobna sytuacja jak z czołgami w Libanie. Czasami bardzo drogi, skomplikowany sprzęt można pokonać w tani i prosty sposób. Na tym właśnie polega rewolucja pola walki. Tak samo było przecież w Iraku. Jeżeli zaś chodzi o Żelazną Kopułę, to Izrael mógł ją zrobić, bo jest… mały. Terytorium, którego broni ten system, jest bardzo ograniczone. W znacznie większej Polsce nie dałoby się czegoś takiego zrobić. Poza tym Palestyńczycy nie mają bardzo zaawansowanych technologii rakietowych, nowoczesnych wyrzutni. To w dużej części bardzo prymitywna broń. W związku z tym łatwo jej przeciwdziałać, zestrzeliwać nadlatujące pociski i namierzyć miejsca, z których są wystrzeliwane. Byłeś na Bliskim Wschodzie, więc wiesz, jak tam jest wszędzie blisko, ciasno. Jak blisko jest z Lotniska Ben Guriona do Zachodniego Brzegu Jordanu. W warunkach bliskowschodnich Żelazna Kopuła świetnie się sprawdza, ale nie zatrzymałaby gradu potężnych pocisków balistycznych wystrzelonych przez mocarstwo. Najważniejsze jest to, że w drabinie eskalacyjnej Żelazna Kopuła daje armii Izraela przewagę. Daje jej opcję, która pozwala uniknąć ofensywy lądowej w Strefie Gazy. Ofensywy, która byłaby bardzo kosztowna. Myślę, że Hamas bardzo by jej sobie życzył. Jest do niej świetnie przygotowany. Teren nadzwyczaj zurbanizowany, gęsta sieć podziemnych tuneli, znajomość walki partyzanckiej – wszystko to dałoby mu przewagę.

PZ: Taka ofensywa, z punktu widzenia Izraelczyków, do niczego nie mogłaby doprowadzić. Bo niby jaki byłby jej cel? Hamasu zniszczyć się nie da. Najwyżej jego bojownicy by się rozbiegli, a potem – po wycofaniu Izraela – znowu zebraliby się do kupy.

JB: No właśnie, trudno sobie wyobrazić, na czym miałoby polegać zwycięstwo Izraela. Należy pamiętać, że Stefa Gazy jest potwornie przeludniona. Walki miejskie spowodowałyby olbrzymie straty wśród cywilów, co wzburzyłoby świat i nastawiło go przeciwko Izraelowi. Świat zobaczyłby ofiary, czołgi używane przeciwko ludziom z kamieniami w rękach, co najwyżej z kałaszem. Na froncie informacyjnym również trudno byłoby sprecyzować jakieś racjonalne, możliwe do osiągnięcia cele. Bo przecież cele wojskowe muszą współgrać z politycznymi. Tymczasem teraz dzięki Żelaznej Kopule Izraelczycy pokazują światu swoją potęgę i zaawansowanie techniczne. Pokazują, że zatrzymują większość pocisków, są odporni, potrafią punk-

towo niszczyć przeciwnika. Kontrolują przebieg konfliktu. Zarówno w sensie militarnym, jak i politycznym. Na zewnątrz i wewnątrz. Wobec Hamasu i rządu Autonomii Palestyńskiej, bo pamiętajmy, że wśród Palestyńczyków również są tarcia frakcyjne. Można rozgrywać Hamas z Fatahem, nastawiać jednych przeciwko drugim. I Izraelczycy właśnie to robią. Wojna jest instrumentem polityki. Niczym innym. Nie ma wojny dla samej wojny.

PZ: Mówiłeś o wewnętrznych rozgrywkach. Otóż zwróć uwagę, że siły radykalne zawsze zyskują na wojnie. Gdy na Bliskim Wschodzie dochodzi do eskalacji – Izraelczycy głosują na prawicę, bo chcą mieć u steru państwa silnych ludzi na trudne czasy. A nie jakichś lewicowych pacyfistów i mięczaków. Z kolei Palestyńczycy wspierają Hamas, a nie umiarkowanych „miękiszonów" z Fatahu. I jeszcze parę słów o wspomnianych przez ciebie rakietach. Otóż podczas jednej z moich eskapad do Izraela znalazłem się pod palestyńskim ostrzałem. To było w Sderocie. Przyjechałem do domu, który przed chwilą został trafiony pociskami typu *Kasam*. Jeden huknął w dach i zrobił w nim wielką dziurę. Drugi trafił w psią budę i rozszarpał psa na kawałki. Wyglądało to paskudnie. Nagle rozległa się syrena alarmowa. Nie było nigdzie schronu, więc przykucnąłem za samochodem. Minęło kilka sekund, po czym rozległ się bardzo głośny trzask, jakby ktoś zdetonował dużą petardę. W pobliżu leżało dymiące żelastwo, a w betonowej jezdni była niewielka dziura. Odprysk. Okazało się, że ta „rakieta" to była zwykła rura nafaszerowana gwoździami. Teraz Palestyńczycy nie strzelają już jednak chyba kasamami, ale dostali bardziej zaawansowane technicznie rakiety od Hezbollahu.

JB: A także z Iranu i jeszcze kilku innych krajów. Wciąż jednak jest to dość prosta broń. Izraelczycy zresztą robią jeszcze większe postępy. Żelazna Kopuła jest coraz bardziej zaawansowana. Ale – i to jest najważniejsze – to nie są iskandery. Powtarzam: jeśli ktoś myśli o tym, żeby u nas zrobić taki system, to powinien sobie zdawać sprawę, że wobec zagrożenia, które wisi nad Polską, będzie on bezradny.

PZ: Wróćmy na Bliski Wschód. Dlaczego Ameryka jest taka wstrzemięźliwa podczas obecnej eskalacji? Biden przebąkuje o jakichś negocjacjach, ale niemrawo.

JB: Jak to dlaczego? Bo wstrzemięźliwość wzmacnia izraelskie sukcesy.

PZ: Czyli Amerykanie nic nie robią, bo chcą pozwolić, żeby Izraelczycy się wyszumieli? Pokazali światu – a przede wszystkim Palestyńczykom – swoje możliwości?

JB: Izraelczycy pokazują, kto kontroluje drabinę eskalacyjną. Gdyby Izrael przegrywał, zapewniam cię, że byłoby inaczej. Ameryka od razu by interweniowała na rzecz natychmiastowego wstrzymania konfliktu.

PZ: No tak. Słynne izraelskie lobby, które kieruje polityką Waszyngtonu. W efekcie Stany Zjednoczone całkowicie bezkrytycznie, w każdej sytuacji, wspierają Izrael i same sobie szkodzą. Ogon merda psem.

JB: Mało tego, warto pamiętać, że Izrael wcale nie jest lojalnym sojusznikiem Ameryki. Przykłady można mnożyć: choćby to, jak Izraelczycy uderzyli na iracki reaktor, jak łamią zasady używania amerykańskiego sprzętu wojskowego, modernizując go i przerabiając bez zgody Amerykanów. To samo było z atakiem na instalacje w Syrii, dokonanym bez wiedzy i zgody Waszyngtonu – ale z wykorzystaniem amerykańskiego sprzętu.

PZ: W jakim celu Izraelczycy przerabiają amerykański sprzęt wbrew woli USA?

JB: Chodzi oczywiście o to, żeby Amerykanie tego sprzętu nie mogli kontrolować. Amerykanie często są bardzo nieszczęśliwi z tego powodu, próbują nawet Izraelczyków dyscyplinować, ale Izrael przez swoje wpływy w diasporze żydowskiej w Stanach Zjednoczonych szybko takie zapędy mityguje. Weźmy na przykład słynną historię z czasu wojny 1967 roku.

PZ: Tak, 8 czerwca 1967 roku izraelskie lotnictwo i marynarka wojenna ostrzelały na Morzu Śródziemnym amerykański okręt szpiegowski USS *Liberty*. Bilans: 34 marynarzy zabitych, 171 rannych. Okręt był podziurawiony jak sito. Izraelczycy mówią, że się pomylili. Przeprosili za incydent i zapłacili rodzinom zabitych odszkodowanie. Z kolei załoga zapewniała, że okręt był bardzo dobrze oznakowany i Izraelczycy świetnie wiedzieli, co robią.

JB: To nie jedyna taka historia. W tamtych czasach nie było jeszcze skutecznego obrazowania cyfrowego, obserwacji satelitarnej. Amerykanie nie bardzo więc wiedzieli, co się dzieje na froncie. Izraelczycy zaś nie chcieli, żeby Amerykanie wiedzieli, bo się bali, że będą chcieli ich powstrzymywać. A oni chcieli mieć swobodę, zdobyć to, co chcą, osiągnąć swoje cele. Uszkodzili więc antenę przekaźnikową w ambasadzie amerykańskiej.

PZ: A pamiętasz, jak podczas wspomnianej drugiej wojny libańskiej Izraelczycy zrzucali na nieprzyjacielskie terytorium bomby kasetowe? Zginęło mnóstwo cywilów, a potem się okazało, że bomby były amerykańskie! Izraelczycy, używając ich, złamali umowę zawartą z Amerykanami. Nie zmieniło to jednak zdecydowanej proizraelskiej postawy Waszyngtonu. Kolejny przykład: Jonathan Pollard, analityk amerykańskiego wywiadu, który został zwerbowany przez Mosad i szpiegował na rzecz Izraela. Gdy Amerykanie wypuścili go z więzienia, na lotnisku witał go sam premier Netanjahu. Amerykanie dają Izraelczykom wszystko, czego oni sobie życzą, a Izraelczycy ich jeszcze szpiegują. Czarna komedia.

JB: Teraz zaś Izrael flirtuje z Chinami, największym rywalem i przeciwnikiem Stanów Zjednoczonych. I nic sobie z tego nie robi.

PZ: Izrael ma obecnie około 9 milionów mieszkańców, z czego Żydzi stanowią około 75 procent. 20 procent z ogonkiem to izraelscy Arabowie. Mieszkają we wspomnianej przez ciebie Jaffie, ale najwięcej jest ich na północy – centrum tego arabskiego świata w Izraelu jest Nazaret. Demografia, co jest koszmarem sennym izraelskich przywódców, działa na niekorzyść Izraelczyków. Pomijając rodziny chasydzkie, Izraelczycy nie mają bowiem dużo dzieci. A Arabowie – przeciwnie. Napięcia między tymi społecznościami rosną, a w tym roku dosłownie eksplodowały. Lincze, wybijanie szyb, nocne żydowsko-arabskie bijatyki na noże i pałki. Konflikt z terytoriów palestyńskich przenosi się wyraźnie do wnętrza Izraela. To chyba nowość?

JB: Ludzie, którzy zajmują się Izraelem, mówią mi, że właśnie to ich najbardziej niepokoi. Dotychczas, nawet gdy na Bliskim Wschodzie toczyły się wojny, izraelscy Arabowie byli lojalni wobec państwa. Teraz to się zmieniło. Trudno mi powiedzieć, jak bardzo narosła ta nienawiść, ale bez

wątpienia dzieje się tam coś niepokojącego. W pobliżu kibucu, w którym mieszkałem, znajdowała się oaza Sachne, do której przychodzili kibucnicy, ale też ludność z okolicznych wiosek arabskich. Głównie młodzież. Nie widziałem tam żadnego napięcia, a przyjeżdżałem tam przez lata, byłem częstym gościem. To naprawdę piękna oaza, jeśli ktoś wybiera się do Izraela, to warto, żeby tam pojechał. Wygląda, jakby ją wyjęto ze starożytnego świata. Teraz podobno nie ma już tam jednak takiej arabsko-żydowskiej sielanki.

PZ: Byłem wielokrotnie w Nazarecie, rozmawiałem z Arabami. Mówili mi, że czują się obywatelami drugiej kategorii. Żyją w *jewish state*, na fladze jest gwiazda Dawida. Rejony arabskie są niedoinwestowane, ci ludzie czują się intruzami we własnej ojczyźnie. Ale z drugiej strony pamiętam, że kiedyś padł pomysł, by zrobić wymianę ziemi. Nazaret i inne terytoria arabskie Izrael miał oddać Palestynie, a w zamian dostać terytoria zamieszkane przez osadników izraelskich na Zachodnim Brzegu Jordanu. Zrobiono wówczas sondaż wśród izraelskich Arabów i odpowiedź była krótka: „Broń Boże! Za żadne skarby świata nie chcemy mieszkać w Palestynie!”. No i rzeczywiście trzeba chyba oszaleć, by zamienić nowoczesny, zachodni Izrael na reżim Fatahu czy Hamasu. To jak przeprowadzka z Europy Zachodniej do Trzeciego Świata.

A teraz pytanie o przyszłość: Czy można wiecznie trzymać za gardło sąsiadów? Czy można wiecznie żyć w oblężonej twierdzy, w permanentnym konflikcie? Jakie są twoje przewidywania na temat przyszłości Izraela? Czy Izrael przetrwa na Bliskim Wschodzie, czy też będzie krótkim – w skali dziejów świata – fenomenem? A może widzisz szansę na przełamanie nienawiści i przekształcenie Izraela z państwa żydowskiego w żydowsko-arabskie? Tak żeby obie społeczności mogły żyć w zgodzie i pokoju?

JB: Trendy są dla Izraela bardzo niekorzystne. Przede wszystkim z powodu demografii oraz działania sił strukturalnych. Po prostu mocarstwa Bliskiego Wschodu – takie jak Turcja czy Iran – są od niego znacznie potężniejsze. Do tego dochodzi zbrojąca się po zęby Arabia Saudyjska. Chociaż nam się wydaje, że Izrael to potężne państwo, wcale tak nie jest. Ma mniejszy PKB niż Polska. I teraz uwaga – porównajmy sobie siły zbrojne Izraela z Wojskiem Polskim. Czytelnicy pewnie myślą, że ta różnica wynika z tego, że

Amerykanie dają Izraelczykom bokiem góry dolarów. Tak nie jest. Izrael po prostu potrafi dobrze wydawać swoje pieniądze. My jesteśmy bogatszym krajem niż państwo żydowskie i nas też byłoby stać na takie wojsko. Izrael postępuje jak typowe państwo, które jest małe i słabe. Teraz ma przewagę wojskową, ale wie, że ona może być tymczasowa. W efekcie destabilizuje wszystkie państwa w swoim otoczeniu i tworzy wokół siebie strefę buforową. Wykorzystuje do tego lotnictwo, siły specjalne. Używa wojska bardzo nerwowo, bo nie może inaczej wpłynąć na swoje otoczenie, żeby kształtować je zgodnie ze swoją wolą. Jak ktoś jest bogaty i potężny, to może zawrzeć traktat handlowy, wywierać presję, stosować całe spektrum instrumentów. Dawać komuś pieniądze, wybudować elektrownię atomową. Izrael nie jest tak bogaty. Teraz Izraelczycy są górą, bo wciąż mają przewagę technologiczną, ale jak będzie jutro? Wystarczy spojrzeć na mapę. Izrael naprawdę znajduje się w arabskim morzu.

PZ: A państwa arabskie rosną w siłę. Tam, gdzie trzydzieści lat temu pasły się wielbłądy, dziś w niebo strzelają drapacze chmur.

JB: Jedyną szansą dla Izraela jest to, że będzie zręcznie nawigował w bliskowschodniej grze. To niezwykle trudne, bo układ sił cały czas się tam zmienia. Moim zdaniem Żydzi – naród bardzo pragmatyczny – pierwsi zdali sobie sprawę, że Ameryka nie jest już najpotężniejsza na Bliskim Wschodzie. Stąd choćby kilkunastoletni już romans z Putinem na płaszczyźnie wojskowej. Izrael rozumie bowiem, że aby współdecydować o tym, co się dzieje w sąsiedniej Syrii, musi rozmawiać z odległą, ale mającą w tym kraju wiele do powiedzenia Rosją.

PZ: Wystarczy spojrzeć na grafik międzynarodowych wizyt premiera Netanjahu. Był okres, gdy można było odnieść wrażenie, że on lata tylko do Moskwy.

JB: To jest typowa Realpolitik. Na tej samej zasadzie Izraelczycy wkrótce zaczną znowu rozmawiać z Turcją, a więc krajem muzułmańskim. Dlaczego? Bo Turcja jest silna i się liczy. Jeżeli Chiny staną się dominującą siłą na Bliskim Wschodzie, Izrael dogada się z Pekinem. Amerykanów czekają bolesne rozczarowania moralne. Mówię to sarkastycznie, bo jeśli im się wydaje, że ich miłość do Izraela jest odwzajemniona, to są w błędzie.

W polityce nie ma miejsca na uczucia – jest miejsce tylko na grę sił. To jest zresztą racjonalne, nie ma co się oburzać. Izrael musi przetrwać tu, gdzie jest. I zrobi wszystko, żeby to osiągnąć. Ostatnie trzydzieści lat globalnej dominacji Stanów Zjednoczonych było bardzo korzystnym okresem dla Izraela, który często używał amerykańskiej potęgi do realizacji własnych celów, kształtowania regionu na swoją modłę. Przykładem były dwie wojny irackie. A także próba pchnięcia Amerykanów w wojnę z Iranem, na co jednak Barack Obama się nie zgodził. Właśnie dlatego Obama był najbardziej znienawidzonym prezydentem USA w Izraelu.

PZ: Na szczęście nie dał się w to wmanewrować. Znowu bezsensownie ginęłaby amerykańska – i nie tylko – młodzież, znowu straciłyby życie dziesiątki tysięcy cywilów. Natomiast izraelski pragmatyzm, o którym mówiłeś, budzi mój podziw. Znam wielu ludzi, którzy marzą o tym, żeby Polska została Izraelem Europy Środkowo-Wschodniej. Ale gdy zaczęli ten pomysł wprowadzać w życie, zepchnęli Polskę do roli drugorzędnego amerykańskiego wasala. Tymczasem Izrael wcale nie jest uzależniony od USA, gra na wielu fortepianach.

JB: Piłsudski mawiał, że z racją jest jak z dupą: każdy ma swoją. Jeżeli Izrael nie będzie umiejętnie balansował swymi atutami, może skończyć jak bliskowschodnie państwa krzyżowców. Dziś nam się wydaje, że to tylko epizod, ale Jerozolima była w rękach krzyżowców 200 lat. Z punktu widzenia żyjącej w tych czasach jednostki była stałym elementem pejzażu geopolitycznego. A okazało się inaczej.

PZ: Królestwo Jerozolimskie. To rzeczywiście analogia, która sama się nasuwa. Przybysze z Europy pobili Arabów i założyli swoje państwo w granicach zbliżonych do dzisiejszego Izraela. Krzyżowcy – podobnie jak syjoniści – również mieli swoją wielką ideę. Dla nich Ziemia Obiecana była Ziemią Świętą. Podobnie jak Izrael, Królestwo Jerozolimskie utrzymywało się w regionie przemocą i strachem. Ale po 200 latach, w 1291 roku, ostatnia twierdza krzyżowców padła i musieli wracać do domu. Morze islamskie rzeczywiście ich zalało. Gdy jednak porównujemy obie sytuacje, widać jedną różnicę: Izrael ma polisę ubezpieczeniową – broń nuklearną.

Na koniec pytanie o Polskę: Czy nasz kraj może zostać Izraelem Europy Środkowo-Wschodniej? Skłóconym ze wszystkimi sąsiadami, opierającym

się na Ameryce?

JB: Odpowiem krótko: Nie, na to nie ma żadnych szans. To mrzonki. My jesteśmy między Niemcami a Rosją. I to zmienia wszystko.

PZ: A nie między Syrią a Egiptem.

JB: Właśnie. My mamy dużo poważniejsze zadanie, mamy dużo trudniej.

PZ: Często powtarzam, że Ameryka, aby ratować Izrael, od biedy może się wdać w wojnę z Egiptem i Syrią. Ale czy w obronie Polski wda się w wojnę z Rosją, mocarstwem nuklearnym – jest bardzo wątpliwe.

JB: Możemy się pocieszać tylko tym, że jesteśmy potężniejsi strukturalnie od Izraela. Przynajmniej potencjalnie. Ja wiem, że to brzmi obrazoburczo wobec wyobrażeń obowiązujących w Polsce. Ale nasze bogactwo jest znacznie większe i tyle. Mamy większy potencjał demograficzny i znajdujemy się w ważniejszym miejscu świata niż państwo żydowskie. Tylko nie zdajemy sobie z tego sprawy. Natomiast warto byłoby się przyjrzeć, jak mistrzowsko Izrael rozgrywa swoją partię. Jak prowadzi zbrojenia, jak wykorzystuje swoje skromne możliwości i jak bardzo jest niezależny. Wcale nie mając przy tym worka pieniędzy bez dna. Tak więc od Izraela bez wątpienia można się wiele nauczyć. Przede wszystkim – prowadzenia Realpolitik.

Źródło: „Historia Realna” 21 maja 2021

Rozmowa 11

Jakie wnioski należy wyciągnąć z II wojny światowej?

PZ: Bilans II wojny światowej jest dla nas koszmarny. Przegraliśmy ją i potwornie drogo nas ta przegrana kosztowała. Straciliśmy niepodległość na pół wieku, połowę terytorium, kilka milionów obywateli, w tym olbrzymią część elit, które zostały okrutnie wymordowane. Przy maksimum wysiłku, który włożyliśmy w ten konflikt, osiągnęliśmy minimum efektu. Całe polskie bohaterstwo, cała polska krew wsiąkły w piach. Dlaczego tak się stało?

JB: Są tacy, którzy uważają, że Polska tę wojnę prawie wygrała. Bo była bardzo blisko zwycięstwa, a co za tym idzie, kalkulacje były dobre. Bo przecież na Zachodzie mogło być jeszcze piękniej! Część naszych elit miała naprawdę bardzo rozbudzone apetyty. Uważała, że po pobiciu Niemiec „odzyskamy" ziemie „piastowskie" nie tylko po Odrę i Nysę Łużycką. W planach było przecież jeszcze włączenie do Polski całej wyspy Uznam u ujścia Odry. Ostatecznie, jak wiadomo, komunistyczna Polska dostała tylko jej skrawek ze Świnoujściem. Mało tego, mówiono o włączeniu do państwa polskiego całych Prus Wschodnich, a więc również Królewca.

PZ: Królewiec dla Polski?

JB: Tak, z okolicami. Aż po Pregołę i Niemen.

PZ: Czyli de facto pod Kłajpedę. To pomarzmy więc przez chwilę razem z naszymi ówczesnymi przywódcami. Jak by dziś wyglądała Polska z Królewcem?

JB: Historia gospodarcza Warmii i Mazur ostatnich siedemdziesięciu lat potoczyłaby się innym torem. Królewiec byłby dla tych terytoriów prawdziwym hubem komunikacyjnym, oknem na świat. Mielibyśmy zupełnie inny, znacznie szerszy dostęp do Bałtyku. Bez granicy przecinającej Mierzeję Wiślaną. Rzeczywiście miło pomarzyć! A przecież na tym nie koniec. Wspomniana część naszych elit zupełnie poważnie wierzyła, że nie tylko uzyskamy wielkie zdobycze terytorialne kosztem Niemiec, ale na wschodzie utrzymamy granicę ryską. A więc Lwów z zagłębiem naftowym, Wilno, Grodno, Polesie i Wołyń. Mieliśmy z tej wojny wyjść wielokrotnie wzmocnieni.

PZ: Ależ naiwni byli ci ludzie. Niby jakim cudem taka wizja miałaby się zmaterializować, skoro już na początku wojny nasza armia została rozbita w drobny mak, a państwo zlikwidowane? Ktoś nam to wszystko miał dać w prezencie?

JB: Niestety polska polityka oparła się na błędnej kalkulacji. Nasi przywódcy uznali, że Brytyjczycy są tak silni, że na pewno wygrają wojnę. I po jej zakończeniu wszystko to nam załatwią. Wystarczy tylko niczym się nie przejmować i wiernie trwać u ich boku aż do samego końca. Anglosasi wygrali wojnę, owszem. Ale okazało się, że to zwycięstwo jest relatywne. Nie wygrali jej bowiem w Europie Środkowo-Wschodniej.

PZ: Nie mieli u nas – używając języka geopolityki – projekcji siły.

JB: Wojnę w Europie Środkowo-Wschodniej wygrały inne mocarstwa, które przy okazji przejechały po nas jak walec. W pierwszej fazie (1939–1941) w naszej części kontynentu wygrali Sowieci i Niemcy. I robili na naszym terytorium, co chcieli. Wyniszczali nas biologicznie, strukturalnie, majątkowo. W drugiej fazie (1941–1944) zwycięzcami byli tylko Niemcy, którzy wyparli z Polski bolszewików i panowali u nas samodzielnie. W trzeciej fazie (1944–1945) górą byli z kolei Sowieci, którzy przepędzili Niemców. I zainstalowali się u nas na pół wieku.

PZ: Polska została zdruzgotana, spalona, przeorana wzdłuż i wszerz. Nasza ziemia spłynęła krwią. Anglosasi oczywiście nam nie pomogli, bo dogadali się z Sowietami przeciwko Niemcom. Nasze elity w 1945 roku wydawały

się zdumione tym obrotem sprawy. Ale przecież – o czym mówiliśmy wielokrotnie – byli tacy, którzy to wszystko przewidzieli.

JB: Winowajcą jest geografia. Ta wyśmiewana przez krytyków geopolityki geografia. Geografia powoduje rozdział sił. Nie można być silnym wszędzie. Na zakończenie wojny Anglosasi byli mocni na Pacyfiku i w Europie Zachodniej, ale nie byli mocni nad Wisłą na tyle, żeby mieć głos decydujący. Tu karty rozdawał Stalin. Gdyby Anglosasi rzeczywiście byli tak potężni, jak wyobrażali sobie nasi decydenci, to geografia nie miałaby znaczenia i pewnie dostalibyśmy i Królewiec, i Kresy. No i oczywiście niepodległość. Ale niestety nie byli tacy potężni. Ta błędna kalkulacja naszych ówczesnych elit to ważna lekcja. Nauka, jaka z niej płynie, jest prosta: trzeba liczyć siły sojuszników w realnym układzie geograficzno-przestrzenno-zasobowym, a nie według jakiegoś widzimisię. Jakiejś abstrakcyjnej wiary we wspaniały, piękny, demokratyczny świat.

PZ: No tak. Wszystkie państwa świata prowadzą politykę realną, tylko my jedni musimy prowadzić politykę moralną. Trzeba być po stronie „dobrych", trzeba zachowywać się honorowo, nie wolno iść na żadne kompromisy, trzeba być bohaterskim i hojnie przelewać krew. Wtedy nie ma się o co martwić – wszystko będzie okay. Podczas II wojny światowej wszystkie te punkty zrealizowaliśmy bardzo sumiennie. Byliśmy bohaterscy? Byliśmy. Trzymaliśmy z tymi „dobrymi" – no jasne. Nie poszliśmy na żadne kompromisy z Niemcami? Nie poszliśmy. Przelewaliśmy krew? Przelewaliśmy. No, skoro taka heroiczna postawa to jest przepis na sukces w polityce międzynarodowej, jak twierdzą nasi romantycy, to jak to się stało, że wyszliśmy z II wojny światowej jako największy przegrany konfliktu? III Rzesza straciła około 25 procent terytorium, a my połowę.

JB: Oczywiście Polska otrzymała od wielkich mocarstw jako rekompensatę za utracone terytoria Ziemie Zachodnie. Pamiętajmy jednak, że to była zimna kalkulacja Stalina, a nie dobroduszny prezent dla Polaków. Sowieci poszerzali po prostu swoje zewnętrzne imperium jak najdalej na zachód. A poza tym dzięki tak wielkim nabytkom terytorialnym Związek Sowiecki automatycznie stawał się gwarantem istnienia nowego państwa polskiego. Bo przecież w latach czterdziestych, pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, a nawet siedemdziesiątych wszyscy bali się rewanżyzmu niemieckiego.

Mało tego, takie obawy były jeszcze trzydzieści lat temu. Rozmawiałem z ludźmi z rządu Tadeusza Mazowieckiego, którzy przyznawali, że po upadku muru berlińskiego i zjednoczeniu Niemiec mieli niezłego pietra. W prasie nawet niektórzy przedstawiciele obozu solidarnościowego pisali, że może byłoby lepiej, żeby Armia Sowiecka jednak nie wyjeżdżała z Legnicy. Bo kto wie, czy RFN nie upomni się o swoje ziemie. Dziś brzmi to śmiesznie, ale wtedy nastroje były niepewne.

PZ: Wróćmy do II wojny światowej…

JB: Bez wątpienia ostatnią wojnę przegraliśmy. Przed jej wybuchem mieliśmy suwerenność, samodecyzyjność, plany rozwojowe. Tego wszystkiego zostaliśmy pozbawieni. Wojny toczą się o pewien porządek, ład. Zwycięża ten, kto decyduje o przestrzeni. My straciliśmy kontrolę nad naszą przestrzenią, a zyskała ją Moskwa. Zostaliśmy częścią imperium sowieckiego z zewnętrznym, narzuconym nam rządem. Podporządkowani gospodarczym interesom potężnego sąsiada. A więc przegraliśmy. Przy okazji – i to jest bardzo ważne – ponosząc koszmarne straty. W wymiarze ludzkim i materialnym. Czechosłowacja też przegrała, bo po wojnie znalazła się w takiej samej sytuacji jak my. Pod sowieckim butem. Ale nie poniosła przy tym tak wielkich strat.

PZ: To jest przykład, który często podaję: piękna Złota Praga stoi na swoim miejscu i jest mekką turystów z całego świata. Warszawa została zaś zamieniona w morze ruin. Bilans strat osobowych w obu krajach jest całkowicie nieporównywalny. To chyba najlepsza odpowiedź na pytanie, jaka postawa podczas wojny była lepsza. Polska czy czeska.

JB: A przemysł?! Przecież Czechosłowacja zachowała swój potencjał przemysłowy. Ostatnio dużo o tym myślę i najbardziej smuci mnie co innego. Urodziłem się w Warszawie, wychowałem się w Warszawie, na tradycji powstańczej. Dzieje mojej rodziny są nierozerwalnie splecione z tą insurekcją. Ale im jestem starszy, tym lepiej zdaję sobie sprawę, jak tragiczna w skutkach to była decyzja. Podobnie jak decyzje dotyczące naszego wojska na Zachodzie. Ta wiara, że dobry świat walczy ze złym światem, że polityka opiera się na wartościach moralnych, a nie jest zwykłą grą o wpływy… Stalin, gdy rozmawiał z aliantami, był bardzo podejrzliwy, bo

uważał, że oni zawsze mogą się dogadać z Niemcami. Alianci z kolei o to samo podejrzewali Stalina. Bali się, że znowu zrobi to, co zrobił w sierpniu 1939 roku.

PZ: Nikt nikomu nie ufał. Tylko my bezgranicznie zawierzyliśmy kochanej cioci Anglii.

JB: Oczywiście ex post, po wygranej wojnie, wszyscy mówią, że walczyli w obronie wolności i dla dobra ludzkości. Wystarczy zajrzeć do przemówień Joachima Ribbentropa publikowanych w gadzinówkach w Generalnym Gubernatorstwie. To są skądinąd bardzo ciekawe rzeczy. Mówił o budowie imperium europejskiego, wspólnocie narodów Starego Kontynentu, powszechnej szczęśliwości. Czytałem to niedawno. Jeśli ktoś nie wierzy, może sprawdzić.

PZ: To jest jasne. Nie spotkałem się jeszcze z tym, żeby jakiekolwiek państwo podczas wojny uważało się za złe. Każdy uważa, że Bóg – przywołując określenie z napisów na klamrach żołnierzy Wehrmachtu – jest po jego stronie. My jesteśmy dobrzy, a nasi przeciwnicy są źli. Dopiero po wojnie zwycięzcy narzucają swoją wizję pokonanym.

JB: Oczywiście. A weźmy sowiecką propagandę kresu zimnej wojny. Sowieci twierdzili, że niosą wyzwolenie ludom całego świata. A Zachód jest zły, imperialistyczny i kolonizatorski. Amerykanie biją u siebie Murzynów. I ludzie w to wierzyli. Problem z Polską podczas II wojny światowej polegał na tym, że gdy się nie kontroluje własnej podstawy operacyjnej, to się jest niczym. Rozmawialiśmy już o tym wielokrotnie, ale do tego sprowadza się nasza tragedia. Gdy po kampanii 1939 roku straciliśmy nasze państwo, to był koniec. Znaleźliśmy się na łasce innych. To zresztą dotyczy nie tylko wojska, ale i życia w ogóle. Życie na emigracji jest trudne, to jakby zostać oderwanym od korzeni, a w wymiarze państwowym – od całego systemu społeczno-gospodarczo-finansowego. Na emigracji się marnieje. I tak samo marnieje wojsko. Nie, nie chodzi o to, że nasze wojsko źle walczyło. Ono walczyło bohatersko. Tylko że nasi żołnierze jedli brytyjskie konserwy, spali w brytyjskich koszarach, strzelali brytyjską amunicją. A nie polską. Byli zależni od sojusznika. Przykład pierwszy z brzegu: rozmawialiśmy przed rozpoczęciem nagrania o operacji „Market Garden” we wrze-

śniu 1944 roku. O tym, że naszą Brygadę Spadochronową, która była szykowana do zrzutu na terenie Polski, Brytyjczycy zmusili do skakania na Holandię.

PZ: Stało się tak dlatego, że samoloty były brytyjskie, a nie polskie. Spadochrony, pistolety maszynowe, hełmy, granaty, paliwo lotnicze. To wszystko też było brytyjskie. Polskie było tylko mięso armatnie. A mięso nie ma nic do gadania.

JB: Pamiętajmy o tym również teraz! Za żadne skarby świata nie wolno opuszczać swojego terytorium. Realną siłę miał Tito, bo on był blisko wsi, miast i miasteczek swego kraju. Nie siedział na emigracji, ale walczył w Jugosławii, która dawała mu jedzenie, amunicję, prowiant.

PZ: I rekruta.

JB: Tak. Jugosłowiańskie wojsko nie wyszło z kraju przez Słowację czy Rumunię. Nie oderwało się od własnej przestrzeni. Partyzanci Tity byli na miejscu. Dzięki temu Tito wywalczył jakąś suwerenność. Liczyli się z nim Brytyjczycy, Amerykanie, a nawet Sowieci. Do tego stopnia, że Stalin ciągle wysyłał zabójców, by wyeliminowali tego krnąbrnego jugosłowiańskiego marszałka. Aż wreszcie Tito stracił cierpliwość i napisał do Stalina list: „Słuchaj, wysłałeś już kolejnego, siódmego zabójcę, znów bezskutecznie, tym razem z pistoletem. Znowu go złapaliśmy i on nie żyje. Wciąż wysyłasz zabójców i za każdym razem okazują się nieskuteczni. Czy ja mam wysłać do ciebie jednego, ale za to skutecznego?”. I podobno Sowieci natychmiast po otrzymaniu tego listu zaniechali dalszych zamachów.

PZ: Wróćmy do polskiej polityki podczas II wojny światowej. Po pierwsze, nasze elity przyjęły całkowicie błędne założenie, że jedynym celem wojennym Polski jest pobicie Niemców. Po drugie, ślepo wierzyły, że interes Polski pokrywa się w 100 procentach z interesem Wielkiej Brytanii. Jeżeli tak by było, to operacja „Market Garden” miała sens. Walka we Francji w 1940 roku miała sens, bitwa o Anglię miała sens, Monte Cassino miało sens, Maczek miał sens. Wszystko, co robiliśmy, miało sens. Ale tak nie było! Wielka Brytania pokonała Niemcy, które skapitulowały z hukiem 8 maja 1945 roku. Ale wbrew wyobrażeniom naszych elit Polska nie odzyskała automatycznie niepodległości. Zwycięstwo Anglii nie oznaczało zwycię-

stwa Polski. Bo był czynnik sowiecki, który został całkowicie zignorowany przez naszych polityków. Oni chowali głowę w piasek, udawali, że ten problem nie istnieje.

JB: Ciągle to powtarzam: pomyliliśmy interes światowy z interesem Rzeczypospolitej. Ten interes, czy też ład światowy, dał nam niepodległość w 1918 roku. Ale sytuacja się zmieniła i nie należało się zbyt kurczowo tego interesu trzymać. To rodzi kolejne pytania. Jak społeczeństwo powinno się było zachowywać przez te sześć lat okupacji? Jak powinna była zachowywać się Armia Krajowa? Przez całą wojnę prowadziliśmy politykę ładu światowego, a nie politykę polską. Wystawiliśmy wojska w ramach koalicji. Walczyliśmy u boku Brytyjczyków dosłownie wszędzie. We Francji, w bitwie o Anglię, w Afryce, we Włoszech, Holandii, w powietrzu i na oceanach. Ale na koniec wcale nie znaleźliśmy się w obozie zwycięzców. Brytyjczycy – żeby nie drażnić Sowietów – nie zaprosili nas nawet na defiladę zwycięstwa. Innymi słowy, nie mieliśmy żadnej sprawczości. Nie mieliśmy nic do gadania, mimo naszego wielkiego wysiłku. Mimo Monte Cassino i powstania warszawskiego. To prowadzi do smutnych wniosków. Czy ta walka – w oderwaniu od własnego kraju, własnej przestrzeni – w ogóle miała sens?

PZ: I tu zgadzam się z tobą, że najgorszą rzeczą jest utrata państwa i ucieczka rządu na emigrację. Pamiętam, jak mówiłeś, że sojusz między państwami można przedstawić jako spółkę. Partnerzy w zależności od swojej siły otrzymują stosowną część udziałów. Otóż po katastrofie 1939 roku w spółce, w której znaleźliśmy się z Wielką Brytanią, nasz wkład wynosił 0,1 procent, a brytyjski 99,9 procent. To było bardzo widoczne w 1941 roku, gdy Wielka Brytania znalazła się w antyniemieckim sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Polska przestała mieć dla Brytyjczyków jakiekolwiek znaczenie. I nasz los był już wtedy przypieczętowany.

JB: Oczywiście wszystko zależało od rozwoju sytuacji na froncie wschodnim. Ale w scenariuszu, w którym koalicja anglo-sowiecka pokonałaby Niemców i do Polski na koniec wojny wkroczyłaby Armia Czerwona, musieliśmy na długie lata znaleźć się pod sowiecką dominacją. To było jasne już w 1941 roku i tak się stało. Co ciekawe, gdy się czyta podręczniki, oficjalną narrację, to można odnieść wrażenie, że podczas wojny – pod

Monte Cassino i w innych miejscach – biliśmy się jak jedna zaciśnięta pięść. Ale gdy zajrzeć do Giedroycia – którego ostatnio czytałem – i innych ludzi, którzy byli czy to w II Korpusie, czy w innych związkach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, wyłania się inny, bardziej złożony obraz. Tam były napięcia, ogromne ciśnienie. Wielu ludzi miało wątpliwości, czy to jest rzeczywiście dobry kierunek. W naszych siłach zbrojnych była cenzura, nie wolno było krytykować Brytyjczyków, ale i tak to wychodziło na wierzch. Chłopaki z Kresów czuli w kościach, że ta wojna jest przegrana, że już nie wrócą do domu. Były z tego powodu niesubordynacje. Były też napięcia polityczne między premierem Stanisławem Mikołajczykiem a naczelnym wodzem Kazimierzem Sosnkowskim, były podziały. Przytomni ludzie rozumieli, w którym kierunku zmierzają polskie sprawy. Tak więc ten obraz nie był wcale taki cukierkowy, jak się go teraz maluje. Czytałem ostatnio pożegnalne przemówienie pani ambasador Mosbacher, która powoływała się na wspólną walkę o wolność waszą i naszą…

PZ: To tylko takie puste frazesy. Nikt nie bierze przecież tego na poważnie. No, może oprócz naszych polityków.

JB: (*śmiech*) Tak, lepiej czytać Giedroycia. On po klęsce wrześniowej pracował jako sekretarz polskiego ambasadora w Rumunii Rogera Raczyńskiego. Nasze pobite wojska spływały wtedy do Rumunii. A z nimi wszyscy sanacyjni dygnitarze. Pojawiła się wtedy kwestia, że prezydent Ignacy Mościcki musi zrezygnować z urzędu. Polskie kierownictwo państwowe zdecydowało, że urząd prezydenta zostanie scedowany na Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego. Podjęto tę decyzję z zachowaniem wszelkich procedur konstytucyjnych. Czy tak się stało? Czy Wieniawa został głową państwa? Nie. Bo kto zdecydował, kto ma być następnym prezydentem Rzeczypospolitej?

PZ: Francuzi.

JB: No właśnie! Francuzi. Przecież to jest ciężki skandal. A dlaczego coś takiego w ogóle było możliwe? Bo to Francuzi mieli dać oparcie naszym siłom zbrojnym. To na terenie Francji miał powstać nowy polski rząd i nowa polska armia do dalszej walki z Niemcami. A więc Francja miała nas w garści i mogła z nami robić, co jej się żywnie podobało. Może jestem

zbyt ambitny, ale po prostu nie rozumiem, jak można się było dawać tak traktować.

PZ: Ale cóż wasal może mieć do powiedzenia?

JB: Problem polegał na tym, że skoro mocarstwa zachodnie już w 1939 roku decydowały nawet o tym, kto ma być premierem i prezydentem Polski, jeżeli mogły rozgrywać naszą wewnętrzną politykę, to równie dobrze mogły później grać nami w swojej rozgrywce z Sowietami. I tak to się właśnie skończyło.

PZ: Staliśmy się przedmiotem, a nie podmiotem dziejów. To wielki paradoks. Obrońcy polityki Becka mówią dzisiaj, że on był politykiem niepodległościowym. A co za tym idzie, nie mógł się zgodzić na sojusz z Niemcami, bo on by ograniczał naszą suwerenność. Chwileczkę, a sojusz z Francją i Wielką Brytanią nie ograniczał naszej suwerenności?! Ta historia z zablokowaniem Wieniawy i wyborem ekipy Sikorskiego jest najlepszym dowodem, że w 1939 roku staliśmy się wasalem, a nie sojusznikiem Zachodu. Oczywiście w hipotetycznym układzie z Niemcami również bylibyśmy młodszym partnerem, ale zachowalibyśmy nasze terytorium i siły zbrojne. A więc nasza pozycja wobec Berlina byłaby znacznie mocniejsza niż wobec Paryża i Londynu, w których siedzieliśmy na żebraczym chlebie. Przecież politykę Sikorskiego, już nie mówiąc o Mikołajczyku, prowadził de facto szef brytyjskiej dyplomacji Anthony Eden.

JB: Tak, ta spółka była bardzo nierówna. A co gorsza, nasi wspólnicy mogli do niej zapraszać bez naszej zgody innych partnerów. Mowa oczywiście o Związku Sowieckim. Bo przecież od początku było jasne, że alianci zachodni będą próbowali wciągnąć Stalina do koalicji antyniemieckiej. To doprawdy zastanawiające, dlaczego tak łatwo zgodziliśmy się na dyktat Francuzów. To jest niepojęte, jak można się tak całkowicie oddać innemu państwu. Gdy się ma wojsko na swoim terytorium, to się jest czynnikiem politycznym. Inni gracze nie muszą cię lubić, mogą cię nawet uważać za zbrodniarza, ale muszą się z tobą liczyć.

PZ: Im większą ma się siłę, tym mocniejszym jest się graczem. Wystarczy przypomnieć, jak Anglicy rozmawiali z Beckiem – za którym stało kilkadziesiąt dywizji i państwo znajdujące się w kluczowym miejscu Europy.

A jak rozmawiali później z Mikołajczykiem, „urzędującym” w jakiejś londyńskiej oficynie. Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie były bardzo dzielne, ale niewielkie. W obliczu gigantycznych armii mocarstw ścierających się na frontach II wojny światowej to była blotka. Co innego Włochy. Mimo że Włochy przez kilka lat walczyły po stronie Osi, Brytyjczycy robili wszystko, by ich przekabacić, przeciągnąć na swoją stronę. Udało im się to we wrześniu 1943 roku. Włochy jak gdyby nigdy nic zmieniły strony i wszyscy powitali ich z otwartymi ramionami. Nikt się na nich nie boczył. W efekcie Włosi wyszli na tej wojnie o niebo lepiej niż my – zawsze wierni.

JB: Tak, rok 1939 to był wielki przełom. Wszystko, co było potem, stanowiło tylko konsekwencję tamtej katastrofy. Wrzesień ’39 był ostatecznym końcem dawnej Polski. Takiej, jaką znały tamte pokolenia. Często myślę o naszych żołnierzach, którzy wtedy szli do straceńczego boju w mundurach w kolorze jesieni… O naszej kawalerii. O szlacheckich dworach, o systemie społecznym, który trwał od XIX wieku. O Ziemiach Wschodnich, które zawsze stanowiły strefę buforową w naszych zmaganiach z Moskwą. To wszystko straciliśmy w 1939 roku. Ten świat zgasł we wrześniu, a potem został zmiażdżony w strefie zgniotu wielkich mocarstw. Znaleźliśmy się w systemie totalitarnym. Na co najmniej pięćdziesiąt lat nasz swobodny, suwerenny rozwój został zatrzymany. Obecne czasy coraz bardziej skłaniają nas do wielopłaszczyznowego myślenia o wrześniu 1939 roku. Po klęsce Polski wielu ludzi wciąż miało nadzieję na ostateczne zwycięstwo w wojnie i trudno ich za to winić. Ale z biegiem czasu coraz bardziej się ona rozwiewała.

PZ: Zgoda, we Francji w roku 1940 można było jeszcze mieć pewne złudzenia. Wielka wiosenna ofensywa aliantów i tym podobne sprawy. Na to przecież liczył „Hubal”. Ale przypomnę, że szturm na Monte Cassino odbył się w maju 1944 roku. A w lutym tego roku Winston Churchill wystąpił w Izbie Gmin i otwartym tekstem powiedział, że połowa Polski zostanie oddana Sowietom. Wszyscy o tym wiedzieli, to było na pierwszych stronach gazet. To było już po konferencji w Teheranie. No i co się stało? Czy Polacy zrobili to, co Piłsudski w roku 1917, czyli jakiś kryzys przysię-

gowy? Protestowali? Nie, Polacy udawali, że nic się nie stało, i przelewali krew na Monte Cassino. Po co? Na co? Jak to miało pomóc Polsce?

JB: Dziś już nawet nikt nie pamięta, że Polacy tam walczyli.

PZ: Oczywiście. Anders tłumaczył się potem: „Zrobiliśmy to po to, żeby świat przypomniał sobie o sprawie polskiej". Tymczasem anglosaskie gazety żyły sprawą Monte Cassino jeden dzień i nawet nie wspominały o Polakach. Potem wróciły do opiewania zwycięstw bratniej armii sowieckiej.

JB: Zresztą wielu historyków uważa, że tak naprawdę Niemcy wycofali się z Monte Cassino nie z powodu szturmu Polaków, lecz dlatego, że na tyły wychodzili im Francuzi. Nie chciałbym tu oczywiście dezawuować ogromnego wysiłku naszego żołnierza. Ale wysiłek żołnierza, nawet najbardziej heroiczny, na nic się nie zda w złym ustawieniu geopolitycznym. Idzie na marne. Wojna jest przedłużeniem, instrumentem polityki. Śmierć żołnierza musi być zamieniona na walutę polityczną. To musi mieć sens. Wojnie musi towarzyszyć głęboki namysł i kalkulacja. Ona nie może być całopaleniem, jakąś manifestacją moralną, pustym gestem. Wbrew pozorom jest to działanie bardzo pragmatyczne, jak rzemiosło.

PZ: Na Monte Cassino straciliśmy blisko tysiąc ludzi, walcząc dla Brytyjczyków, którzy oficjalnie przyznali, że nas zdradzili. Ta bitwa rozegrała się 2 tysiące kilometrów od Polski. Tymczasem tereny, z których pochodzili żołnierze Andersa, ich ojczyzna, już oddano Stalinowi. Nie rozumiem sensu takiej walki i polityki. Mówiłeś, że na naszym losie podczas II wojny światowej fatalnie zaciążyła geografia. Zgoda. Ale problemem jest też chyba mentalność ówczesnych elit, które nie rozumiały, na czym polega interes Polski. Nie rozumiały, że własną krew trzeba cenić.

JB: Trudno mi powiedzieć, co mają w głowach inni ludzie. Jestem słabym psychologiem i dlatego łatwiej mi zrzucić winę na geografię (*śmiech*). Ale mówiąc poważnie: chciałbym oczywiście, żeby nasi przywódcy odczytywali prawidła wynikające z międzynarodowego układu sił. Tego podczas ostatniego światowego konfliktu zabrakło. Zwłaszcza w kolejnych latach wojny, po 1941 roku, gdy coraz wyraźniej było widać, że układ sił jest dla nas niekorzystny. Oczywiście sprawa była bardzo trudna. Niemcy prowa-

dzili w okupowanej Polsce barbarzyńską politykę wobec narodu polskiego. A co za tym idzie, dziś tym moralnym argumentem można ex post zamknąć usta każdemu krytykowi: „Wielka Brytania to była jedyna opcja, bo Niemcy nas eksterminowali!”.

PZ: Ale nikt nie twierdzi, że w roku 1944 należało nagle przejść na stronę przegranych, skąpanych w polskiej krwi Niemców. To już nie był rok 1939. Ta opcja była zamknięta. Chodzi tylko o to, że nasze elity powinny były minimalizować straty. Nie szturmować Cassino, nie godzić się na skok spadochroniarzy pod Arnhem, nie robić akcji „Burza” i powstania warszawskiego. Bo te wszystkie kolosalne ofiary nie mogły już w żaden sposób odmienić losu Polski. Wojna była przegrana i należało spojrzeć w oczy rzeczywistości. Mówił o tym choćby Jan Karski.

JB: Tak, te moralne argumenty brzmią pięknie, ale nie zmieniają przecież układu sił. A to jedyne kryterium oceny decyzji politycznych. Dla mnie jeszcze bardziej wstrząsającym przykładem od Monte Cassino czy operacji „Market Garden” jest to, że nasza flota wojenna osłaniała konwoje płynące do Murmańska z pomocą wojskową dla Sowietów! A potem Armia Czerwona na tych ciężarówkach, w amerykańskich jeepach i butach, przyszła do Polski i wzięła ją pod okupację. To jakiś horror! Nasi marynarze cierpieli na mroźnych szlakach arktycznych, w strasznych warunkach pogodowych, zagrożeni bombami, żeby dostarczać uzbrojenie naszym wrogom. Pozwoliłem sobie kiedyś w Akademii Marynarki Wojennej na uwagę, że cały ten kolosalny wysiłek służył wyłącznie Sowietom.

PZ: Oczywiście. I był wbrew interesom Polski. Ale rozkazy Brytyjczyków, którzy nas karmili, były świętością.

JB: Józef Mackiewicz pisał o tym w 1944 roku. Niemcy, gdy zaczęli przegrywać na froncie wschodnim i wycofywali się przez Polskę, de facto przestali być wrogiem. Czy też inaczej – przestali być długofalowym zagrożeniem dla niepodległości Polski. Bo jasne było, że Berlin prędzej czy później padnie. Że z marzenia o Tysiącletniej Rzeszy nic nie wyjdzie. Na pierwszy plan wysuwało się zaś zagrożenie sowieckie. To Stalin teraz dybał na niepodległość Polski. To był ten moment, gdy interes polski ostatecznie oderwał się od interesu światowego. Niemcy wojnę przegrali i w związku

z tym – według Mackiewicza – nie należało już do nich strzelać, wysadzać pociągów jadących na front wschodni, dokonywać aktów sabotażu. Mackiewicz uważał, że akcja „Burza” była bezsensownym marnotrawieniem energii. No i my rzeczywiście strzelaliśmy do Niemców do końca. I do końca ponosiliśmy za to straszliwe konsekwencje. Powstanie warszawskie jest tego najlepszym przykładem. Nie strzelaliśmy natomiast do wkraczających do naszej ojczyzny Sowietów, bo kierowaliśmy się właśnie interesem światowym. Uważaliśmy, że jesteśmy częścią wielkiej koalicji, do której należy również Stalin. A czy ta koalicja dbała o interesy Rzeczypospolitej? Chroniła jej niepodległość? Oczywiście nie.

PZ: Skoro mówimy o sytuacji w okupowanej Polsce, chciałbym wprowadzić do naszej dyskusji nowy wątek. Otóż zwróć uwagę, że pomylenie interesu światowego z interesem polskim nie było tylko problemem rządu w Londynie, na który ustawicznie wywierali presję Brytyjczycy. Ten sam błąd popełniło kierownictwo Państwa Podziemnego. Bo co powinno być celem istnienia polskiego podziemia po klęsce wrześniowej? Oczywiście ratowanie substancji biologicznej narodu. Chronienie Polaków przed represjami. Choćby na Wołyniu, gdzie uzbrojone w siekiery i widły watahy bezkarnie wyrżnęły kilkadziesiąt tysięcy naszych rodaków. Nawet w apogeum tego ludobójstwa Armia Krajowa nie broniła tych ludzi. A czym się wtedy zajmowała? Sabotażem niemieckich linii komunikacyjnych, współpracą z bolszewikami w ramach akcji „Burza”, a w końcu wystawianiem na śmierć swych żołnierzy i cywilów w powstaniu warszawskim. A więc działaniami, które były sprzeczne z polską racją stanu i powodowały kolejne ofiary i spustoszenia.

JB: Teoretycznie nasze Państwo Podziemne było wielokrotnie silniejsze niż cały wzięty do kupy ukraiński ruch narodowy. Licząc nawet przygodnych uczestników wszystkich ruchawek. A jednak Wołyń się dokonał. Jak to w ogóle było możliwe? Przecież, jak na warunki okupowanej Europy, mieliśmy dobrze zorganizowaną konspirację. Bez wątpienia doszło więc do złej oceny sytuacji. Skupiono się na innych sprawach. Wszystkie debaty historyczne, które wywołały twoje książki, i wszystkie ich odpryski ukazują poważne błędy w myśleniu, które wciąż u nas pokutują i które w końcu należy sobie uświadomić i wykorzenić. Po pierwsze, musimy zrozumieć, że

wojna nie ma nic wspólnego z dobrem i złem. Również wojny światowe, co oczywiście kłóci się z dobrze nam znaną narracją hollywoodzką. Państwo polskie weszło w II wojnę światową, broniąc dominującej pozycji Wielkiej Brytanii – i jej francuskiej sojuszniczki – w Europie. Po to, żeby utrzymać status quo na kontynencie. W 1943 roku, gdy Polskie Państwo Podziemne i rząd londyński podejmowały strategiczne decyzje, to status quo już jednak nie istniało. Mieliśmy zupełnie inny świat. Trwała wielka wojna. Polski nie było na mapie. Do Europy zbliżali się Sowieci. Wtedy należało zmienić założenia naszej polityki. Najbardziej wstrząsające jest to, że Armia Krajowa szykowała się do wielkiej rozprawy z armią niemiecką jako pełnoprawny sojusznik aliantów zachodnich.

PZ: Tak, słynne, przygotowane przez Komendę Główną AK plany powstania powszechnego. Numer 54 i 154. Dziś, gdy się czyta te założenia, trudno uwierzyć, że ich autorzy mogli się opierać na tak nierealnych przesłankach. Tak bardzo przeceniać siły własne. I nie doceniać sił nieprzyjaciela.

JB: Trzymano więc broń i ludzi z myślą o tej przyszłej, mitycznej rozprawie z Niemcami. Tymczasem w terenie pojawiały się bardzo konkretne, bieżące potrzeby operacyjne. Takie jak zagrożenie ze strony ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu. No, ale my – w rozumieniu naszych decydentów – byliśmy stworzeni do ważniejszych, wznioślejszych zadań. Byliśmy częścią wielkiej koalicji, która miała przywrócić dobro na świecie. To już jest objaw poważnego oderwania od rzeczywistości. Wracam do przykładu Tity, o którym już wspomniałem. Brytyjczycy w 1944 roku musieliby się z nami liczyć tylko wtedy, gdybyśmy mieli jakąś kontrolę nad naszą przestrzenią, nad Polską. A my jej nie mieliśmy. I tu można rozumieć twórców planu akcji „Burza”. Oni chcieli pokazać, że Polacy są gospodarzami na własnym terytorium. Teoretycznie założenie było słuszne. Ale w praktyce to była iluzja. Nie mieliśmy na to siły. Nasi planiści zignorowali polityczną rzeczywistość, Teheran, Armię Czerwoną… Zresztą już wtedy pojawiały się głosy, że działania Państwa Podziemnego nie idą w dobrym kierunku. Przywódcy wierzyli jednak, że muszą robić wszystko, aby Zachód zwyciężył. A przecież w 1944 roku na Zachodzie panowała wielka moda na Wujka Joego i „bohaterską Armię Czerwoną”. Wszyscy kochali Sowietów, a nie nas. Bo Sowieci byli potrzebni.

PZ: No, ale my liczyliśmy na wdzięczność za naszą ofiarność i wierność.

JB: Wdzięczność nie jest walutą w stosunkach międzynarodowych. Na wojnie nie liczy się to, kto ponosi największe ofiary – jak my na Monte Cassino czy w powstaniu warszawskim. Liczy się to, kto jest najsilniejszy i zajmuje kontrolną pozycję w dniu podpisania pokoju. Chodzi o sprawczość, o lewary, siłę, o możliwości. Byłoby dla nas dużo lepiej, gdyby Sowieci nie wyszli z tej wojny tacy potężni. Ale – między innymi dzięki dostawom alianckiego sprzętu w ramach programu Lend-Lease – stało się inaczej. Nasze walki na Zachodzie nie miały wpływu na układ sił w Europie Środkowo-Wschodniej. Prawdziwa wojna o Polskę odbyła się we wrześniu roku 1939, kiedy mieliśmy jeszcze milion żołnierzy. To wtedy tak naprawdę przegraliśmy.

PZ: Tak. Mieliśmy wówczas prawdziwą armię. Oraz zaplecze – państwo, naród i własny przemysł. Żołnierz polski we wrześniu 1939 roku jadł polskie konserwy, a nie brytyjskie. Niestety, na skutek decyzji Becka weszliśmy do wojny pierwsi i przegraliśmy od razu wszystko. A marszałek Piłsudski przestrzegał, że wojny nie wygrywa ten, kto przystępuje do niej pierwszy, traci wszystkie atuty i potem kilka lat wykrwawia się pod okupacją. Wojnę wygrywa ten, kto lawiruje tak długo, jak się da. A do walki przystępuje jak najpóźniej. I dzięki temu zachowuje siły do ostatecznych rozstrzygnięć.

JB: Tak, decyduje brutalna siła. I – powtarzam – tę siłę należy zachować do ostatniej fazy wojny. Najlepiej oczywiście rozegrali to Amerykanie. Wręcz modelowo. Przecież oni w porównaniu do nas czy do narodów Związku Sowieckiego w II wojnie światowej właściwie nie ponieśli żadnych strat. A ją wygrali! Wyszli z wojny jako największe światowe supermocarstwo. A przecież z przystąpieniem do działań zbrojnych w Europie czekali do ostatniej chwili, wcale się do tego nie rwali. Oczywiście byli trochę na Morzu Śródziemnym, na Atlantyku, potem dokonali inwazji na Afrykę Północną, ale prawdziwy front zachodni otworzyli dopiero pod koniec wojny. Wcześniej ciężar wojny przerzucali na Związek Sowiecki, któremu tylko dostarczali sprzęt. To Armia Czerwona złamała potęgę Niemiec pod Stalingradem i w bitwie na łuku kurskim. Amerykanie przyszli na gotowe. Interesowało ich oczywiście tylko pobicie Niemiec i Japonii – rywali w globalnej

rywalizacji mocarstw. Ale już odbudowanie Polski nie miało żadnego znaczenia. Z perspektywy Waszyngtonu to była sprawa trzeciorzędna. Dlatego należy zawsze mieć wątpliwości, czy każda wojna koalicyjna naprawdę zakończy się tym, że my też będziemy w obozie zwycięzców. Powtarzam: zwycięża ten, kto ma siłę w momencie zakończenia wojny, kto nie trwoni jej lekkomyślnie podczas konfliktu.

PZ: Tak. Tymczasem generał Sikorski – symbol polskiej naiwności politycznej w czasie II wojny światowej – wierzył w kapitał krwi. Wierzył, że zadaniem Polaków jest przelewać krew na wszystkich frontach u boku Anglosasów. No i oczywiście w kraju, w bezkompromisowej, nierównej walce z koszmarnym okupantem. Ta cała krew miała zostać zgromadzona w jakimś wirtualnym banku i na koniec wojny mieliśmy sobie za nią wypłacić dywidendę. Czyli „świat" w uznaniu naszego bohaterstwa i ofiar miał nam dać niepodległość i wspaniałe granice. Ale to tak nie działa. Z naszej walki pozostała tylko masa polskich grobów rozrzuconych po świecie, na których obecnie można zapalać znicze.

JB: No, niestety. Wojen nie toczy się o wolność narodów, lecz o podział pracy. O to, kto na kogo pracuje. O interesy. O globalny system wymiany towarowej. O to, kto kontroluje przepływy strategiczne i emisję walut. I wojna światowa nie była tu wyjątkiem. II wojna światowa – która była dogrywką pierwszej – także. Bo przecież w obu wypadkach Niemcy chcieli zbudować na kontynencie europejskim swój imperialny system. Ustawić przepływy strategiczne pod siebie. Nas traktowali zaś jako siłę niewolniczą czy – jak się to obecnie mówi – podwykonawców. Pewne trendy w niemieckiej polityce są stałe, choć metody, całe szczęście, się zmieniają. Należy odróżnić propagandę od rzeczywistych celów politycznych. To nie jest tak, że Ameryka walczy o prawa człowieka i demokrację. Ona walczy o zachowanie swojej hegemonicznej pozycji w systemie światowym. W tej grze każdy ma własne, odrębne interesy.

PZ: Tak, propaganda jest niezwykle ważna. Nie można przecież powiedzieć ludziom, których wysyła się na śmierć, na jakieś odległe wojny: „Walczcie i gińcie za egoistyczne interesy mocarstwa". Przekonuje się ich więc – a razem z nimi cały świat – że walczą w obronie dobra przeciwko złu. Wystarczy sięgnąć do książek o genezie II wojny światowej napisanych

przez brytyjskich historyków. *Gwarancji brytyjskich dla Polski* Simona Newmana czy *The Origins of the Second World War* A.J.P. Taylora. Jasno z nich wynika, że Wielka Brytania nie przystąpiła do wojny dlatego, że Hitler był antysemitą i paskudnym dyktatorem. Nie przystąpiła również do wojny, aby ratować biedną Polskę. Przystąpiła do wojny, bo uważała, że wzrost potęgi Niemiec w Europie zagraża jej interesom gospodarczym i szlakom morskim. Że Niemcy ruszą tradycyjnym szlakiem ekspansji Berlin–Europa Środkowo-Wschodnia i kierując się na Bagdad, wyjdą na Bliski Wschód. Międzynarodowa gra toczy się o interesy, a nie – jak wydawało się naszym decydentom – o wartości. Jakie z tego wszystkiego wypływają wnioski na współczesne czasy?

JB: Nasza polska sytuacja jest łatwiejsza niż w latach trzydziestych, ale jest ona znacznie groźniejsza dla Stanów Zjednoczonych. Ich nowy przeciwnik, o czym mówiliśmy, jest bowiem dużo potężniejszy, niż były Niemcy i Japonia. Ale bez wątpienia w polskiej mentalności politycznej interes światowy – traktowany jako tożsamy z interesem polskim – wciąż istnieje. To zachłyśnięcie się po 1991 roku globalizacją, gwarancjami i potęgą Stanów Zjednoczonych musi niepokoić. Tak jakby nagle zostały zniesione prawa historii, prawa politycznej grawitacji! A grawitacja w polityce polega na równoważeniu sił. Do tej pory tego nie czuliśmy, bo Amerykanie sami, dzięki swojej dominującej pozycji, równoważyli cały system. Teraz to się zmienia, bo Amerykanie odchodzą. A my musimy znaleźć własną drogę równowagi, własne miejsce na świecie. Zastanowić się, gdzie są nasze łańcuchy dostaw.

PZ: Czyli tak jak podczas II wojny światowej musimy zdać sobie sprawę, że interes Polski nie pokrywa się w 100 procentach z interesem Stanów Zjednoczonych?

JB: Oczywiście, że nie. Interesy dwóch państw nigdy nie pokrywają się w 100 procentach. Podobnie jak w zwykłym życiu. Popsuje nam się kran, ściągamy fachowca. „Ile to będzie kosztowało?” – pytamy go. „Dobra, jakoś się dogadamy” – słyszymy. A potem przychodzi do rozliczenia i mamy problem.

PZ: Cena, jaką należy zapłacić za usługę – w czasie II wojny światowej tą usługą były brytyjskie gwarancje dla Polski – może się okazać horrendalna.

JB: Tak samo jest teraz. Dla nas byłoby oczywiście najlepiej, żeby Amerykanie pozostali hegemonem i żeby obecny system globalny przetrwał. Żebyśmy dalej mogli się rozwijać i czuć się bezpieczni. Ale nasze nadzieje i oczekiwania nie muszą się pokrywać z polityczną rzeczywistością. Musimy wydobyć się z bańki, w której znaleźliśmy się po 1991 roku. Globalny układ sił właśnie się zmienia. Nie możemy tego przespać, bo skończy się tak jak w czasie II wojny światowej.

Wracam do koncertu mocarstw. Wszyscy zaczynają grać swoje, prowadzić oportunistyczną politykę. Powtarzam: to jest dla nas niekorzystne, ale Polska nie ma na to żadnego wpływu, nie możemy zatrzymać tego procesu. Musimy więc grać tak jak inni.

PZ: Szczególnie że mamy pole do gry wielowektorowej. Nie jesteśmy wcale skazani na kurczowe trzymanie się amerykańskiej spódnicy. Mamy partnerów europejskich, mamy Niemców, na horyzoncie pojawiają się Chiny, dla których położenie geograficzne Polski jest dużym atutem. Można to zresztą przełożyć na zwykłe ludzkie życie. Stawianie oszczędności życia na jedną kartę jest bardzo ryzykowne.

JB: W Strategy&Future zrobiliśmy badanie polskich interakcji dyplomatyczno-wojskowych z USA, Chinami i Rosją w ciągu ostatnich dwóch lat. Za prezydentury Donalda Trumpa. Wnioski są naprawdę smutne. Oczywiście kontakty z Amerykanami były najczęstsze. Nasza współpraca wojskowa jest jednak zupełnie jednostronna. Jesteśmy całkowicie uzależnieni od tego, co oni nam dostarczają. W 100 procentach wierzymy w gwarancje bezpieczeństwa Waszyngtonu. Zrezygnowaliśmy z innych opcji. Amerykanie to wiedzą i w efekcie staliśmy się partnerem słabym i posłusznym, z którym nie trzeba się liczyć. Bo my i tak wszystko łykamy.

PZ: Sami zagoniliśmy się w kozi róg. Pozbawiliśmy się pola manewru.

JB: Bo nawet nie prowadzimy polityki z Ukrainą! Nie rozmawiamy z Niemcami. I Amerykanie, którzy są bardzo twardzi i pragmatyczni, uznają nas za swoją strefę interesów, a nie za sojusznika, nawet małego, kilkuprocentowego. Z naszymi interesami nie muszą się liczyć. Mało tego, można je sprzedać stronie trzeciej. To bardzo niebezpieczna droga, trzeba z niej jak najszybciej zejść. Ale żeby to zrobić, trzeba przestać być miłym. Tylko

jasno, z pewnością siebie, bez kompleksów mówić, jakie są nasze interesy. Musimy powiedzieć Amerykanom, że widzimy ich słabości, rozumiemy ich strategię. Wiemy, że ich pozycja w Europie będzie słabnąć. „Panowie – powinniśmy im powiedzieć. – To co robimy w nowej sytuacji? Jaki jest konkretny plan strategiczny? Bo my musimy teraz zacząć myśleć o sobie. Po prostu słabniecie, chłopaki. Czujemy, że sobie nie radzicie. Wasze gwarancje w Europie Środkowo-Wschodniej są coraz bardziej iluzoryczne". Ale dobrze wiemy, że to nie przejdzie polskim politykom przez usta.

PZ: Tak jak nie potrafiło to przejść przez usta Stanisława Mikołajczyka, gdy stawał na baczność przed Winstonem Churchillem i Anthonym Edenem.

JB: Oczywiście to było nie do pomyślenia. Bo honor, bo sojusze, bo tamto i siamto. Francja podczas II wojny światowej prowadziła politykę dwuwektorową. W kraju był marszałek Pétain, który zawarł z Niemcami pragmatyczną ugodę…

PZ: Żeby minimalizować straty własnego narodu. Uznał, że biologiczne przetrwanie Francuzów jest wartością najwyższą.

JB: Tak. I dzięki temu przywódca Wolnych Francuzów, generał de Gaulle mógł szantażować Churchilla. Mógł go straszyć, że dogada się z Pétainem. Wróci do kraju i rzuci sprawę aliantów. W wypadku Polaków, którzy wszystko postawili na jedną kartę, taka gra była oczywiście niemożliwa.

PZ: Najważniejsza zasada, jaką powinna się kierować polityka zagraniczna, jest prosta: musimy za wszelką cenę unikać konfliktu na dwa fronty. Nie można antagonizować Niemiec w sytuacji, w której ma się fatalne relacje z Rosją. Albo-albo. Tymczasem mam wrażenie, że nasi obecni przywódcy zlekceważyli tę kardynalną zasadę. Niestraszna nam Rosja! Niestraszne nam Niemcy! Stoi przecież za nami cała potęga Stanów Zjednoczonych!

JB: No i teraz właśnie okazuje się, że wcale nie stoi. Bo geografia znowu różnicuje siły. Nasza sytuacja jest jednak o tyle korzystniejsza, że jesteśmy w sojuszu z Niemcami. I wcale nie musimy ich antagonizować. Tak naprawdę mamy tylko jednego przeciwnika. W przeciwieństwie do wielu optymistów jestem przekonany, że III wojna światowa prędzej czy później

wybuchnie. Bo taka jest ludzka natura i takie są mechanizmy, którymi od zawsze kieruje się świat. Dlatego nie możemy powtarzać błędów przeszłości. Mało tego, już jesteśmy w pierwszej fazie wojny. W 2008 roku Federacja Rosyjska ruszyła do wielkiej kontrofensywy. Władimir Putin odniósł największe sukcesy od czasów Ottona von Bismarcka w zmienianiu granic europejskich bez wywoływania wielkiej wojny! Ten człowiek i jego polityka doprowadzili do zatrzymania projektu imperium europejskiego, który w tej chwili jest na kolanach. Gruzja, Ukraina. Prozachodnie ambicje tych i innych państw położonych na wschodnich rubieżach Europy ugrzęzły w martwym punkcie. Rosja zatrzymała te kraje na drodze do NATO i UE. I Federacja Rosyjska nie zrobiła tego dzięki pieniądzom, bo ich nie ma. Nie dzięki postępowi technicznemu i zaawansowanym technologiom, bo tego również nie ma. Nie dzięki atrakcyjnemu projektowi cywilizacyjnemu, bo nic takiego się w Rosji nie narodziło. Putin osiągnął to siłą wojskową. Prowadząc kolejne wojny, które mózg rosyjskiej armii, generał Gierasimow, nazywa wojnami nowej generacji. Czyli wojną zasadzającą się na przymuszeniu, destabilizacji, a gdy trzeba – użyciu broni kinetycznych. Sztuka dyplomatyczna, operacje sił specjalnych, tajne służby, fizyczna likwidacja przeciwników, sankcje gospodarcze, ataki hakerskie. To całe spektrum działań Rosji, która stosuje je w żywotnym obszarze interesów strategicznych Rzeczypospolitej. Na Ukrainie i na Białorusi, w państwach bałtyckich, na Kaukazie, na Krymie, wokół Morza Czarnego. To wszystko się dzieje i Rosja odnosi spektakularne sukcesy. Już jest na Krymie, jest w Donbasie, powoli, nieubłaganie podporządkowuje sobie Białoruś.

PZ: Akurat na tej płaszczyźnie interes polski wydawał się do niedawna pokrywać z interesem światowym. Amerykanie chcieli odepchnąć Rosję od Europy.

JB: Ogólnie tak. Pokrywał się. Ale w szczegółach? Otóż naszym priorytetem są zawsze dwa obszary: Białoruś i Ukraina, dawne tereny buforowe Rzeczypospolitej. Obszary, dzięki którym Rzeczpospolita miała głębię strategiczną, umożliwiające rozpoznanie kierunku nadejścia Moskali – z bramy smoleńskiej czy zza Dniepru. Dzięki nim wiedzieliśmy, gdzie nasze kontruderzenie powinno być kierowane. Tak wyglądał też plan wojny na Wscho-

dzie w dwudziestoleciu międzywojennym. Te obszary buforowe są kluczem do bezpieczeństwa państwa polskiego również dzisiaj.

PZ: A państwa bałtyckie?

JB: No cóż, są dla nas ważne. Ale dla Stanów Zjednoczonych są żywotne. Dla ich obecności w Europie, pozycji w Eurazji, dla istnienia NATO. Czyli, innymi słowy, dla interesu światowego. I tu geografia różnicuje nasze interesy. Bo nie wiadomo, co by się stało, gdyby wojna wybuchła w rejonie państw bałtyckich, na przykład w Estonii czy na Łotwie. Przecież Amerykanie nie mają tam projekcji siły. Za to my jesteśmy blisko i Waszyngton będzie oczekiwał, że to my pójdziemy na ratunek Rydze. To my mamy iść przodem. A Amerykanie zobaczą, co się stanie, i potem podejmą decyzję. To jest koncepcja „tripwire", rozciągniętego na ziemi drutu kolczastego. Tym drutem kolczastym mamy być my i państwa bałtyckie. I o ten drut ma się potknąć przeciwnik nadchodzący ze Wschodu. A jakie straty przy okazji poniesiemy, ma już dla Waszyngtonu drugorzędne znacznie. Tak jak w 1939 roku najważniejsze będzie zdobycie czasu.

PZ: Na rozkaz Amerykanów posłalibyśmy naszą armię na pewną zgubę?

JB: Trzeba potrafić się postawić. Rozumieć, że nasze interesy nie we wszystkim się pokrywają. Zresztą w momencie wybuchu wojny między USA a Rosją to my bylibyśmy centrum grawitacyjnym tego konfliktu. Przez nasze terytorium szłyby linie zaopatrzeniowe i Rosjanie chcieliby je zniszczyć. Ponieślibyśmy więc kolosalne straty. Musimy pamiętać, że głównym przeciwnikiem, do wojny z którym szykują się siły zbrojne Federacji Rosyjskiej po wielkich reformach ostatnich lat, jest armia Rzeczypospolitej, Ukrainy i Turcji. Zachodni Europejczycy nie mają realnych możliwości zatrzymania Rosji. Wojna ze Stanami Zjednoczonymi nie jest zaś w Moskwie poważnie brana pod uwagę, bo Rosjanie wiedzą, że by ją przegrali. Oni nie chcą wojny totalnej. Chcą wojny limitowanej. Moskwa bez wątpienia starałaby się więc nas wyizolować i jakoś dogadać z Amerykanami. Skłonić ich, żeby spisali nas na straty. Więc my byśmy się wykrwawiali, a pomoc zza oceanu wcale nie musiałaby nadejść. Rosjanie są mistrzami w takich rozgrywkach. My nie możemy tak jak Amerykanie pływać wzdłuż i wszerz oceanu światowego. Być raz tam, a raz gdzie indziej.

My jesteśmy tutaj. I zawsze tu będziemy. Między Niemcami a Rosją. Pamiętajmy też o kolejnym wielkim zagrożeniu, o którym tyle razy mówiliśmy. W dziejach świata często bywało tak, że wielkie mocarstwo morskie zawiązywało sojusz z mocarstwem kontynentalnym. Na przykład z Moskwą.

PZ: Tak było podczas II wojny światowej.

JB: Nasze myślenie zdominowała zimna wojna, gdy Związek Sowiecki jako pretendent do hegemonii był rywalem USA i Wielkiej Brytanii. Ale przecież to był ewenement w dziejach. Na ogół Rosja była sojusznikiem Zachodu. Tak było podczas wojen napoleońskich, w XIX wieku, podczas I wojny światowej, a później II wojny światowej. Przecież w 1939 roku Brytyjczycy chcieli odtworzyć konstelację z 1914 roku, czyli sojusz francusko-angielsko-rosyjski wymierzony w Niemcy. I my przeszkadzaliśmy w tych planach. To ukazuje, jak bardzo trudna jest nasza sytuacja. Krucha i skomplikowana. Coraz donośniejsze na Zachodzie – w Europie i w Stanach Zjednoczonych – są głosy o konieczności sojuszu z Rosją. Odwrócenia jej przeciwko Chinom. Samo nasze nawoływanie, że to niemożliwe, bo Rosjanie to źli ludzie, nie spowoduje, że tak się nie stanie. To zaklinanie rzeczywistości. Gdy więc pytasz, jakie wnioski wypływają z II wojny światowej, z epoki, gdy alianci dogadali się naszym kosztem ze Związkiem Sowieckim, to tak brzmi moja odpowiedź. Nie możemy polegać na obcych. Musimy przede wszystkim polegać na sobie. I prowadzić suwerenną, niezależną politykę. A nie być tylko dodatkiem do obcego mocarstwa, którego lojalność jest bardzo niepewna.

PZ: Jałta może się powtórzyć?

JB: Tak. Na pomoście bałtycko-czarnomorskim historia kołem się toczy.

Rozmowa wcześniej niepublikowana

Rozmowa 12

Czy Rzeczpospolita będzie trwała wiecznie?

PZ: Wielokrotnie mówiliśmy o słabnącej pozycji Stanów Zjednoczonych na świecie. O tym, że Ameryka nie jest już jedynym supermocarstwem. Wygląda na to, że teraz w dramatyczny sposób się to potwierdziło. Katastrofa w Afganistanie… Spodziewałeś się, że to się tak skończy?

JB: I tak, i nie. To, że Amerykanie prędzej czy później wyjdą z Afganistanu i w ten sposób zamkną jeden z frontów, było dla mnie jasne. Afganistan bowiem ich obciążał. Niepotrzebnie rozpraszał siły w obliczu najważniejszej rywalizacji – z Chinami. Wielkiej, wchodzącej w kulminacyjną fazę rywalizacji między lądem a morzem, między oceanem światowym a kontynentem. A więc samego wycofania się spodziewałem. Mało tego, dziwię się, że Amerykanom zajęło to aż tyle czasu. Już dawno powinni byli spakować manatki i się stamtąd zabrać. Wykazali się więc prawidłowym instynktem. I tu pewnie zaskoczę ciebie i naszych czytelników: podobało mi się przemówienie prezydenta Joe Bidena. Wyjątkowo szczerze o tym mówił. To było najbardziej szczere przemówienie amerykańskiego prezydenta od wielu, wielu lat. Długo czekałem na to, aż wreszcie usłyszę od amerykańskiego przywódcy takie słowa. Biden bez ogródek mówił, czym kierowały się Stany Zjednoczone, opuszczając Afganistan. Używał przy tym fachowych geopolitycznych określeń, które często padały w naszych rozmowach. Cały wielki chór krytyków Bidena – interwencjonistów, którzy chcieliby, żeby Amerykanie byli wszędzie i wszędzie wpływali na równowagę sił – nie rozumie, że środki są ograniczone. Stany Zjednoczone mają teraz na głowie ważniejsze zmartwienia niż Afganistan. Muszą się skupić na czymś zupełnie innym. Afganistan niepotrzebnie pochłaniał ich energię.

PZ: A czego się nie spodziewałeś?

JB: Tego, że to się stanie w ten sposób. Oddzieliłbym bowiem samo wycofanie się od jego realizacji. Amerykanie naprawdę bardzo źle to rozegrali. Nie spodziewali się tak silnej i szybkiej ofensywy talibów. A także tego, że armia afgańska po prostu się rozpierzchnie.

PZ: W tym – wbrew temu, co opowiadał Biden – również jest sporo winy Amerykanów. To oni przez dwie dekady szkolili tę armię. To ich „dziecko" zawiodło.

JB: Amerykanom zabrakło profesjonalizmu. Zarówno wojskowego, jak i politycznego. Operacyjna strona wycofania została sknocona. I to wywołuje ogromne napięcie i frustrację w amerykańskim wojsku. Docierają do mnie te głosy, utrzymuję bowiem kontakt z amerykańskimi dowódcami. Oni czują się po prostu upokorzeni. To jest właśnie ten rozdźwięk. Zasady wielkiej strategii mówią nam, że wycofanie z Afganistanu było uzasadnione. Natomiast sposób, w jaki to przeprowadzono, jest potwornym ciosem w wiarygodność Ameryki. W US Army panuje po tym olbrzymi absmak. Myślę, że Biden poniesie tego konsekwencje. Jego pozycja jako zwierzchnika sił zbrojnych poważnie osłabnie, a amerykański system polityczny się zatrzęsie.

PZ: Tak, wielu Amerykanów – nie tylko zdeklarowanych republikanów – poczuło się upokorzonych. Jak to?! Przecież to niemożliwe! Jesteśmy największą potęgą na świecie, a pogoniła nas jakaś pstrokata hałastra facetów w turbanach, uzbrojonych w kałasznikowy! Myślę jednak, że Amerykanie powinni zejść na ziemię. John Mearsheimer napisał, że gdyby zwolennicy interwencji byli górą, Amerykanie do dziś babraliby się w dżunglach Wietnamu. Wojna w Afganistanie to było dwudziestoletnie bicie głową w mur. Pomysł od samego początku był chybiony, a przedłużanie tej wojny tylko mnożyło koszty. Kiedyś trzeba było to przerwać.

JB: Zgadzam się z tym, co zaraz po ewakuacji Kabulu napisał Steven Walt. Że to się musiało stać, że to było nieuniknione. Ale oczywiście – powtarzam – należało to inaczej rozegrać. Zamortyzować ten szok. Nie chciałbym zostać posądzony o cynizm, bo przecież tam rozegrała się wielka ludzka tragedia. Widzieliśmy wstrząsające obrazy z lotniska w Kabulu.

Przerażonych Afgańczyków szturmujących samoloty i czepiających się skrzydeł startujących maszyn. Konsekwencje humanitarne są bez wątpienia zatrważające.

PZ: Amerykanie zostawili na lodzie tysiące ludzi, którzy im zaufali i podjęli z nimi współpracę. A teraz na tych ludzi spada straszliwa zemsta talibów. Mało tego, uciekając w panice, zostawili talibom gigantyczne ilości nowoczesnego sprzętu wojskowego. Talibowie będą teraz mieli chyba jedną z najlepiej uzbrojonych armii w Azji. Symboliczne jest to, że Amerykanie, uciekając z Afganistanu, tak się spieszyli, iż zostawili nawet psy wojskowe – zamknięte w klatkach, porzucone na pewną śmierć z głodu. To jedna wielka kompromitacja. Domyślam się, że twoi znajomi w korpusie oficerskim US Army są wściekli jak nigdy.

JB: Okazało się, że Amerykanie nie potrafią eksportować swoich rozwiązań ustrojowych i rozszerzać dominacji oceanu światowego na wszystkie kraje na świecie. To musi boleć. Ale przecież to było oczywiste już od dłuższego czasu. Tylko niektórzy nie przyjmowali tego do wiadomości. Biden – powtarzam to jeszcze raz – mówił językiem stratega. Postawiono go pod ścianą, amerykańska opinia publiczna chciała go zlinczować i on musiał powiedzieć, jak jest.

PZ: Rzeczywiście, krytycy Bidena zdają się nie pamiętać, że to prezydent Donald Trump rozpoczął proces wycofywania się z Afganistanu. Więc rzeczywiście największym problemem jest styl tego wycofania, a nie sam fakt. Wszystko wydarzyło się tak szybko! Pamiętam, że w dniu upadku Kabulu czytałem rano gazetę. Ta gazeta donosiła, że w ręce talibów wpadły takie i takie afgańskie miasta. I niestety amerykański wywiad i amerykańscy politycy oceniają, że za trzy miesiące należy się liczyć z upadkiem Kabulu. Tego samego dnia po kilku godzinach nadeszła informacja, że Kabul padł. Telewizje całego świata pokazały wspomniane przez ciebie straszliwe obrazki – ludzi spadających z samolotu…

JB: To ogromny cios w morale. Pamiętaj, że to była najdłuższa wojna, jaką Stany Zjednoczone prowadziły w swojej historii.

PZ: Dwadzieścia lat.

JB: Tak, dwadzieścia lat. Całe pokolenie przeszło przez Afganistan i Bliski Wschód. Pokolenie żołnierzy, dowódców, analityków. Ta wojna pochłonęła górę pieniędzy i teraz oczywiście pojawia się pytanie o sens całej tej operacji. Przez ostatnie dwadzieścia lat wychowało się także całe pokolenie młodych Afgańczyków, którzy nie znali innego życia niż pod amerykańską władzą. I teraz trwa dramat ludzi, którzy uwierzyli w zmianę. Uwierzyli w zachodni model życia. Nagle znaleźli się pod władzą talibów, którzy stanowią całkowitą antytezę Zachodu. Ale z drugiej strony muszę przyznać, że modliłem się, żeby Amerykanie wreszcie z tego Afganistanu wyszli. Uważałem bowiem, że marnotrawią siły i środki na trzeciorzędnych teatrach wojny, zamiast skupić całą swoją strategiczną uwagę i zasoby na Chinach. Takie rozpraszanie energii mogło doprowadzić do tego, że nie udałoby im się pokonać Chin. A wtedy mielibyśmy naprawdę inny świat. Bo talibowie nam tego świata nie zmienią, zmienią życie w Afganistanie, ale w Polsce już nie. Nie zmienią nam ustroju, nie ustanowią innej marży na naszą pracę. Natomiast Chiny – w razie triumfu nad Ameryką – mogą zmienić naszą planetę. Jeżeli Amerykanie chcą utrzymać przy życiu dotychczasowy świat, musieli opuścić Afganistan.

PZ: Chiński wątek pewnie jeszcze poruszymy. Ale warto wrócić do bilansu tej wojny dwudziestoletniej. Myślę, że ludzie, którzy walczyli w tym konflikcie, muszą być teraz bardzo rozgoryczeni tym, że zmarnowano ich wysiłek. Nie chodzi nawet o pieniądze, które były gigantyczne, ale przede wszystkim o poległych. Amerykanie stracili w Afganistanie 2,4 tysiąca żołnierzy, a całe siły koalicyjne – ponad 3,5 tysiąca. Między innymi poległo czterdziestu czterech Polaków. Do tego należy dodać cierpienia ludności cywilnej. Zginęły dziesiątki tysięcy Afgańczyków. I co teraz? Sytuacja po dwudziestu latach wraca do punktu wyjścia z roku 2001, gdy amerykańskie samoloty startowały do tej wojny. Talibowie wrócili do władzy. Cała para poszła w gwizdek. Znowu odwołam się do *Wielkiego złudzenia* Johna Mearsheimera. Dowodzi on w nim, że politykę należy opierać na twardych interesach, a nie na idealistycznej wierze, że można siłą implementować system liberalno-demokratyczny w Afganistanie czy Iraku; że w ten sposób można położyć kres terrorowi, przemocy i wojnom; że cały świat marzy o tym, by żyć na amerykańską modłę. Takie przeświadczenie okazało się naiwnością i mrzonką, która przyniosła katastrofalne skutki. Fatalną rolę

odegrały tu administracja George’a W. Busha, neokonserwatyści i inne środowiska mesjanistyczne.

JB: Dodajmy, że mówimy o relatywnie słabym przeciwniku. O kiepsko rozwiniętym państwie i społeczeństwie. A mimo to wielka potęga oceanu światowego, która przyszła z oddali, aby zaprowadzić swój ład, została w Afganistanie pokonana. I to jest sedno sprawy. Przychodzenie z oddali – dotyczy to zarówno Afganistanu, Kurdów, jak i Ukrainy czy Polski – polega na tym, że między Stanami Zjednoczonymi a tymi państwami nie ma ani tożsamości interesów, ani symetrii interesów. Jest asymetria. I ta asymetria pozwala Amerykanom w dowolnym momencie odciąć się i skrócić front tam, gdzie akurat jest im wygodnie. Żywotne interesy Stanów Zjednoczonych na tym bowiem nie ucierpią. Ucierpi może tylko prestiż, ale niewiele ponad to. Doświadczyli tego swego czasu – o czym już nieco zapomnieliśmy – Kurdowie. Doświadczają tego teraz Ukraińcy. Doświadczają Afgańczycy. My doświadczyliśmy tego w czasie II wojny światowej. Bo przecież gdyby Amerykanie mieli siły, to pewnie w 1945 roku zaprowadziliby demokrację liberalną i wolność strategicznych przepływów również nad Wisłą. Ale nie dali rady, bo Sowieci im na to nie pozwolili. Amerykanie nie mieli zaś zamiaru iść na wojnę z drugim supermocarstwem w obronie Europy Środkowo-Wschodniej. Bo i po co? Myślę, że jak tylko Amerykanie uporają się teraz z ewakuacją i wyjdą z Afganistanu, będą próbować się tam usadowić Chińczycy. Być może również Rosjanie, którzy boją się zamętu i naporu na swoje strefy buforowe na południu. Wtedy w amerykańskiej administracji pojawi się pomysł, że właściwie ten Afganistan to jest bardzo dobre miejsce na destabilizację Rosjan i Chińczyków. Potęga morska będzie zainteresowana destabilizowaniem Eurazji, aby powstrzymywać ekspansję Pekinu i Moskwy. Już raz zresztą tak zrobiła – w czasie inwazji sowieckiej na Afganistan w latach 1979–1989.

PZ: Chciałem przytoczyć tę samą analogię. To naprawdę uderzające. Afgańczyków, którzy walczyli z najeźdźcą sowieckim, Amerykanie nazywali bohaterami walki o wolność. Hojnie dostarczali im rakiety *Stinger* do zestrzeliwania sowieckich śmigłowców. I tych samych Afgańczyków, którzy kilkanaście lat później walczyli z najeźdźcą amerykańskim, nazywali groźnymi terrorystami i islamistami.

JB: To wszystko jest polityką. Tak samo Amerykanie postępowali wobec PRL-u. Radio Wolna Europa było manetką, za pomocą której mogli podkręcać lub wyciszać nastroje antysowieckie w Polsce. Gdy Stany Zjednoczone rozpoczęły zimną wojnę ze Związkiem Sowieckim, zależało im na tym, żeby Polacy się buntowali, sprawiali Sowietom jak najwięcej kłopotów. Gdy z kolei na linii Waszyngton–Moskwa następowała faza odprężenia, Radio Wolna Europa stępiało swoje antykomunistyczne ostrze. Pisał o tym Józef Mackiewicz, ale również Jerzy Giedroyc.

PZ: Fajnie, że powołałeś się na Józefa Mackiewicza. To świadczy, że czerpiemy z tych samych lektur i ideałów. Mackiewicz przecież wprost nazywał Jana Nowaka amerykańskim agentem. Uważał, że jako opłacany przez Waszyngton szef Free Europe Nowak reprezentuje interesy amerykańskie, a nie polskie. Kiedy Ameryka stawiała na koegzystencję albo na „polską drogę do komunizmu", to nagle Radio Wolna Europa potrafiło wychwalać titoizm. Niech już będzie w Polsce komunizm, ale niech Gomułka chociaż zerwie ze Związkiem Sowieckim. Tymczasem w interesie Polaków leżało, żeby tego komunizmu w ogóle nie było… To jest właśnie ta asymetria. Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do Afganistanu. Co będzie z tym państwem? Czyli w próżnię pozostawioną przez Amerykanów wejdą teraz Chińczycy ze swoim projektem Pasa i Szlaku?

JB: Nie jestem pewien, czy Chińczycy całkowicie opanują Afganistan. Obstawiałbym raczej, że wytworzy się tam krucha równowaga sił przeplatana krótkimi epizodami wojny domowej. Oczywiście Chińczycy będą starali się być tam obecni. Bo nie bardzo im będzie przeszkadzać jakaś wojna domowa. Byle ich instalacje były chronione. Będą więc dostarczać swoje produkty i wydobywać surowce: choćby obecne w Afganistanie minerały. W dłuższej perspektywie – jak już wspomniałem – Afganistan stanie się raczej źródłem destabilizacji Azji Środkowej. Amerykanie, jak pięknie ujął to Biden, „over the horizon with the laser focus" – „zza horyzontu z laserowym skupieniem" będą mogli obserwować sytuację i mieszać w systemie. Tak aby sprawiać kłopoty Chińczykom i Rosjanom. Niestety nie mam więc dobrych wieści dla ludności Afganistanu.

PZ: Myślę jednak, że Chińczycy będą bardziej pragmatyczni niż Amerykanie, nie będą próbowali narzucić Afgańczykom swojego systemu politycz-

nego. Nie będą uszczęśliwiać ich na siłę. Będą z nimi handlować. Obie strony będą na tym zarabiać i obie strony będą zadowolone. To będzie stabilniejsze niż dwudziestoletnia amerykańska szarpanina. Chińczycy zdobędą nowy, mocny przyczółek. Jak w Afryce.

JB: Może tak być. Ale może też być tak, że Amerykanie lub Rosjanie zaniepokojeni wzrostem potęgi Chin będą co jakiś czas opłacać jakieś grupy talibów czy rebeliantów, aby wysadzały w powietrze chińskie instalacje. Tam długo jeszcze nie będzie spokojnie.

PZ: Tym sposobem dotarliśmy do zagadnienia słoń a sprawa polska. Czyli, w tym wypadku, Afganistan a sprawa polska. Tak jak ty ubolewam nad tragedią Afgańczyków, ale myślę, że cała ta historia może mieć pozytywne konsekwencje. Może nasi politycy wreszcie się obudzą ze słodkiego snu i zrozumieją, że bezpieczeństwa Rzeczypospolitej nie można opierać tylko i wyłącznie na gwarancjach amerykańskich. Że Ameryka nie jest już tym wszechmocnym światowym dominatorem i hegemonem, globalnym żandarmem. Ameryka też potrafi okazać słabość, też ma swoje ograniczenia. Mając na karku konflikt z Chinami, nie może zajmować się kwestiami ze swojego punktu widzenia trzeciorzędnymi, jak Afganistan czy Polska. Jakie według ciebie wnioski płyną dla nas z afgańskiej katastrofy?

JB: Część naszych elit politycznych, zwłaszcza po szoku, jakim była amerykańska zgoda na dokończenie Nord Stream 2, zaczyna się budzić. Zaczyna rozumieć, że nasza zależność od Stanów Zjednoczonych może się fatalnie skończyć. A już teraz znacznie ogranicza pole manewru naszej polityce zagranicznej. Co z tego wyniknie – zobaczymy. Bo pamiętaj, że jest mnóstwo wpływowych ludzi, którzy nie życzą sobie żadnej zmiany. Również społeczeństwo uważa całkowite uzależnienie Polski od polityki amerykańskiej za coś dobrego. Jest w naszym kraju spora grupa, która uważa, że Amerykanie lepiej niż my wiedzą, co jest dla nas dobre, więc należy się im całkowicie zawierzyć. Afgańska lekcja uczy nas przede wszystkim, że musimy zbudować silne wojsko, Armię Nowego Wzoru, o której już mówiliśmy. Nasze wojsko nie może być zależne od USA. Nie może być tak, że armia Rzeczypospolitej może funkcjonować tylko u boku Amerykanów, a bez ich wsparcia się rozpada, traci swoje zdolności do obrony terytorium. Afganistan pokazuje, że nie możemy być uzależnieni tylko od jednego

sojusznika, który w chwili kryzysu może się wahać, zastanawiać się przez kilka dni albo w ogóle nie przyjść nam z pomocą. Taka sytuacja powoduje bowiem, że wszystkie nowoczesne czołgi i samoloty, które kupimy od Amerykanów, z dnia na dzień mogą się stać kosztownymi breloczkami.

PZ: Będą efektownie wyglądały w telewizji, ale nie będziemy mogli ich skutecznie użyć do walki.

JB: Właśnie. Teraz – o czym też już wspominałem – pojawiają się trzy koncepcje. Pierwsza zakłada jeszcze większe zbliżenie się do Amerykanów. Zakotwiczenie w systemie USA. Po krótkim, tygodniowym oburzeniu, że „nasze wspólne wartości zostały zdradzone" (mam oczywiście na myśli Nord Stream 2), wśród części naszych polityków zapanowało przerażenie. „Jesteśmy w potrzasku! Jesteśmy sami! Powiedzieliśmy Amerykanom, że nas zdradzili, i co dalej? Musimy sobie znaleźć innego patrona, ale tego innego patrona nie widać na horyzoncie. Są tylko Amerykanie. Więc my im teraz wspaniałomyślnie «wybaczymy» i będziemy błagać, żeby nas przyjęli z powrotem. Będziemy się starać jeszcze bardziej, żeby już nas więcej nie zdradzali". Ja to nazywam zakotwiczeniem w syndromie sztokholmskim. Niestety ogromna część polskich ekspertów myśli właśnie w ten sposób.

PZ: To jest żałosne.

JB: Oni naprawdę myślą, że jeżeli będziemy się bardziej starać, zapewniać Amerykanów o naszej lojalności i dozgonnej przyjaźni, to karta się odwróci. Amerykanie za rok zmienią zdanie, bo się rozczarują do Niemiec.

PZ: Przecież to jest myślenie małego dziecka. Amerykanie kierują się swoimi interesami, a nie tym, czy im ktoś nadskakuje, czy nie.

JB: Dlatego ja uważam, że słuszna jest druga opcja. Autonomizacja. Autonomizacja pętli decyzyjnej. Już o tym mówiliśmy i nie ma sensu tego powtarzać.

PZ: A trzecia opcja?

JB: Regionalizacja. Poszukiwanie jakiejś alternatywy w regionie. Na przykład sojuszu z Niemcami albo szerzej – z Unią Europejską. Spora część naszej klasy politycznej marzy o europejskim państwie federacyjnym.

„Zakończmy ten projekt zwany Polską, on jest nieudany! Podłączmy się do czegoś większego i będzie wspaniale. Amerykanie są niedobrzy, bo to imperialiści, ale Europa to co innego. Europa jest eko, Europa stosuje *soft power*. To nasza jedyna opcja". A więc nasze elity miotają się od ściany do ściany, między regionalizacją a kotwiczeniem. Tymczasem powinny pomyśleć o autonomizacji. Bo jak się wzmocnimy, to zawsze będziemy mogli wybrać między Stanami Zjednoczonymi a Europą. Najważniejsze jest to, żebyśmy to my sami wybrali sobie sojuszników. Żebyśmy działali podmiotowo. Gdy będziemy silni, będziemy atrakcyjniejszym partnerem. Nie będzie można nami pomiatać.

PZ: To ja może trochę polemicznie. Oczywiście zgadzam się, że musimy się zbroić, musimy wzmacniać państwo i gospodarkę. Musimy liczyć na siebie. Ale Polska, znajdując się w takim, a nie innym położeniu geopolitycznym, po prostu musi mieć oparcie w jakichś sojuszach. Powtarzam to jak mantrę, ale to samo mówili Dmowski, Piłsudski, Studnicki i wszyscy inni rozważni mężowie stanu. Polski nie stać na konflikt jednocześnie z Niemcami i z Rosją. Jeżeli mamy złe stosunki z Niemcami – musimy mieć dobre stosunki z Rosją. Jeżeli mamy złe stosunki z Rosją – musimy mieć dobre stosunki z Niemcami.

W żadnym razie nie możemy zaś sobie pozwolić na to, żeby mieć złe stosunki jednocześnie z Niemcami i z Rosją. Bo to może skończyć się dla Polski tragicznie – sojuszem Rosji i Niemiec wymierzonym w Rzeczpospolitą. Gdy rozmawiałem ze zwolennikami i politykami obecnego rządu, zawsze mówiłem: „Jak wy możecie uprawiać politykę jednocześnie antyrosyjską i antyniemiecką? Przecież to polityka samobójcza". I oni zawsze mówili to samo: „Spoko, spoko. Mamy przecież za sobą Amerykę. Wujek Sam jest wszechpotężny, możemy więc Berlinowi i Moskwie grać na nosie. Nic nam się nie stanie, bo za naszymi plecami stoi cała potęga US Army". Teraz stało się jasne, że ta koncepcja całkowicie zbankrutowała. Ameryki nie możemy już być pewni. Czy nam się to podoba czy nie, wracamy więc do wyboru: Niemcy czy Rosja? Ja, jeśli mam wybierać z tych dwóch opcji, wybieram opcję numer jeden. Czyli niemiecko-europejską.

JB: Dlatego w jednej z naszych rozmów opublikowanych na YouTubie mówiłem, że trzeba jechać do Berlina z grupą twardych kiziorów i wynego-

cjować jak najlepszy status dla Polski. Status junior partnera Niemiec, ale jednak partnera. Część komentarzy pod naszym filmem była właśnie taka: „Po co?! Przecież mamy za sobą Amerykanów”.

PZ: No i teraz Afgańczycy przekonali się, jak można na nich polegać. Wczoraj Amerykanie byli – dzisiaj już ich nie ma. Sama obecność amerykańskich wojsk w jakimś kraju nie gwarantuje, że te wojska będą się biły. Zawsze mogą wejść do samolotów i się ewakuować.

JB: Dlatego w Strategy&Future doradzaliśmy, żeby z wyprzedzeniem zacząć negocjować. Starać się stworzyć strategiczną niejasność dla Rosjan, Niemców i Amerykanów. Tak aby musieli się z nami bardziej liczyć. To zostało przegapione. Bo teraz z nami już nikt nie musi się liczyć. Oni w tym trójkącie dogadali się ze sobą w sprawie Nord Streamu. Nikt nas nie pytał o zdanie. Znowu jesteśmy przedmiotem, a nie podmiotem dziejów. I będzie jeszcze gorzej. Nadchodzi czas, gdy mocarstwa będą rozmawiały o nas nad naszymi głowami. Na koniec swojego urzędowania kanclerz Angela Merkel pojechała do Moskwy zobaczyć się z Putinem. Istnieje niebezpieczeństwo, że Rosja wynegocjuje z Zachodem tak zwany pas stabilizacji, czyli obie strony określą przestrzeń, na której będzie panowała równowaga sił i nic nie będzie się mogło na niej dokonywać. Ani modernizacja gospodarcza, ani wojskowa. Być może Polska zostanie objęta tym pasem stabilizacji.

PZ: To byłaby dla nas katastrofa…

JB: Niestety takie mogą być konsekwencje braku ruchu wyprzedzającego. Braku prowadzenia podmiotowej polityki. Co było naprawdę do zrobienia! A teraz sytuacja Polski staje się bardzo trudna. Rozmawiałem ostatnio z Leszkiem Sykulskim i on uważa, że należy zacząć balansować Rosją. Czyli zrobić jakiś ruch w tamtą stronę. Ale problem polega na tym, że Rosją nie da się balansować, bo Rosja zawsze będzie chciała zniszczyć nasz potencjał rozwojowy. Tu nie mamy żadnej opcji. Takie przynajmniej jest moje zdanie. Tłumaczyłem to wielokrotnie. Natomiast takie głosy zaczynają się już pojawiać. Wracając więc do przedstawionego przez ciebie dylematu: Niemcy czy Rosja, gdybym ja musiał wybierać między tymi dwiema opcjami, to zdecydowanie wybrałbym regionalizację i przytulenie się do Niemiec, do Unii Europejskiej. Wieczorami myśląc o tym, że państwo pol-

skie musi być nieśmiertelne, samodzielne i potężne, a to jest sytuacja tymczasowa.

PZ: Obawiam się, Jacku, że sytuacja jest na tyle poważna, iż nie możemy używać trybu przypuszczającego. My musimy wybrać. Musimy mieć dobre relacje z Niemcami lub z Rosją. Jestem bowiem przekonany, że oparcie się na sojuszniku egzotycznym – jak ujmował to Stanisław Cat-Mackiewicz – czyli na odległym, zamorskim hegemonie, jest polityką opartą na ruchomych piaskach. Wyobraźmy sobie taki sugestywny mem składający się z trzech zdjęć. Najpierw słynna fotografia z ewakuacji amerykańskiej ambasady w Wietnamie. Napis: „Sajgon 1975". Potem zdjęcie z ewakuacji z Afganistanu. Napis: „Kabul 2021". A na końcu zdjęcie Warszawy ze znakiem zapytania. Mamy oczywiście z naszymi dwoma wielkimi sąsiadami zaszłości historyczne, ale trzeba myśleć pragmatycznie i realnie. Ja też – przynajmniej w obecnej sytuacji – uważam, że powinniśmy postawić na Niemcy i Europę. To nam się po prostu opłaca, to modernizuje Polskę. Niedawno GUS opublikował najnowsze dane dotyczące obrotów towarowych Polski za okres styczeń–czerwiec 2021. Niemcy są tradycyjnie na pierwszym miejscu i w eksporcie, i w imporcie. Odpowiednio 178,1 miliarda i 130,2 miliarda złotych. A potem długo, długo nic. Więzy gospodarcze między naszymi krajami są bardzo ścisłe. Nic zaś tak nie łączy ludzi jak wspólne interesy i wspólne zarabianie pieniędzy. Potężna niemiecka gospodarka (czwarta na świecie po USA, Chinach i Japonii) nakręca gospodarkę polską i w drugą stronę też to działa. Polska zajmuje bardzo wysoką, piątą pozycję w niemieckim bilansie handlowym. Wyższą niż Rosja. Pojawienie się Angeli Merkel na Kremlu wywołuje rzeczywiście fatalne skojarzenia, ale Niemcy musieliby oszaleć, żeby wpuścić do nas Rosję. W interesie Niemiec leży to, żeby Polska dalej była gospodarczo zespolona z Niemcami. A także stanowiła jeden z buforów oddzielających ją od Rosji. Amerykanom w gruncie rzeczy jest wszystko jedno, czy w Polsce rządzą Polacy, czy Rosjanie, ale dla Niemiec to jest kwestia żywotna. Jedna sprawa to gospodarka, a druga bezpieczeństwo. Mieć rosyjskie czołgi 150 kilometrów od Berlina to niewesoła sytuacja.

JB: Modelowo masz rację, ale obecna sytuacja jest łatwiejsza i jednocześnie trudniejsza niż 100 czy 200 lat temu. Współczesne Niemcy nie mają

bowiem siły wojskowej. Ba, *Europa* nie ma żadnej siły wojskowej. A Rosjanie ją mają i mogą destabilizować nasze otoczenie i – z pozycji siły – narzucać Niemcom różne rzeczy. Niekoniecznie takie, których Niemcy by sobie życzyli. Na tym polega cały problem naszego wyboru. Już abstrahując od tego, że Polska nie może w dłuższej perspektywie akceptować statusu całkowitego podporządkowania się Niemcom. Bo wtedy na zawsze pozostaniemy rezerwuarem taniej siły roboczej. A zatem to też nie jest sytuacja zero-jedynkowa. Z drugiej strony Amerykanie rzeczywiście nie są już wiarygodni. Nie mają zdolności do tego, żeby w pełni nam pomóc, z czego nasi rządzący chyba wreszcie zdali sobie sprawę. Opcja kontynentalna, niemiecka wcale nie daje nam więc bezpieczeństwa. Daje nam być może rozwój, ale nie zapewnia nam ochrony wojskowej w nowym świecie konfrontacji mocarstw. Dlatego właśnie potrzebujemy Armii Nowego Wzoru. Tak, wiem, że powtarzam to w kółko jak Katon Starszy (*śmiech*). Ale to jest moja główna idea. W obu wariantach – amerykańskim i niemieckim – taka armia jest nam niezbędna. To jest pewien paradoks, ale Niemcy niestety nie potrafią nam teraz dać bezpieczeństwa. Nie mogą go zapewnić również państwom bałtyckim ani Ukrainie. To już nie są kajzerowskie Niemcy, z potężną armią i działami Kruppa…

PZ: Obecnie Niemcy rzeczywiście mają armię, jaką mają. Ale dysponują przecież potężnym przemysłem maszynowym, nowoczesnymi technologiami. Za kilka–kilkanaście lat sytuacja może się więc zmienić. Zresztą Niemcy mają inne sposoby nacisku na Rosję niż wojsko. Choćby kwestia gazu. Bo to przecież działa w obie strony. Niemcy są uzależnione od rosyjskiego gazu, ale Rosja jest uzależniona od niemieckich pieniędzy, jakie za ten gaz otrzymuje. Jeżeli zaś chodzi o polsko-niemieckie stosunki handlowe, to rzeczywiście jesteśmy dla Niemiec rezerwuarem taniej siły roboczej. Ale przecież to od trzydziestu lat niesamowicie nakręca naszą gospodarkę. Cud gospodarczy III Rzeczypospolitej, kolosalna modernizacja naszego państwa jest tego skutkiem. Zwróć uwagę, że my się rozwijamy w dwukrotnie szybszym tempie niż Niemcy. Polski wzrost PKB przed pandemią wynosił ponad 4 procent, a Niemiec ponad 2 procent. A więc my dzięki tej współpracy gonimy Zachód, nadrabiamy cywilizacyjny dystans, stajemy się coraz bogatsi. A im więcej mamy pieniędzy, tym silniejszą mamy pozycję i tym bardziej powiększa się nasz budżet wojskowy.

JB: Tak, ale nie chodzi tylko o same pieniądze. Ważne, jakie to są pieniądze. My musimy kontrolować końcówkę tak zwanego lejka podziału pracy i wartości, co daje marże, przesądzając o bogactwie. Niestety to nie my tworzymy produkty, to nie my mamy patenty, to nie my wymyślamy nowoczesne maszyny. My je tylko montujemy, robimy podzespoły. Stukamy młotkiem, zamiast tworzyć. W ten sposób nie przekroczymy pewnego poziomu rozwojowego. Dlatego właśnie uważałem, że należało jesienią pojechać do Berlina i coś wynegocjować. Choćby to, żebyśmy sami mogli robić coś oryginalnego. Żeby nam dali możliwość prawdziwej innowacji. A nie fundowali nam kolejne regulacje unijne, niekorzystne energetyczne obostrzenia, regulacje rynku pracy czy przepływów kapitałów. Bo to wszystko coraz bardziej się zacieśnia i ogranicza nasze możliwości.

PZ: Status wielkiej montowni niemieckich pralek oczywiście nie jest spełnieniem moich marzeń. Ale nie ma w tym nic upokarzającego, póki zarabiamy na tym pieniądze i rozwijamy własną gospodarkę. Chiny przez lata też były wielką amerykańską montownią, ale z czasem zbudowały w ten sposób własny potencjał i opracowały własne technologie.

JB: Problem polega na tym, że jesteśmy odbiorcami wtórnej pracy. Idą do nas przepływy finansowe z Unii i my je wydatkujemy. Siedzę teraz w małym warmińskim miasteczku. Jest tutaj piękny bruk, wszystko jest odnowione, pomalowane. Nowoczesne ścieżki rowerowe. Jest ładniej niż w Teksasie, w którym byłem ostatnio. Ale gdzie są nasze polskie samoloty, gdzie są polskie drony, gdzie są samochody i nowoczesne maszyny?

PZ: Tu zgoda. Niestety nie mamy też rozpoznawalnych na świecie, potężnych marek. Choćby takich jak czeska Škoda. Nawet Rumuni mają swoją Dacię.

JB: Otóż to. I to jest istota rzeczy. Bardzo się boję, że mocarstwa będą pilnowały, żebyśmy nigdy takich marek nie mieli. Do tego właśnie byli nam potrzebni Amerykanie – żeby wynegocjować dla nas większą przestrzeń do działania. Niestety, zawiedliśmy się na nich.

PZ: Jak Amerykanie mogli nam w tym pomóc?

JB: Byli nam potrzebni choćby do tego, żebyśmy się stali hubem energetycznym Europy Środkowo-Wschodniej. My, a nie Niemcy. To jednak się nie udało. Chodziło o nowy łańcuch dostaw, o podział pracy, o marżę. Niestety położenie państwa polskiego jest trudne. Uważam, że czas zrobić podsumowanie ostatnich trzydziestu lat. W tym okresie popełniliśmy cztery bardzo poważne błędy, ale także podjęliśmy dwie ważne i dobre decyzje. Te dwie dobre decyzje to przystąpienie do NATO i do Unii Europejskiej, które oczywiście spowodowały też pewne skutki negatywne. Choćby śpiączkę strategiczną. Ale ogólny bilans jest korzystny.

PZ: Wystarczy spojrzeć, jak Polska wyglądała w latach dziewięćdziesiątych, a jak wygląda teraz. Jakie ćwierć wieku temu były w naszym kraju średnie płace, jak wyglądała nasza infrastruktura. A cztery błędy?

JB: Pierwszy błąd to niepodjęcie prawdziwej polityki wschodniej. Rezygnacja z odbudowania naszych wpływów na terenie państw bałtyckich, Ukrainy i Białorusi. Chodzi o inwestycje, kulturę, ale również wywiad, znajomości, sieć kontaktów opartych na interesach, nie uczuciach czy wartościach. Polska powinna była zbudować mocną pozycję w państwach należących do dawnej Rzeczypospolitej, w strefie buforowej między Rosją a Polską. Zaniechano tego już w 1989 roku i do dzisiaj nic się nie zmieniło. Na tym odcinku, pierwszy raz w naszych dziejach, po prostu abdykowaliśmy. Drugi wielki błąd to zła ocena potęgi strukturalnej Stanów Zjednoczonych w latach 2008–2021. Przecenienie możliwości USA. Skutki tego błędu widzimy obecnie. Trzeci wielki błąd to lata 2015–2016 i niedopuszczenie Chińczyków do sektorowej współpracy, na przykład przy budowie nowoczesnej infrastruktury w naszym kraju. Niestety nie weszliśmy tym samym na Pas i Szlak, który mógł się stać dla nas wielką szansą, a na pewno dałoby to większe pole manewru względem Niemiec. I wreszcie czwarty wielki błąd – jesień roku 2020 i brak zrozumienia strukturalnych relacji między Chinami, Niemcami, Rosją a Stanami Zjednoczonymi. A co za tym idzie – brak wyjścia z wyprzedzającym ruchem do Niemiec w redefiniującej się Unii Europejskiej. Te cztery błędy już mają i jeszcze będą mieć opłakane skutki.

PZ: To co dalej będzie z Polską?

JB: Mam nadzieję, że Polska będzie trwała wiecznie. I to nie tylko w naszych sercach. Bo to, że nadchodzą dla Polski trudne czasy, jest oczywiste. Na pewno będzie wywierany ogromny napór na nasze samostanowienie, zarówno ze strony Unii, jak i Stanów Zjednoczonych i Rosji. Będziemy spychani coraz bardziej w strefę szarej stabilizacji. Tak abyśmy nie mogli naruszyć równowagi sił między mocarstwami. Zepchnięcie nas do takiej roli będzie skutkowało niemożnością przeprowadzenia najważniejszych reform państwa. To nam grozi i o to będzie się toczyć walka. Jeżeli zaakceptujemy taki pośledni status, to oczywiście będzie „spoko". Będziemy sobie spokojnie żyli, będziemy jedli lody w malowniczych warmińskich miasteczkach, nasze dzieci będą wyjeżdżać do pracy na Zachód. Ale jeżeli zeloci stronnictwa patriotycznego – tak jak w okresie Sejmu Wielkiego – będą próbowali forsować reformy, budować wojsko z prawdziwego zdarzenia i nowe gałęzie przemysłu, to będziemy wtedy sekowani. Sprowadzani na swoje miejsce przez wielkich tego świata.

PZ: Jeśli do tego dojdzie, to świat rzeczywiście nam odjedzie. Pytanie, czy nasze elity będą w stanie – użyję tu twojego określenia – zerwać z dotychczasowymi mapami mentalnymi. Czy będą starać się budować silne, niezależne, suwerenne państwo. Działać zgodnie z interesem narodowym, a nie zgodnie z interesem światowym.

JB: Cóż, uważnie śledziłem dyskurs publiczny w Polsce w kontekście najważniejszych ostatnich wydarzeń: załamania stosunków z Amerykanami, kryzysu na Białorusi, ewakuacji z Afganistanu, Nord Streamu. Wsłuchiwałem się w głosy naszych ekspertów, polityków… I niestety jestem pesymistą. Polacy przede wszystkim muszą uwierzyć w siebie, w swoje państwo, w swoje możliwości. Wielu naszych rodaków nie rozumie, że w polityce światowej chodzi o podział marży i pracy. Że liczą się tylko silni i pragmatyczni. Aby lepiej zakotwiczyć się na Zachodzie, aby stać się naprawdę nowoczesnym, rozwiniętym państwem, musimy właśnie szarpnąć cuglami, a nie tylko płynąć z prądem. Musimy zbudować potężne wojsko i system odporności państwa. Musimy budować potęgę gospodarczą i rozumieć, co to marża i gdzie się ją uzyskuje. Musimy prowadzić pragmatyczną politykę zagraniczną. Politykę opartą na interesach, a nie na emocjach i tak zwanych wartościach, które często są zasłoną dla interesów. W przeciwnym razie

Zachód sam nas może od siebie odepchnąć, potraktować jako przedmiot w negocjacjach z coraz bardziej wpływową Rosją. A wtedy wszystko, co osiągnęliśmy przez trzydzieści lat, zostanie zaprzepaszczone. Znowu staniemy się zapóźnionym cywilizacyjnie peryferium. Do tego nie możemy dopuścić, jeśli chcemy, żeby spełniło się nasze marzenie o silnej, wolnej Polsce. O nowej Rzeczypospolitej przyszłości.

Źródło: „Historia Realna” 24 sierpnia 2021

Fotografie

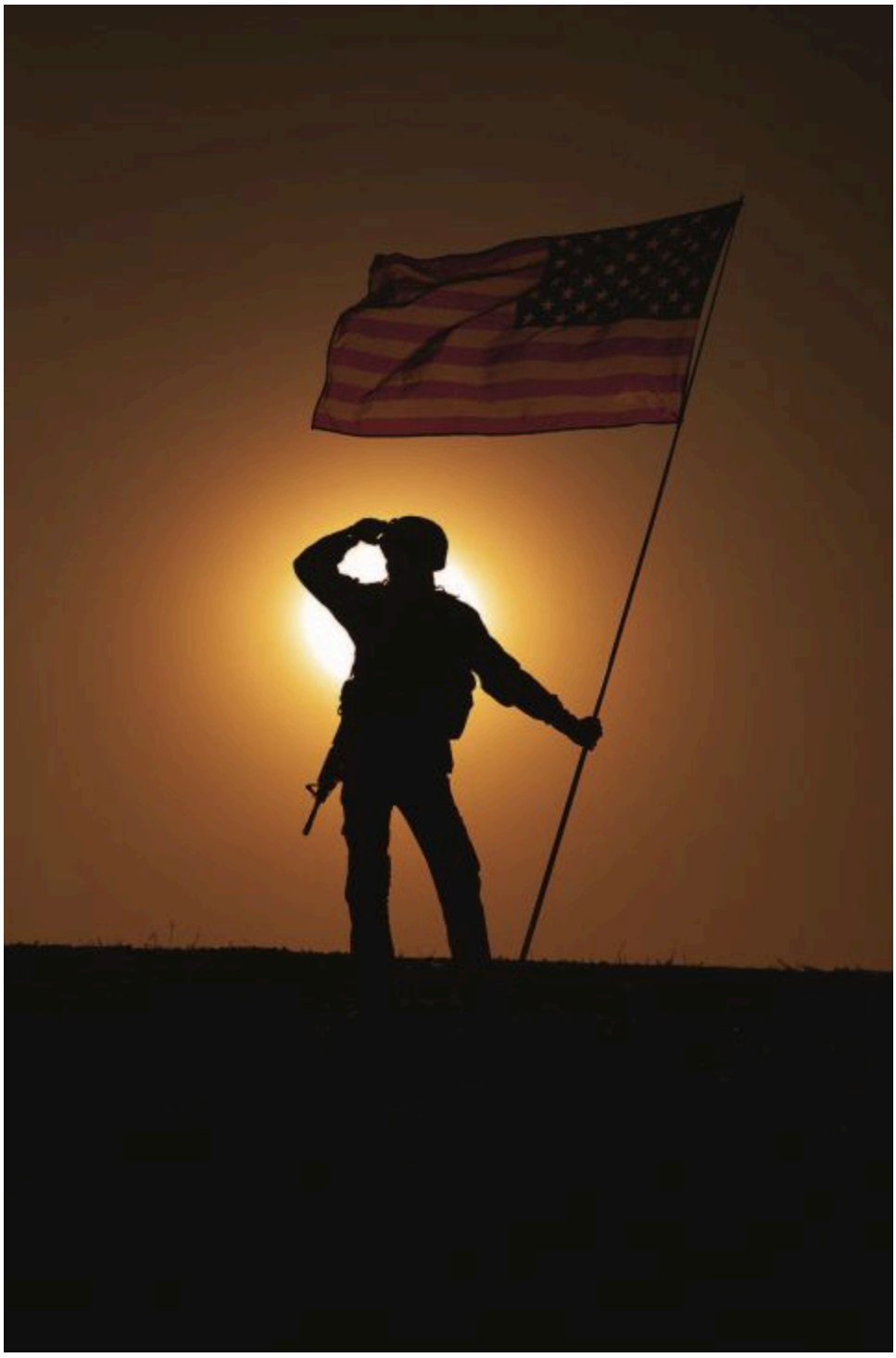

Na straży imperium.

© Getmilitaryphotos/Alamy Stock Photo

Lotniskowiec o napędzie nuklearnym USS *Carl Vinson* patroluje Pacyfik w asyście amerykańskich i południowokoreańskich okrętów. 3 maja 2017.

© U.S. Navy/Getty Images

USS *Carl Vinson* wpływa do portu Busan w Korei Południowej 15 marca 2017 r.
Z pokładu tego okrętu wrzucono do Oceanu Indyjskiego ciało Osamy bin Ladena.

© Kyodo News/Getty Images

Widok na lotniskowiec USS *Dwight D. Eisenhower* ze śmigłowca SH-60 Seahawk. 3 listopada 2006.

© Wikimedia Commons/domena publiczna

Samolot wielozadaniowy F/A-18F *Super Hornet* startuje z lotniskowca USS *Ronald Reagan*. Townsville, Australia, 14 lipca 2017.

© Ian Hitchcock/Getty Images

Amerykański marynarz na pokładzie lotniskowca USS *George H.W. Bush*. Ćwiczenia „Saxon Warrior” u wybrzeży Wielkiej Brytanii. 6 sierpnia 2017.

© Dan Kitwood/Getty Images

Tajwańska artyleria podczas ćwiczeń obrony wybrzeża. Pingtung, 30 maja 2019. Czy tu wybuchnie III wojna światowa?

© Patrick Aventurier/Getty Images

Żołnierz sił specjalnych Tajwanu – gotowy do obrony swego kraju. Tajpej, 8 października 2020.

© Ashley Pon/Getty Images

Kompania reprezentacyjna tajwańskiej armii. Pałac prezydencki w Tajpej, 20 maja 2016.

© Bloomberg/Getty Images

Kołowe bojowe wozy piechoty CM-32 Yunpao w czasie ćwiczeń „Han Kuang” na Tajwanie. 16 lipca 2020.

© Bloomberg/Getty Images

Tankowanie w powietrzu. Latająca cysterna Boeing KC-135A *Stratotanker* i ciężki myśliwiec F-15 *Eagle*. Widok z F-15. Okinawa, 20 marca 1998.

© Getty Images

Eskadra myśliwców F-35A szykuje się do startu. Ćwiczenia lotnicze w bazie Hill w stanie Utah. 19 listopada 2018.

© George Frey/Getty Images

F-35 *Lightning II* nad Zatoką San Francisco. 13 października 2019.

© NurPhoto/Getty Images

Podpułkownik David R. Stilwell za sterami F-16 *Fighting Falcon*. Nowy Jork, 24 września 2003.

© U.S. Air Force/Getty Images

F-16 patrolują niebo nad San Francisco. 16 marca 2004.

© U.S. Air Force/Getty Images

Amerykańscy komandosi Navy Seals.

© Greg Mathieson/Mai/Getty Images

Marines skaczą z samolotu HC-130 Hercules. Dżibuti, 15 listopada 2013.

© Stocktrek Images/Getty Images

Prezydent Donald Trump podczas ceremonii prezentacji sztandaru Sił Kosmicznych. Ogród Różany, Biały Dom, 29 sierpnia 2019.

© Chip Somodevilla/Getty Images

Start ciężkiej rakiety kosmicznej Delta IVH. Rakieta ma wynieść na orbitę satelitę rozpoznawczego. Przylądek Canaveral, Floryda, 10 grudnia 2020.

© Chip Somodevilla/Getty Images

Chiński niszczyciel *Hefei* zawija do portu w Petersburgu, aby wziąć udział w obchodach święta rosyjskiej marynarki wojennej. 27 lipca 2017.

© Anadolu Agency/Getty Images

Marynarze na pokładzie *Hefei* prezentują broń.

© Anadolu Agency/Getty Images

Chiński czołg typu 96 podczas manewrów w Rosji. Maszyna jest wyposażona w armatę kalibru 125 mm i dwa karabiny maszynowe. 4 września 2021.

© Vladimir Gerdo/Getty Images

Myśliwce J-10 dokonują akrobacji powietrznych podczas 100 rocznicy założenia Komunistycznej Partii Chin. Pekin, 1 lipca 2021.

© VCG/Getty Images

Żołnierze Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej ćwiczą krok defiladowy. Pekin, 10 września 2009.

© Feng Li/Getty Images

Chiński komandos prezentuje swoje możliwości podczas ćwiczeń wojskowych w Rosji. Obwód nowosybirski, 26 sierpnia 2021.

© Kirill Kukhmar/Getty Images

Na straży Rzeczypospolitej. Polski żołnierz na ćwiczeniach NATO. Żagań, 18 czerwca 2015.

© Jose Giribas/Süddeutsche Zeitung Photo/Alamy Stock Photo

Wspólny przelot polskich samolotów Su-22, MiG-29 i F-16.

© Filip Modrzejewski/Foto Poork

Polskie czołgi Leopard 2A4 podczas manewrów NATO „Noble Jump”. Żagań, 18 czerwca 2015.

© Sean Gallup/Getty Images

Polski czołgista gotowy do walki.

© Sean Gallup/Getty Images

Polski myśliwiec F-16 odlatuje na ćwiczenia NATO „Tiger Meet” w Norwegii. Poznań, Krzesiny, 15 czerwca 2013.

© PAP/Jakub Kaczmarczyk

Polski pilot F-16. Gdynia, Babie Doły, 13 lipca 2019.

© Wojciech Strozyk/REPORTER/East News

Pokaz żołnierzy jednostki GROM na Zatoce Gdańskiej. 27 czerwca 2012.

© PAP/Adam Warżawa

GROM na wojnie. Port Umm Kasr w Iraku, marzec 2003.

© PH1 (SW) ARLO ABRAHAMSON, USN/domena publiczna

Żołnierze polskich sił specjalnych. Przygotowania do szczytu NATO na Stadionie Narodowym w Warszawie. 4 lipca 2016.

© Bartosz Krupa/East News

Okręt podwodny ORP *Orzeł*. Gdynia, Oksywie, 28 sierpnia 2001.

© PAP/Stefan Kraszewski

Fregata rakietowa ORP *Gen. K. Pułaski*. Port w Gdyni, 20 czerwca 2001.

© Wojciech Strozyk/REPORTER/East News

Okręt transportowo-minowy ORP *Toruń*. Port Marynarki Wojennej w Gdyni, 25 listopada 2016.

© Przemek Swiderski/East News

Polscy marynarze. Gdynia, 20 czerwca 2021.

© Piotr Hukalo/East News

Cel…

© PAP/Adam Warżawa

…pal! Przeciwlotniczy zestaw rakietowy S-125 Newa. Przygotowania do ćwiczeń „Anakonda- 20” na Centralnym Poligonie Sił Powietrznych w Ustce. 8 czerwca 2020.

© GERARD/REPORTER/East News

Polski strzelec wyborowy uzbrojony w karabin Sako TRG-21. Słupsk, 2 grudnia 2018.

© GERARD/REPORTER/East News

Obrońcy wybrzeża. Morskie manewry NATO „Baltops”. Ustka, 14 czerwca 2017.

© GERARD/REPORTER/East News

Bojowy wóz piechoty BWP-1 w akcji.

© GERARD/REPORTER/East News

Ćwiczenia 12. Brygady Zmechanizowanej. Oleszno, 28 listopada 2019.

© PAP/Marcin Bielecki

Wojska chemiczne. Ćwiczenia „Dragon-19”. Bemowo Piskie, 14 czerwca 2019.

© PAP/Tomasz Waszczuk

Panorama Warszawy. 15 marca 2015.

© PAP/Alamy

Sztandar wiecznej Rzeczypospolitej. Warszawa, 5 listopada 2013.

© PAP/Tomasz Gzell

Nota edytorska

Podstawą zawartych w tej książce rozmów były dyskusje Jacka Bartosiaka i Piotra Zychowicza publikowane na kanale Historia Realna na YouTubie. Wszystkie one zostały jednak znacznie poszerzone, poprawione i uzupełnione w czasie pracy nad *Nadchodzi III wojna światowa*. Innymi prawami rządzi się bowiem dyskusja na żywo w studiu – gdy ma się ograniczony czas i brak dostępu do źródeł – a innymi praca nad książką.

Autorzy pragną podziękować Patrykowi Grochowalskiemu, który nagrywał wszystkie dyskusje i zajmował się techniczną stroną tego przedsięwzięcia.

O autorach

Dr Jacek Bartosiak jest założycielem i właścicielem think tanku Strategy&Future, autorem książek *Pacyfik i Eurazja. O wojnie, Rzeczpospolita między lądem a morzem. O wojnie i pokoju, Przeszłość jest prologiem, Koniec końca historii* oraz *Wojna w kosmosie. Przewrót w geopolityce.* Ekspert do spraw geopolityki i geostrategii oraz uczestnik debaty na temat sytuacji strategicznej Europy Środkowo-Wschodniej, strefy zachodniego Pacyfiku i Eurazji.

Piotr Zychowicz jest publicystą historycznym. Przez 13 lat zajmował się sprawami międzynarodowymi, pracując w dziale zagranicznym „Rzeczpospolitej”. Obecnie jest redaktorem naczelnym magazynu „Historia Do Rzeczy”. Napisał kilkanaście książek, między innymi *Pakt Ribbentrop–Beck*, *Obłęd ’44*, *Skazy na pancerzach*, *Wołyń zdradzony*, *Germanofil* i *Alianci*.

Polecamy również:

Piotr Zychowicz

PAKT PIŁSUDSKI-LENIN

PAKT RIBBENTROP-BECK

OBŁĘD ‘44

OPCJA NIEMIECKA

SKAZY NA PANCERZACH

WOŁYŃ ZDRADZONY

GERMANOFIL

NIEMCY

SOWIECI

ŻYDZI

ŻYDZI 2

ALIANCI

Copyright © by Jacek Bartosiak i Piotr Zychowicz 2021
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2021

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Grzegorz Dziamski

Mapy: Grzegorz Kalisiak | Pracownia Liternictwa i Grafiki

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Ewa Skrzypiec

Zdjęcia autorów: Rafał Guz

Fotografia na okładce: Domena publiczna

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Nadchodzi III wojna światowa*, wyd. I, Poznań 2021)

ISBN 978-83-8188-887-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61 867 81 40, 61 867 47 08
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**